



THE  
WITCH  
HUNTER

ŁOWCZYNI

VIRGINIA BOECKER

VIRGINIA BOECKER

# ŁOWCZYNI

Przełożył  
Grzegorz Komerski



Tytuł oryginału: *The Witch Hunter*

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Kinga Szafruga

Skład i łamanie: EKART

Projekt okładki:

Jacket art by Emily Scott/Gem Photo

Jacket design by kid-ethic.com

Jacket © 2015 Hachette Book Group, Inc.

The Witch Hunter by Virginia Boecker. Copyright © 2015 by Virginia Boecker. By arrangement with the author. All rights reserved.

Map art © 2015 by Dave E. Philips

Stigma design based on art by Tricia Buchanan-Benson

Stigma design © Virginia Boecker

Polish language translation copyright © 2016 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

**ISBN 978-83-7686-453-2**

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar\_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta



[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Przypisy



## ROZDZIAŁ 1



Stoję na skraju zatłoczonego placu i obserwuję katów, którzy właśnie zabierają się do pracy. Dwaj mężczyźni – ubrani w szkarłatne płaszcze cechowe, z dłońmi ukrytymi w osmalonych rękawicach skórzanych – wspinają się na stopnie z przeciwnych stron drewnianego rusztowania. W wysoko uniesionych rękach trzymają sypiące iskrami pochodnie. Na szczycie stosu stoją cztery wiedźmy i trzech czarowników. Skazańcy, przykuci łańcuchami do grubego pala, z zaciętymi minami wpatrują się w tłum. Wokół ich stóp spoczywają wiązki chrustu.

Nie wiem, czym dokładnie zawinili, nie ja ich pojmałam. Mam za to pewność, że z ust magów nie padnie nawet jedno słowo przeprosin. Nie pojawią się w ostatniej chwili żadne błagania o litość, nie usłyszymy solennych wyznań skruchy. Piątka skazańców milczy, nawet kiedy kaci przykładają już żagwie do drewnia i pod ołowiane niebo strzelają pierwsze płomienie. Wiem, że będą trwać w uporczywym milczeniu aż do samego końca. Nie zawsze tak było. Jednak im szersze kręgi zatacza bunt reformistów, tym bardziej aroganccy stają się oni sami.

Caleb czeka z mojej prawej strony, dzieli nas może pięć osób. Mrużąc oczy, wpatruje się w ogień. Usta zaciska w wąską kreskę, lekko marszczy czoło. Nie potrafię odgadnąć, co wyraża jego mina. Może jest smutny? Choć równie dobrze może być znudzony. Albo grać sam ze sobą w wyobraźni w kółko i krzyżyk. Tak trudno go rozgryźć. Nawet ja mam z tym poważne problemy, a nikt przecież nie zna go dłużej ode



mnie.

Ruszymy do akcji niebawem, zanim rozgorzeją protesty. Już w tej chwili słyszę szemrania i tupanie niezadowolonych, jeden czy dwa okrzyki członków rodzin skazańców. Gapie wymachują kijami, wyciągają z zanadrza kamienie. Wreszcie dostrzegam znak: ukradkowe pociągnięcie za kosmyk ciemnoblonde włosów, po czym dłoń Caleba wędruje powoli do kieszeni.

Nadeszła pora.

Kiedy wybucha harmider, jestem już w połowie drogi przez plac. Ktoś gwałtownie popycha mnie od tyłu, zaraz potem zderza się ze mną ktoś inny. Potykam się, zataczam naprzód i wpadam na stojącego przed mną mężczyznę.

– Uważaj, ty...! – Obraca się gwałtownie na pięcie, lecz na mój widok spojrzenie mu łagodnieje. – Przepraszam, panienko. Nie zauważyłem cię i... – Urywa, przypatrując mi się uważniej. – Wielkie nieba! Przecież jesteś jeszcze dzieckiem. Nie powinnaś się tu kręcić. Lepiej zmykaj do domu. Nie trzeba, żebyś to oglądała.

Kiwam głową i cofam się. Nieznajomy nie pomylił się co do jednego. Nie muszę tego oglądać. Muszę za to zrobić coś innego.

Wychodzę za Calebem na szeroką, wyłożoną kocimi łbami aleję, po czym skręcamy w labirynt tonących w błocie wąskich uliczek. Mijamy szeregi niskich domków z ciemnego drewna, których spadziste dachy niemal stykają się ze sobą, ocieniając kolejny zaułek. Idziemy żwawym krokiem: przemierzamy Cow Lane, wpadamy w prawo w Pheasant Court, odbijamy w lewo ku Goose Alley. W tej okolicy wszystkie uliczki noszą takie zabawne nazwy. Na pobliskim Smithfield Square handlowano kiedyś mięsem spędzanych ze wsi zwierząt.

Teraz odbywają się na nim jatki zupełnie innego rodzaju.

Alejki są wyludnione, jak zwykle w dzień kaźni. Ci, którzy nie oglądają egzekucji, demonstrują przeciwko niej pod pałacem Ravenscourt bądź siedzą w jednej z tawern dzielnicy Upminster, usiłując zapomnieć o stosach. Próba aresztowania jest w takim momencie wyjątkowo niebezpiecznym przedsięwzięciem. Ryzykujemy spotkanie ze wściekłym tłumem, ryzykujemy, że nas odkryją. Gdybyśmy mieli pojmać szeregową wiedźmę, zapewne odłożylibyśmy akcję na jutro.

Ale nie idziemy po zwykłą wiedźmę.

Caleb wciąga mnie w pustą bramę.

– Gotowa?

– Oczywiście – odpowiadam z uśmiechem.

– W takim razie przygotujmy zabawki. – On również się uśmiecha.

Szeroko.

Wyciągam miecz spod płaszcza.

Caleb kiwa głową z uznaniem.

– A teraz słuchaj uważnie. Gwardziści czekają na nas na Pheasant.

Na wszelki wypadek wysłałem też Marcusa na Goose, a Linus zabezpiecza Cow. – Milknie na moment. – Boże, te nazwy są takie durne<sup>1</sup>.

Tłumię śmiech.

– Racja. Nie będziemy potrzebowali pomocy. Poradzę sobie.

– Nie wątpię. – Caleb sięga do kieszeni i wyjmuję z niej koronę.

Bierze monetę w dwa palce i unosi ją na wysokość moich oczu. – Czyli umawiamy się jak zwykle?

Prycham.

– Chciałbyś. Podejrzanych jest pięć razy więcej niż zazwyczaj, więc i nagroda powinna być pięciokrotnie wyższa. Poza tym to przecież nekromanci. Pojawi się więc z pewnością jakiś nieumarły, będą litry krwi, sterty kości... W zaokrągleniu wychodzi mi co najmniej suweren, dusigroszu.

Caleb wybucha krótkim śmiechem.

– Zawsze potrafiłaś się targować, Grey. Zgoda. Powiedzmy więc, że dwa suwereny i kolejka w tawernie po wszystkim. Umowa stoi?

– Stoi. – Podaję mu rękę, lecz zamiast ją uścisnąć, Caleb całuje mnie w dłoń.

Co on wyprawia? W moim brzuchu dzieją się jakieś cuda, czuję, jak policzki zalewa mi fala gorąca. Caleb tego jednak nie zauważa.

Wsuwa monetę z powrotem do kieszeni i dobywa zza pasa sztylet.

Podrzuca go w powietrze i zręcznie chwytą.

– Dobra. Do roboty. Nekromanci sami się nie aresztują.

Skradamy się pod ścianami budynków, błoto cicho chlupie nam pod nogami. Wreszcie znajdujemy właściwy adres. Z pozoru dom nie

wyróżnia się niczym – ot, stara rudera: pobielone ściany, zaokrąglone u góry drewniane drzwi, z których obłazi płatami czerwona farba. Pozory wszak mylą. To, co czeka nas w środku, czyni dom wyjątkowym. Czuję znajomy skurcz żołądka. Przed aresztowaniem zawsze ogarnia mnie specyficzna mieszanina ekscytacji, podenerwowania i lęku.

– Ja kopnę, ty wchodzisz pierwsza – decyduje Caleb. – Poprowadzisz. To twoje aresztowanie. Pamiętaj, miecz wyciągasz od razu i unosisz ostrze. Nie opuszczaj go nawet na sekundę. I jak najszybciej odczytaj treść nakazu.

– Wiem, wiem. – Naprawdę nie rozumiem, dlaczego mi to wszystko tłumaczy. – Nie jestem żółtodziobem.

– Nie jesteś – Caleb kiwa głową – ale to szczególne aresztowanie. Podejrzani są wyjątkowi. Po prostu wchodzimy i wychodzimy. Bez zbędnych fajerwerków i szaleństw. I tym razem nie chcę żadnej wpadki, dobra? Rozumiesz chyba, że nie mogę cię dłużej tłumaczyć.

– Jasne. – Unoszę miecz, rękojeść ślizga mi się w spoconych dłoniach. Wycieram je szybko w spodnie.

Caleb bierze zamach nogą i mocno kopie w drzwi. Wpada do środka, a ja za nim.

Wewnątrz zastaję piątkę nekromantów. Stoją w kręgu, pochyleni nad urządzonym pośrodku izby paleniskiem. Nad ogniem wisi sporych rozmiarów kocioł, z którego bije cuchnący różowawy dym. Magowie mają na sobie długie, znoszone brązowe płaszcze. Ich twarze nikną pod obszernymi kapturami. Śpiewają jakąś monotonną, zawodzącą pieśń. W dłoniach trzymają długie kości: albo kości ramienne, albo piszczele bardzo niskich osób. Potrząsają nimi miarowo niczym szamani z mongolskich stepów. Gdyby scena nie była tak odrażająca, pewnie bym się nawet zaśmiała.

Okrażam podejrzanych, wyciągając w ich stronę ostrze miecza.

– Hermesie Trismegistosie, Ostaniesie Persie, Olimpiodorze z Teb...

Milknę. Czuję się jak kretynka. Nekromanci i te przyjmowane przez nich absurdalne przydomki! Stawiają sobie za punkt honoru, by wybrać jak najbardziej mistyczny pseudonim.

– Zwracam się do całej waszej piątki – rezygnuję z dalszej

wyliczanki. – Mocą udzieloną mi przez króla Anglii Malcolma aresztuję was pod zarzutem czarnoksięstwa.

Upiorny zaśpiew nie milknie, magowie nawet nie podnoszą wzroku. Zerkam na Caleba. Stoi przy drzwiach i żongluje sztyletem. Prawdę powiedziawszy, sprawia wrażenie lekko rozbawionego. Wracam do obowiązków:

– Niniejszym rozkazuje wam udać się z nami do Upminster, gdzie zostaniecie osadzeni w więzieniu Fleet aż do czasu procesu, któremu przewodniczyć będzie wysoki inkwizytor, książę Norfolk, lord Blackwell. Jeżeli sędziowie uznają was za winnych, zostaniecie straceni przez powieszenie bądź spaleni na stosie, wedle decyzji monarchy. Całość waszego majątku wraz z nieruchomościami przypadnie na rzecz Korony. – Milknę, by nabrać oddechu. – Niech wam Bóg dopomoże.

Czekam na jakąkolwiek reakcję nekromantów, lecz wciąż nie dzieje się zupełnie nic. Na tym etapie oskarżeni zazwyczaj zaczynają protestować. Tłumaczą, że są niewinni, pytają, czy mamy jakiegokolwiek dowody. Nie spotkałam się jeszcze z czarnoksiężnikiem, który powiedziałby: „Ależ tak, prowadziłem nielegalną działalność magiczną, czytałem zakazane księgi i kupowałem niedozwolone zioła. Dzięki Bogu, że ktoś mnie wreszcie powstrzymał!”. Nie, nie. Zamiast tego słyszę: „Co wy tu robicie?” lub: „Aresztujecie nie tego, co trzeba” albo: „Przecież to jawna pomyłka!”. O pomyłce jednak nigdy nie ma mowy. Jeżeli stoję na progu czyjegoś domu, to wyłącznie dlatego, że ten ktoś naprawdę sobie na moją wizytę zasłużył.

Mówię więc dalej:

– Wtorek, trzynasty dzień listopada tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Hermes Trismegistos dopuszcza się wyrycia Pieczęci Salomona, magicznego symbolu stosowanego przy wywoływaniu duchów na podmiejskim murze Hadriana. Poniedziałek, dwudziesty szósty dzień listopada tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Cała piątka podejrzanych widziana jest w Kensal Green, na cmentarzu Wszystkich Świętych, gdzie dokonuje ekshumacji ciała Pseudo-Demokryta, właściwie Daniela Smitha, innego znanego nekromanty.

Nadal cisza. Magowie bez przerwy mamrocą, ich głosy brzmią jak

brzęczenie roju podstarzałych pszczoł. Chrząkam i podejmuję, tym razem bardziej donośnie:

– Oskarżeni weszli ponadto w posiadanie następujących tekstów, z których każdy znajduje się na *Librorum Prohibitorum*, zatwierdzonej przez monarchę liście ksiąg zakazanych: *Magister Sententiarum* Alberta Wielkiego, *Nowej księgi zaklęć powszechnych* Thomasa Cranmera, *Podręcznika rycerza reformistycznego* Desideriusa Erasmosa.

Na to już muszą zareagować. Jednym z największych koszmarów każdego czarnoksiężnika jest wizja mnie myszkującej po ich domach, odnajdującej różne rzeczy w miejscach, które uważali za znakomite skrytki. Niewielkie wnęki wewnątrz kominka. Schowek pod klatką z kurami. Wypchany słomą materac. Żaden czarownik niczego przede mną nie ukryje.

Ostatecznie dochodzę do wniosku, że wyliczanie dalszych przestępstw nie miałoby większego sensu, tym bardziej że przyłapałam ich na gorącym uczynku, w trakcie popełniania zbrodni znacznie cięższej. Nie jestem pewna, co począć. Nie mogę przez cały dzień stać i słuchać śpiewu tych starych durniów. Niestety, nie mogę też się na nich tak po prostu rzucić i ich posiekać. Naszym zadaniem jest chwycić żywcem. Pod żadnym pozorem nie wolno zabijać. Tak stanowi reguła Blackwella. Prawo, którego nikt z nas nie śmiałyby naruszyć. Mimo to moje palce zaciskają się mocniej na rękojeści miecza i aż mnie świerzbi, by zacząć nim wywijać. Wtem jednak zauważam coś innego: w różowej parze, bijącej znad kociołka, formuje się kształt.

Unosi się ku górze, falując i wijąc, jakby poruszany podmuchami nieistniejącego wiatru. Nie wiem, jaką istotę przywołują nekromanci – chociaż domyślałam się, że mam do czynienia z Pseudo-Demokrytem, właściwie Danielem Smithem, którego na moich oczach wykopali z grobu – lecz jest wybitnie obrzydliwa. Dziwaczna hybryda trupa i ducha, przejrzysta, ale wyraźnie gnijąca, pokryta omszałą skórą, demonstrująca obnażone organy wewnętrzne, wymachująca powyłamywanymi ze stawów kończynami. Wydaje z siebie osobliwe brzęczenie i po chwili dociera do mnie, że stwór oblepiony jest rojem much.

– Elizabeth...

Caleb odzywa się tak niespodziewanie, że aż podskakuję. Stoi już obok mnie, wyciąga przed siebie sztylet. On również wpatruje się w tę magiczną istotę.

– Jak myślisz? – pytam szeptem. – Czy to jest duch?

Kręci przecząco głową.

– Nie wydaje mi się. Jest zbyt... Sam nie wiem...

– Soczysty?

Caleb krzywi się z odrazą.

– Fu, wolałbym, żebyś powiedziała kleisty. Ale tak. Poza tym zwykłego ducha nie musiałyby wywoływać aż pięciu ludzi.

Podejrzewam, że to może być ghul. Może upiór. Trudno stwierdzić. Nie zdążył się jeszcze w pełni uformować.

Potakuję skinieniem głowy.

– Nie możemy pozwolić, żeby doprowadzili rytuał do końca – dodaje Caleb. – Bierz dwóch z lewej, ja zajmę się trójką po prawej.

– Nie ma mowy! To moje aresztowanie. Biorę wszystkich pięciu.

Tak się umawialiśmy. Jak chcesz, zajmij się kleistym stworem z garnka.

– Nie, nie dasz rady w pojedynkę. Nie przeciwko całej piątce.

– Trzy dodatkowe suwereny twierdzą, że dam radę.

– Elizabeth...

– Żadna Elizabeth, pod włos to kota...

– Elizabeth!

Caleb chwytam mnie za ramiona i odwraca. W pokoju zapadła cisza. Nekromanci wreszcie umilkli. Świdrują nas oczyma. Zamiast kości ściskają w dłoniach długie, zakrzywione sztylety, wszystkie skierowane w naszą stronę.

Wyrywam się Calebowi i ruszam na nich. Unoszę miecz wysoko.

– Co ty tu robisz, dziewczyno? – pyta jeden z magów.

– Przychodzę was aresztować.

– Pod jakim zarzutem?

Cmokam zniecierpliwiona. Jeżeli on myśli, że powtórzę wcześniejszą litanie, to spotka go gorzki zawód.

– Pod takim. – Ostrzem miecza wskazuję drgające nad kociołkiem widmo. – To coś wystarczy za wszystkie zarzuty.

– Co?! – powtarza inny nekromanta z mocno urażoną miną. – To

nie jest coś! To najprawdziwszy ghul!

– Widzisz? Mówiłem – szepce zza moich pleców Caleb.

Nie zwracam na niego uwagi.

– Ghul i zarazem ostatnia rzecz, jaką zobaczysz w życiu – dodaje czarownik.

– Raczysz żartować.

Sięgam po kajdanki. Opuszczam wzrok tylko na moment, kiedy odczepiam łańcuch od pasa. Wystarczyło. Sztylet jednego z nekromantów rozcina powietrze.

– Uważaj! – woła Caleb.

Za późno.

Rzucony nóż – do wtóru wstrętnego plaśnięcia – trafia mnie prosto w pierś, tuż powyżej serca.

## ROZDZIAŁ 2



Przekłęci!

Wyrywam ostrze ze swojego ciała i ciskam je na ziemię. W brzuchu czuję eksplozję gorąca, które rozchodzi się po mojej skórze przenikliwymi ciarkami. Rana goi się w mgnieniu oka. Krwi praktycznie nie było, nie czuję też bólu – w każdym razie nie był dotkliwy. Widząc to, piątka czarowników nieruchomieje. Na ich obliczach maluje się niemal komiczny wyraz zdumienia.

– Jak to zrobiłaś? – pyta szeptem jeden z nekromantów. – Kim ty jesteś? Czym?

Nie odpowiadam, lecz wcale nie muszę. Oni już wiedzą, są tak pewni, jak gdyby zobaczyli znamię wypalone na mojej skórze tuż powyżej pępka. Brązowe z czarną obwódką. Liczba XIII. Znamię, które mnie chroni i zarazem zdradza, kim jestem.

Zbrojnym sługą Trzynastej Tablicy. Łowczynią czarownic i czarowników.

Cofają się przede mną, jak gdyby należało się mnie bać.

I mają rację, mnie należy się bać.

Skaczę naprzód i wymierzam najbliższemu czarownikowi cios pięścią w żołądek. Zgina się wpół, a ja biję go łokciem w kark. Kiedy pada ciężko na ziemię, zwracam się ku następnemu. Staję mu całym swym ciężarem na stopę, przyciskam ją do ziemi, po czym drugą nogą kopię go w bok kolana. Wyje i osuwa się na klęczki. Chwytam go za rękę i skuwam je ciasno mosiężnymi kajdankami. Mosiądz jest metalem



niepodatnym na działanie magii, teraz już mi nie ucieknie.

Spoglądam na pozostałą trójkę. Cofają się z wolna, osłaniając się wyciągniętymi przed siebie rękoma. Kątem oka zauważam, że Caleb uważnie obserwuje moje poczynania z szerokim uśmiechem na twarzy.

Dobynam zza pasa kolejną parę kajdanek i ruszam na nekromantów. Z bliska dostrzegam, że to bardzo starzy ludzie. Siwe włosy, zryte zmarszczkami oblicza, wodniste oczy. Z pewnością mają już na karku po siedem krzyżyków. Najmarniej. Mam ochotę powiedzieć im, że lepiej by zrobili, gdyby chodzili do kościoła i przykładowie się modlili, zamiast wykopywać nieboszczyków i wywoływać duchy, ale jaki to miałoby sens? I tak by nie posłuchali.

Nigdy nie słuchają.

Łapię nadgarstki kolejnego nekromanty i zamykam je w kajdankach. Zanim jednak przechodzę do ostatniej dwójki, starcy odwracają się do mnie plecami, a jeden zaczyna szeptać pod nosem jakąś magiczną formułę.

– *Mutzak tamschich kadima...*

W izbie zapada śmiertelna cisza. Ogień w palenisku gaśnie, a kłęby różowego dymu znikają, zapadają się na powrót do kociołka, jakby nigdy ich nie było. Czarownik wciąż mamrocze, zapewne chce doprowadzić rytuał do końca. Wyrywam zza pasa sztylet i rzuca, próbując go powstrzymać. Za późno. Wciąż unoszący się w powietrzu stwór, jak dotąd ohydny, lecz nieszkodliwy, materializuje się na dobre i z głośnym stuknięciem opada tuż przede mną na ziemię.

Zza pleców dolatuje mnie przekleństwo Caleba.

Zanim mamy szansę choć drgnąć, ghul powala mnie na ziemię, zamyka moje gardło w lodowym uścisku przegniłych palców i zaczyna je stopniowo zaciskać.

– Elizabeth! – Caleb rzuca się naprzód, lecz drogę zastępuje mu dwójka nekromantów. Noże trzymają wysoko.

Biję rękoma w dłonie ghula. Szarpię go za przeguby, okładam pięściami i drapię potworne ramiona. Jednocześnie staram się złapać choć trochę powietrza, mimo że cuchnie ziemią, rozkładem i śmiercią. Nie udaje mi się przeszkodzić potworowi. Słyszę Caleba, który raz po raz wykrzykuje moje imię. Staram się odpowiedzieć, lecz z moich ust

dobywa się jedynie zdławiony szept. Szarpię się, wiję pod ghulem, by w jakikolwiek sposób zmusić go do rozluźnienia chwytu. Monstrum jednak okazuje się zbyt silne.

Zaczyna mi się mącić wzrok, w oczach tańczą czarne plamy. Po omacku uderzam otwartą dłoń w kamienną posadzkę, poszukując miecza, sztyletu, czegokolwiek. Znajduję tylko pustkę. Caleb nie może mi pomóc. Wciąż zmaga się z dwójką nekromantów, którzy na zmianę obrzucają go ciężkimi przedmiotami: wszędzie dokoła fruwać meble, dymiące polana i kości. Muszę sobie poradzić sama. I musi na to być jakiś sposób. Wiem, że jest. Jeżeli jednak nie wpadnę na niego już za moment, ghul po prostu mnie udusi. Nie uchroni mnie nawet znamię.

Nagle przychodzi mi do głowy pomysł.

Zbieram resztki powietrza, wydaję z siebie przekonujący – mam nadzieję – ostatni jęk i wiotczeję. Pozwalam bezwładnie rozchylić się wargom, przywołuję do oczu zubożone spojrzenie. Nie mam pojęcia, czy podstęp zadziała, mój przeciwnik jest martwy, a niewykluczone, że martwych nie da się zwieść. Ghul nie przestaje miażdżyć mej krtani, więc zaczynam podejrzewać, że popełniłam błąd i tylko potężnym wysiłkiem woli udaje mi się nie szarpnąć.

Wreszcie jednak stwór puszcza. W tej samej sekundzie, gdy rozwarł nieco palce, sięgam do zawieszzonego u pasa mieszka z solą, wyciągam garstkę i rzucam mu w twarz.

Pomieszczeniem wstrząsa nieziemski wrzask. Sól rozpuszcza ostatnie strzępy skóry ghula i wgryza się w jego czaszkę, oczy i mózg, zamieniając je w lepłą szarą masę. Ciepłe krople rozpuszczonego mięsa kapią mi na włosy i twarz; gałka oczna wypada z oczodołu i zawisa na nerwie tuż nade mną niczym oślizły kłębek włóczki. Powstrzymując odruch wymiotny, odtaczam się w bok, chwytam upuszczony miecz i natychmiast zadaję cios. Ostrze gładko przecina kark ghula. Upiór wydaje z siebie jeszcze jeden przeraźliwy krzyk i znika w wirze gorącego powietrza.

Słyszając harmider, nekromanci zamierają. Przedmioty, które kierowane ich mocą wirowały po całej izbie, w jednej chwili spadają na podłogę. Caleb nie waha się ani sekundy. Chwyta najbliższego czarnoksiężnika za włosy i uderza jego twarzą o swoje kolano. Zaraz

potem rzuca się na ostatniego. Cios pięścią w twarz jest tak mocny, że nekromanta zatacza się w tył i wpada na palenisko. Caleb rzuca się na kolana i czym prędzej zakuwa powalonych w kajdanki.

Wreszcie nieruchomieje. Klęczy zdyszany, z opuszczoną głową. Wilgotne od potu pasma blond włosów kleją mu się do czoła. Twarz ma zbryzganą kroplami krwi. Ja tymczasem wciąż leżę na podłodze. Dłonie i ubranie uwalane mam ziemią, zgnilizną i Bóg jedyny raczy wiedzieć, czym jeszcze. Po dłuższej chwili Caleb podnosi na mnie spojrzenie.

Oboje wybuchamy śmiechem.

\* \* \*

Caleb wychodzi na ulicę i gwizdnięciem przywołuje gwardzistów. Wpadają do domu, odziani w czarno-czerwone mundury, z wyszytym na piersi herbem króla i symbolizującą jego ród czerwoną różą, wyhaftowaną na ramieniu. Wyciągają czarnoksiężników na zewnątrz, jednego po drugim. Wsadzają ich do czekającego już więziennego wozu i przykuwają łańcuchami. Kiedy zabierają się do ostatniego, na ich twarzach pojawia się konsternacja. Jeden z żołnierzy zwraca się do Caleba:

– Ale ten tutaj nie żyje.

Nie żyje? To niemożliwe. Kiedy jednak przyglądam się nekromancie, w którego rzuciłam sztyletem, zauważam, że leży na plecach, wpatrzony pustym wzrokiem w sufit. Nóż, którym mierzyłam w udo, sterczy mu z podbrzusza.

Jasna cholera!

Rzucam na Caleba przerażone spojrzenie, lecz on na mnie nie patrzy.

– Owszem, nie żyje – tłumaczy spokojnie gwardziście. – Niefortunny wypadek, ale można powiedzieć, że mamy spore szczęście.

– Szczęście? – dziwi się zbrojny. – Jak to?

– Poszczęściło się nam, że zginął tylko jeden – wyjaśnia bez zająknięcia Caleb. – Kiedy się pojawiliśmy, właśnie próbowali popełnić zbiorowe samobójstwo. Podejrzewam, że łączył ich jakiś tajemny pakt. Sam wiesz, jacy są ci nekromanci. Mają obsesję na punkcie śmierci. – Wzrusza ramionami. – Niełatwo było ich powstrzymać. Rozejrzycie się

po tej izbie i spójrzcie na biedną Elizabeth. Ledwie dyszy.

Gwardziści odrywają oczy od Caleba i spoglądają na mnie, jakby dopiero teraz przypomnieli sobie o mojej obecności.

– Będę musiał o tym zejściu donieść lordowi Blackwellowi – odzywa się jeden ze zbrojnych. – Nie mogę odstawić martwego więźnia.

– Oczywiście, że nie – potakuje Caleb. – Prawdę mówiąc, właśnie wybierałem się do Ravenscourt. Może razem się tym zajmiemy?

Wyjdzie nam na dobre, mniej papierkowej roboty.

– Robota papierkowa? – Gwardziści niepewnie przestępują z nogi na nogę. – W sobotę?

– Naturalnie. Kiedy już złożymy raport osobiście, będziemy jeszcze musieli sporządzić go na piśmie. Ale spokojnie, to nie zajmie zbyt wiele czasu. Najwyżej dwie godzinki. Idziemy? – Caleb zapraszająco uchyla drzwi.

Żołnierze wymieniają się spojrzeniami, zaczynają między sobą szeptać.

– Może sprawa mogłaby poczekać. W końcu on już nie ucieknie...

– Ale co z ciałem? Przecież jeśli nie będzie się ruszać, ktoś się zorientuje.

Caleb odpowiada uśmiechem.

– Tym bym się akurat nie przejmował. Po zakwaterowaniu w lochu nikt się więźniami nie interesuje. I macie rację, nie ucieknie nam. Ostatecznie z Fleet się nie wychodzi. No, chyba że na stos.

Mężczyźni wybuchają gardłowym rechotem. Caleb im wtóruje, mnie jednak przeszywa nagły dreszcz. Wciskam dłonie do kieszeni płaszcza i zaciskam je w pięści.

Caleb wyprowadza gwardzistów na ulicę. Kiedy wsiadają na konie, rzuca im kilka ściszonych słów. Po chwili podają sobie ręce na pożegnanie i zbrojni odjeżdżają. Ciężkie drewniane koła więziennego wozu podrywają z ulicy wielkie grudy błota. We wciąż pustej alei słychać jedynie tętent końskich kopyt.

Caleb wraca do środka. Znów przybrał nieodgadzioną minę. Przez ramię ma przerzucony worek. Przyglądam się, gdy zaczyna porządkować wnętrze. Ustawia meble na miejsce, zbiera porzuconą broń, zatrzaskuje okiennice. Wiem, że jest na mnie wściekły za zabicie nekromanty. Na

pewno jest. Zachowałam się idiotycznie i nieostrożnie. Mimo że uprzedzałam, bym się pilnowała, popełniłam błąd. Co gorsza, nie znajduję dla siebie usprawiedliwienia, w każdym razie nie takie, które mogłoby go przekonać. Jestem pewna, iż już za moment zaczną się na mnie wydierać. I chociaż nie zdołam tego powstrzymać, może uda mi się przynajmniej złagodzić cios.

– Dobrze, przyznaję. Nie popisałam się dzisiaj – zwracam się do Caleba z uśmiechem. – Ale spójrz na to z innej strony. W tej sytuacji nie musisz mi płacić dwóch suwerenów. Zadowolę się jednym.

Z głośnym trzaskiem odstawia krzesło na podłogę i gromi mnie wzrokiem.

– Co się tu, do diaska, stało, co?!

– Nie wiem – przyznaję. – Wygląda na to, że popełniłam błąd.

– Przecież zwracałam ci uwagę. – Ściąga brwi.

– Przepraszam. Sama nie wiem, jak do tego doszło.

Spogląda mi głęboko w oczy, wpatruje się w nie, jakby poszukiwał lepszego wyjaśnienia. Wreszcie kręci głową.

– Rozumiesz, że to słaba wymówka. Jeżeli ktoś zacznie cię o dzisiejsze wydarzenia wypytywać, musisz powiedzieć dokładnie to samo, co ja gwardzistom.

– Wiem.

– To bardzo ważne – ciągnie Caleb. – Jeśli ktokolwiek się dowie, sprawa dotrze do Blackwella. To pewne jak dwa a dwa cztery. I wiesz, co się wtedy stanie.

Owszem. Blackwell wezwie mnie do swojej komnaty, zmierzy tymi chytrymi, przenikliwymi czarnymi oczyma i zażąda, bym opowiedziała o wszystkim. Nie tylko o tym aresztowaniu. Zechce dowiedzieć się o mnie wszystkiego. Co robiłam, z kim się spotykałam, gdzie bywałam. Zaczną mnie wypytywać, jak doszło do tego, że straciłam koncentrację. Wymęczy mnie przeciągającym się przesłuchaniem, aż się w końcu poddam i prawda wyjdzie na jaw.

A prawda nie może wyjść na jaw. Nikt nie może jej poznać. Nawet Caleb.

– Weź to. – Caleb sięga do worka i rzuca mi prostą brązową sukienkę, mój drugi mundur. Staje w wyjściu. – Przebierz się, tylko nie

marudź. Chciałbym już stąd zniknąć.

Kiwam głową, a on zamyka za sobą drzwi.

Kilka chwil później dołączam do niego na ulicy. Ponownie pokonujemy płataninę wąskich alejek, aż wreszcie wychodzimy na Strand – szeroką, wyłożoną brukiem arterię, wiodącą od Smithfield Square prosto do pałacu Ravenscourt.

Od celu dzieli nas jeszcze kilka przecznic, ale już teraz widzę tłum wypełniający przestrzeń rozpościerającą się od pałacowych bram po okoliczne alejki. Gęsta, zbita ciżba mężczyzn i kobiet. Wszyscy wznoszą głośne okrzyki, nawołują i śpiewają. Ostro krytykują monarchę, jego doradców, a nawet królową za prowadzenie nieugiętej polityki przeciwko magii.

– Jest coraz gorzej – zauważa Caleb.

Kiwam głową. Palenie skazańców na stosie nigdy nie spotykało się z życzliwymi reakcjami poddanych, lecz wcześniej nie wybuchały jawne protesty. Nie w takiej skali. Dawniej ludzie, którzy nie zgadzali się z decyzjami króla, potępiali je po cichu. Rozdawali na ulicach ulotki, szeptali nad kuflami piwa w gospodach. Nie do pomyslenia było, by całe miasto zebrało się przed wrotami pałacu, wymachując kijami, grożąc kamieniami i...

Wielkimi młotami?

– Co oni robią? – pytam zdumiona.

Na granicy pola widzenia dostrzegam grupkę mężczyzn, którzy unoszą potężne, ciężkie młoty. Stoją przed fragmentem bramy, na którym wisi dwanaście kamiennych płyt: Dwanaście Tablic Anglii. Dwanaście Tablic z wyrytymi panującymi w królestwie prawami. Każda z nich odpowiada jednemu z działów: prawu własności, prawu karnemu, prawu dziedziczenia i tak dalej. W przeszłości istniała jeszcze Trzynasta Tablica, lecz zaginęła wiele lat temu. Spisano na niej prawa zakazujące magicznych praktyk i określające, jakie kary grożą za ich uprawianie. To właśnie dzięki tym przepisom pojawili się łowcy czarownic i zapłonęły stosy, przeciwko czemu protestują dzisiaj mieszkańcy miasta. Bo, naturalnie, mimo iż tablica zniknęła, przepisy pozostały w mocy.

Co wcale nie powstrzymuje demonstrantów przed próbą zniszczenia pozostałych dwunastu tablic. Nie wiem, dlaczego to robią.

Przecież te prawa nie dotyczą czarów, a nawet gdyby dotyczyły, usunięcie tablic i tak niczego nie zmieni. Niemniej ci ludzie wciąż tłuką zawzięcie młotami, choć na kamiennych płytach nie widać nawet jednej rysy. Nic w tym zresztą dziwnego. Tablice są wielkie: każda ma prawie dwa metry wysokości i grube na około trzydzieści centymetrów. Lity kamień.

Caleb kręci głową.

– Zupełnie stracił kontrolę – mruczy pod nosem.

– Kto? – pytam.

– A jak myślisz? Król.

Otwieram szeroko oczy. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by Caleb powiedział cokolwiek przeciw monarsze.

– Jestem pewna, że robi wszystko, co w jego mocy.

Caleb cmoka z powątpiewaniem.

– Niełatwo gasić protesty i tłumić powstania, jeśli większość czasu spędza się na łowach, przy hazardowym stole lub w towarzystwie licznych dam.

Zapiera mi dech w piersiach. Na moje policzki wypływa głęboki rumieniec.

– To zdrada.

– Może i zdrada – wzrusza ramionami – ale sama wiesz, że mam rację.

Nie odpowiadam.

– Musimy się go pozbyć – dodaje Caleb. – Tylko w ten sposób można położyć kres rebelii.

– Ale kogo? – Nie potrafię się skoncentrować, rozprasza mnie łoskot bijących w kamień młotów.

Caleb znów cmoka.

– Jak to kogo? Nicholasa Perevila.

Nicholas Perevil. Czarnoksiężnik, naczelny przywódca reformistów. Od lat przebywa w ukryciu, a mimo to zdołał nastawić pół kraju przeciwko prawowitemu władcy. Sprawił, że ludzie zaczęli kwestionować prawa wprowadzone z myślą o ich własnym bezpieczeństwie. To przez niego wszyscy zapomnieli, z jakiego powodu zakazano uprawiania magii.

– Być może – odpowiadam. – Trudno jednak schwytać osobę tak nieuchwytną.

Blackwell poszukuje Nicholasa Perevila już od dawna, lecz wszystkie jego usiłowania niezmiennie spełzają na niczym.

Caleb rzuca mi ponury uśmiech.

– W takim razie powinniśmy się bardziej przyłożyć. – Zerka na swoją szorstką wełnianą bluzę i krzywi się z niesmakiem. – Nie po to przeszedłem dwuletnie szkolenie, by nosić się teraz jak giermek bez grosza przy duszy. Wiem, że i ty nie jesteś zachwycona strojem. – Wskazuje na moją sukienkę. – To również wina Nicholasa Perevila.

Oczywiście ma rację. Od wybuchu niepokojów łowcy czarownic stali się ulubionym celem napaści reformistów. Dlatego właśnie Blackwell zabronił nam nosić mundury, przykazał ukrywać własną tożsamość i polecił zamieszkać w Ravenscourt, byśmy zniknęli w tłumie dworzan. To z tego powodu straciłam dzisiaj koncentrację, dlatego popełniłam błąd. Bo gdybym nie trafiła do Ravenscourt...

Moje ukryte w kieszeniach dłonie ponownie zaciskają się w pięści.

Zostawiamy Strand za sobą i skręcamy w Kingshead Alley, ciemną i wilgotną uliczkę, wzdłuż której tłoczą się maciupkie sklepiki. Wszystkie witryny zasłonięte są okiennicami, wejścia zaryglowano na cztery spusty. Na drugim końcu alejki widać mocno sfatygowane drewniane drzwi. Nad nimi wisi zielony szyld, na którym dominuje wymalowany złotą farbą napis „Na krańcu świata”. Caleb otwiera je pchnięciem ramienia i wchodzimy.

Wewnątrz jest aż gęsto. Piraci i złodzieje, pijacy i włóczędzy, towarzystwo spod najciemniejszej z gwiazd. Większość już mocno podchmielona, mimo że dopiero co minęło południe. W kącie grupka hałaśliwych gości rżnie w karty, pod ścianą kilku mężczyzn okłada się pięściami. Gdzieś pośrodku tego wszystkiego trójka muzyków nadaremnie stara się zagłuszyć ogólny gwar i gromkie okrzyki gapiów wybuchające za każdym razem, gdy czyjaś pięść trafia w czyjaś szczękę.

Wypatrujemy Joego, starego siwowłosego właściciela przybytku. Stoi za kontuarem i rozlewa piwo. Ruszamy prosto do niego. Gdy tylko podchodzimy, stawia przed nami szklanki z pianistym trunkiem i przygląda się, gdy ostrożnie maczamy usta.



– I jak? – Karczmarz splata ramiona na piersi.

Caleb prychnął, wypłukując piwo na bar.

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Trącam Caleba łokciem w bok. –  
Bardzo dobre piwo.

Joe uważa się za wytrawnego smakosza alkoholi. Co kilka dni warzy inną odmianę piwa, którą testuje na klienteli. Z różnym skutkiem. W zeszłym tygodniu zaserwował swoją najbardziej jak dotąd paskudną miksturę – piwo z dodatkiem wywaru z pieczonego prosięcia. „Po co jeść, kiedy można to samo wypić?” – zauważył. W dzisiejszym piwie wyczuwam delikatną nutę rozmarynu. I jeszcze innego zioła, którego nie udaje mi się rozpoznać.

– Co tu jest? – pytam. – Lukrecja?

Joe parska pod nosem.

– Niezupełnie. Mam nadzieję, że nie macie dziś zbyt wiele roboty.

– Jak zwykle – odpowiada Caleb. – Sam wiesz.

– Nie wiem. – Joe macha ręką. – I wcale nie chcę wiedzieć. Moja polityka jest taka, żeby nie wiedzieć, co knują klienci. Zwłaszcza że zazwyczaj nie planują niczego dobrego.

– A, to akurat nie ja. – Caleb szczerzy się w uśmiechu. – Ja jestem niewinny jak pierwszoklasista. Możesz spytać Elizabeth.

– Gdybyś był takim niewiniątkiem, nie siedziałbyś w mojej knajpie – burczy karczmarz.

Ma rację, ale Caleb i ja zaglądamy tu od bardzo dawna. Wystarczy powiedzieć, że byliśmy wówczas stanowczo zbyt młodzi, by pić w szemranych knajpach. Przechodziliśmy akurat w pobliżu i Caleb zaczął się naśmiewać, że nie wystarczy mi odwagi, by wejść do środka i zamówić kufel piwa. Wystarczyło. Od tamtej pory odwiedzamy Joego tydzień w tydzień.

Zauważamy Marcusa i Linusa. Siedzą przy naszym ulubionym stoliku pod tylną ścianą. Podchodzimy do nich. Caleb odsuwa krzesło, a ja rumienię się zadowolona, przekonana, że zrobił to z myślą o mnie. Uprzedza mnie jednak i sam zajmuje miejsce. Stoję więc przez chwilę, czując się jak idiotka. Ostatecznie wybieram inne krzesło i siadam obok.

– Co ci się stało? – Marcus celuje we mnie kuflem.

– O czym ty mówisz?

– Wyglądasz jak nieboszczyk – stwierdza i marszczy nos. – Podobnie też pachniesz. Aresztowałaś tych nekromantów przed czy po tym, jak wykopali cię z grobu? – Wybuchają śmiechem, rozbawiony własnym kiepskim dowcipem. Wtórzy mu Linus.

– Gdybyś mniej skupiał się na wyglądzie, a bardziej na chwytaniu czarowników, byłbyś może w połowie tak skuteczny jak ja – syczę.

Caleb rechoce, a Marcus obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem i mamrocze półgłosem paskudne przekleństwo. Ignoruję go. Kiedy się jednak odwraca, pospiesznie poprawiam fryzurę i zakładam kosmyki za uszy. Krzywię się z odrazy, gdy spomiędzy włosów wypada mi na kolana zakrwawiony kawałek ciała.

– Była dzisiaj fenomenalna. Najlepsze aresztowanie w karierze. – Caleb podnosi kufel w geście toastu, lecz chłopaki nie dołączają.

Oczywiście, że nie. Linus nie odzywa się do mnie od kilku miesięcy, od pewnego letniego dnia, kiedy w zacisznym zakątku pałacowych ogrodów próbował mnie pocałować i zdzieliłam go pięścią w twarz. A Marcus... Cóż, Marcus nigdy za mną nie przepadał. Wysoki, czarnowłosy i prymitywny. Był najlepszym – nie licząc Caleba – łowcą w służbie lorda Blackwella, ale potem ja się pojawiłam. Nie może znieść myśli, że osoba mojego pokroju – niska blondwłosa dziewczyna – okazała się bardziej skuteczna od niego.

Z drugiej strony, chyba Caleb nie zdaje sobie sprawy, że im bardziej mnie wychwala, tym silniej nienawidzą mnie pozostali. Poza tym akurat moim dzisiejszym wyczynem naprawdę nie należy się chwalić. Dochodzę do wniosku, że wrócę do baru i pogadam z Joem, ale powstrzymują mnie słowa Linusa.

– Rozmawialiśmy właśnie o bożonarodzeniowym balu maskowym – zwraca się do Caleba. – Wiesz już, kogo zabierzesz?

Caleb uśmiecha się i pociąga łyk piwa.

– Być może...

Być może? Mój żołądek zamienia się w ciasno zasupłany węzeł nadziei.

Marcus zaczyna się śmiać.

– Myślę, że masz pecha. Słyszałem że wszystkie najlepsze sztuki są już zajęte – oznajmia i spogląda na mnie. – A ty, Elizabeth, z kim

idziesz?

Nie odpowiadam, wyręczają mnie gorące rumieńce.

– Jak mówię – dodaje Marcus i przez twarz przemyka mu wredny uśmiezek – wszystkie najlepsze są zajęte.

– Ja wiem, kogo wybrał Caleb. – Linus się śmieje.

– Cecily Rotherhithe? – domyśla się Marcus.

– Katherine Willoughby – prostuje Linus. – Widziałem ich razem w zeszły weekend.

– E, to tylko przyjaciółka. – Caleb się uśmiecha.

Przyjaciółka? – powtarzam w myślach. Od kiedy? Katherine jest córką hrabiego, matka Cecily jest księżną. Obie są damami dworu królowej Margaret, obie są okropnymi snobkami i obie są okropnie piękne. Zwłaszcza Katherine. Wysoka wyrafinowana brunetka. Dziewczyna, która zamiast spodni nosi suknie, zamiast broni obwiesza się biżuterią i nie pachnie zgnilizną, tylko różami.

– Nie wyglądaliście jak przyjaciele – rzuca Linus. – Chyba że macz w zwyczaju całować się ze wszystkimi przyjaciółmi – dodaje z kpiącym uśmiechem.

Doskonale rozumiem, że ta złośliwość wymierzona była we mnie. Kiedy latem zdzieliłam go w twarz, wypomnił mi, że na pewno interesuję się Calebem. Zaprzeczyłam, ale nie sądzę, by uwierzył.

– Cóż... – Caleb w zakłopotaniu drapie się po karku. Wstrząśnięta, zauważam, że wstyd zaróżowił mu uszy. Jeszcze nigdy nie widziałam, by się czerwienił. – Wygląda na to, że moja tajemnica wyszła na jaw.

Coś we mnie więdnie.

Marcus i Linus ze śmiechem drażnią się z Calebem. Przestaję zwracać na nich uwagę. Caleb i Katherine Willoughby? Jak to możliwe? Wiem, że Caleb jest ambitny, zawsze taki był. Wiecznie chce od życia więcej, coraz więcej. Ale zawsze też pogardzał ludźmi w rodzaju Katherine. Nie cierpiał osób, które wszystko dostały na tacy, które nie musiały walczyć o swoje jak on.

Najwyraźniej zmienił poglądy.

Zamyśliłam się głęboko, przez co nie zauważyłam nawet, że chłopcy wstali. Podnoszę spojrzenie dopiero, gdy pada na mnie cień Caleba.

– Wracamy do pałacu – mówi. – Wybieramy się do komnat królowej. Potem planowany jest bal. Pewnie nie chcesz pójść?

– Nie. – Zdecydowanie nie zamierzam spędzać popołudnia, patrząc, jak Caleb obtańcowuje Katherine Willoughby. Przecież on nawet nie lubi tańczyć.

– A co chcesz robić?

– Tutaj posiedzę. – Wzruszam ramionami. – Posłucham muzyki. Napiję się piwa.

– Piwa? – Zdumiony Caleb wysoko unosi brwi. – Przecież to pomyje.

– Mnie smakuje. – Oczywiście ma rację. Piwo jest wstrętne. Ciężkie, zwietrzałe i ma dziwny metaliczny posmak. Przy każdym łyku pali mnie gardło. Niemniej i tak jest lepsze od tego, co dzieje się właśnie w moim wzburzonym brzuchu i od koszmarnego pieczenia pod powiekami. Zawsze tak się czuję, gdy zbiera mi się na płacz.

– No dobra. – Caleb ściąga czoło. – Ale nie przesadz. Jest dość mocne i...

– Nic mi nie będzie. – Zbywam go machnięciem ręki. – Naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

– Bez przerwy się o ciebie martwię – stwierdza, ale zaraz potem odchodzi.

Pociągam spory łyk obrzydliwego piwa i odprowadzam go wzrokiem. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęłabym być taką dziewczyną, która nakłoniłaby go, żeby został.

## ROZDZIAŁ 3



Trio muzyków zniknęło i zastąpiło ich dwóch zonglerów. Są naprawdę dobrzy. Zaczynają od ekwilibrystycznego przerzucania się niewielkimi dyniami, po czym przechodzą do bardziej niebezpiecznych rekwizytów: szklanych kieliszków, noży, wreszcie zabierają się za pupilka Joego, kocura Archiego, który wyje równie głośno jak widzowie. Następnie występuje jakaś tłusta kobieta śpiewająca sprośne piosenki o miłości. Po niej przychodzi kolej na nerwowego młodego poetę o pryszczatej twarzy i łamiącym się co dwa wersy głosem.

Wstaję od stołu i zajmuję miejsce w pluszowym fotelu przy kominku. Zamawiam coś do jedzenia. Chleb, ser i kolejną porcję tego dziwnego zielonego piwa. Pieczenie w gardle ustąpiło i wynalazek Joego zaczyna mi smakować. Reszta gości lokalu jest najwyraźniej podobnego zdania. Piją całymi wiadrami. Zachowują się głośniejszy i bardziej porywczo niż zazwyczaj.

Stan bywalców okazuje się zaraźliwy. Kiedy pryszczaty poeta kończy deklamować, rzucam w niego skórkami od chleba i rechocę tak samo donośnie jak piraci z sąsiednich ław. Tracę poczucie czasu. W pewnym momencie siedzący przy barze mężczyzna zrywa się na równe nogi – przewracając przy tym swój stółek – i zaczynają nim targać gwałtowne mdłości. Puszczają się pędem w kierunku drzwi, a kiedy je otwiera, okazuje się, że na zewnątrz panuje już czarna noc.

Rany, naprawdę przesiedziałam tutaj cały dzień? Wydawało mi się, że minęły najwyżej dwie godziny. Zdaje się, że powinnam wracać do

pałacu, tyle że nic tam na mnie nie czeka. W każdym razie nic dobrego. Znacznie lepiej będzie zamówić kolejne piwo. Wstaję żwawo z fotela.

Co okazuje się poważnym błędem. Cały świat zaczyna wirować, i to bardzo szybko. Wyciągam rękę, by o coś się oprzeć, ale gdy przystawiam dłoń do ściany, ona znika. Nie, nie ściana. Moja dłoń. Zanurza się w kamieniu aż po nadgarstek.

Jakież to fascynujące!

Wyciągam dłoń ze ściany, po czym wciskam ją raz jeszcze. Wsuwam i wysuwam. Raz po raz, aż wreszcie dolatuje mnie czyjś głos.  
– Coś nie tak z rączką, kotku?

Obracam się na pięcie. Głos należy do siedzącego kawałek dalej mężczyzny. Twarz nieznanego niknie za zasłoną dymu.

– Tak. Znaczący nie. Raczej nie. Tyle że... Ręce najczęściej nie giną...eee... w ścianach, prawda? – Mimo kłębiącej się w mojej głowie mgły rozumiem, że nie mówię z największym sensem. Zanoszę się śmiechem.

Dym się rozwiewa, ukazując twarz mojego rozmówcy: kędzierzawe czarne włosy, czarne oczy, starannie przystrzyżona czarna broda. W jego ustach kołysze się długa, wygięta fajka. Drewniany cybuch i biała główka wyrzeźbiona na kształt psiego łba. Kiedy mówi, nie wyjmuje jej z ust.

– Chyba jesteś trochę zbyt młoda, żeby to pić, co?

Śmieję się jeszcze głośniejsze. Jestem samodzielna już od tak dawna, że nie mieści mi się w głowie, by ktokolwiek mógł krytykować moje zachowanie. Zwłaszcza pirat. A jestem pewna, że to pirat. Poznają po fajce. Tego rodzaju fajki mają wyłącznie bogacze albo ludzie, którzy zwiedzili szmat świata, na przykład piraci. Pozostali zadowolają się zwykłymi i prostymi, żadnych psich łbów czy martwego drobiu. A bogacze nie przesiadują przecież w gospodach takich jak ta. Zostaje więc tylko jedna możliwość: pirat.

Wlepiam wzrok w kołyszącą się główkę i wzdrygam się, gdy fajka niespodziewanie przeobraża się w wielkiego czarnego węża. Gad wysuwa się z ust nieznanego i wiję wokół jego szyi. Pirat zupełnie nie zwraca uwagi na wspinającego się na jego głowę intruza i mówi spokojnie:

– Tego nie pozwoliłbym pić nawet swojemu synowi, a jest od ciebie starszy. Ileż ty możesz mieć lat, czternaście?

– Szesnaście. Uwaga!

Wyciągam dłoń i klepię pirata prosto w usta, strącając węża na ziemię. Spada z głuchym stukotem na podłogę i zmienia się w tęczę.

– Śliczna! – Wymachuję rękoma, próbując chwycić wstęgi światła, układające się przede mną w spiralę. – Słuchaj! Słyszysz to? Ta tęcza umie śpiewać! – Otwieram usta i dołączam do tęczy. – Greensleeves, la, la, la, kto, jeśli nie moja lady Greensleeves...

– Na krew Boga! Ładnie się urządziłaś... – mruczy pirat.

Wytrząsa do kominka zawartość fajki, którą wsuwa do kieszeni płaszcza. Bierze mnie za ramię i prowadzi do drzwi.

I tym mnie ubódl. Naprawdę nie powinien mnie dotykać. To w końcu pirat, a ja jestem młodą dziewczyną, no i w ogóle. Poza tym zdecydowanie nie mogę pozwalać, by obcy mężczyźni wyprowadzali mnie z gospody Bóg wie dokąd. Niestety, nie potrafię przestać śpiewać wystarczająco długo, by zdążyć mu o tym powiedzieć.

– Nie sądzisz, że powietrze dobrze ci zrobi? – pyta.

– Tutaj też mają powietrze. Przecież widzę! Różowe jest!

Wiedziałaś, że powietrze jest różowe? – trajkocę jak najęta, spoglądając na pirata, który wychodzi ze mną na wyludnioną alejkę. Rany, wysoki jest. – Jak się nazywasz?

– Peter. – Odwraca ode mnie spojrzenie. – George, jesteś. Dzięki, że zjawileś się tak prędko. No i? Co myślisz?

– Bardzo mi miło cię poznać, Peterze George'u. Ja nazywam się Elizabeth Grey. Widzisz te gwiazdy, Peterze George'u? Układają się na niebie na kształt twojego imienia. Patrz... P... E.... T... – Wskazuję palcem tańczące mi przed oczyma rozmigotane światełka. Są tak blisko, że właściwie mogłabym ich dotknąć.

– Zgadza się, to ona – rozlega się cichy głos tuż przy moim uchu.

Podskakuję i wydaję stłumiony okrzyk. Obok stoi jakiś chłopak. Skąd on się wziął? Mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów.

Odwdzięczam mu się tym samym. Ciemnokasztanowe włosy, piwne oczy. Porządnie ubrany. Zielony płaszcz, niebieskie spodnie, wysokie czarne buty. Zaraz... Czy na jego ramieniu rzeczywiście siedzi ptak?

Z jakiegoś powodu wydaje mi się znajomy, nie mam jednak pojęcia dlaczego. Unoszę dłoń i trącam palcem ptaka, który reaguje na mój dotyk donośnym, pełnym oburzenia skrzykiem. Parskam śmiechem.

– Pijana? – pyta chłopak.

– Jak bela. A nawet jak dwie bele – odpowiada Peter George. – Absynt. Ten cholernik Joe dodał do piwa absyntu i nie uznał za stosowne jej o tym powiedzieć. A przecież dziewczyna jest zdecydowanie za młoda, żeby brać się akurat za absynt. Ale, ale. Jesteś pewny?

Absynt! Dlatego piwo było zielone! Widywałam już dworzan, którzy opijali się absyntem, a potem zachowywali... dość ekscentrycznie. Całe szczęście, że mam mocną głowę.

– Tak – potwierdza chłopak. – Wydaje się trochę wymizerowana, ale to na pewno ona. Myślisz, że jest w stanie porozmawiać?

– Pewnie, że jestem w stanie – wtrącam pospiesznie. – Słyszysz? Właśnie rozmawiamy. Och, jak ja uwielbiam rozmawiać. – To akurat nie do końca prawda. Rozmawiać lubię wyłącznie wtedy, kiedy jestem pijana. Bo gadam jak najęta, tak mówi Joe. Znaczy, że dużo.

Peter George wymienia się ze znajomkiem spojrzeniami.

– Dobra. Zabierzmy ją w bardziej ustronne miejsce. Sprawdźmy, co da się z niej wyciągnąć.

Chłopak bierze mnie pod rękę i prowadzi przez Kingshead Alley, a potem wąskimi uliczkami w kierunku rzeki. Dociera do mnie, że wybrali dłuższą trasę, omijającą Smithfield Square.

– Pomożemy ci wrócić do pałacu, a po drodze chwilę sobie pogawędzimy – odzywa się chłopak. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Wiatraczki! – rzucam, potykając się na kamieniu.

– Gdzie? – Ratuje mnie przed upadkiem. – Nie widzę, ale wierzę ci na słowo.

– Oj, w twoich oczach, no... Kręcą się jak wiatraczki.

Przepraszam, nie dosłyszałam twojego imienia.

– George.

– Ha, to ci dopiero! Zabawne! Ten drugi też jest George. Na nazwisko. Peter George... Au! – Nogi zaplątują mi się w poły płaszcza i padam na ziemię jak długa.



– Nie. On nazywa się inaczej. To ja jestem George. Poczekaj, pomogę ci. Hm, a co to za zapaszek? W coś ty wpadła?

Kręci głową i pomaga mi się dźwignąć. Dociera do mnie, że jesteśmy tego samego wzrostu.

– Straszny konus z ciebie – komentuję.

– Konus? Ja? Chyba ty! Nie przyszło ci do głowy, że to ty jesteś niska?

Przez moment rozważam jego argument.

– Dobry Boże! Ty masz rację! Musisz być bardzo mądry.

George wybucha śmiechem.

– Aż szkoda, że nie każdego daje się tak łatwo przekonać.

Peter Inaczej podchodzi bliżej, chwyta mnie mocno za ramiona i zmusza do spojrzenia sobie w oczy.

– George twierdzi, że mieszkasz w pałacu... – rzuca.

Kiwam na potwierdzenie.

– Czym dokładnie się tam zajmujesz?

– Jestem służką. – Kłamstwo wypływa mi z ust bez większego trudu. Kiedyś byłam służką. Wciąż sypiam w kwaterach służby. Niekiedy nawet żałuję, że już służką nie jestem.

– Służką? – W jego oczach maluje się zaskoczenie. – Jaką? Pokojową? Łazienką?

– Pomagam w kuchni.

– Od jak dawna tam pracujesz? – Nie udaje mu się ukryć rozczarowania.

– Zaczęłam, jak miałam dziewięć lat.

– Dziewięć? – ściąga brwi. – Gdzie twoi rodzice?

– Nie żyją.

– Rozumiem. – Spojrzenie Petera Inaczej łagodnieje. – I przez ten cały czas pracujesz jako dziewczka kuchenna?

Znów potakuję skinieniem.

– Potrafię ukręcić łeb kurczakowi. Umiem go też upiec. Kaczki też. Pawie... W ogóle nieźle radzę sobie z drobiem. A i jeszcze gotuję świetny gulasz. Piekę znośny chleb i umiem ubić masło. A moja podłoga jest taka czysta, że mógłbyś z niej jeść. – Krzywię się lekko. Strasznie głupio to wszystko brzmi. Ale cóż, rozkaz to rozkaz.

– No dobrze. – Peter Inaczej macha ręką. – A poza tym, czy jesteś w jakikolwiek sposób, jak by to... inna od pozostałych służek? Niezwykła?

Mniej więcej pod setką względów. No, może nie aż setką. Może tylko pod jednym względem.

– Nie, proszę pana. Naprawdę jestem zupełnie zwyczajna.

– Veda musiała mieć na myśli kogoś innego – mówi Peter. – Nie wierzę, żeby to ją kazała nam odnaleźć. Przez chwilę myślałem, że może... Gdyby na przykład pracowała dla królowej. Ale ta dziewczyna nie jest... Ona nam nie pomoże. To prosta panienka... George?

George nie słucha. Wpatruje się we mnie z niecodziennym zainteresowaniem.

– Może i racja. – Przenosi wzrok na kolegę. – Zaprowadźmy ją do pałacu. Już późno i zaczną jej szukać. Nie trzeba jej większych kłopotów.

Ruszamy w stronę siedziby króla. Wybieramy żwirową ścieżkę nad rzeką, żeby uniknąć zatłoczonych ulic. Spacer nie należy do najłatwiejszych. Co chwila się przewracam, a George i Peter na zmianę stawiają mnie na równe nogi i pomagają otrzepać płaszcz. Wreszcie stajemy przed schodami, które wiodą prosto do pałacowej bramy.

– Jesteśmy na miejscu – stwierdza Peter. – Gotów, George?

– Jak zwykle. – George uśmiecha się do mnie szeroko.

Już mam mu odpowiedzieć równie sympatycznie, gdy zauważam, że jego zęby przeobrażają się w długie czarne kły. Z całych sił zaciskam powieki.

– Elizabeth? – Otwieram oczy i widzę twarz Petera. Kilka centymetrów od mojej. – George się tobą zaopiekuje. Dopilnuje, żebyś bezpiecznie wróciła do domu. Ale, tak na przyszłość, postaraj się jednak trzymać z dala od absyntu. Dobrze?

Kiwam głową. Strasznie miły gość jak na pirata. Szkoda tylko, że twarz mu się rozpuszcza.

– Dobrze, Peterze. – Przymykam oczy. – Obiecuję.

– Nie mam na nazwisko Inaczej, skarbie. Wiesz... No dobra, George. Do zobaczenia. – Odwraca się i rozplywa w mroku.

George pomaga mi wspiąć się na schody, pod ciężką żelazną bramę

pałacowych ogrodów. Otwiera nam strażnik i wchodzimy.  
– I proszę, jesteśmy do domu – oświadcza George.

## ROZDZIAŁ 4



My? – Czuję się kompletnie zbita z pantałyku.

– Tak. – George się śmieje. – Ja też tutaj mieszkam. Nadal mnie nie poznajesz, prawda? Jestem nowym błaznem króla Malcolma.

Od początku wiedziałam, że skądś go znam.

– Nie wyglądasz na trefnisią – zauważam.

– Taką mam nadzieję. Moje błazeństwo to zawód, nie wygląd. Co do reputacji... Cóż, różnie z tym bywa. – Uśmiecha się.

– Za młody jesteś na błazna – nie rezygnuję, starając się utrzymać w pionie.

– Bynajmniej. – Przytrzymuje mnie za ramiona. – Mam osiemnaście lat, a to przecież wiek największej błazenady. Niesie ze sobą męskie troski, z których nie można już wykpić się chłopięcymi wymówkami. – Prowadzi mnie ścieżyną wijącą się wzdłuż skraju ogrodu. – Trzeba cię odstawić do pokoju, zanim ktoś zobaczy, w jakim jesteś stanie. – Rozgląda się. – Nie wiem tylko, którądy...

– E, ja wiem! – Uwalniam się i łapię go za rękaw. – Chodź za mną!

Sprowadzam go z dróżki, dalej idziemy przez trawnik, w stronę porośniętego bluszczem muru. Po drodze roztrącam dłonią grube liście.

– Wiesz, co jest w tym pałacu najciekawsze? – pytam. – Gargulce. Wiele jest ukrytych, ale kiedy się już jakiegoś znajdzie, w pobliżu zawsze można natrafić na coś interesującego. Widzisz?

Przystaję i wskazuję mu niewielką kamienną paszczę, niemal całkowicie ukrytą wśród pnączy. Wsuwam dłoń głębiej i szukam klamki.

Wiem, że tam jest. Mam. Naciskam.

– Panowie przodem – mówię i odsuwam na bok zasłonę bluszczu. Naszym oczom ukazują się niezbyt wysokie drzwi.

George znów to robi: wpatruje się we mnie z tym osobliwym wyrazem twarzy. Lekko unosi ciemne brwi, na jego wargach płąsa nieznaczny uśmieшек.

– No, co?

– Nic. Chociaż... Zabawna z ciebie dziewczyna.

– Przesadzasz.

– Nie przesadzam. Skąd niby zwykła dziewczka kuchenna miałaby wiedzieć, gdzie szukać tajnych przejść?

Cmokam z niezadowoleniem.

– Żadna sztuka.

– Co ty nie powiesz?

– No.

George kręci głową, po czym wskazuje mi drogę.

– Mimo wszystko panie przodem.

Przeciskam się przez ciasne odrzwia. George trzyma się tuż za mną. Przed zamknięciem wychylam się na zewnątrz i poprawiam pnącza. W środku robi się zupełnie ciemno.

– Znajdziesz tu schody. Kiedy wejdiesz na górę, staniesz przed drzwiami do wielkiego holu. Otwierają się za ogromnym gobelinem, wiesz, za tym z sowami i nietoperzami, które rzucają się z pazurami na leżącego na stole czarnoksiężnika. – Król Malcolm uwielbia dzieła sztuki, przedstawiające brutalne sceny. Osobiście nie cierpię tych krwawych obrazów.

– Tak, kojarzę. – Kiwa głową George. – Ale co z tobą?

– Ja idę tam. – Wskazuję kciukiem za plecy, choć jest ciemno i on tego raczej nie może zobaczyć. – W drugą stronę. Ten korytarz prowadzi do kuchni. Kwatery służby są zaraz za nią.

Przez chwilę czekam w milczeniu. Mam nadzieję, że George sobie pójdzie. Jednak nie odchodzi. Mimo że go nie widzę, wyraźnie czuję, że mi się przygląda. Wciąż nie mam pojęcia, czego właściwie ode mnie chce.

– No, to będę już lecieć – dodaję.

Nadal ani drgnie.

– Wolałbym cię odprowadzić, tak dla świętego spokoju.

– Nie potrzebuję przewodnika. – Splatam ramiona na piersi.

– Wcale tego nie twierdzą – odpowiada spokojnie George. –

Chciałem być po prostu miły. Mam wrażenie, że przyda ci się przyjaciel.

– Skąd ten wniosek?

– Sam nie wiem. Przesiadujesz sama w obskurnej gospodzie.

W samotności opijasz się absyntem. A potem wracasz do domu w towarzystwie pirata i błazna...

– I to wszystko niby twoje sprawy, panie Wścibski?

– Na nazwisko mam Cavendish. Ale daj spokój. Chyba możemy się zaprzyjaźnić? Jestem tu nowy. Przyda mi się osoba, która pokaże co i jak...

– Wiesz co? Naprawdę tylko błazen może oczekiwać, że dziewczyna kuchenna pokaże mu co i jak – mamroczę pod nosem.

Rany, naprawdę bardzo bym chciała, żeby już zniknął mi z oczu. Mam ochotę po prostu zamknąć się u siebie i położyć do łóżka.

Zapomnieć, że ten dzień w ogóle się zdarzył. W mroku absynt traci swoją moc i powoli wracają do mnie niedawne wydarzenia.

Przypadkowe zabójstwo nekromanty, pocałunek Caleba i Katherine Willoughby, fakt, że pójdą razem na bal, a ja zostanę sama w pokoju...

Nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

– Skoro jesteś błaznem króla Malcolma, to musiałeś słyszeć o bożonarodzeniowym balu?

– Tak, obito mi się o uszy.

– Więc, o ile naprawdę chcesz się dowiedzieć co i jak, powinieneś zacząć właśnie tam. A skoro zostaliśmy przyjaciółmi, może wybierzemy się razem?

Co prawda, nie widzę jego miny, ale dolatuje mnie zakłopotane chrząknięcie.

– Razem?

– Tak.

– Na bal?

– Tak.

Cisza. Już po raz drugi dzisiaj czuję, że robię się cała czerwona.

– No co? – rzucam poirytowana. – Że niby wielki pan błazen nie będzie się pospolitował z szeregową służką, tak?

– Nie, nie. Tylko... Nie miałem pojęcia, że służącym wolno bywać na balach.

Jasna cholera. Naturalnie ma rację. Służącym nie wolno, ale mnie wolno. Jestem przecież łowczynią czarownic. Na balu kostiumowym to bez znaczenia, gdyż i tak miałabym na twarzy maskę i nikt nie byłby w stanie mnie rozpoznać. W zasadzie każdy mógłby się tam pojawić bezkarnie.

– No bo... No bo... Normalnie nam nie wolno. Rzecz w tym, że akurat dziś rano ktoś mnie już zaprosił. Ktoś, kto może tam pójść – kłamię – ale odpowiedziałam mu, że muszę się jeszcze zastanowić.

– Ach, na wypadek gdyby pojawiła się bardziej atrakcyjna oferta, tak? – George cmoka wargami. – Widzę, że prawdziwa pożeraczka serc z ciebie.

Ignoruję przytyk.

– No więc? Chcesz mnie zaprosić czy nie?

Kolejne chrząknięcie.

– Wiesz, serio, jesteś naprawdę bardzo ładna. Szczerze. Gdybym miał zamiar się na tym balu pojawić, na pewno twoją propozycję rozważyłbym poważnie.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że oznacza to odtrącenie.

– Wystarczyło powiedzieć po prostu „nie” – mamroczę pod nosem.

– Akurat w moim „nie” nic nie jest po prostu – odpowiada George.

– Nie mam nastroju na szarady – syczę. Kurczę, po co piłam ten absynt? Z drugiej strony, gdybym zamówiła kilka kolejek więcej, padłabym gdzieś bez zmysłów i nie musiałabym prowadzić tej idiotycznej rozmowy. W dodatku z błaznem.

– Pójdę już. Pamiętaj, co powiedziałam. Po schodach na górę, potem drzwi, przez gobelin i jesteś na miejscu. – Zanim George ma szansę odpowiedzieć, odwracam się i odchodzę korytarzem. Jego głos dolatuje mnie prawie u wyjścia.

– Może jeszcze się kiedyś zobaczymy?

Mam nadzieję, że nie, przemyka mi przez myśl. Wciąż jednak milczę. Idę dalej przed siebie.

Ciemność dokoła jest tak gęsta, że mogłabym ją kroić nożem, ale wcale nie potrzebuję światła. Znam drogę na pamięć. Pięćdziesiąt metrów prosto. W prawo i czterdzieści metrów. W lewo i jeszcze dziesięć metrów. Kiedy korytarz się zwęża, wiem, że do kuchni już niedaleko. Zapach jedzenia czuć nawet przez ściany, słyszę też odgłosy nieustającego tam zamieszania: pobrzękiwanie zderzających się garnków, wołanie kucharek, kroki służących znoszących z jadalni brudne naczynia.

Potwornie burczy mi w brzuchu i zastanawiam się, czy mogłabym się tam zakraść i zwędzić ukradkiem choć kilka kęsów. Klękam i przeciągam dłonią po murze. Po chwili znajduję niewielką szczelinę i ukrytą wewnątrz przekładnię. Przekładnię otwierającą maleńkie drzwi między ścianą a piecem na chleb.

To przejście odkryłam już w pierwszym tygodniu pracy w kuchni. Miałam wtedy dziewięć lat i zbrakło mi odwagi, by je otworzyć. Nie wiedziałam, co się za nimi znajduje, za to sporo zdołałam sobie wyobrazić: węże, duchy i okrutne potwory pożerające dzieci. W miarę (szybkiego) upływu czasu zdążyłam o drzwiczkach zapomnieć, aż wreszcie pewnego dnia odwiedził mnie Caleb. Akurat sprzątałam. Usiadł na podłodze i zajął się grą w kości. Lewa ręka przeciw prawej.

– Może poderwiesz tę leniwą sempiternę i trochę mi pomożesz? – Smagnęłam go miotłą po butach.

– Przecież ostatnio na mnie nawrzeszczałaś, że nawet zamiatać nie umiem!

– Bo kiepsko zamiatałaś! – odszczeknęłam. – W dodatku naumyślnie. Wymyśliłaś sobie, że jeśli się nie wykażesz, już nigdy nie zagonię cię do roboty.

Wyszczrzył się w szerokim uśmiechu. Nie pomyliłam się. Raz jeszcze rzucił kośćmi.

– Uwielbiam grać w kości sam ze sobą. Zawsze wygrywam.

Sprzedziałam mu kolejnego kuksańca miotłą.

– Wstawaj, zanim zobaczy cię Madge. Wiesz, jak bardzo nie lubi, kiedy w czasie pracy odwiedzają mnie goście.

– Goście? To znaczy, że przychodzi do ciebie ktoś poza mną?

– A, prawda. Powiedziała, że nie lubi, kiedy ty zawracasz mi



głowę. Podobno niezłe z ciebie ziółko.

– Ha, znowu komplement! – Roześmiał się.

Caleb miał wówczas ledwie czternaście lat, ale już zwracał uwagę dziewcząt prawie dwakroć od siebie starszych. Mierzył sobie metr osiemdziesiąt trzy, ciemnoblond włosy opadały mu miękkimi falami na oczy. Był przystojny i świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Ja miałam dwanaście lat i również nie miałam co do jego urody wątpliwości.

Zerwał się na równe nogi, podniósł kości z podłogi i schował je do kieszeni. Właśnie wtedy zauważył.

– Co to jest?

– Co jest co?

– Tam, w kącie obok pieca. Co to jest?

– Ach, to. Drzwi. Chyba. Nie mam pojęcia. Nigdy ich nie otwierałam.

Obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem.

– Jak to, nigdy ich nie otwierałaś? Nie jesteś ciekawa, dokąd prowadzą?

Podniosłam oczy do góry. Caleb nigdy nie zostawiał podobnych zagadek w spokoju.

– Moim zdaniem, prowadzą donikąd. Pewnie zwykły śmietnik czy coś podobnego.

– Zwykły śmietnik? Sama mi kiedyś tłumaczyłaś, że coś takiego nie istnieje.

– Tłumaczyłam ci, że kominek to nie śmietnik! A teraz wynocha. Tylko mi przeszkadzasz! – Popchnęłam go lekko, ale i tak ruszył prosto do drzwiczek.

Przyklęknął i dokładnie je obejrzał. Zbadał krawędzie palcami, aż wreszcie natrafił na uchwyt. Obejrzał się na mnie przez ramię i twarz rozświetlił mu szeroki uśmiech.

– No to jak myślisz? Dokąd prowadzą?

– Z uwagi na sympatię do ciebie, mam nadzieję, że nie do kanałów. Prychnął pod nosem.

– Sprawdzę.

– A sprawdzaj sobie. Ale jeśli się zgubisz, nie oczekuj, że będę cię ratować.

– Co? – Zmarszczył czoło. – Nie pójdziesz ze mną?

Zawahałam się. Miałam sporo pracy i wiedziałam, że jeśli zniknę, czekają mnie kłopoty. Ale przecież zawsze wszędzie chodziłam z Calebem. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić miejsca, którego nie chciałabym z nim odwiedzić. I tak, poszłabym za nim nawet do kanałów.

– Zgoda. – Westchnęłam po chwili zastanowienia. – Pójdę.

– Dzięki Bogu – rzucił. – A już myślałem, że będę musiał błagać.

Zamieram na moment. Klęczę przed drzwiami z palcem na dźwigni. W mojej głowie wciąż rozbrzmiewa głos namawiającego mnie Caleba. Niezmiennie chciał, bym mu towarzyszyła, i tak było zawsze. Nawet jeśli nie miałam na to wielkiej ochoty. Przez cały ten czas nawet przez myśl mi nie przeszło, że pewnego dnia nie będzie chciał, bym z nim poszła. Nie powstało mi w głowie, że bez niego nie będę miała dokąd iść.

Głód nagle znika. Wstaję i przechodzę przez drzwi obok do korytarza prowadzącego do pokoi dla służek. Mrok rozprasza tu tylko samotna pochodnia osadzona na ścianie w żelaznym uchwycie. Jest jednak dostatecznie jasno, by znów zakręciło mi się w głowie, tak samo jak wcześniej w gospodzie. Opieram się o mur i przymykam powieki. Chcę ten kołowrót powstrzymać. Jestem zmęczona. Tak bardzo zmęczona, że kiedy ktoś się do mnie odzywa, reaguję dopiero po chwili.

– Elizabeth?

Podrywam głowę. W cieniu na końcu korytarza stoi Caleb. Na jego widok – mimo wszystko – moje serce przyspiesza rytm. Zbliża się z rękoma w kieszeniach.

– Gdzie byłaś? – pyta. Przystaje tuż przede mną, część jego twarzy niknie w półmroku. – Co ci się stało? Fatalnie wyglądasz.

– Ty to umiesz rozmawiać z dziewczynami – mamroczę niewyraźnie.

– Nie o to mi chodziło.

– Co tu robisz? – dziwię się. – Nie powinieneś w tej chwili... No nie wiem... – Wykonuję dłonią nieokreślony gest – płasać w rytm muzyki?

– Jest już dobrze po północy – odpowiada z uśmiechem. – Damy śpią od kilku godzin.

Ton, jakim to powiedział, dziwnie działa mi na nerwy. Zupełnie jakby sugerował, że ponieważ nie śpię od kilku godzin, nie jestem damą. Jakby musiał mi o tym dodatkowo przypominać.

– No cóż, tra, la, la – nucę pod nosem.

– Chciałem sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku. Tyle że ciebie nie było.

– Byłam zajęta! – warczę. – Trzeba ci wiedzieć, że nie spędzam życia, wyczekując samotnie w pokoju, aż raczysz się pojawić. Nosa bym nie wychyliła.

Caleb otwiera szerzej oczy. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek wcześniej zwróciła się do niego tak ostro. Jestem jednak wściekła i nic na to nie poradzę.

– Poza tym – podejmuję – nie musisz się o mnie troszczyć. U mnie wszystko w najlepszym porządku. – Ruszam dziarsko w stronę swojego pokoju, lecz nagle dopada mnie kolejna fala zawrotów głowy. Próbuję się podeprzeć o ścianę, lecz płaszcz dostaje mi się między nogi i przewracam się na podłogę.

– Widzę. W najlepszym porządku – rzuca Caleb. W jego głosie pojawia się nuta rozbawienia. Gdyby nie mdłości, wpadłabym w prawdziwy szał. Pomaga mi wstać.

– Ileś ty tego piwa wypila, co?

– Nie wiem – bełkoczę. Wtulam się w niego i zamykam oczy.

Przez opuszczone powieki nie widać wirującego świata.

– Zupełnie nie rozumiem, co w ciebie ostatnio wstąpiło – stwierdza Caleb. – Najpierw ten nekromanta, teraz to.

Zerkam na niego jednym, nie do końca otwartym, okiem.

– Gorszy dzień i tyle – odpowiadam.

– Nie chodzi tylko o dzisiaj – zauważa. – Już od pewnego czasu wydajesz się... – Milknie.

– Jaka?

– Nieszczęśliwa.

Próbuję nie pokazać po sobie zaskoczenia. Nie miałam pojęcia, że poświęca mi dość uwagi, by to dostrzec.

– Po czym tak wnosisz?

– Nie wiem. – Caleb wzrusza ramionami. – Nie jesteś sobą i tyle.

Stałaś się milcząca, wycofana. Przecież zwykle nie można cię było uciszyć. – Uśmiecha się. – W dodatku mówisz, że przestałem cię odwiedzać, ale nie pamiętam, kiedy mnie ostatnio zaprosiłaś.

– Nie potrzebujesz mojego zaproszenia.

– Tak, no cóż... Do niedawna byliśmy dziećmi, ale teraz chyba nie powinienem wpadać do twojego pokoju bez zapowiedzi, prawda? Nawet w tej chwili nie powinno mnie tu być. Co by ludzie pomyśleli?

Dobrze wiem, co by pomyśleli. Wciskam dłonie do kieszeni.

– W każdym razie, jeśli coś cię dręczy, możesz mi powiedzieć.

Dawniej opowiadałaś mi o wszystkim.

Opowiadałam mu o wszystkim. Kiedyś. Tyle że potem jeszcze bardziej wyrósł, a ja pozostałam niska. Wyprzystojniał, a ja nadal mam buzię słodkiego dziewczątka. No i otworzył wszystkie drzwi, które ja chciałam pozostawić zamknięte.

– Nic się nie dzieje, Caleb. Jestem po prostu padnięta. Rano wrócę do formy.

Przez chwilę stoi bez słowa.

– Skoro tak... – odzywa się wreszcie. – Może przynajmniej pozwolisz odprowadzić się do pokoju?

Kiwam głową. Otacza mnie ramieniem i znów się w niego wtulam. Przez moment na powrót stajemy się sobą. Jak dawniej. I przez te kilka sekund zastanawiam się, czy nie wyjawić mu, co naprawdę się ze mną dzieje. Układam słowa w głowie, co więcej otwieram też usta, by je wypowiedzieć. Kiedy jednak podnoszę wzrok, Caleb spogląda gdzieś ponad moim ramieniem. Czoło przecina mu zmarszczka.

Odwracam się w porę, by zobaczyć wychodzącą z cienia postać: jednego z gwardzistów króla Malcolma. Staje w swoim wykrochmalonym czerwono-czarnym mundurze pod moimi drzwiami. W rękę ściska długą pikę.

O nie! – myślę gorączkowo. Tylko nie teraz.

Przez twarz Caleba przemyka wyraz zaskoczenia.

– Richard. – Wita się z żołnierzem skinieniem. – Czy... Hm...

Szukałeś mnie?

Richard chrząka.

– Nie, przyszedłem, żeby... Ech, no wiesz... – Z zakłopotaniem

drapie się po karku.

– Nie, nie wiem. – Zmarszczka na czole Caleba pogłębia się z każdą chwilą. – Zechcesz mnie oświecić?

Richard nie odpowiada. Stoi i patrzy prosto na mnie.

– Elizabeth? – Caleb zwraca się do mnie. – Co Richard tu robi? Jestem zbyt przerażona, by odpowiedzieć. Kręcę niemo głową.

Caleb zostawia mnie pod ścianą i podchodzi do gwardzisty. Jego kroki stukają głucho o posadzkę korytarza. Opieram się o chłodne kamienie, przytulam policzek do muru.

– Zapytam raz jeszcze. Co tu robisz?

Richard milczy. Nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Wiem jednak, że Caleb nie odpuści.

– Mówże!

– Caleb, przestań... – szepczę. Odrywam się od ściany. Ledwie zdołałam ująć kilka kroków, a nogi znów odmawiają mi posłuszeństwa. Padam naprzód, bezładnie wymachując rękoma.

– Elizabeth! – Caleb podbiega natychmiast.

– Wszystko dobrze. Nic się nie stało – rzucam półgłosem. To oczywiście nieprawda. Gdy tylko otwieram oczy, całe otoczenie staje na głowie. Gęstniejące powietrze ścisza mi gardło. Wszystko ciemnieje. Mam wrażenie, że korytarz się zwęża, zamyka, jakby chciał mnie zgnieść.

– Chodź, zaprowadzę cię do środka. – Caleb po raz kolejny pomaga mi wstać. Ruszamy w stronę drzwi, lecz Richard zastępuje nam drogę.

– Ona pójdzie ze mną.

– Nigdzie z tobą nie pójdzie – syczy Caleb. – A jeśli się nie odsuniesz, gorzko tego pożałujesz, przysięgam.

Krzywię się i czekam na krzyk Richarda. Niewykluczone, że dojdzie do rękoczynów. Zamiast tego obaj milkną. Podnoszę powieki i widzę klęczącego nade mną Caleba. W ręku ścisza pęk ziół. Rozpoznaję je w jednej chwili: fioletowe igielki szafranu, biało kwitnący ciemiernik. Moje dłonie natychmiast wędrują do kieszeni, lecz z góry wiem, że niczego tam nie znajdą.

Caleb staje na równe nogi. Twarz ma bladą jak prześcieradło.

– Elizabeth, skąd się to wzięło?

– Z jej kieszeni. Wypadły z płaszcza – mówi Richard półgłosem. – Widziałem na własne oczy.

Caleb z wolna obraca roślinki między palcami.

– Przecież to czarnoksiężskie zioła. Składniki trucizny. – Przygląda mi się wstrząśnięty do głębi. – Po co ci one?

Kręcę głową. Nie potrafię wymyślić żadnej wymówki. Znowu zalewa mnie fala czarnego powietrza, w tej chwili roją się w nim wielkie owady, brzęczą mi tuż nad uchem. Nie, nie są prawdziwe... Nie są prawdziwe, powtarzam sobie w myśli.

– Elizabeth? – Caleb lekko potrząsa mnie za ramię, chce mnie ocucić. – Powiedz, że po prostu gdzieś je znalazłaś – dodaje błagalnie. – Powiedz, że nie są twoje. Proszę cię...

Otwieram usta, lecz nie dobywa się z nich nawet jeden dźwięk. Nie umiem dobrać słów. Niemniej Caleb ma rację. Jeżeli będę milczeć, Richard mnie aresztuje. Wtrąci do lochu. A potem przesłucha mnie Blackwell. Może nawet podda torturom. Miażdżenie kciuków, rozciąganie członków, polewanie wrzącym tłuszczem...

– Zapomnij o tych ziołach. – Caleb spogląda Richardowi w oczy. – Po prostu zapomnij o wszystkim i idź stąd. Mam pieniądze, mogę ci zapłacić. – Sięga do kieszeni, wyjmując kilka monet.

Gwardzista jednak już się cofa, palce ułożył w figę, staroświecki gest zabezpieczający przed urokami.

– Ona jest czarownicą – mówi. – Nie mogę jej wypuścić. – Mocniej zaciska dłonie na pice.

Odwracam się, by uciec, lecz tracę równowagę i znów ląduję na podłodze. Caleb wyciąga ku mnie rękę, ale Richard go odpycha i łapie za kołnierz mojego płaszcza. Podrywa mocno ku górze. Szorstko wykręca mi ramiona i zapina kajdanki na przegubach. Zwykle, żelazne. Pragnę w tym miejscu zauważyć, że gdyby naprawdę miał mnie za wiedźmę, założyłby mi mosiężne. Wciąż jednak nie mogę wykrztusić ani słowa.

– Richard, nie – prosi Caleb. – Wypuść ją...

Gwardzista nie zwraca na niego uwagi.

– Elizabeth Grey, z woli i majestatu króla kładę na tobie areszt pod zarzutem popełnienia zbrodni czarnoksiężstwa. Zgodnie z przepisami

prawa zostaniesz dostarczona do więzienia Fleet, gdzie cię przesłuchają i osądzą... – Urywa. – Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Richard bezceremonialnie popycha mnie naprzód. Szarpię się, próbuję się wyrwać. Tak bardzo jednak kręci mi się w głowie, że nie mogę się z nim mierzyć. Zaczynam więc wrzeszczeć. Słyszę krzyk Caleba, widzę jego przerażone, ogarnięte paniką spojrzenie. Zaraz potem czuję mocne uderzenie drzewcem piki w głowę. Ogarnia mnie ciemność, zapada cisza.

## ROZDZIAŁ 5



Budzę się gwałtownie. Otaczający mnie świat jest niewyraźny, wszystkie kontury są rozmyte. Intensywna jest tylko ta woń, ostra i kwaśna. Nieprzyjemnie piecze mnie w nosie. Na karku i pod dłońmi czuję coś szorstkiego. Powoli zaciskam na tym palce. Nie jest miękkie i sprężyste jak sitowie, którym wykłada się wspólne jadalnie w pałacu. To raczej stara słoma.

Wrażenia napływają niepowstrzymaną falą sztormową: powiew wilgotnego powietrza na twarzy, pulsujący ból głowy, dotyk zimnej kamiennej posadzki. Czyjeś pojękiwania.

Gdzie ja jestem?

Siadam i rozglądam się po ciasnym kwadratowym pomieszczeniu. Zrozumienie przychodzi od razu. Trafiłam do więzienia.

W ścianie po prawej stronie widnieje małe okienko. Za gęstymi żelaznymi kratami widać skrawek późnopołudniowego nieba. Po lewej zauważam kraty i drzwi prowadzące na ciemny korytarz. Na brudnej podłodze walają się szcurze odchody. W celi nie ma ani jednego mebla. Spoglądam po sobie. Wciąż jestem w jednym kawałku, przynajmniej na razie. Nadal mam na sobie brązową sukienkę służki, zabrali mi za to płaszcz i buty.

Moja współtowarzyszka to kobieta, czarownica, jeśli oceniać po wyglądzie. Leży wyciągnięta pod przeciwległą ścianą. Przywodzi mi na myśl starą szmacianą lalkę. Ma połamane ręce i nogi, jej stawy wyginają się pod nienaturalnym kątem. Przy każdym oddechu z jej piersi dobywa



się chrapliwy świst. Od czasu do czasu cicho, boleśnie stęka. Rozciągano ją na kole. Zniszczono jej ciało. Cofam się tak daleko, jak tylko mogę, i zaczynam się zastanawiać, czy mnie także spotka podobny los.

Wtem w mrocznym kamiennym korytarzu rozlega się echo kroków. Podrywam się na równe nogi. Muszę się ukryć, znaleźć jak najdalej stąd. Niestety, nie mam dokąd uciekać. Tłumię narastającą panikę i podchodzę do drzwi, w pełni gotowa rzucić się na pierwszego człowieka, który w nich stanie.

Gdy jednak postać wynurza się z cienia, ogarnia mnie ulga tak silna, że prawie mdleję.

– Caleb!

– Elizabeth! Mój Boże... – Łapie za pręty i wpatruje się we mnie z przejęciem. – Nic ci nie jest? Nie, oczywiście, że nie. – Nerwowo odgarnia grzywkę z czoła. – Nic ci nie zrobili?

– Nie. W porządku.

Kiwa głową.

– Posłuchaj, spróbuję cię stąd wyciągnąć, ale łatwo nie będzie. Widzisz, Blackwell... Poszedłem do niego dziś rano, chciałem na twój temat porozmawiać. Wyjaśnić, co zaszło.

W spojrzeniu Caleba pojawia się iskierka strachu. W głębi ducha, podobnie jak ja, wciąż boi się Blackwella tak samo, jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Mieszkaliśmy u niego, pod jego kierunkiem ćwiczyliśmy, od lat staramy się go zadowolić. A mimo to nadal go nie znamy. Nie do końca.

– I?

– Już wiedział o wszystkim. O nekromancie i o ziołach. Nie wiem, kto mu doniósł, ale wiedział.

Kiwam głową. Naturalnie, że wiedział. Blackwell zawsze o wszystkim wie.

– Co zamierza zrobić? – Przymykam oczy. Wyobrażam sobie najgorsze kary, jakie mogą mnie spotkać, gdy już znajdę się poza murami więzienia. Degradacja, odesłanie do kuchni, zamknięcie w klasztorze...

– Nic.

– Nic? – Zaskoczona podnoszę powieki. Czuję drgnienie nadziei.

Wtedy jednak dostrzegam minę Caleba.

– Nic, chciałem powiedzieć, że Blackwell... No... – Rozedrgane słowa Caleba więzną mu w gardle. – Skazał cię na śmierć za uprawianie magii.

Wstrząśnięta odrywam się od krat i zataczam do tyłu. Uginają się pode mną kolana, lecz Caleb sięga między prętami i łapie mnie za ramię.

– Elizabeth, posłuchaj...

Kręcę gwałtownie głową. Nie chcę go słuchać. Być może, jeśli nie będę go słuchać, okaże się, że to wszystko nieprawda.

– Błagam, wysłuchaj mnie. Jeszcze dzisiaj spotkam się z królem. Spróbuję z nim porozmawiać. On zawsze miał do ciebie słabość, więc może uda mi się go nakłonić, by wpłynął na Blackwella...

– Dlaczego? – udaje mi się wydukać. – Czy nie zasługuję chociaż na... proces? – Ostatnie słowo nie chce mi przejść przez usta.

Caleb mocniej ściska moją rękę.

– Nie. Blackwell podpisał w twojej sprawie Akt Wykonawczy. Wiesz, co to takiego?

Potrząsam głową.

– To znaczy, że może posłać cię na śmierć bez procesu. Nawet nie potrzebuje podpisu króla. Wystarczy jego słowo. Nic więcej.

– Dlaczego? – pytam szeptem.

– Nie wiem. Procesy są coraz bardziej kosztowne, przekłęci reformiści blokują je demonstracjami...

– Nie o to mi chodzi. Dlaczego nie chce nawet postawić mnie przed sądem? Przecież tyle mi się chyba należy. Niemożliwe, żeby chciał mojej śmierci! – Sama w te słowa nie wierzę.

– Stwierdził, że nie jesteś godna zaufania. Powiedział, że pierwszą zasadę złamałaś, zabijając nekromantę, a potem jeszcze ta druga sprawa... Uważa, że stanowisz zbędny ciężar. Dodał, że nie może pozwolić, by łowcom czarownic uchodziły na sucho wykroczenia, za które inni trafiają na stos. – Caleb tak mocno zaciska dłonie na żelaznych prętach drzwi, że bieleją mu knykcie. – Skąd je miałaś? Te zioła? Gdybyś mogła mi to wyjawić, może udałoby mi się jakoś wybronić cię przed królem.

Kręcę głową. Tego nie mogę mu powiedzieć, bo zaraz potem

zapyta, dla kogo były przeznaczone. A wtedy nigdy by mi nie przebaczył.

– Nie należały do mnie – bąkam. Wszystko będzie lepsze niż prawda. – Nie wiem, czyje były. Myślę, że przez pomyłkę zabrałam z gospody cudzy płaszcz.

Caleb nieruchomieje. Stoi za kratą jak wryty i obrzuca mnie przenikliwym spojrzeniem. Nie potrafię odczytać znaczenia jego miny.

– Czy to prawda?

Patrzę mu w oczy. Caleb był moim najlepszym przyjacielem aż do niedawna, kiedy nagle wydał mi się kimś zupełnie innym, wciąż nie jestem pewna kim. To dla mnie najważniejszy człowiek na świecie. Bez niego nie miałabym nikogo. Za żadne skarby nie zdołam go okłamać. Nie zmuszę się.

Kręcę przecząco głową.

Ze zdławionym jękiem odpycha się od drzwi. Bije dłonią w twardą kamienną ścianę.

– Caleb, posłuchaj...

– Nie! – wrzeszczy. Traci nad sobą panowanie. – Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! Jak mam ci teraz pomóc? Przecież nie wyrwę cię siłą z Fleet!

– Może nie siłą. – Chwytam go za rękaw pomiędzy prętami. – Możesz otworzyć zamek wytrychem. Albo wezwać strażnika i wykraść mu klucz. Wyjedziemy z kraju, wsiądziemy na statek do Galii, Iberii, dokądkolwiek... Nie, proszę cię, nie patrz na mnie w ten sposób!

Jestem cała roztrzęsiona. Dygoczę od stóp do głów. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Nie mogę. – Caleb kręci głową. – Jeśli pomogę ci w ucieczce, oskarżą mnie o współudział. Ogłoszą, że jestem zdrajcą. Stracę dorobek całego życia, wszystko, na co pracowałem. Nie mogę.

Oboje milkniemy i wpatrujemy się sobie w oczy.

– Uwolnij mnie, Caleb – przerywam w końcu milczenie. Głos lekko mi się łamie, lecz z całych sił tłumię wzbierające łzy. Płacz jest oznaką słabości, a Caleb słabości nie cierpi. – Uczyń to dla mnie. Proszę. Zawsze robiłam wszystko, czego ode mnie chciałeś, i ani razu nie poprosiłam o cokolwiek w zamian. Jeżeli naprawdę nie widzisz innego

powodu... – w tym momencie w moim tonie słychać gorzką nutę – pomóż mi choćby dlatego.

Caleb jęczy raz jeszcze i skrywa twarz w dłoniach.

– Dobrze – odpowiada półgłosem. – Wyciągnę cię stąd.

Prostuję się. Wciąż chwieję się na rozdygotanych nogach, lecz teraz drzę tylko z ulgi.

– Co planujesz? – pytam. – Najszybciej byłoby wyważyć drzwi, ale hałas może ściągnąć strażników...

– Nie. Zrobimy inaczej. Pozwól, że najpierw spotkam się z królem i przedstawię mu twoją sprawę, tak jak zamierzałem – tłumaczy Caleb. – Jeżeli to nic nie da, wrócę tutaj i uwolnię cię. Skoro mamy uciekać, muszę wszystko zaplanować. Nie możemy zniknąć z pustymi rękami. Muszę zdobyć pieniądze, zorganizować podróż. A to trochę potrwa.

– Zgoda – odpowiadam, choć mierzi mnie myśl o każdej minucie, którą będę zmuszona spędzić w tej celi. Zerkam na leżącą w kącie czarownicę. Nie rusza się, ma zamknięte oczy, nie wydaje z siebie nawet jednego dźwięku. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wyzionęła ducha.

– Lepiej już pójdę. – Caleb wzdycha. – Chcę się dostać do Malcolma na pierwszą audiencję. – Wsuwa rękę przez kraty i ściska moją dłoń. – Rozumiem, że nie jest ci łatwo, ale postaraj się zachować spokój. I cokolwiek będzie się działo, nie zrób żadnych głupot. Ponad wszystko nie próbuj uciekać na własną rękę. Ściągniesz na siebie tylko kłopoty. Wrócę zaraz, jak tylko załatwię sprawę.

Potakuję skinieniem.

– Wrócę po ciebie – powtarza. – Obiecuję.

Znika w korytarzu.

\* \* \*

Mija cały dzień. Potem drugi.

I trzeci.

I czwarty.

Nie odwiedza mnie nikt, nawet strażnicy. Ci ostatni pojawili się jedynie po to, by zabrać zwłoki więdźmy. Zesztywniałe, zimne sine ciało. Domyślam się, że Caleb nie zdołał króla przekonać i jest w tej

chwili zajęty planowaniem naszej wspólnej ucieczki. Jeśli się nie mylę w rachubie, spędziłam w Fleet bez mała tydzień, z czego wynika, że jutro wypada sobota. Dzień kaźni na stosie. Jeżeli Caleb nie pojawi się na czas, tym razem spłonę ja. A przed taką śmiercią znamię mnie nie uchroni. Obrócę się w garść popiołów.

Dotrzymałam słowa i nie próbowałam uciec. Niestety, nic mi z tego nie przyszło. Caleb powiedział, że czeka go wiele przygotowań, potrzebuje czasu. Ale jestem przekonana, że mój czas dobiega końca. Z drugiej strony, zaczynam wątpić, czy zdołałabym teraz uciec, nawet gdybym chciała. Od prawie tygodnia nie miałam nic w ustach. Piję jedynie wpadającą przez okno deszczówkę. Co gorsza, mam wrażenie, że dostałam gorączki. Dłonie mam bez przerwy wilgotne od potu i boli mnie gardło.

Choroba. Kolejna przeciwność losu, przed którą znamię mnie nie chroni.

Za oknem robi się ciemno. Wciąż pada, leje już od kilku dni. W celi jest mokro i prawdopodobnie piekielnie zimno. Pewności nie mam, gdyż jestem cała rozpalona. Nocą pojawił się kaszel, a ramiona i nogi obsypała dziwna wysypka. Mam nadzieję, że to nie angielskie poty. Ta przypadłość zdążyłaby mnie zabić jeszcze przed egzekucją.

Mimo skrajnego wyczerpania nie jestem w stanie zmrużyć oka. Powtarzam sobie, że dlatego, iż wciąż czekam na Caleba. Prawdę jednak mówiąc, snu nie przepędza nadzieja, a strach. Z każdą minutą, z każdą chwilą upływającego dnia, gdy w celi zalegają coraz dłuższe cienie, wiara ustępuje przed lękiem. Obecność innych osadzonych wcale mi nie pomaga. Przygnębiają mnie te wszystkie dolatujące z ich cel odgłosy: zbolale jęki, szloch, szeptane modlitwy, rozlegające się od czasu do czasu okrzyki grozy. Nawet gdybym nie pilnowała upływu czasu, oni robią to za mnie. Wiedzą, co ich czeka.

Siedzę skulona pod ścianą i w otępieniu ogryzam paznokcie. Nie dbam o to, jak wyglądają. Jeżeli Caleb nie wróci, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Podciągnęłam sukienkę, jak najwyżej mogłam, chcę ochłonać, ale i tak zalewa mnie pot. Nawet włosy mam mokre. Chociaż nie wiem, czy są przepecone, czy zmoczył je siąpiący przez okno deszcz. Zwracam twarz ku kratom. Zimne krople siekają mi policzki ostro niczym

igły, lecz przynoszą nieznaczną ulgę.

W pewnym momencie odpłynęłam w sen, lecz budzi mnie dźwięk kroków. Caleb! Nareszcie! Próbuję dźwignąć się na kolana, lecz dopada mnie atak kaszlu i rżąc, osuwam się na podłogę. Kroki milkną tuż przed moją celą. Jest ciemno choć oko wykol i nie widzę, kim jest przybysz. A on nie odzywa się słowem.

– Caleb? – pytam szeptem, gdy kaszel ustępuje.

– Obawiam się, że nie – odpowiada nieznajomy głos.

Udaje mi się usiąść. Dyszę z wysiłku.

– Kim jesteś? – Boże, jak ochrypłam.

W mroku pojawia się maleńkie światełko. Mężczyzna. Nie mam pojęcia, kto to. Wysoki i szczupły. Ubrany w długą czerwoną szatę, przewiazaną w pasie grubym czarnym sznurem. Z jego ramion spływa czarny płaszcz sięgający aż po kamienną posadzkę. Krótkie włosy i spiczastą czarną bródkę przetykają pasemka siwizny. Przygląda mi się ciekawie. Ciemne oczy przeszywają mnie na wylot, lecz nie widzę w nich wrogości.

– Kim jesteś? – pytam raz jeszcze.

Nie jest wartownikiem. To pewne. Nie jest też jednym z urzędników Malcolma. Na powłóczystej szacie brakuje królewskiego herbu. W zasadzie najbardziej przypomina... księdza.

O mój Boże! Ksiądz! Przyszedł udzielić mi sakramentu ostatniego namaszczenia. To znaczy, że spałam zbyt długo. Caleb na pewno się pojawił, ale nie zdołał mnie dobudzić. Zostałam sama...

Dopiero teraz dociera do mnie coś innego. Światełko. To wcale nie jest świeca. Cienki płomyk tańczy tuż nad wyprostowanym palcem mężczyzny. Porusza ręką i ognik wzlatuje wyżej, zawisa obok jego twarzy. Maleńkie pulsujące słońce.

To czarnoksiężnik.

– Wynoś się stąd! – chrypię. – Jeżeli Caleb zobaczy, że rozmawiam z kimś takim, wpadnie w szal.

– Nie zrobię ci krzywdy – odpowiada. – Przychodzę ci pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy!

– Czyżby? – Wyraźne w jego głosie współczucie działa mi na nerwy.

– Caleb! Caleb! – wołam panicznie i milknę, gdy dławi mnie kolejny atak kaszlu.

Czarnoksiężnik kładzie dłoń na drzwiach mojej celi. Zaczyna bezgłośnie mamrotać i krata rozjarza się nikłym błękitnym blaskiem. Wreszcie żelazo zaczyna drzeć i nagle, z dźwiękiem przypominającym trzask pękającej kości, rozsypuje się w stosik dymiącego pyłu.

Nieznajomy podchodzi i klęka nade mną.

– Moje dziecko, ty jesteś chora – zauważa. – Chodź ze mną. Pozwól sobie pomóc.

– Nie! Nie zbliżaj się do mnie! – Podnoszę się na kolana i na czworakach cofam się jak najdalej od maga. Jednak już po kilku metrach tracę siły i padam na słomę.

– Wkrótce przyjdą po ciebie strażnicy – podejmuje czarownik. – Każdą wyznaczono na dzisiejszy poranek.

– Kłamiesz! – syczę. Kiedy jednak zadzieram głowę i obracam ją ku oknu, widzę, że pierwsze blade smugi rzeczywiście zaczynają rozcinać nocne niebo. Ostre, gwałtowne ukłucie paniki wlewa mi w mięśnie dodatkową porcję siły. Udaje mi się niepewnie wstać. Podpieram się dłonią o ścianę. Gdzie jest Caleb?

– Przysięgam, że nie. – Czarownik podchodzi i wyciąga do mnie rękę. Cofam się, trę plecami o szorstki kamień.

– Czego ode mnie chcesz? – Rzucam okiem na zniszczone drzwi, na otwierający się za nimi ciemny korytarz. Nie widzę strażników, którzy mogliby mnie powstrzymać. Mrok na zewnątrz wciąż jest na tyle gęsty, by mnie ukryć. W tej chwili na drodze do wolności stoi mi jedynie ten nieznajomy mag.

Ruszam do wyjścia. Przewidział to posunięcie; jednym ruchem zastępuje mi drogę. Zmieniam kierunek, krok w bok. I kolejny. Mężczyzna powtarza moje ruchy. Tańczymy.

– Tego sam nie jestem pewien – odpowiada na moje pytanie. – Polecono mi cię odnaleźć. Początkowo uznaliśmy, że zaszła pomyłka, lecz okazało się, że wszystko się zgadza – mówi spokojnie, jakby nie zauważył, że próbuję uciec. Jakby zapomniał, że stara się mi przeszkodzić. – Proszę, Elizabeth, chodź ze mną. Potrzebuję twojej pomocy tak samo, jak ty potrzebujesz mojej.

Do czego, u diabła, mogę być potrzebna czarnoksiężnikowi? Co on? Nie wie, kim jestem? Obrzucam go uważnym spojrzeniem. Nie sprawia wrażenia niebezpiecznego człowieka. Oczywiście, ja też wyglądam raczej niewinnie. W tych kwestiach pozory naprawdę bywają zwodnicze. Aczkolwiek gdyby chciał mnie skrzywdzić lub gdyby zależało mu na mojej śmierci, nie pojawiłby się tutaj. Lepiej jednak nie podejmować ryzyka.

– Szczerze wątpię – rzucam i pochylam się gwałtownie w prawo, jakbym chciała puścić się biegiem.

Mag natychmiast wyciąga w tamtą stronę ręce. To jednak był podstęp. Prostuję się i zwracam w lewo. Pędzę do drzwi. Udaje mi się wyskoczyć na korytarz. Po pięciu, najwyżej dziesięciu krokach coś zatyka mi pierś i zaczynam kaszleć. Tak gwałtownie, że nie jestem w stanie złapać tchu. Padam na kolana i łapię ustami powietrze tak rozpaczliwie, że słysząc dźwięk przypominający stłumiony wrzask. Z najwyższym wysiłkiem wstaję i pokonuję niepewnie kilka kolejnych kroków. W ciemności – może dziewięć metrów przede mną – dostrzegam kamienne schody. Dam radę do nich dojść.

Wtem za moimi plecami rozlega się głos czarownika.

– Areszt.

Ze świstem otacza mnie fala ciepłego powietrza i moje ciało opada na ziemię. Powoli, jakbym tonęła. A kiedy dotykam posadzki, nie uderzam i nie pojawia się spodziewany ból. Mag klęka u mego boku i bierze mnie za rękę.

– Chodź ze mną – mówi. – Natychmiast.

Odruch każe mi się wyrwać, lecz zamieram. W głowie czuję gonitwę myśli. Muszę się stąd wydostać. Muszę też pojmać tego czarnoksiężnika. Jeżeli go zatrzymam, może zdołam na powrót wkraść się w łaski Blackwella. A na to wszystko znacznie większe szanse będę mieć poza więziennymi murami.

Kiwam głową. Ból gardła nie pozwala mi mówić.

Pomaga mi wstać. Ledwie jednak odzyskuję pion, żołądek zaciska mi skurcz tak silny, że po raz kolejny ląduję na kolanach. Mag pochyla się i bez większego trudu bierze mnie na ręce. Jestem zbyt osłabiona, by mu się opierać. Niesie mnie korytarzem w kierunku schodów. Widzę



twarze pozostałych skazańców, przyglądają się nam ze swych cel. Zaraz podniosą rwyet. Za chwilę rozlegną się ich wrzaski. Już za moment dopadną nas strażnicy.

Kiedy jednak mijamy kolejne zakratowane drzwi, widzę że osadzeni – ci, którzy wciąż są w stanie ustać – podnoszą się z podłogi i pozdrawiają go skinieniami. Niektórzy nawet rzucają w naszą stronę szeptane błogosławieństwa. Inni wyciągają z cel ręce i próbują go dotknąć. To zdumiewające, jak wielki okazują mu szacunek, bez mała cześć.

– Kim ty jesteś? – pytam półgłosem.

– Nazywam się Nicholas Perevil – odpowiada. – Przepraszam, że nie przedstawiłem się wcześniej. Nie pozwoliłaś mi.

Sztywnieję w jego ramionach. Nicholas Perevil! Najbardziej poszukiwany czarnoksiężnik w Anglii! Nie dowierzam własnemu szczęściu. Jeżeli go schwytam, Blackwell będzie musiał mnie ułaskawić. Może nawet dostanę nagrodę. Wystarczy tylko pojmać tego maga.

Kiwam głową, próbuję się rozluźnić. Docieramy do końca korytarza i przez niskie drzwi wchodzimy do jednej z czterech okrągłych wież stojących w rogach głównego budynku Fleet. Znajdujemy wąskie kręte schody i kierujemy się w dół. Schodzimy coraz niżej i niżej, aż wreszcie jesteśmy pod więzieniem. Kamienne ściany połyskują tu wilgocią, zimne powietrze paskudnie cuchnie. Domyślam się, że Perevil niesie mnie w kierunku kanałów ściekowych. Postąpiłabym tak samo. Łatwo je znaleźć i praktycznie nigdy nie stoją przy nich wartownicy. Z oczywistych powodów.

Jak mam to zrobić? Rozważam plan za planem. Owszem, jestem wycieńczona. Wciąż mogłabym go jednak ogłuszyć. Wystarczy jeden cios, najwyżej dwa. Czym go potem skrępować? Powrozem, który nosi zamiast pasa. Idealnie. Rozglądam się za jakimś ciężkim przedmiotem – potrzebuję cegły, kamienia, czegokolwiek. W razie potrzeby wbiję mu kciuki do oczu i... O, nie...

Powracają skurcze żołądka. Okrutnie boli. Zginam się wpół i słabo jęczę.

– Elizabeth? Co się dzieje?

Wstrząsają mną nudności. W żołądku mam tylko żółć – czuję, jak

pali mi gardło, gdy zaczynam wymiotować na pierś czarownika. Przeszywają mnie dreszcze. Teraz na pewno rzuci mnie na ziemię. Pojawi się szansa. Perevil jednak poprawia chwyt i mocniej zaciska ramiona. Przyspiesza kroku.

– Trzymaj się. Niedługo otrzymasz pomoc, obiecuję. Wystarczy, że wytrzymasz.

Wreszcie stajemy przed wejściem do kanału. Kwadratowy tunel jest niewielki, wysoki może na dziewięćdziesiąt centymetrów. Wejście zamyka żelazna siatka. Zabezpieczenie przeciwko szczurom.

Nicholas otwiera kratkę kopnięciem i gryzonie natychmiast wypadają na zewnątrz. Setki, może tysiące sztuk. Przemykają po posadzce, biegną po murach. Zbita, ruchoma masa oślizłych futerek i ogonów. Słychać piski i drapanie, pazurki skrobią kamień. W nasze nozdrza uderza przemożny fetor ścieków. Znow drgam gwałtownie i zaczynam się dławić.

– Musimy tam wejść pojedynczo – mówi mag. – Wcisnę się jako pierwszy, a potem pomogę tobie. Dasz radę?

Kiwam głową. Zaatakuję, gdy tylko znajdzie się w kanale.

– Dzielna z ciebie dziewczyna. – Stawia mnie pod ścianą i zanurza się w wąskim tunelu. Po kilku sekundach wysuwa głowę i wyciąga po mnie rękę. – No, chodź.

Wystarczy, że go kopnę. Mogę mu zmiażdżyć tchawicę. Mogę złamać mu nos, a jeśli kość przebije się do mózgu, mogłabym go nawet zabić. Potrafię to zrobić, mimo że jestem bosa. To moja szansa. Cofam nogę i przymierzam się.

W oddali rozlegają się krzyki. Słychać kroki biegnących ludzi. Słyszę ich tupot na schodach. Straże. Już wiedzą o mojej ucieczce. Być może zwrócił ich uwagę ten niekończący się strumień szczurów.

– Elizabeth! – ponagla szeptem Nicholas. – Już!

Waham się. Nogę wciąż mam przygotowaną do akcji. Istnieje co najmniej setka powodów, dla których powinnam go zabić. I setka sposobów, w jakie umiem to zrobić. Niemniej robię tę jedną jedyną rzecz, jakiej nigdy się po sobie nie spodziewałam.

Podaję mu rękę.

Wciąga mnie łagodnie do tunelu i bierze w ramiona. Wtulam się

w nie niczym mała dziewczynka. Wstrząsają mną silne dreszcze. Nicholas przytula mnie mocniej, przyciąga bliżej. Składam głowę na jego ramieniu i przymykam oczy. Nie potrafię się oprzeć. Tak bardzo jestem zmęczona.

Niesie mnie przez bezkresny labirynt tuneli, przez mrowie szcurków, przez płynne łajno i smród. Mam wrażenie, że ta wędrówka trwa całymi godzinami. Wreszcie wychodzimy pod mostem, na brzegu rzeki. W pobliżu czeka koń, nasza przepustka do wolności.

Czarnoksiężnik zdejmuje płaszcz i otula mnie nim. Pomaga mi wdrapać się na siodło. Sam wskakuje za mną.

– Jesteś już bezpieczna. – Otacza mnie ramieniem i spina wierzchowca.

Dlaczego go nie zabiłam? Nie wiem. Mam tylko nadzieję, że zdołam Perevilowi uciec, zanim się dowie, kim jestem. I zanim zabije mnie choroba.

Czy kiedy umrę, Caleb będzie za mną tęsknił?

To moja ostatnia myśl. Zamykam oczy.

## ROZDZIAŁ 6



Otoczają mnie głosy. Ciche, szeptane. Wciąż jednak panuje ciemność. Rozkazuję powiekom, by się podniosły, lecz nie chcą mnie słuchać.

– Czy ona umrze? – Chłopak. Mam wrażenie, że gdzieś już ten głos słyszałam.

– Fu! Cuchnie, jakby już nie żyła. – Tym razem dziewczyna.

– Małpa... – Inny chłopięcy głos. Wydaje się poirytowany. – George, podaj mi tę butelkę.

George? Jedyne go George'a w swym życiu poznałam w noc aresztowania. Królewski błazen. Tylko skąd się tu wziął?

– Nie czepiaj się! Przecież to nie moja wina, że ona tak fatalnie wygląda. – Znów ta dziewczyna.

– Fakt, teraz jest cała ufajdana, ale kiedy nie pokrywają jej warstwy brudu, wygląda całkiem ładnie. – Chwila milczenia. – No co? Ładna jest.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, trzyma się znakomicie. Gorączka więzienna, ma prawdziwe szczęście, że jeszcze żyje.

– Ma prawdziwe szczęście, że chcesz jej pomóc, John. Nikt poza tobą nie zdołałby się do niej zbliżyć. Naprawdę nie wiem, jak ty to znosisz.

– Skoro tak bardzo przeszkadza ci jej zapach, możesz ją umyć.

– Fu!

\* \* \*

Tym razem najpierw otwieram oczy. Przez chwilę widzę niewyraźnie, wszystko dokoła wydaje się rozplýwać. Gwałtownie mrugam i wpatruję się w sufit. Z wolna moje spojrzenie nabiera ostrości. Bielona wapnem powała, ozdobiona wymalowanymi ciemnozieloną farbą pnąciami. Maleńkie liście i wąsy wiją się też na jasnych ścianach. Nade mną wisi żelazny kandelabr, wszystkie świece są w tej chwili zgaszone. Lekko otumaniona, wiodę wzrokiem za jedną z gałązek bluszczu, która biegnie wokół okna przesłoniętego kotarami z zielonego aksamitu. Nie przepuszczają nawet jednego promienia słońca. Jak to możliwe, że w pokoju jest jasno?

Spoglądam w drugą stronę i już wiem. Na pustym stole migoce łagodnie samotna świeczka. Cieniutka smużka dymu unosi się nad płomieniem. Jestem tak bardzo zmęczona! Kiedy powieki zaczynają mi znowu opadać, dociera do mnie, że nie mam pojęcia, dokąd trafiłam.

Podrywam się gwałtownie i drzę, kiedy spostrzegam że nie jestem tu sama. Na ustawionym w nogach łóżka krzesle siedzi George, królewski błazen. Czyli to naprawdę jego słyshałam.

Stopy oparł na niskim stołku, nakryty jest kocem podciągniętym wysoko pod brodę. Śpi jak zabity. Niewiele się zastanawiając, wygrzebuję się z pośłania. Nie wiem jeszcze, czy chcę znaleźć się jak najdalej od niego, czy wręcz przeciwnie. Nogi jednak płaczą mi się w pościeli i spadam z łoskotem na podłogę.

– Wybierasz się dokądś? – pyta półgłosem. Patrzy na mnie jednym półprzymkniętym okiem.

– Tak. Nie. Nie wiem. – Klękam i osłaniam się kołdrą. – Co ty tu robisz?

– Ach, znów to odwieczne pytanie. – George wznosi oczy ku górze. – Teologowie od dawna sądzą, że nasz ziemski żywot stanowi...

– Nie o to pytałam! – warczę, a on reaguje wybuchem śmiechu. – Chyba nie zawsze nocujesz na krzesle przy cudzych łóżkach?

– Spokojnie. – Prostuje się na siedzeniu i stawia nogi na podłodze. Zmierzwione ciemne włosy sterczą na wszystkie strony, przez co wygląda na młodszego niż w rzeczywistości. – John powiedział, że zapewne niebawem się obudzisz. Nie chciał, żebyś ocknęła się w samotności, w obcym wnętrzu i w ogóle. Stwierdził, że akurat tego

możesz mieć na jakiś czas serdecznie dosyć.

– Gdzie ja jestem?

Przygląda mi się z osobliwą miną: uniesione brwi, ledwie zarysowany delikatny uśmiezek. Tak samo patrzył, gdy przekradliśmy się do pałacu, zanim zostawiłam go w komnatach króla.

– W domu Nicholasa. Przyprowadził cię tu, kiedy... Sama wiesz. – Kręci głową.

Nicholas! Trafiłam do domu Nicholasa Perevila. Wspomnienia wracają do mnie gwałtowną falą. Aresztowanie. Osadzenie w Fleet. Odwiedziny Caleba i fakt, że nie wrócił. Wizyta Nicholasa, który przyszedł tam specjalnie po mnie. Ucieczka. Czego ten czarownik ode mnie chce? Zadałam mu to pytanie już w więzieniu, ale powiedział wtedy, że nie ma pewności. Musi wiedzieć, kim jestem. Bez wątpienia spróbuje mnie zgładzić. Łajam się w duchu, że nie zabiłam go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Jesteś błaznem – podejmuję. – Jesteś błaznem Malcolma. Co więc robisz w domu Nicholasa Perevila?

George wstaje i przeciąga się leniwie.

– Dokąd idziesz?

– Sprowadzę Nicholasa.

– Co? Nie! Po co?

Obrzuca mnie zagadkowym spojrzeniem.

– On chce z tobą porozmawiać. Prosił, bym po niego przyszedł, gdy tylko dojdiesz do siebie. – Podchodzi do mnie i podaje mi rękę. Przez chwilę wpatruję się w jego dłoń, po czym pozwalam, by pomógł mi wstać. – Sam ci wszystko wyjaśni. Zaraz wrócę. – George delikatnie zamyka za sobą drzwi.

Przechadzam się od ściany do ściany. Próbuję opanować skołatane nerwy. Cała ta sytuacja mocno mi się nie podoba. Znalazłam się w domu najbardziej niebezpiecznego zbrodniarza w Anglii, a on niby chce ze mną po prostu pomówić? Aha, już w to wierzę.

Gdyby George powiedział, że Nicholas zamierza przywiązać mnie do krzesła i bić, póki oczy nie wyskoczą mi z orbit, to co innego. W to byłabym skłonna uwierzyć. Gdyby chciał wrzucić mnie do wody, a potem wystawić na zimny wiatr, bym zamarzła na śmierć. Pewnie.

Gdyby chciał oblać mnie płynnym ołowiem. Zgruchotać kolana, zmiażdżyć kciuki, odpiłować ręce i nogi. Tak. Możliwość jest bez liku. Ale porozmawiać? To najmniej prawdopodobna z nich.

Rozglądam się po pokoju. Za krzesłem, na którym spał George, znajduje się kominek. Płomienie nie są może zbyt wysokie, ale zapewniają ciepło. Drewnianą podłogę przykrywa miękki dywan. Ściany ozdobione są tylko malowanymi pnączami; brakuje gobelinów lub obrazów, żadnych makabrycznych malowideł. Łoże jest szerokie i wygodne, czysta pościel pachnie lawendą. Zaraz potem uświadamiam sobie, że ja też jestem czysta i pachnę. Brudna sukienka zniknęła, zastąpiła ją prosta lniana koszula nocna. Świta mi w głowie, że bez względu na to, od kiedy tu jestem i czego ten mag ode mnie chce, nie potraktowano mnie źle.

Jak dotąd.

Podbiegam do stołu. Gaszę świeczkę dwoma palcami i odrywam ją od świecznika. Łamię ją na pół i wyciągam z wosku knot. Pospiesznie owijam go sobie wokół dłoni. Szkoda, że nie jest dłuższy, ale i tak pozwoli mi udusić ofiarę. Wosk ciskam do kominka, po czym łapię za świecznik. Ciężki i żelazny, podobnie jak kandelabr. Można nim zrobić krzywdę. Wciskam go pod poduszkę. Zdążyłam w samą porę, ponieważ ktoś puka cicho do drzwi i zanim zdołam odpowiedzieć, do pokoju wchodzi Nicholas. Tuż za nim pojawia się George.

Czarnoksiężnik sprawia wrażenie wyrwanego z głębokiego snu, wygląda starzej, niż zapamiętałam. Odziany jest w granatowy szlafrok, ciasno związany w pasie. Ma przekrwione oczy i dziwnie bladą cerę. Przygląda mi się przez chwilę, po czym wita się skinieniem głowy.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiadam. Wcale nie kłamię. Może tylko jestem jeszcze trochę osłabiona, a przy każdym oddechu bolą mnie płuca. W dodatku to dręczące pragnienie. I owszem, chętnie wrzuciłabym coś na ząb. Poza tym czuję się jednak zupełnie dobrze.

Nicholas uśmiecha się, jakby czytał mi w myślach.

– Musimy podziękować za to Johnowi – mówi. – Ten chłopak ma prawdziwy dar. – Ze stłumionym jękiem siada na krześle. George trzyma się za nim, na jego twarzy maluje się wyraz troski. – Zatem, Elizabeth,

chcesz się dowiedzieć, co tutaj robisz.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Potakuję.

Nicholas już ma zacząć odpowiadać, kiedy słyszymy pukanie. George otwiera drzwi, wpuszcza młodego człowieka z dwoma cynowymi kielichami w rękach. Ponad naczyniami wiją się smugi pary. W powietrzu tańczą małe białe chmurki. Jeden puchar trafia do Nicholasa, który przyjmuje poczęstunek z wdzięcznością. Następnie nieznajomy podchodzi do mnie i wręcza mi drugi kielich.

– Elizabeth, poznaj Johna Raleigha, naszego uzdrowiciela – przedstawia Nicholas.

Uzdrowiciel? Nie jestem w stanie się powstrzymać i marszczę czoło. Uzdrowiciel znaczy przecież w zasadzie tyle co czarnoksiężnik. Mimo że stoi z wyciągniętą ręką, nie odbieram kielicha.

– Arcydział z domieszką łopianu – informuje.

Wzruszam ramionami. Osobiście znam się tylko na trujących, śmiertelnie niebezpiecznych ziołach.

Uzdrowiciel rzuca mi stonowany uśmiech.

– Ta mikstura oczyszcza krew. Uspokoi ci też żołądek. Nic więcej. – Milknie na moment. – No dobrze, dodałem trochę ogórka na spędzenie gorączki oraz liście wiązu i krwiściągu przeciw kaszlowi. Ach, jest jeszcze owies na tę wysypkę. No i bylica, ponieważ... cóż... masz wszawicę. I na uspokojenie kilka kropel wyciągu z maku. Ale to już naprawdę wszystkie składniki. Słowo daję.

Ponownie podsuwa mi kielich, a ja uparcie odmawiam.

– Gdybym chciał cię skrzywdzić, nie podawałbym ci po prostu niczego – zauważa. – A ten specyfik popijasz, odkąd tutaj trafiłaś.

Spoglądam na George'a. Nie wiem dlaczego, ale przeczuwam, że gdybym miała wypić puchar trucizny, on by mnie przed tym przestrzegł. A przynajmniej na ten temat zażartował.

George kiwa spokojnie głową.

Niemal wyrywam kielich z rąk uzdrowiciela i duszkiem wypijam zawartość. Napój ma smak selera.

John uśmiecha się szeroko. Nie przypomina typowego uzdrowiciela. Większość jest stara, siwa i bezzębna. O tym, jak wyglądają kobiety, nawet nie wspomnę. Raleigh jest młody, w moim



wieku. No, może odrobinę starszy. Ma nieco dłuższe, kręcone ciemne włosy i orzechowe oczy. Wysoki, sprawia lekko niechlujne wrażenie, jakby zapomniał się rano ogolić. Może dlatego, że mamy sam środek nocy. Kiedy oddaję mu pusty puchar, zauważam, że krzywo zapiął koszulę. Zapewne bardzo się spieszył.

Uzdrowiciel podchodzi do Nicholasa, któremu nie musi opowiadać o składnikach wywaru. Widzę, jak przykładą rękę do czoła maga, jak dotyka jego dłoni. Marszczy brwi.

– Tylko nie za długo, zrozumiano? – mówi. – To się tyczy również ciebie. – Odwraca się i patrzy mi prosto w oczy.

Podnoszę brwi.

– Nasz lekarz jest bardzo surowy. – Nicholas uśmiecha się i kiwa Johnowi głową.

– Jak ksiądz w niedzielę – dodaje George.

John odpowiada słowem, którego ksiądz z pewnością nie użyłby w niedzielnym kazaniu. Dwaj pozostali mężczyźni zanoszą się śmiechem. Ja też mimowolnie zaczynam się uśmiechać, lecz czym prędzej poważnieję.

– Jutro rano sprawdzę, jak się miewacie. – John rusza do drzwi.

– Nie musisz – wypalam. Uzdrowiciele zawsze sprawiali, że czułam się nieswojo. A z jakiegoś niejasnego powodu myśl o tym, że ten konkretny medyk miałby przyjść do mojego pokoju sam, podczas gdy ja wciąż będę leżeć w łóżku, okazuje się działać mi na nerwy w dwójnasób.

– Niby dlaczego? – pyta skonsternowany George. – John odwiedzał cię co godzina, odkąd się tutaj znalazłaś. Skoro teraz chce cię oglądać ledwie dwa razy dziennie, to znaczy że nastąpiła znaczna poprawa.

Czuję, jak moje policzki ogarnia żar rumieńców. Co godzina? Czy to on zdjął ze mnie sukienkę? I umył? Nie, to ta dziewczyna. Boże, mam nadzieję, że to ona się mną zajęła. Przez jedną przeraźliwą chwilę zastanawiam się, czy zauważyła moje znamię? Czy powiedziała o nim reszcie? Czy już wiedzą, kim jestem? Odsuwam te myśli od siebie. Przecież gdyby wiedzieli, nie siedziałabym tu i nie prowadziła luźnej konwersacji. Byłabym zimnym trupem.

– Nie ma takiej potrzeby. Świetnie się czuję – dodaję, lecz John

nawet na mnie nie patrzy.

Gromi spojrzeniem George'a. Zaraz potem podnosi głowę i uśmiecha się do mnie łagodnie.

– Z klerem się nie dyskutuje – rzuca i cicho zamyka za sobą drzwi.

Nicholas mości się wygodniej na krześle i powoli sączy napój. Wreszcie, po dłuższej chwili, zwraca na mnie uwagę. Czekam, by cokolwiek powiedział, ale mag po prostu siedzi, stuka paznokciem w ściankę kielicha i zagląda do środka. Ostatecznie jednak podejmuje rozmowę:

– Elizabeth, aż do tej pory pozostawałaś przez całe życie dobrą i lojalną poddaną Malcolma, mam rację?

– Tak.

– I jako taka zawsze dotąd zachowywałaś się zgodnie z panującymi w królestwie prawami i zasadami. Czy może się mylę?

Waham się, lecz po chwili kręcę przecząco głową. Do czego on zmierza?

– Bez względu na to, czy uważałaś owe prawa za słuszne?

Ach, do tego.

– Tak.

Osusza puchar i odstawia go na stół.

– Jak prawdopodobnie wiesz, nie wszyscy poddani króla Malcolma są równie lojalni jak ty. Nie wszyscy przestrzegają jego praw. A wielu spośród tych ludzi, w tym i ja, uważają, że wprowadzane przez monarchę zasady są głęboko niesłuszne. Czy może być właściwe, że niewinną dziewczynę, taką jak ty, wtrąca się do więzienia i skazuje na śmierć? Za tak błahe przewinienie jak posiadanie kilku ziół?

Nie do końca zgadzam się z opinią co do swojej niewinności. Te ziola naprawdę były trujące. Nagle uświadamiam sobie coś innego.

– Skąd o tym wiesz?

Nicholas rzuca mi stonowany uśmiech.

– Mamy swoje sposoby.

Patrzę zaskoczona. Czarnoksiężnik jednak nie wyjaśnia, mówi dalej:

– Jak powiedziałem, część z nas uważa, że magia jest prawem i przywilejem, nie podstawą do lęku, kar i zabijania. Palenie magów

i czarownic... – Urywa, wpatrując się w trzaskający w kominku ogień. Chrząka i ciągnie: – To się musi skończyć. A ci, którzy są tego zdania, połączyli siły. Wedle króla jesteście zdrajcami, lecz my wolimy, kiedy nazywa się nas reformistami. Jestem pewien, że słyszałaś to słowo.

– Tak.

Do buntów i zamieszek dochodzi tak często, że w Anglii nie ma już chyba nikogo, kto nie słyszałby o reformistach. To określenie jest zresztą bardzo stare. Obecnie jednak oznacza coś innego niż w przeszłości. Dawniej tak nazywano osoby uczone. Ludzi, którzy prowadzili badania nad naturą magii i jej wszelkimi możliwymi zastosowaniami. Tych, którzy starali się znajdować metody dzielenia się z bliźnimi dobrodziejstwami czarów, chcieli poprawić ich życie. Niektórzy z reformistów byli zwykłymi ludźmi, inni – czarownikami. Wszyscy jednak zgadzali się co do jednego: magia bywa wielce pomocna, ale należy ją poddać pewnym ograniczeniom. Kontrolować. Rozumieli, jakie zagrożenia niesłoby nieuporządkowane rozpowszechnianie wiedzy magicznej.

Z czasem prawa regulujące magiczne praktyki straciły moc. Nie były wcielane w życie. Ani przez króla, ani przez szeryfów na wsiach. Jeżeli nie udało się skutecznie rzucić miłosnego uroku lub jeśli rolnikowi plony schły na polu, lecz już za tydzień mógł rozpoczynać kolejne żniwa, to cóż. Nikt na tym szczególnie nie cierpiał. Stróże prawa przymykali oko.

Siedem lat temu wybuchła w Anglii epidemia zarazy. Umarł co drugi mieszkaniec królestwa. Powiada się, że plaga rozprzestrzeniła się za sprawą szalonego maga. Od tamtej pory czary zostały zakazane. We wszystkich odmianach. Nie tylko zaklęcia demonologów, nekromantów czy osób praktykujących czarną magię. Spod prawa wyjęto również uzdrowicieli oraz alchemików. Innego wyboru po prostu nie było. Anglia nie mogła ryzykować drugiej katastrofy na taką skalę.

Wtedy jednak reformiści byli już innymi ludźmi. Jak powiedział Nicholas, doszli do wniosku, że uprawianie magii stanowi prawo, nie przywilej. Mianem reformistów nie określano już osób starających się poprawić los innych. A słowo: czarnoksiężnik zaczęło się kojarzyć ze śmiercią. Nicholas może sobie mówić, co chce o reformistach i grozie

śmierci w płomieniach. Ja wiem swoje.

I wreszcie doznaję olśnienia.

– Ty! – zwracam się do George’a. – Żaden z ciebie błazen! Jesteś reformistą. Szpiegiem! – Nie do wiary, że zrozumiałam to dopiero teraz.

George spogląda na Nicholasa, który kiwa głową.

– Tak. Masz rację – przyznaje. – Jestem szpiegiem. I reformistą. Ale wierz mi, błaznem też. – Puszcz do mnie oko.

Niesamowite. Nicholasowi udało się umieścić swojego człowieka pod samym nosem króla Malcolma. Co więcej, George nawet nie próbował zaprzeczać. Tego było już zbyt wiele nawet dla mnie. Muszę się stąd wydostać. A im wcześniej czarownik zacznie gadać, tym szybciej wymyślę, jak czmychnąć.

– W Fleet powiedziałeś, że zostałeś po mnie wysłany – przypominam. – Kto cię wysłał?

Kiwa głową.

– Od czasu do czasu korzystamy ze wskazówek jasnowidzącej kobiety. Jej przepowiednie bardzo nam pomagają. Widzi nie tylko przyszłość, dostrzega także zaistniałe sytuacje, których nie byliśmy świadomi. Jeszcze nigdy nie zawiodła, więc wszystkie jej słowa traktujemy z wielką powagą.

Już w tej chwili coś zaczyna mi tu śmierdzieć. Ale muszę go wysłuchać do końca.

– W trakcie dwóch naszych ostatnich spotkań wieszczka stwierdziła, że musimy cię odnaleźć i sprowadzić tutaj. Początkowo podejrzewaliśmy, że zaszła pomyłka, ale okazuje się, że nie. To naprawdę ciebie mieliśmy odszukać.

– Mnie? – Wsuwam dłoń pod poduszkę. – Ale po co?

Czarownik kręci głową.

– Tego nie wiemy. Nie była nam w stanie wytłumaczyć. Przynajmniej jak dotąd. Niekiedy wizje jasnowidzów bywają ogólnikowe i nabierają wyrazistości dopiero po pewnym czasie. No, ale skoro już tu jesteś, wkrótce wszystko stanie się jasne. Zaprowadzimy cię do wieszczki.

Być może Nicholas potrzebuje dodatkowych wyjaśnień, lecz dla mnie jedno jest jasne już teraz. Ta wieszczka wyszukuje łowców

czarownic. Jeżeli reformiści naprawdę chcą, by stopy przestały płonąć, to dobrym pomysłem byłoby rozprawienie się z łowcami. A kiedy się dowiedzą, kim jestem, rozpoczną swoje porachunki ode mnie.

Chwytam ukryty pod poduszką świecznik. Zaciskam na nim palce. Serce wali mi jak młotem. Czuję skurcz żołądka, taki sam, jak przed aresztowaniem. Błyskawicznie wymierzone uderzenie w skroń, zapleciony na jego krtani knot, po kilku sekundach powinno być po wszystkim...

Nie mogę zabić Nicholasa. Zabrania mi zasada Blackwella. Jeżeli zabiję czarnoksiężnika, którego ściga od wielu lat, nigdy nie odzyskam jego szacunku. Muszę pomyśleć o ucieczce, muszę wrócić do Upminster i sprowadzić Blackwella tutaj. I muszę to zrobić, zanim dowiedzą się, kim jestem.

Ukrywam twarz w dłoniach i udaję, że płaczę.

– Przepraszam – szepczę. – Tyle nagłych wydarzeń... – Ocieram z policzka nieistniejącą łzę. – Chyba nadal nie wydobrzałam. Może kiedy jeszcze trochę odpocznę...

– Oczywiście – mówi Nicholas i George pomaga mu wstać. – Nic w tym dziwnego. Wiele ostatnio przeszłaś. Możemy porozmawiać rano.

– Myślę, że do świtu wrócę już do siebie – obiecuję. A przede wszystkim rankiem wrócę do Upminster.

George odprowadza maga do drzwi.

– Dobranoc, Elizabeth – żegna się cicho Nicholas. – Śpij dobrze. Wychodzi.

Spuszczam głowę, by nikt nie zauważył mojego uśmiechu. Nic dziwnego, że reformiści nie potrafią przejąć władzy w królestwie. Są stanowczo zbyt naiwni.

Zadzieram głowę i napotykam spojrzenie George'a. Przygląda mi się uważnie.

– No co?

– Nic – odpowiada i zamyka drzwi. Od wewnątrz.

– Co robisz?

– Pomyślałem, że zostanę przy tobie. Wiesz, w końcu tak mocno to wszystko przeżywaś i w ogóle. – Wraca na krzesło, kładzie nogi na stołku i okrywa się kocem. Kiedy zamyka oczy, jestem gotowa przysiąc,

że przez jego twarz przemyka nieznaczny uśmiezek.  
Ach, czyli jednak wcale nie są tacy naiwni.

## ROZDZIAŁ 7



Jasne, mogłabym go zabić. Ostatecznie Blackwell nie zabronił nam uśmiercania błaznów. Tyle że George nie stanowi dla mnie zagrożenia. I chociaż nadal niepokoi mnie myśl, że jego towarzysze dowiedzą się, dla kogo pracuję, postanawiam zostać. Odrobina wytchnienia bardzo mi się przyda. W tej akurat sprawie nie skłamałam.

Kiedy budzę się nazajutrz, bez większego zaskoczenia stwierdzam, że George wciąż jest w pokoju. Stoi przy kominku i dopycha czubkiem buta płonące polano. Jest ubrany. Ma na sobie zielone spodnie, krzykliwą koszulę w biało-czerwone pasy i kamizelkę.

– Dzień dobry – mówi, nie odwracając się do mnie. – A właściwie dobre popołudnie.

Popołudnie? Podrywam się jak oparzona.

– Wynoś się stąd! – rzucam.

– Ładnie tak traktować nowych przyjaciół? – Posyła mi szeroki uśmiech. Klapy jego kamizelki pokrywają jaskrawe haftowane wzory. Czerwień, zieleń i błękit. W ubranie ma też wpiętą złotą broszkę, z której sterczy olbrzymie czerwone pióro.

– Wystroiłeś się jak choinka – burczę.

– Poczekaj, aż zobaczysz kapelusz – odpowiada. – A teraz wstawaj, wariatko. Umieram z głodu i mam już serdecznie dosyć czekania na ciebie.

– No to nie czekaj. Idź coś zjeść.

– O nie! Nie powinienem zostawiać cię samej. To duży dom

i mogłabyś zabłądzić w drodze do jadalni.

Wzdycham poirytowana. Może jednak będę musiała go zabić.

– A ty nie jesteś głodna?

– Właściwie to nie – przyznaję. W każdym razie nie czuję takiego głodu, jaki powinnam, nie jedząc od... Bóg wie kiedy.

George kiwa głową.

– John dodawał co nieco do twoich lekarstw. Napary, wywary i inne takie, rozumiesz. Nie chciał, żebyś się zagłodziła. Podejrzewam zresztą, że nasyciłaś się śniadaniem.

– Śniadaniem? – Wyraźnie czuję, jak oczy otwierają mi się szeroko. – John był tu już rano?

– Oczywiście. Przecież osobiście ci to obiecał. Nie pamiętasz?

– Pamiętam, że tak powiedział. Ale zupełnie nie pamiętam jego odwiedzin. – Marszczę czoło. – Jak wam się to udaje? Pojawiacie się tutaj, poicie mnie dziwnymi miksturami, a ja o wszystkim zapominam. To bardzo nieładnie.

George poważnieje i spogląda mi głęboko w oczy.

– Może i racja. Ale kiedy do nas trafiłaś, byliśmy przekonani, że nie żyjesz. W każdym razie wyglądałaś na martwą. I naprawdę, cholera, niewiele brakowało. John natychmiast uwarzył jakieś serum. Podtrzymywaliśmy cię, próbowaliśmy nakłonić, byś je wypila. A ledwie poczułaś na wargach kubek, kompletnie ci odbiło.

– Naprawdę?

– Tak, zaczęłaś się rzucać, szamotać. Wrzeszczałaś i przeklinałaś. A w tej sztuce dorównujesz najstarszym piratom, wiesz? Taki język damom nie przystoi.

W odpowiedzi tłumaczę mu – językiem zdecydowanie nieprzystającym żadnej damie – co może sobie z podobnymi uwagami zrobić. George parska śmiechem.

– Tak czy inaczej żal mi Johna – mówi dalej. – Jemu oberwało się najbardziej. Kopnęłaś go w brzuch, oblałaś go jego własnym medykamentem, a na dokładkę gruchnęłaś kubkiem w głowę. Naturalnie, natychmiast przygotował świeżą porcję, z dodatkiem jakiegoś specyfiku na uspokojenie. – Uśmiecha się pod nosem. – Zadziałało.



– Mówisz?

Potakuje skinieniem.

– Piratka z niewyparzoną gębą zniknęła na dobre. Kiedy już wypić ten jego środek, zrobiłaś się słodziutka jak karmelek. Nie przestawałaś się uśmiechać. Uznaliśmy, że z taką wersją ciebie poradzimy sobie o wiele łatwiej, więc poiliśmy cię wywarem Johna raz po raz. A właśnie, wiesz, że gadasz przez sen?

– Nie miałam pojęcia – odpowiadam i ogarnia mnie przerażenie.

– A gadasz. Czuwałem przy tobie noc w noc i sporo się nasłuchiwałem. Kochliwa z ciebie dziewczyna. Bez przerwy paplałaś o ucieczce z jakimś chłopakiem. Na imię ma, zdaje się, Caleb, prawda?

Nie potrzebuję lusterka. Wiem, że cała spąsowiałam.

– Nie przejmuj się. Nikomu nie pisnę o tym słówkiem. Ale powiem ci, że ta paplanina brzmiała jak historia z powieści romantycznej. Na co komu rycerze w lśniących zbrojach albo inni zabójczo przystojni książęta, skoro można się durzyć w Caleebie? – przeciąga imię na modłę śpiewającego barda.

– Przestań – ucinam. I wtem przychodzi mi do głowy straszliwa myśl. – Ale nie powiedziałam nic więcej, co?

George spogląda na trzaskające w kominku płomienie.

– Niewiele. Tyle że... Kiedy John próbował ci za pierwszym razem podać lekarstwo, wtedy gdy go kopnęłaś, nazwałaś go Malcolmem. – Zerka na mnie ciekawie. – Wiesz może dlaczego?

Wzruszam ramionami i wbijam zmieszany wzrok w podłogę.

George podchodzi i siada obok mnie na łóżku.

– Przepraszam. Nie powinienem był ci tego mówić. Poza tym to wszystko było szalenie urocze.

– Urocze?

Kiwa głową.

– Nawet przekleństwa. Właściwie to one najbardziej. Zabawne słyszeć pieprzny język z ust tak słodkiej osóбки.

Podnoszę oczy do góry. George odpowiada śmiechem i podciąga mnie na równe nogi.

– No, dalej. Włóż coś na siebie i pójdziemy coś przekąsić. Ubrania znajdziesz w szafie. A kiedy spotkasz Johna, koniecznie mu podziękuj.

I może... przepraszam? Twój kopniak naprawdę go zaskoczył. Przeleciał przez cały pokój – dodaje i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Nareszcie zostaję sama. Spiesznie podbiegam do okna, odciągając zasłony i chwytam za klamkę. Naciskam ją i próbuję pchnąć. Bez skutku. Ponawiam próbę, tym razem z całych sił. Nic, okno nawet nie drgnie. Korci mnie, by cisnąć w szybę krzesłem, ale wtedy ściągnę sobie na głowę George'a i całą resztę. Domyślam się zresztą, że okno zostało zablokowane jakimś zaklęciem.

Rozglądam się dokoła. Sufit, podłoga, ściany. Przecież musi być jakiś sposób. Zatrzymuję spojrzenie na kominku. Ogień już dogasa. Właśnie! Podrywam z krzesła pozostawiony przez George'a koc i zarzucam go na płomyki, które po chwili gasną. Czekać, by rozwiął się dym, podchodzę żywym krokiem do szafy. Zgodnie z zapowiedzią George'a znajduję w niej kilka czystych, choć wyjątkowo paskudnych sukienek.

Wybieram najmniejszą. Brązowa zgrzebna kiecka. Naciągam ją na swoją koszulę nocną. Zwisa mi na ramionach jak worek na pszenicę i ciągnie się po podłodze. Wyjmuję z szafy kolejną i odrywam dolną połowę, którą drę na pasy. Jednym przewiążuję się w talii, a drugi zaplatam na głowie, by włosy nie wchodziły mi do oczu. Wciąż jednak brakuje mi butów. Coś z tym trzeba zrobić. Bosa daleko nie ucieknę.

Ktoś puka do drzwi.

– Wszystko w porządku? – rozlega się głos George'a. Klamka wędruje powoli w dół.

– Nie wchodzi! Przebieram się! – wołam. Znajduję parę koszmarnych butów, w dodatku stanowczo na mnie za dużych, zakładam je i dodatkowo mocuję na stopach za pomocą kolejnego paska tkaniny.

Klamka zamiera.

– Co tak długo?

– Przez te sukienki. Żadna na mnie nie pasuje. Robię tu, co mogę!

Gotowe. Wracam pędem do kominka i wsuwam głowę do środka. Obmacuję ściany. Ogień palił się przez całą noc, więc wewnątrz jest nadal rozgrzane. Bardzo. Ale co tam, kilka oparzeń mnie przecież nie zabije. Dzięki napojowi uzdrowiciela mam w sobie tyle siły, że powinny się wkrótce zagoić. W kominie wciąż kłębi się dym, lecz dłużej już nie

mogę czekać.

– Jeszcze momencik! Jestem już prawie gotowa! – wołam w kierunku drzwi. Zaraz potem zaczynam wspinaczkę.

Komin ma szerokość około metra dwadzieścia, zbudowano go z nierówno ciosanych kamieni, których łatwo jest się przytrzymać. Zapewniają też wygodne oparcie dla stóp. Nawet stóp w wielkich buciorach. Problem jednak sprawia dym. Trudno mi oddychać, widzę tylko niewiele ponad metr naprzód. Muszę więc polegać na pozostałych zmysłach.

Gwiżdżę pod nosem i próbuję na słuch ocenić wysokość komina. Echa prawie nie ma. Myślę, że czeka mnie najwyżej dwadzieścia metrów. Już przy pierwszym kroku uderzam ramieniem o kamień. Tuż powyżej paleniska przejście mocno się zacieśnia, ma może z sześćdziesiąt centymetrów średnicy. To naprawdę niewiele, nawet dla mnie. Przepelnia mnie jednak determinacja. Muszę się stąd wyrwać.

Zapieram się nogą, odpycham i wciskam. Wbijam się w komin po pas, ramiona mam przyciśnięte do boków. Z dołu dolatują hałasy. Drzwi otwierają się z hukiem, czyjs głos woła mnie po imieniu. To George. Na pewno zaraz zajrzy do kominka. Muszę wdrapać się wyżej, wydostać poza zasięg jego ramion. Na oślep próbuję znaleźć kolejną nierówność, na której mogłabym oprzeć nogę. Jest! Jednak gdy tylko stoję na niej całym ciężarem, obluzowany kamień odpada ze ściany i z głośnym grzechotem ląduje w popiele poniżej.

– Tu jest! – Krzyk George’a odbija się echem od wnętrza komina.

Przeklęty! Wiję się jak piskorz, uwalniam ręce i wyciągam je ku górze. Ledwie zdążyłam się czegoś złapać, ktoś chwyta mnie za kostkę. Próbuję wyswobodzić się z uścisku, lecz dłoń trzyma mnie mocno.

– Puszczaj! – Kopię jak szalona.

– Elizabeth! Au... Możesz wreszcie prze... Au... Cholera jasna! – To John, uzdrowiciel.

Łapie za moją drugą nogę i ciągnie. Nie jest słabeuszem. Ja jednak jestem silniejsza. Niestety, słaba okazuje się konstrukcja kominka. Część ściany, której się czepiam, kruszy się i spadam w dół, prosto na Johna. Wytaczamy się na podłogę splątani, niemiłosiernie umazani sadzą i popiołem. Próbuję się wywinąć, lecz uzdrowiciel chwyta mnie za

przeguby, odwraca na plecy i przygniata własnym ciężarem do dywanu.

– Co ty, do diaska, wyprawiasz? – Jego twarz unosi się ledwie kilka centymetrów nad moją. – Do reszty oszalałaś?

– Złaż ze mnie! – wrzeszczę, raz po raz starając się wysmyknąć z pułapki. Trzyma mnie jednak zbyt mocno. Mogłabym go kopnąć, ale tego akurat chyba robić nie powinnam. Wystarczy, że nakryli mnie w trakcie próby ucieczki. Nie mogę dopuścić, by się dowiedzieli, kim jestem. Nieruchomieję, lecz John nawet na moment nie zwalnia chwytu.

– Nie pozwól jej wstać. Najpierw musimy się dowiedzieć, dokąd się wybierała. – George klęka obok i świdruje mnie spojrzeniem. – No już. Gadaj!

Milczę, tylko moje oczy strzelają piorunami.

– Cóż, w takim razie sprowadzę Nicholasa – mówi.

– Chciałam wrócić do domu – mamroczę. – Po prostu... Muszę wrócić. Nie mogę tu zostać. Nie mogę! – To szczerą prawdą. Najprawdziwsze, co powiedziałam, odkąd się tutaj znalazłam.

– Dlaczego? – pyta ostro John. – Po co musisz wracać? – Połowę jego ciemnych włosów przyprószył siwy popiół.

Prawda, wciąż mówię prawdę.

– Dlatego, że... Bo jesteś czarownikiem...! – John otwiera usta, by zaprotestować. Nie daję mu dojść do głosu. – Dobrze, jesteś uzdrowicielem. Tak samo źle. A ty... – spoglądam na George'a – ty jesteś szpiegiem. Obaj należycie do reformistów. Zdrajcy. I zamierzacie mnie zaprowadzić do jakiejś jasnowidzącej wiedźmy. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. I tak mam dość kłopotów. A przecież jest jeszcze Nicholas! O nim nawet nie muszę wspominać. To najbardziej poszukiwany przestępca w całej Anglii... i... No, co?

George i John wymieniają się spojrzeniami. John wstaje z podłogi i podaje mi rękę. Nie przyjmuję jej.

– To nie do końca prawda – odzywa się George.

– Co?

– Powiedziałaś, że Nicholas jest najbardziej poszukiwanym przestępcą w królestwie. Cóż, tu się grubo mylisz. – Stoją i przyglądają mi się z bardzo dziwnymi minami. – Ten wątpliwy zaszczyt przypadł niedawno komuś innemu.

– Co z tego? – syczę. – To nie ma znaczenia, ponieważ...  
– Ależ ma znaczenie – przerywa mi George. – Dlatego, że  
najbardziej poszukiwanym przestępcą w Anglii jesteś teraz ty.

## ROZDZIAŁ 8



Sama nie wiem, czego innego się spodziewałam.

Może sądziłam, że Blackwell o mnie zapomni – przynajmniej do momentu, gdy wrócę z informacjami na temat Nicholasa. Że mi przebaczy i zaprosi do kolejnych polowań na czarownice. Ale Blackwell o niczym nie zapomina, nigdy też nie przebacza. Powinnam była o tym wiedzieć. Niewykluczone nawet, że właśnie tego się spodziewałam, tyle że ślepo trzymałam się nadziei. Praca dla niego nigdy nie była moim wymarzonym zajęciem, przeciwnie. Ale przynajmniej miałam dom. A teraz nie mogę tam wrócić.

Nigdy.

Chciałabym zostać sama. Mogłabym wtedy wrzeszczeć, mogłabym coś uderzyć, rozbić. I zastanowić się nad przyszłością. Zamiast tego widzę spojrzenia Johna i George'a. Na ich twarzach malują się zmieszane w równych proporcjach strach i współczucie. Dlaczego sobie nie pójda? Obciążam sukienkę aż do kostek i strzepuję z niej płamki popiołu. Spływają na podłogę delikatnie niczym płatki śniegu.

– Nas to również zaskoczyło – odzywa się łagodnie John.

Przysiada obok i podciąga kolana pod brodę. Po chwili dołącza do nas George i tak sobie siedzimy całą trójką w milczącym kręgu.

– Czy oni wiedzą, że jestem u was? – pytam wreszcie. Mój głos brzmi zwodniczo spokojnie.

George odchrząkuje.

– Tak – mówi. – Cały Upminster o tym huczy. Wszyscy

opowiadają o pałacowej służce, która okazała się czarownicą i reformistką, potajemnie sprzymierzoną z Nicholasem. Szpiegiem donoszącym nam o poczynaniach królewskiej pary. Wiedźmą rzucającą na nich uroki, planującą otruć oboje. Wybuchł wielki skandal. Podobno królowa oszalała z rozpaczy i od kilku dni nie jest w stanie dojść do siebie.

John kręci głową.

– Wiele osób bardzo im współczuje. Co do ciebie tymczasem... – Marszczy czoło i przeczesuje włosy palcami.

– Co znowu?

Uzdrowiciela wyręcza George.

– Król ogłosił cię czarownicą, reformistką, szpiegiem i zdrajczynią. Bardziej poważne zbrodnie po prostu nie istnieją. Także i lud, mimo że od dawna nie darzy władcy sympatią, jest wzburzony do głębi. Pospólstwo domaga się krwi. Ale już nie krwi Malcolma, tylko twojej.

Przykładam dłoń do czoła, rozmyślam gorączkowo. To nie Malcolm wymyślił tę historyjkę. Tego akurat jestem pewna. Za tym musi stać Blackwell. Tylko dlaczego? Co może dzięki temu zyskać? Bo coś na pewno. On nie zajmuje się sprawami, na których nie może nic ugrać.

– Oczywiście wiemy, że to kłamstwa – dodaje John. –

Potrzebowali odwrócić czymś uwagę poddanych od płonących stosów. Szukali kozła ofiarnego. Ochronimy cię. Tutaj jesteś bezpieczna.

Bezpieczna... Tak, dopóki Nicholas nie dowie się, że jestem łowczynią czarownic. Wtedy znajdę się w takim samym niebezpieczeństwie – jeśli nie w większym – w jakim byłabym w Upminster. Tym bardziej muszę się stąd wydostać. Tyle że nie mogę wrócić do dawnego życia. Udam się prosto do Galii. Tamtejszy król traktuje uchodźców i wygnańców przychylnie, nie zawróci mnie. A wtedy skontaktuję się z Calebem i nakłonię go, by do mnie przyjechał. On zna mnie na tyle dobrze, że nie uwierzy w niczyje kłamstwa.

Najpierw jednak muszę się stosownie przygotować. Rozeznac się w sytuacji, ukraść trochę gotówki i kosztowności, by opłacić podróż. I uzbroić się, choćbym miała sama tę broń wykonać. A kiedy wybierzemy się do tej wieszczki, ucieknę co sił w nogach. I zabiję każdego, kto stanie na mojej drodze.

Zamyślam się tak głęboko, że nie zauważam zatroskanego spojrzenia klęczącego obok Johna.

– ... się czujesz? Jeśli nie, wcale nie musisz schodzić na dół.  
Poproszę, by coś ci przynieśli do pokoju.

– Nie, nie. W porządku. – Wstaję. – Ale dziękuję.

– W takim razie zobaczymy się w jadalni. – Uzdrowiciel podchodzi do drzwi. – Chyba powinienem się najpierw doprowadzić do porządku – dodaje, spoglądając po sobie. Strój ma cały w popiele, na dłoniach ciemniejszą smugi sadzy. Wypisz, wymaluj kominiarz.

– Ty też lepiej się umyj – rzuca George. – Zaczekam na korytarzu. Mam tylko nadzieję, że już się nigdzie nie wybierasz?

\* \* \*

Myję się, przebieram i spotykam z George’em stojącym pod drzwiami. Dociera do mnie, że nie mam pojęcia, ile czasu w tym domu spędziłam.

– Będzie już ze dwa tygodnie – mówi, kiedy idziemy w stronę schodów.

Dwa tygodnie. Oczywiście. Caleb wie, że uciekłam. I jeżeli George nie kłamał, wie również, że jestem u Nicholasa. Na pewno odchodzi od zmysłów. Nie mam pojęcia, dlaczego nie wrócił po mnie do Fleet, ale coś musiało się stać. Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że i on może być w opałach. A co, jeśli został aresztowany? Co jeżeli Blackwell podejrzewa, że Caleb przyłożył rękę do mojej ucieczki? Co jeżeli go torturują?

Przytłacza mnie przygnębienie tak duże, że zataczam się na ścianę i wpadam na obraz w ciężkich złoconych ramach. Wydaję z siebie stłumiony okrzyk, po czym natychmiast karcę się w myślach. Za to, że znów pozwoliłam sobie na moment rozproszenia, za brak koncentracji. Po raz kolejny. Jeżeli chcę się stąd wyrwać, coś podobnego nie może się powtórzyć. Najpierw nekromanta, potem te zioła. Dość już błędów. Na następne z pewnością mnie nie stać.

– Spokojnie. – George poprawia obraz. – W porządku?

– Tak. Po prostu trochę się przejęłam. Sam rozumiesz.

Powiedziałam to bez zastanowienia, lecz uświadamiam sobie, że to



prawda. Przejęłam się, jestem zdenerwowana. Między innymi myślą o spotkaniu z tymi wszystkimi ludźmi, o wspólnym posiłku. Z czarnoksiężnikiem, który mnie uratował, mężczyzną, który mnie uleczył, dziewczyną, która mnie umyła, i błaznem, który się ze mną zaprzyjaźnił. W pewnym sensie jestem dłużniczką każdej z tych osób, a przecież to moi wrogowie. Okazali mi tyle dobroci, a jestem gotowa ich zabić. Konsternacja zaciska mi żołądek.

– Jasne. – George posyła mi ciepły uśmiech. – Rozumiem. Jeżeli poczujesz, że nie dasz rady, po prostu przeproś i wróć na górę. Powiedz, że źle się czujesz. Nikt się nawet nie zdziwi.

– Nic mi nie będzie.

George patrzy mi prosto w oczy.

– Rozejrzyj się. – Rozkłada szeroko ramiona. – Wiem, że nawykłaś do pałacowych wnętrz, ale to również elegancki dom. Nicholas ma wyrafinowany gust. Spójrz na przykład na ten dywanik. – Pokazuje chodnik biegnący przez cały korytarz. Jest piękny, mieni się różnymi odcieniami granatu, żółci i zieleni. – Utknęła go ślepa kobieta, w dodatku jednoręka. Niesamowite, co? Powstał ponad pięćset lat temu. Oczywiście artystka pracowała nad nim bardzo długo...

– To wszystko prawda? – Wiem, że George po prostu chce odwrócić moje myśli od problemów, ale i tak jestem mu za to wdzięczna.

– Najprawdziwsza – potwierdza z całą powagą. – Widzisz, jeżeli chcesz z zyskiem zainwestować w wystrój wnętrz, najważniejsze jest znaleźć dzieła kalekich rzemieślników. To poważnie zwiększa ich wartość.

Podnoszę oczy do góry, lecz on mówi dalej:

– A widzisz ten portret? – Wskazuje malowidło przedstawiające skwaszoną kobiecinę, które niemal straciłam ze ściany. Jeden z licznych obrazów zdobiących ściany długiego korytarza. – Namalował go pewien karzeł. Musiał pracować na drabinie, żeby dosięgnąć sztalugi. Trzeba ci wiedzieć, że obrazy wychodzące spod pędzla karłów są trzy razy droższe niż prace ludzi zwykłego wzrostu.

Czuję, że na moje usta zakrada się słaby uśmiech.

– A te tutaj. – Pokazuje mi mosiężne lichtarze, osadzone

w równych odstępach na drewnianej boazerii. Kształtem przypominają lilie. – Kowal nie miał rąk ani nóg. Wyobrazasz to sobie? Posługiwał się wyłącznie ustami i językiem. Wprost niebywałe. A przy tym bezcenne.

Parskam śmiechem. Zupełnie mimowolnie. George kładzie mi rękę na ramieniu i ruszamy dalej. Kiedy jest w połowie historii o głuchym lutniku, zauważam, że zeszedliśmy po schodach i stoimy na środku przestronnego holu.

Przed nami widnieją potężne drewniane drzwi. Po bokach otwierają się w ścianach wysokie witrażowe okna, w szybach wyobrażony jest nieznany mi symbol. Małe słońce, wpisane kolejno w kwadrat, trójkąt i koło, które po bliższym zbadaniu okazuje się węzłem zjadającym własny ogon.

– ... nie słyszy dźwięku wytwarzanych przez siebie instrumentów. W życiu się nie domyślisz, w jaki sposób je stroi – ciągnie George. – Bierze gryf i wsuwa go sobie do... Co jest?

Zerkam mu przez ramię i widzę ich. Siedzą przy gigantycznym stole. Nicholas, dziewczyna, jakiś nieznajomy mężczyzna, John i...

– To ty! – wyrywa mi się głośno. To Peter. Co, u diabła, robi tu ten pirat?

– Ja. – Peter ze śmiechem podnosi się z miejsca. Podchodzi do mnie i zamyka w niedźwiedzim uścisku. Całuje mnie z rozmachem w policzek. Zalewa mnie rumieniec. – Ucieszyłaś się na mój widok, co, kochanieńka? – Obejmuje mnie ramieniem i prowadzi w głąb pomieszczenia. Popycha mnie na krzesło obok Johna. – Ślicznie dziś wyglądasz. O niebo lepiej niż kiedy widziałem cię ostatnio. Niełatwo o urodę z brzuchem pełnym absyntu, co?

– Ojcie... – odzywa się z jękiem John.

Spoglądam ku niemu z niedowierzaniem.

– To jest twój ojciec?

Uzdrowiciel potwierdza skinieniem głowy. Zauważam, że i on lekko poczerwieniał.

– Ma się rozumieć! – grzmi Peter. Okrąża stół i rzuca się zamaszyście na krzesło stojące dokładnie naprzeciwko mojego. – Jak inaczej chłopak mógłby wyrosnąć na takiego przystojniaka? – Wskazuje palcem Johna. – Tak udane egzemplarze rodzą się tylko z pirackiego

nasienia!

John jęczy raz jeszcze i skrywa twarz w dłoniach.

– Dobry Boże, nie pozwól mu już nigdy wypowiedzieć słowa „nasienie” – szepcze George i zajmuje miejsce obok mnie.

– Czas, żebyście się poznali – ciągnie Peter. – Rzecz jasna Nicholasa przedstawiać ci nie muszę.

Czarnoksiężnik uśmiecha się do mnie z honorowego miejsca. Wygląda jeszcze gorzej niż zeszłej nocy. Ma wychudłą twarz, zapadnięte oczy i ziemistą cerę. W dłoni trzyma parujący kubek z jakąś substancją. Domyślam się, że to kolejna z mikstur Johna. Odpowiadam nieśmiałym uśmiechem.

– A to z kolei. – Pirat wskazuje siedzącą po prawicy Nicholasa dziewczynę – nasza Fifer Birch. Jest uczennicą Nicholasa, pracują ze sobą od lat. Jego ulubienica, można powiedzieć!

Uczennica. Czyli również wiedźma. Fifer wygląda na moją rówieśnicę, jest może trochę młodsza. Szczupła, ciemnoruda. Blade policzki pokrywają liczne piegi. Przez moment wpatruje się we mnie bez jednego uśmiechu, po czym odwraca do Nicholasa i szepce mu coś na ucho.

– To wreszcie jest Gareth Fish. Nasz stary... przyjaciel. – Osobliwa nuta w głosie Petera podpowiada mi, że określenia „przyjaciel” użył nieco na wyrost. – Gareth również służył na dworze, chociaż na długo przed tobą. Jeszcze za czasów króla Edwarda.

Edward był ostatnim reformistą na angielskim tronie. Władzy pozbawił go ojciec Malcolma wskutek powstania, które trwało niecałe dziesięć dni. Magię popierał głównie w ten sposób, że zupełnie ją ignorował. Zainteresował się tymi kwestiami dopiero z nadejściem zarazy. Wówczas było już za późno. Kiedy Edward się poddał, przywódca rebeliantów zjął mu koronę z głowy, o którą natychmiast kazał go skrócić. Krzyżyk na drogę.

Gareth pochyla się nad blatem i przygląda mi się, podobnie jak przed momentem zrobiła to Fifer. Nie mruga, nie uśmiecha się. Jest starszy, niewykluczone, że w wieku Nicholasa. Trudno powiedzieć, gdyż świeci łysiną, a ostatnie ocalałe kosmyki włosów ma kompletnie siwe.

– Gareth przyjechał dziś rano z Upminster – dodaje Peter, zapewne

chcąc zachęcić mężczyznę do rozmowy.

Gareth jednak wciąż się na mnie gapi, trochę jak na konia na targu bądź na poleć mięsa u rzeźnika. Wzrokiem omiata całe moje ciało, zatrzymuje go na mgnienie na moich włosach, po czym zwraca ku twarzy. Wreszcie zdobywa się na uśmiech, lecz nie ma w nim nawet krzty wesołości czy ciepła.

Peter chrząka znacząco i dodaje:

– Bez wątpienia chciał się wreszcie porządnie najeść.

Udało mu się zwrócić na siebie uwagę Garetha.

– Cóż, to nie do końca prawda. – Wreszcie odrywa ode mnie spojrzenie. – Nawet gdybyś miał rację, nie mógłbyś chyba mieć do mnie o to pretensji. Popatrzcie tylko! – Wskazuje na wielkie góry jedzenia piętrzące się na długim stole pod ścianą.

Muszę przyznać, że poczęstunek robi wrażenie. Między innymi podano typową strawę: kurczak, chleb, prosty gulasz. Zauważam również potrawy bardziej egzotyczne, w rodzaju tych, które przyrządzałam dawniej na dworze: pieczony paw w pełnym upierzeniu; patera z maleńkimi przepiórkami polanymi sosem, zdaje się, figowym; zapiekane w cieście sardynki – maciupkie rybki łebki sterczą spod chrupiącej skorupki; taca z owocami i słodyczami. Udaje mi się nawet wypatrzeć łakocie z marcepanu uformowane na kształt różyczek, czterolistnych koniczynek i kwiatów ostu. Pomyśleć tylko, że wszystkie te cudeńka powstały wyłącznie z cukru.

– Wspaniale! – Peter zaciera dłonie. – Zaczynamy? – Zerka w stronę Nicholasa.

Czarownik potakuje i delikatnie porusza dłonią. Tace i patery natychmiast podrywają się z blatu i wzbijają w powietrze. Jedna po drugiej przelatują przez salę i łagodnie osiadają przed nami na stole. Usilnie staram się ukryć zdumienie. Tak wysokiego poziomu opanowania sztuki magicznej – zdołał przenieść ciężkie przedmioty na odległość – nie widziałam jeszcze u nikogo. Zaskakuje mnie również coś innego – fakt, że czarnoksiężnik, w dodatku ukrywający się przed prawem, raczy się potrawami godnymi monarchów. Jak to możliwe?

Gdy jednak łąduje przede mną przepiórka, stwierdzam, że pytania mogą zaczekać. Zjadłabym konia z kopytami. Sięgam do talerza, lecz

John łapie mnie za rękę i przytrzymuje.

– Chwileczkę – mówi.

– Co się stało? – Zastanawiam się przez mgnienie, czy w jakiś sposób nie naruszyłam zasad dobrego wychowania.

– Chodzi o to, że Hastings, służący Nicholasa, cóż... jest duchem. Musisz na niego uważać. – Wskazuje puste miejsce. – Zazwyczaj zakłada na głowę białą czapkę, dzięki której wiemy, gdzie jest, lecz, niestety, czasami zdarza mu się o niej zapomnieć. Nie jestem pewny, czy nie robi tego z premedytacją. Być może lubi nas irytować. Kto wie? Najczęściej po prostu czekam, aż naczynia znieruchomieją na dobre. Niemniej zdarzyło się, że popełniłem ten błąd i przypadkiem go dotknąłem. – Uśmiecha się do mnie głupkowato. – Bolało jak cholera.

Duch służący? Pracując jako łowczyni czarownic, widziałam wiele: zbłąkane zjawy, ghule, demony i, owszem, duchy. Nigdy jednak nie spotkałam się z duchem sługą. Tego rodzaju istoty zajmują się zwykle niszczeniem artykułów gospodarstwa domowego, opętywaniem krów bądź duszeniem ludzi we śnie. Serwowanie herbaty i poprawianie poduch to jednak rzadkość nad rzadkościami.

– Nie słyszałam o duchach lokajach – przyznaję.

John kiwa głową.

– Stanowi nieodłączną część rezydencji. Służył czarownikowi, który mieszkał tu przed Nicholase. Zajmuje się kuchnią, lecz nie tylko. Dogląda też ogrodu, sprząta i tak dalej. Za życia Hastings był tak dobrym sługą, że gdy zmarł, mag postanowił go przywołać, by nadal móc korzystać z jego usług.

– Straszne! – Czuję, że oczy mam wielkości spodków.

– Wiem. Nicholas już nieraz proponował, że go odeśle, lecz Hastings upiera się, by zostać. A przy tym naprawdę jest znakomity. Owszem, do niewidzialności trzeba przywyknąć, niełatwo go też zrozumieć. Wciąż mam z tym kłopot, choć mieszkam tu pewien czas. Najczęściej, kiedy mówi, odnoszę wrażenie, że ktoś dmucha mi w ucho.

Uzdrowiciel wybuchu śmiechem. Wbrew sobie, śmieję się i ja.

– Nic to, chyba już można... – Spogląda na stół. – Domyślam się, że jesteś głodna?

– Troszeczkę.

– No to wcinaj. Hastings wyśmienicie gotuje.

Przyglądam się Johnowi, który nakłada sobie okazałą porcję. Zaraz potem robię to samo. Na moim talerzu rośnie góra truskawek i ciasta. Gdyby zobaczył to Caleb, pękłby pewnie ze śmiechu i kazał mi zostawić trochę miejsca na danie główne. Ale ja zawsze zaczynam od deseru.

Przy stole panuje swobodna atmosfera, biesiadnicy zajęci są jedzeniem i wymianą luźnych uwag. Mnie nikt nie zagaduje, a wyjąwszy kilka spojrzeń Johna, nie wydaje mi się, by ktokolwiek się moją osobą szczególnie interesował. W pewnym stopniu uspokojona, korzystam z okazji i zaczynam się rozglądać za wartościowymi przedmiotami, które mogłabym zwędzić.

Cynowe talerze zdecydowanie się nadają. Srebrne sztuce pokryte są delikatnymi artystycznymi zdobieniami i również mogłyby mi przynieść niemały zysk. Podnoszę kielich i uważnie się mu przyglądam. Jest ciężki, ścianki są grube. Prawdopodobnie kryształ. Nóżka ma kształt trzech splecionych węży, czasza wspiera się na ich głowach. Gdy zaczynam w duchu zgadywać, jakie kalectwo spotkało jego twórcę – poza posiadaniem zbyt dobrego smaku – dolatują mnie słowa Garetha:

– Elizabeth, na pewno jesteś bardzo wdzięczna, hm?

Biesiadnicy milkną i spoglądają prosto na mnie.

Zamieram.

– Słucham?

– Powiedziałem, że zapewne czujesz się wdzięczna – powtarza. – Zostałaś ocalona przed nieuchronną śmiercią, sprowadzona tu i wyleczona, a teraz kosztujesz najprzedniejszych potraw na świecie. – Nabija na widelec spory kawałek pieczonego pawia i wymachuje nim przed nosem. – Jak się zapewne domyślasz, niewielu zdrajców ma tak wiele szczęścia.

On mnie upomina. Zaciskam zęby i z wysiłkiem przywołuję na wargi uśmiech.

– Tak, jestem bardzo wdzięczna – zwracam się do Nicholasa. – Nie zdążyłam ci podziękować jak należy. A przecież zawdzięczam ci życie.

– Znów czuję bolesny skurcz żołądka. Dlatego, że to prawda.

Gareth kiwa głową, chyba udało mi się go zadowolić.

– Mam nadzieję, że Veda będzie wkrótce gotowa? – Patrzy na Nicholasa.

– Jutro wieczorem.

– Znakomicie. – Gareth odwraca się do mnie. – Dowiemy się wreszcie, do czego jesteś zdolna. Przyznaję wszakże, że teraz, kiedy cię już poznałem, cała ta sprawa głęboko mnie zastanawia. – Zerka na Petera. – Doskonale rozumiem, skąd twoje obawy o pomyłkę.

Siedząca po drugiej stronie stołu Fifer uśmiecha się pod nosem.

Ciekawe, do czego byłabym zdolna, gdybym spotkała tę parę w ciemnym zaułku?

– Gareth chciał przez to powiedzieć – podejmuje uspokajająco Peter – że udało się nam namierzyć dwie kobiety nazywające się Elizabeth Grey. Ciebie i czarownicę z Siedmiu Sióstr. Byliśmy święcie przekonani, że Veda mówiła o niej. Nie wiem, jak ona radzi sobie z czarami, ale sprawiała znacznie bardziej... onieśmielające wrażenie. Metr osiemdziesiąt wzrostu i dwieście kilo żywej wagi. Lekko licząc.

Siedzący obok George ledwo tłumy wybuch śmiechu.

– Tak. Celnie to określiłeś. Onieśmielała – podejmuje Gareth. – Podczas gdy ty, Elizabeth, wyglądasz na niewiniątko. Jesteś taka krucha... I jeszcze ta twarzyczka. – Wzdycha. – Po prostu aniołek. Aczkolwiek – ciągnie z nieprzyjemnym błyskiem w oku – spędziłaś przecież na dworze wiele lat, prawda? Więc akurat niewinność straciłaś już pewnie dawno temu.

Ostatni komentarz dopiekł mi do tego stopnia, że ogarnia mnie gwałtowna fala wściekłości. Zaciskam pięści. Nie, nie będę czekać na spotkanie w mrocznej alejce. Przywałę mu tu i teraz.

– Gareth... – Peter ściąga brwi.

– Tak, tak. – Gareth zbywa go machnięciem ręki. – Przecież każdy wie, że dworskie życie potrafił zepsuć nawet świętego. Przekonałem się na własnej skórze. – Opiera się wygodniej i upija łyk wina. – Cóż, Elizabeth, nie mam pojęcia, w jaki sposób możesz się nam przysłużyć. Żywię nadzieję, że to zamieszanie mimo wszystko się nam opłaci. Widzisz, Malcolm wyznaczył za twoją głowę nielichą cenę.

– Gareth! – syczy Peter.

– Spokojnie. Wiem o wszystkim – mówię. – Dowiedziałam się od

Johna i George'a.

– Ach, tak? – Peter obrzuca ich nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Nic się nie stało – mówię. – Nie dałam im większego wyboru. –

George zerka na mnie z wdzięcznością i dolewa wina do mojego kieliszka. – Jaka to cena?

– Tysiąc suwerenów – odpowiada Gareth.

Zauważyłam, że George prawie zagwizdał.

– Moje gratulacje. – Nicholas uśmiecha się blado. – Wygląda na to, że jesteś obecnie warta więcej niż ja. Mnie wycenili na pięć setek. – Wznosi kielich w krotokwilnym toaście.

– Tak, mamy do czynienia z niezwykle wartościową osobą – podejmuje Gareth. – Miejmy jednak nadzieję, że także i dla nas.

W przeciwnym wypadku, dlaczego nie poprosić Johna, by ją wydał i odebrał nagrodę? W końcu jest synem pirata. Nikt by się nie zdziwił.

– Nie wydamy jej – oświadcza Nicholas. – Elizabeth przyrzekła już nam pomoc. Nie musimy jej grozić.

Gareth odwraca się do czarnoksiężnika.

– Dobrze wiesz, co o tym myślę.

– Tak, znam twoje myśli – odpowiada Nicholas. – Moim zdaniem jednak, trzeba pamiętać, że to jeszcze młoda dziewczyna.

– Młoda czy nie – wzrusza ramionami Gareth – bardzo im na niej zależy. I chcą się na niej zemścić.

– Kto? Blackwell? – burczy Peter. – Niech tylko spróbuje. Nawet z całą armią łowców.

Czyli to Blackwell na mnie poluje? Mogłam się tego spodziewać. Gwardzistów po mnie nie przyśle. Poszatkowałabym ich na plasterki, zanim zdążyliby sięgnąć po broń. On o tym wie. Ale jeśli sam mnie znajdzie... Nie, to nie będzie przyjemne spotkanie. Sięgam po kieliszek.

– Nie, nie miałem na myśli Blackwella – stwierdza Gareth. – On ma pełne ręce roboty. Zbyt wiele buntów do ugaszenia – dodaje z zadowoleniem. – Wysłał kogoś w zastępstwie. Nowego inkwizytora. Nazywa się Caleb Pace.



## ROZDZIAŁ 9



Zaciskam palce na kielichu tak mocno, że kryształ trzaska mi w dłoni. Na obrus o śmietankowej barwie tryska sporo wina, lecz bardzo niewiele krwi. Tak czy inaczej pojawiają się intensywnie szkarłatne plamy. Zachłystuję się i ukrywam dłoń pod stołem. Caleb? Nowy inkwizytor?

Pozostali – nie licząc Garetha i Fifer – rzucają na mnie mocno zaniepokojone spojrzenia.

– Elizabeth! – woła Peter. – Nic ci się nie stało?

Czy nic się nie stało? Przeciwnie, stało się. Kiedy awansowano Caleba na inkwizytora? Za co? A skoro tak, to kim jest teraz Blackwell?

– Pozwól, że zerknę. – John bierze ze stołu czystą chusteczkę i sięga po moją dłoń.

Kolejny problem. Jeżeli zobaczy, że nie krwawię...

– Nie. – Czym prędzej cofam rękę. – Nie tutaj. Nie cierpię widoku krwi. Zwykle mdleję. – Spuszczam wzrok, robię taką minę, jakbym miała za moment stracić przytomność. W tej sytuacji przychodzi mi to z łatwością.

– John, zaprowadź ją, proszę, na górę – odzywa się Nicholas. – Hastings, dopilnuj, żeby dostał wszystkie przybory.

Kiedy John rozpoczyna wyliczankę potrzebnych rzeczy, czuję wzbierające w brzuchu ciepło. Znamię działa sprawnie. Zaczyna mnie swędzieć ręka. Rana prędko się goi. Zaciskam dłoń na okruchach kryształu, z premedytacją wbijam je głębiej we własne ciało. Krzywię

się, gdy trą o kość. Sukces! Krew znowu płynie. John starannie opatruje skaleczenie i pomaga mi wstać. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich obecnych.

– Przepraszam, nie chciałam zakłócić posiłku – mówię.

– Nie twoja wina – odpowiada mi Peter tonem u pirata niezwykłym. – Niemało dzisiaj przeszłaś. Ba! Wzmianka o łowcach mogłaby rozkojarzyć każdego. To zwykłe bydlęta. A Nicholas ma rację, jesteś jeszcze dzieckiem. – Zerka rozeźlony na Garetha. – Dobrze by było, gdybyś o tym pamiętał.

– Rozumiem. Ale powiadam wam, ta dziewczyna na pewno nie jest niewiniątkiem. – Gareth prycha dość nieprzyjemnie. – Jesteś dla niej nazbyt łagodny, Peter. Oczywiście wiem dlaczego. Niemniej, to nie jest Jane. I dobrze by było, gdybyś o tym pamiętał.

– Gareth! Na Boga...!

Peter zrywa się z krzesła, które przewraca się na posadzkę. Uderzy go? Bardzo chciałabym to zobaczyć, lecz John odprowadza mnie za rękę od stołu.

– Chodźmy – szepcze.

Opuszczamy jadalnię, w której rozlegają się donośne krzyki. Słyszę podniesione głosy Garetha i Petera. Spierają się i odgłosy ich kłótni dolatują mnie jeszcze w korytarzu. Stajemy przed drzwiami mojego pokoju, uzdrowiciel otwiera je przede mną.

– Widzę, że Hastings nas uprzedził – zauważa.

Na stole przed kominkiem, w którym ponownie trzaska gorący ogień, stoi taca. Jedzenie, karafka wina, miska gorącej wody, pęki ziół, małe stalowe przybory lekarskie i białe bandaże.

– Szybko mu poszło – zauważam.

– Jedną z zalet posiadania służącego ducha. – John zamyka drzwi, za którymi zostają odgłosy kłótni. Usadza mnie na krześle. – Zobaczmy... – Siada obok i ściąga z mej dłoni przesiąkniętą krwią serwetkę.

– Myślałam, że to czary – mówię. Martwi mnie możliwość, że dłoń okaże się już wyleczona i nie zobaczy spodziewanej rany i krwi. Może, jeśli go zagadam, nie zwróci na to uwagi.

– Kiedy? – Uzdrowiciel ogląda moją skórę, obraca dłoń na

wszystkie strony.

– Kiedy podawał do stołu. Na dole. Zanim powiedziałeś mi o Hastingsie. Byłam przekonana, że to magia. – Sięgam po kromkę chleba. Odgryzam kęs.

– Cóż, nic w tym dziwnego. – Podnosi z tacy pęsetę. – Myślę, że Nicholas potrafiłby zrobić coś takiego. Tylko po co tracić energię, zwłaszcza teraz? Nie ruszaj się.

Wyciąga mi z dłoni pierwszy okruch szkła. Wstrzymuję oddech, jak tylko mogę, staram się zapobiec gojeniu. Nie chcę, żeby to widział.

– Jak to? – rzucam. John nie odpowiada. Pracuje. – Dlatego, że jest niezdrów?

Na moment zamiera, po czym odrzuca na tacę kolejny kryształek. Nie rezygnuję.

– Na co jest chory? Uda ci się go wyleczyć? Wiesz, skoro mnie pomogłeś, a cierpiałam na gorączkę więzienną, to chyba i jego uratujesz. Nie znam choroby gorszej od więziennej gorączki. No, może zaraza. Ale to co innego. Znam objawy. Może więc angielskie poty? Nie, wtedy już byłby trupem...

Tak, wiem, bełkoczę. Po prostu strasznie się denerwuję. John już zaraz zauważy, że coś jest nie tak. Moja dłoń wygląda zdecydowanie za dobrze. Doda dwa do dwóch, a wtedy będę musiała go zabić.

A z jakiegoś powodu ten wniosek bardzo mi się nie podoba.

– Nie, to nie choroba, nie w sensie, o którym myślisz – odzywa się wreszcie John. Odkłada pęsetę na tacę i sięga po zioła. Kruszy je i wsypuje do wody. Nie do wiary. Niczego nie spostrzegł. – Nicholasa zjada klątwa.

– Klątwa? – Zaskakujące, choć nie wiem w sumie czemu. Nicholas nie zostałby tak potężnym czarownikiem, nie robiąc sobie przy okazji paru wrogów.

– Tak, w tym właśnie problem. Początkowo podejrzewałem zapalenie płuc. Magia nie przyszła mi nawet do głowy. W końcu jest na tyle silnym magiem, by oprzeć się każdemu urokowi. Jasne, ktoś mógłby próbować, lecz podobny zamach nie powinien się powieść. – Wsuwa moją dłoń do miski. Woda pachnie miętą. Czuję delikatne łaskotanie. – Niestety, sama widzisz, że komuś się udało. Jeżeli nie znajdziemy

sprawcy, Nicholas umrze.

– A... – Jeżeli Nicholas pożegna się z tym światem, ten sam los zapewne spotka cały ruch reformistów. Wygasną bunty, skończą się powstania, życie wróci do normy. Dla wszystkich, z wyjątkiem Nicholasa, reformistów i ginących na stosach czarownic i czarowników. Być może ta refleksja odmalowała się na mojej twarzy, bo John marszczy czoło i puszcza moją rękę. Naprawdę nadal ją trzymał?

– I ty się z tego cieszysz?

– Z czego miałabym się cieszyć?

– Z tego, że twój wróg umiera.

– Co? Nie! Nie wiem. Ja... – Urywam, zbita z pantałyku. Tyle się ostatnio wydarzyło... Sama już nie wiem, kto jest moim przyjacielem, a kto wrogiem.

– Twój Malcolm na pewno wielce by się uradował – dodaje uzdrowiciel. Nie jest w stanie ukryć niesmaku.

– To nie jest mój Malcolm – protestuję, lekko się rumieniąc.

– Chodziło mi tylko o to, że jest twoim królem – tłumaczy John. – Bo moim z pewnością nie.

– Jak to nie? – Co za niedorzeczność! – Przecież to król nas wszystkich. W tych sprawach nikt nie ma wyboru.

John wzrusza ramionami.

– Nieważne. Nie powinienem był ci mówić o Nicholasie. Z drugiej strony, przecież nie możesz uciec i wygadać. Już nie.

Wpatruję się w miseczkę, oglądam pływające na powierzchni wody drobinki suszonych ziół.

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

– Czyżby? – Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że przez chwilę nabieram ochoty, by przyznać się do wszystkiego. Ten moment jednak przemija.

– Nie zrozumiesz – odpowiadam w końcu.

John prychnie niecierpliwie pod nosem.

– Nie znamy się na tyle dobrze, byś wiedziała, co mogę zrozumieć, a czego nie.

– Ani tak długo, żebyś miał prawo mnie oceniać – syczę. – Nie wiem, któremu królowi służysz, ale ja mam tylko jednego władcę.

Wiesz, tego, który zasiada codziennie na tronie – dodaję z przekąsem. – Tak, jestem mu posłuszna. Tak, żyję, przestrzegając jego praw. Ale to wcale nie znaczy, że jestem złym człowiekiem. – Oczywiście John mógłby zauważyć, że wyłapywanie czarowników, którzy następnie giną okrutną śmiercią w płomieniach, świadczy jednak o czymś przeciwnym, ale przecież nie musi wiedzieć o wszystkim.

Uzdrowiciel kręci głową.

– Tego nie powiedziałem. Nie uważam, że jesteś złym człowiekiem. Myślę jednak, że jesteś głupia.

– Co takiego?! – Gwałtownie wyciągam dłoń z miseczki. Dokoła pryskają krople wody.

– Zaraz, pozwól...

Próbuje mnie dotknąć, ale odsuwam się i przeklinam go najbardziej sprośnym wyzwiskiem, jakie tylko przychodzi mi do głowy. Nawet nie mrugnął.

– Nie chciałem cię rozzłościć – mówi, patrząc w moje pełne wściekłości oczy. – No dobrze, chciałem. Chodzi o to, że... Naprawdę nie pojmuję, jak możesz być nadal lojalna wobec Malcolma... Po wszystkim, co ci zrobił. Czekalaś na pewną śmierć. Prawie zresztą umarłaś. A my zaryzykowaliśmy... Dla ciebie...

– Uwolniliście mnie tylko dlatego, że jestem wam potrzebna – zauważam. – Nie zapominajmy o tym.

– Cóż, punkt dla ciebie. Ale tak czy inaczej, dlaczego chciałaś tam wrócić? Bo przecież planowałaś uciec z powrotem do Upminster, mam rację? Żeby zdradzić, gdzie ukrywa się Nicholas...

Nie odpowiadam. Chłopak kiwa głową i mówi dalej:

– Więc co? Wymyśliłaś, że w zamian za tę informację zostaniesz ułaskawiona? Naprawdę sądzisz, że to wszystko jest tak proste?

Kręcę przecząco głową. Odgadł jednak trafnie i mój plan w jego ustach zabrzmiał tak absurdalnie, że faktycznie czuję się jak głupia. Jak mogłam pomyśleć, że mi się upiecze?

John wstaje z krzesła i przechadza się po pokoju.

– Naprawdę nie widzisz, jacy to ludzie? Twierdzisz, że jesteś posłuszna królowi. A według mnie jesteś po prostu współniczką mordercy.

Przechodzi mnie dreszcz.

– Mordercy? Ja nie o tym... – John przystaje i spogląda mi w oczy, bardzo surowo. – Nie myślałam o tym w ten sposób.

– Oczywiście, że nie. Malcolm próbuje całemu krajowi wmówić, że pozbywając się magów, wyświadcza ludziom przysługę. Do czego to jednak prowadzi? I kiedy ma się skończyć?

Odpowiedź na ostatnie pytanie jest niezwykle prosta.

– Kiedy wszyscy zginiecie – przyznaję.

Przez oblicze Johna przemyka jakaś dziwna emocja. Gniew? Współczucie? Odraza? Znika, zanim mam szansę ją właściwie odczytać.

Podchodzi do okna i odciąga zasłonę na bok. Na zewnątrz panuje czarna noc. Stoi tam przez długą chwilę, wygląda na świat. Wreszcie, wciąż wpatrzony w okno, mówi:

– Ojciec powiedział, że twoi rodzice nie żyją. Mogę zapytać, jak to się stało?

– Zaraza. Najpierw zabrała ojca, a kilka dni potem matkę. Miałam dziewięć lat.

Właśnie wtedy poznałam Caleba. Choroba, na którą zmarli moi rodzice, zabiła także i jego rodzinę oraz milion innych ludzi. Lato było wtedy niezwykle gorące i doszło do najgorszego wybuchu epidemii, jaką pamiętali najstarsi ludzie. Zaraza rozwinęła się w tłocznych, rozgrzanych upałem miastach i szalała niepowstrzymanie: umierali zarówno młodzi, jak i starzy, biedota i bogacze. A potem plaga dotarła na wieś. Zapoczątkowana i rozprzestrzeniona wskutek działania czarnej magii, w niecały tydzień zdziesiątkowała całą Anglię. Osieroczone dzieci, takie jak ja i Caleb, musiały się nauczyć żyć na własną rękę.

Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłam, pomyślałam, że śnię. Od wielu tygodni nie widziałam żywej duszy – z naciskiem na żywej. Miałam wrażenie, że poza mną nie ocalał nikt na całym bożym świecie. Pitnej wody było niewiele, jedzenie skończyło się już dawno. Przeżyłam, karmiąc się trawą, korą drzew i nielicznymi kwiatami. Nieraz marzyłam, by któraś z tych roślin okazała się trująca. Chciałam umrzeć, pragnęłam, by cierpienie wreszcie dobiegło końca.

Caleb znalazł mnie, gdy na grzbiecie skradzionego konia jechał na dwór. Chciał wybłagać u króla jakiegokolwiek zajęcia. Byłam w naprawdę

opłakanym stanie. Zwłoki moich rodziców wciąż leżały w domu. Lejący się z nieba żar i fetor rozkładających się ciał zmusiły mnie do życia na podwórzu. Caleb zeskokczył z siodła i podszedł ostrożnie, mówiąc powoli i kojąco, jakby podkrażał się do rannego zwierzęcia. Byłam cała w brudzie i fekaliach, klęczałam skulona w błocie i jadłam resztki wykopanych w ogrodzie warzyw.

Pamiętam, że wrzasnęłam jak szalona i cisnęłam w niego nadgryzionym korzeniem pasternaku. Od zmysłów odeszłam na długo przedtem.

On jednak wziął mnie na ręce – bardzo dojrzałym gestem, wcale nie jak jedenastolatek – usadził mnie na koniu i zdołał dowieźć do Upminster, do królewskiego pałacu. Podróż zajęła nam trzy długie dni, ale dzięki Calebowi przebiegła bezpiecznie. Udało mu się też znaleźć pracę dla nas obojga – przyznaję, nie stanowiło to wielkiego wyzwania, większość sług pochłonęła zaraza. Umarł także i król.

Malcolm, jego jedyny ocalały syn, miał ledwie dwanaście lat i mógł przejąć władzę dopiero za cztery lata. Obowiązki prowadzenia spraw kraju przypadły więc jego stryjowi, Thomasowi Blackwellowi, który przyjął tytuł lorda protektora. Anglia nie miała królowej, której mogłabym usługiwać, ale do tego i tak bym się nie nadawała. Zamiast tego zajmowałam się praniem, w razie potrzeby pomagałam w kuchni, załatwiałam sprawunki na mieście. Byłabym szczęśliwa, robiąc to do dzisiaj, lecz Caleb miał wobec nas zupełnie inne plany.

– Przykro mi. – John odwraca się od okna i spogląda na mnie. – Co byś zrobiła, gdyby twoi rodzice nie zmarli na zarazę? Gdyby nie odebrała ci ich choroba, a inny człowiek? Przeżywałabyś żałobę w spokoju i pokorze? Zapomniałabyś? Czy może raczej dążyłabyś do zemsty i zrobiłabyś wszystko, co w twojej mocy, by winny śmierci matki i ojca zapłacił za swoją zbrodnię?

– Przecież tak właśnie było – odpowiadam. – Nie zabrała mi ich zwykła, przypadkowa choroba. Epidemia rozprzestrzeniła się z winy czarnoksiężnika, dobrze o tym wiesz. Niektórzy mówią, że stał za nią Nicholas...

Nagle płomienie w kominku buchają ze zdwojoną siłą, strzelają bardzo wysoko w głąb komina.

– Spokojnie, Hastings, nie ma powodu do nerwów. – John macha ręką w stronę paleniska i ogień przygasa. – To nie było dzieło Nicholasa. On nigdy nie dopuściłby się czegoś takiego.

– W takim razie kto to był? – pytam ostro. – Tak okrutną plagę mógł wywołać jedynie bardzo utalentowany czarownik. A Nicholas jest przecież najpotężniejszym magiem w Anglii.

– Zastanów się, co by mu przyszło z wybicia połowy mieszkańców kraju?

Wzruszam ramionami.

– Może magiczna potęga mu nie wystarcza? Może pragnie dla siebie czegoś więcej, na przykład tronu?

– Skoro Nicholas chciał zostać królem, to dlaczego nie zrobił niczego w tym kierunku po śmierci ojca Malcolma? Wtedy przejąłby władzę bez większego trudu, na drodze stali mu jedynie lord protektor i nieletni król.

– Nie wiem – przyznaję. – Może mimo wszystko czeka na bardziej sprzyjające okoliczności?

Spojrzenie Johna zasnuwa mrok, obecną dotąd w jego oczach rozwagę zastępuje gniew.

– Jakie okoliczności? Myślisz, że czeka, aż wszyscy jego przyjaciele zostaną wygnani z kraju? Że spokojnie patrzy na aresztowania, procesy i kaźń bliskich?

– Nie wiem – powtarzam.

– A ja wiem. Widziałas kiedykolwiek płonącego na stosie człowieka? – John mówi cicho, lecz z niesłychanym przejęciem. – To... to straszne. Najgorszy rodzaj śmierci. Odbiera skazanym wszelką godność. To czysta tortura i karczemne widowisko i... – urywa na moment – i należy położyć temu kres.

– Każda próba zmiany sytuacji sprawia, że jest jeszcze gorzej. – Kręcę powoli głową.

– Więc co według ciebie powinniśmy zrobić? – John podnosi głos. – Siedzieć z założonymi rękami?

– Nie. Powinniście wyjechać z Anglii. Wszyscy. Póki jeszcze możecie. Malcolm nie zmieni prawa. Musicie wreszcie zdać sobie z tego sprawę.



John nie odpowiada. Zwraca się z powrotem do okna.

– A poza tym, tak, widziałam płonące stosy – podejmuję półgłosem. – To rzeczywiście okropne. Straszliwa śmierć.

Pierwszą kaźń w życiu oglądałam, mając trzynaście lat. Zwymiotowałam na środku Smithfield Square. Nawet Caleb był wstrząśnięty. Blackwell nalegał, byśmy tam przyszli. Powiedział, że musimy obejrzeć egzekucję, by zrozumieć jego prawa, byśmy się dowiedzieli, jaki los czeka tych stojących po drugiej stronie barykady. Pamiętam, że tamtej nocy długo tuliliśmy się do siebie z Calebem, zbyt przerażeni, by usnąć. Koszmary przestały mnie dręczyć dopiero wiele lat później. Ostatecznie jednak zhardziałam, uodporniłam się. Oboje się uodporniliśmy. Nie mieliśmy wyboru.

– A ty? Za kogo ty się mścisz? – pytam. – Kim jest Jane?

John raptownie okręca się na pięcie, na jego twarzy maluje się zdumienie. Chce odpowiedzieć, lecz przerywa mu trzaśnięcie otwieranych drzwi.

– No czołem! I jak leci? – Do pokoju wtacza się George. Wygląda na pijanego.

– W porządku – odpowiada John. Staje przy stole i zbiera swoje przybory. Kiedy wciska do kieszeni bandażę, zauważam, że trzęsą mu się ręce.

– Co z twoją dłonią?

George podchodzi do mnie, ale jestem zbyt zaprzątnięta obserwowaniem Johna i osobą tajemniczej Jane, by pamiętać o ranie. Przypominam sobie dopiero, kiedy George łapie mnie za rękę.

– Jeszcze boli – odpowiadam, lecz to nie ma najmniejszego znaczenia.

George nie jest zainteresowany. Zerka tylko i wypuszcza moją dłoń, która opada mi na kolana. Zdecydowanie jest pijany.

– Świetna robota, John. Jak zwykle. – Osuwa się ciężko na krzesło i nalewa sobie kolejny kieliszek wina. – Znów mam nocną zmianę. – Patrzy na mnie.

– Cudownie – mruczę.

– Prawda? – Pociąga spory łyk i spogląda na Johna. – Przegapiłeś nieliczną kłótnię.

– Mówisz? – Uzdrowiciel przystaje przed drzwiami.

– No, mówię. Twój stary nie na żarty wściekł się na Garetha.

Wiedziałaś, jaki on ma niecodzienny talent do wyzwisk? W pewnym momencie nazwał go „cuchnącą pąklą w zafajdanej skorupie”. Nie wiem nawet, co to ta pąkla. Ale i tak wywarł spore wrażenie. A potem zaczął przeklinać po germańsku. Tak mi się wydaje... Czekają na ciebie.

– Kto taki?

– Wiesz, Fifer. Potrzebuje więcej... – George zerka na mnie przelotnie – tego czegoś dla Nicholasa. Tego co zawsze. Peter z kolei prosił o jakiś środek nasenny. A Gareth marudzi, że łeb mu pęka.

John zamyka oczy i kiwa głową. Rozciera palcami powieki. Wygląda na wykończonego: jest śmiertelnie blady, oczy podkreślone przez sine półksiężycy, wyglądają zupełnie jak podbite. I wciąż nie miał czasu się ogolić.

– Przepraszam. – George się krzywi.

– Nic się nie stało – rzuca John. – Już do nich idę. Przypilnuj tylko, żeby Elizabeth opatrzyła sobie rękę, dobrze? – Wyjmuje z kieszeni zwinięty bandaż i rzuca George’owi. – Rana nie była tak głęboka, jak się spodziewałem, ale nie ma co prosić się o zakażenie.

Wychodzi cicho na korytarz. Na mnie nawet nie patrzy.

## ROZDZIAŁ 10



Kolejna noc w domu Nicholasasa.

A mało brakowało, by wszystko potoczyło się inaczej. Ostatnia rozmowa z Johnem była jak na mój gust zanadto ryzykowna. Nocą George'owi wymknęło się, że wszyscy znikną i nie będzie ich przez cały poranek. Zdaje się, że mieli się wybrać na czarny rynek, by uzupełnić zapasy. Dla mnie to niebywała okazja. Mogę spokojnie przetrząsnąć rezydencję.

George wciąż jeszcze śpi. Leży rozwalony na podłodze przy nogach mojego łóżka, zupełnie nieprzytomny. Koc zaplątał mu się na stopach. Pewnie potknął się w nocy i przewrócił, a potem nie chciało mu się podnieść. Albo nie był już w stanie.

Pospiesznie nakładam na siebie ubranie – ten sam strój, co wczorajszego wieczora. Bezkształtna brązowawa sukienka i wielkie czarne buty. Przyjemnie byłoby dostać coś choć trochę cieplejszego lub lepiej na mnie leżącego. Cóż, na razie muszę się zadowolić tym, co mam. Podnoszę z podłogi koc i szybkim ruchem składam go w prowizoryczny worek. Wyciągam spod materaca żelazny lichtarz i knot i wrzucam do środka.

Raz jeszcze obejmuję spojrzeniem George'a. Wygląda na to, że się nie ocknie przez dłuższy czas. Przemyka mi przez myśl, że niegłupio by było go związać. Tak na wszelki wypadek. Tyle że mógłby się obudzić w trakcie i wtedy już nie miałabym wyjścia, musiałabym zrobić mu krzywdę. A tego wolałabym uniknąć. Przywykłam do niego i w sumie

coraz bardziej go lubię. Zostawiam więc śpiącego w spokoju.

Drzwi otwieram z wolna, po cichutku. Starając się robić jak najmniej hałasu, wychodzę na zewnątrz, a potem przemykam korytarzem do schodów, gdzie przystaję i uważnie nasłuchuję. Cisza: żadnych głosów, kroków, nie brzęczą też naczynia. Nic. Zbiegam więc na dół, prosto do holu.

Pierwszy punkt programu: jadalnia. Cynowe talerze, srebrne sztuce. W razie potrzeby zabiorę też te paskudne kieliszki o węzowych nóżkach. Pod ścianą, obok stołu, na którym wczoraj czekały potrawy, stoi też masywna serwantka. Z pośpiechem otwieram szuflady, jedną po drugiej. Wszystkie są puste. Wciurności.

Wracam przez hol i wchodzę do pokoju naprzeciwko. To salon, bardzo wystawny. Jedną ścianę zajmują wysokie witrażowe okna o szybach zabarwionych różnymi odcieniami błękitu. Parapetowe siedzenia pod nimi wyłożone są jasnobłękitnym jedwabiem. Pod drugą ścianą pyszni się okazałych rozmiarów kominek, a na jeszcze innej wisi gobelin przedstawiający urokliwy leśny pejzaż. Pod gobelinem ustawiono stolik otoczony kilkoma krzesłami z siedzeniami obitymi wzorzystą niebieską tapicerką.

Kręcę się dokoła jak opętana, szukam. Sprawdzam pod dywanem, czy nie znajdę obluzowanej deski. Zaglądam za gobelin w nadziei, że trafię na ukrytą wnękę. I pod stołem – może jakieś tajemne szufladki? W poszukiwaniu zamaskowanych drzwi badam dotykiem ściany. Nic. Do diabła, gdzie oni trzymają broń? Jestem przecież w domu największego zdrajcy w Anglii – przepraszam, drugiego w kolejności. I co? Niby ani jednego ostrego, łatwopalnego lub ciężkiego przedmiotu? To przecież niemożliwe. Nicholas nie mógłby kierować tak silnym ruchem, wymachując jedynie gołymi rękoma.

Do zwiedzenia została mi jeszcze tylko kuchnia. To jednak ryzykowna wycieczka. Terytorium Hastingsa. Może sobie być sługą, ale przede wszystkim jest duchem. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Nicholas ujarzmił jego niszczycielską naturę, lecz nie rozplynęła się przecież w próżni. Duchy już takie są, i kropka. Zdarza się czasami, że ludzie wzywają łowców do nawiedzonych domostw, ale to bezcelowe. Jesteśmy w stanie jedynie stanąć w bezpiecznej odległości i podziwiać

szalejący chaos. Ostatnim razem, kiedy zostaliśmy z Calebem wysłani do ducha, ten poderwał z ziemi całą stodołę i ostrzygł zamknięte w niej stado owiec. Wełna rozsypała się na dobrych kilka kilometrów dokoła. Wyglądała jak padający śnieg. W środku lipca. Staliśmy na wzgórzu i podziwialiśmy niecodzienny widok, chichocząc niczym małe dzieci. Nie! Przełykam ślinę i odpycham od siebie wspomnienia. Nie wolno mi teraz myśleć o Calebie.

W jadalni natykam się na drzwi prowadzące do wąskiego ciemnego korytarza. Pewności nie mam, ale domyślam się, że to właśnie jest droga do kuchni. Zatrzymuję się zaraz za progiem i nadstawiam ucha. Cisza. Gdyby Hastings był w pobliżu, musiałabym go usłyszeć... Chyba... W przejściu jest zimno, wilgotno i czuję nieprzyjemny przeciąg. Może dlatego, że kamienne ściany są zupełnie nagie. A może dlatego, że Hastings czyha jednak gdzieś w pobliżu. Duchy zawsze wysysają ciepło z otoczenia. Dygocę lekko i ruszam przed siebie.

Ostatecznie docieram do kuchni. Zamieram w drzwiach i się rozglądam. Mam przed sobą mniejszą wersję kuchni z Ravenscourt. Po lewej stronie widnieje wielki piec. W środku spokojnie zmieściłby się mężczyzna wzrostu Nicholasa. Na stojąco. Nie musiałby nawet pochylać głowy. W środku piecze się na rożnie jakieś zwierzę. Zdaje się, że jelen. Przed sobą mam stół na kozłach. Błat ugina się pod ciężarem koszy pełnych owoców, warzyw, korzennych przypraw i woreczków z mąką. Niżej dostrzegam jeszcze parę koszy. Te są większe i wypełnione różnymi dobrami, od drewna na opał, przez cebulę, po kurze jaja. W rogu stoją antałki z piwem, winem oraz beczki pełne solonych ryb. W drugim kącie kuchni, na specjalnym stelażu, rozwieszono ptaki: kurczęta, kaczki, przepiórki i bażanty. Muszą skruszeć. Wszędzie są też kociołki, czajniki, rondle i patelnie. Porządnie wyposażona kuchnia. A to znaczy, że na pewno znajdę tu noże, tasaki, widelce, nożyce... W tej chwili zadowolilibym się choćby i tarką do sera.

Obserwuję wewnątrz przez kilka dobrych minut. Nic się nie porusza. Nic nie podrywa się do lotu, żaden przedmiot nawet nie drgnie. John, zdaje się, powiedział, że Hastings zazwyczaj nosi białą czapkę kucharza. Jej też nie widzę. Zadowolona z nieobecności ducha podbiegam do stołu i zaczynam szperać. Przetrząsam zawartość koszy. Przesiewam mąkę,

wciskam dłonie w stertę jabłek. Udaje mi się znaleźć tylko łyżkę i maleńki widelec z trzema zębami. Niezbyt okazały łup, lecz i tak trafia do mojej kieszeni. Wczołguję się pod stół i myszkuję wśród większych koszy. Nic, nic i jeszcze raz nic. Wciurności. Na domiar złego udało mi się rozbić kilka jajek. Wycieram dłonie w sukienkę, wstaję i raz jeszcze omiatam kuchnię wzrokiem. Właśnie wtedy zauważam prowadzącą pod podłogę drabinkę. Ach, piwniczka!

W piwniczkach przechowuje się mięsa, sery, masło, świeżo złowione ryby. Słowem wszystko, co musi leżeć w niskiej temperaturze, by się nie zepsuło. To najczęściej maleńkie, ciasne pomieszczenia, w których panuje lodowaty ziąb. Zazwyczaj urządza się je od północnej strony domów, by słońce sięgało ich ścian jak najrzadziej. I często właśnie pod ziemią. Są to bez wyjątku przerażające miejsca. Nie cierpię ciasnych ciemnych pomieszczeń. Unikam ich, jak tylko mogę. W spiżarniach jednak schną szynki i inne wędliny. A gdzie jest mięso, są też noże. Chwytam mocniej swój prowizoryczny worek i schodzę po drabince. Ledwie ogarnia mnie mrok i czuję przytłaczającą bliskość ścian, serce zaczyna mi bić szybciej. Biorę głęboki oddech, nucę cicho pod nosem. Wyobrażam sobie skrzynkę pełną przepięknych ostrych przedmiotów. Pełną broni. Pomaga.

Gdy staję wreszcie na dole, uświadamiam sobie, że po drodze zacisnęłam powieki. Podnoszę je więc. Oczy przez chwilę przyzwyczajają się do ciemności – światła jest tu niewiele, jedynie cienki pasek, bijący z otworu wentylacyjnego w ścianie. Wreszcie jednak co nieco udaje mi się zobaczyć. Nie posiadam się ze zdumienia. Na wieszaku przede mną pyszni się najwspanialszy zestaw narzędzi do cięcia i krojenia, jaki widziałam w życiu. Rzeźnicze tasaki. Zakrzywione noże do skórowania dziczyzny. Krótkie ostrza do filetowania. Zębate piły do kości. Jest nawet sporych rozmiarów siekiera. Z radości obejmuję się ciasno ramionami i ledwie tłumię zwycięski pisk.

Tyle noży, ile tylko się da, wciskam sobie za prowizoryczny pas, a resztę wrzucam do worka. Znajduję też dwie pary grubych rękawic. Kto wie, mogą się przydać. Zarzucam worek na plecy i wchodzę na drabinkę. W kocu mam jeszcze dość miejsca na naczynia i sztućce. Za cały ten majątek na pewno dostanę wystarczającą sumę, by kupić nowe

ubranie, prowiant i opłacić podróż do Galii. Nie tylko dla mnie, lecz i dla Caleba. Mój plan wreszcie zaczyna nabierać realnych kształtów. Mimowolnie uśmiecham się jak głupia.

Wysuwam głowę przez otwór w podłodze i rozglądam się po kuchni. Nie doleciał mnie nawet jeden dźwięk, ale lepiej się upewnić. Sprawdzam też, czy nie zostawiłam po sobie jakichś śladów: pieczołowicie układam jabłka w piramidkę, lekko przechylam kosz z cebulą. Uważam, by na blacie została warstewka mąki. Wszystko ma być dokładnie tak, jak to zastałam. Gramolę się z klapy, wstaję i idę do drzwi naprzeciwko tych, którymi weszłam. Na pewno tam właśnie Hastings myje i suszy te wszystkie cenne srebra. Udaje mi się przejść jakieś trzy kroki, gdy wtem...

Temperatura w kuchni spada w ciągu sekundy o jakieś trzydzieści stopni. Gwałtownie nabieram powietrza, a kiedy je wydecham, spomiędzy warg wypływa kłęb marznącej białej pary. Wokół zrywa się lodowaty wichur. Silne powiewy targają mi włosy, których kosmyki smagają mnie po twarzy i oczach. Zaraz potem słyszę szept. Początkowo bardzo cichy, jak szmer pary z imbryka. W miarę jednak jak wichur dmie coraz mocniej, głos przybiera na intensywności. Nie jestem w stanie rozróżnić poszczególnych słów, lecz niosą ze sobą bardzo wyraźną emocję. Gniew.

Hastings.

Rzucam się do drzwi, kompletnie zapominając o łupie. Żadne widelce nie są w tej chwili tak ważne jak ucieczka. Nie mam przecież pojęcia, do czego Hastings jest zdolny. Na wysokości stołu dogania mnie pędzący w powietrzu kosz. Ułamek sekundy za późno rozpoznaję jego zawartość: mąka.

Biały pył kłębi się, kotłuje w powietrzu, zasypuje mi powieki, wypełnia usta, pokrywa włosy. Cała jestem nim oblepiona. Zaczynam kaszleć, krztusząc się, próbuję oczyścić oczy. Kiedy wreszcie mi się to udaje i podnoszę wzrok, widzę frunącego prosto na mnie martwego bażanta.

Wyszarpuję zza pasa jeden z noży i rzucam nim w ptaka. Trafiam bezbłędnie i przebity stalowym ostrzem bażant pada z brzękiem na podłogę. Udaje mi się przejść może jeden kolejny krok, kiedy atakują

mnie następne sztuki drobiu. Tym razem trzy kaczki. Zaraz potem dwa kurczaki. I paw. Parka przepiórek. Miotam w nie nóż za nożem.

Wreszcie Hastingsowi kończy się zapas amunicji. Klękam i na czworakach próbuję zebrać swoje pociski. Wyrywam ostrza z brzuchów kilku leżących najbliżej ptaków. Kiedy jednak na powrót się podnoszę, raptownie otwierają się drzwiczki chlebowego pieca i strzelają z nich gorące bochny. Zaczynam się opędzać jak od much i udaje mi się większość strącić, lecz jeden czy dwa trafiają mnie w twarz. Diabelnie parzy. Zacerwienienia goją się błyskawicznie, ale zaczynam się poważnie denerwować. Nie dość że straciłam większość zdobytej z takim trudem broni, nie dość że jestem cała w mące i z pewnością wyglądam okropnie, to jeszcze od zapachu całego tego jedzenia, zrobiłam się głodna jak wilk.

Odwracam się i co sił w nogach biegnę w stronę wielkiego pieca. Jeleń wciąż rumieni się spokojnie na swoim rożnie. Hastings jest dumnym kucharzem i podejrzewam, że nie poświęci tak wspaniałej pieczeni tylko po to, by mnie bardziej pognębić. Wskakuję do paleniska, omijam płomień i zatrzymuję się pod ścianą.

– No dalej! – Spoglądam w głąb kuchni zza pachnącej dziczyzny. – Proszę bardzo! Rzucaj, jeśli masz odwagę!

Marszczę brwi. W powietrzu wciąż wiruje mnóstwo drobinek mąki, lecz nic już we mnie nie trafia. Wszystko w kuchni znieruchomiało. A więc miałam rację. Z triumfalnym uśmiechem wyskakuję z pieca, podbiegam do porzuconego worka, podnoszę go i raz jeszcze rozglądam się dokoła. Dokonuję przeglądu sytuacji. Każda możliwa powierzchnia oprószona jest mąką, na podłodze walają się drobiowe korpusy w doborowym towarzystwie popękanych bochenków świeżego chleba, potrzaskanych jajek i kałuż wina. Jaka piękna katastrofa! Z drugiej strony, udało mi się przetrwać atak ducha, a to wyczyn nie lada. Caleb byłby ze mnie zadowolony. Zbieram się do wyjścia. A kiedy odwracam się do drzwi, przez mączną mgiełkę dostrzegam jego sylwetkę. Stoi w wejściu, z zaplecionymi na piersiach rękoma i uniesionymi wysoko brwiami.

George.

– Proszę, proszę. – Uśmiecha się lekko. – Nasza mała kuchareczka



postanowiła wrócić do garów.

Natychmiast tracę cały zapach. Ciekawe, jak długo tu stoi?

– Od początku wiedziałem, że nie jesteś zwyczajna. – Podchodzi krok bliżej. – Tyle że nie miałem pojęcia, co w tobie mi nie pasuje. – Kręci głową. – Powiesz mi teraz prawdę sama czy mam ją z ciebie wydusić?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Rzucam worek na posadzkę i odsuwam go nogą od siebie.

– Nie?

– Nie.

– Jak wolisz – mruczy.

Wyciąga zza pazuchy sztylet. Otwieram szeroko oczy.

– Łap – mówi. I rzuca we mnie nożem.

## ROZDZIAŁ 11



Ostrze tnie powietrze ze świstem, mknie prosto w moją głowę. Łapię nóż na dwa centymetry przed okiem, chwytam go w locie, klaszcząc dłońmi. Zanim mam szansę zrobić cokolwiek więcej, George stoi już przy moim boku.

– Musimy poważnie porozmawiać. – Łapie mnie za ramię i wyprowadza z kuchni.

Na górze wpycha mnie do pokoju i zaczyna wyliczankę.

– Po pałacu Malcolma myszkujesz jak szczur na poddaszu. – Podnosi palec. – W naszym kominie wspinałaś się zwinnie jak kominiarz z dziesięcioletnim stażem. Zgniotłaś w dłoni kieliszek, a po ranie nie został nawet ślad. Jesteś po uszy zadurzona w jakimś Calebie, ale coś mi mówi, że to wcale nie jest stajenny chłystek z drewnianą nogą. – W tej chwili pokazuje już czwarty wyciągnięty palec. – I gdzie się nauczyłaś tak sprawnie rzucać nożami? W cyrku? – Wpatruje się we mnie, mrużąc powieki. – Jesteś łowczynią czarownic.

Otwieram usta, zaprzeczenie zamiera na koniuszku języka.

– I powinieneś się, cholera, cieszyć, że jestem! – syczę, zamiast kłamać. – Inaczej musiałbyś się gęsto tłumaczyć. Mogłam stracić oko!

George wzdycha i odpycha mnie od siebie. Splata ręce na karku i zaczyna się nerwowo przechadzać w tę i z powrotem po całym pokoju.

– Wiedziałem – mówi. – Czuję, że jesteś dziwna. Twój wygląd, twoja twarz i to wszystko. – Wskazuje gestem całą moją postać. – Najpierw podejrzewałem, że jesteś galijskim szpiegiem. – Z głuchym

klapnięciem opada na krzesło i łapie się za głowę. Jest rozbity do tego stopnia, że prawie mi go żal. – Łowczyni czarownic... – mamrocze. – Łowczyni czarownic, diabli nadali.

– Po prostu mnie wypuść – proponuję. – Wyjdę przez okno i za dwie minuty nie będzie po mnie śladu. Nikt nie musi o niczym wiedzieć. To nie twoje zmartwienie.

– Nie moje zmartwienie. – George przygląda mi się przez palce. – Mówisz, jakbyś trafiła tutaj przez pomyłkę. A to nie była pomyłka. Nie sprowadziliśmy cię tutaj bez powodu.

– Wiem. Wasza wieszczka wyczuwa łowców – pryham. – A wy ich wyłapujecie i zabijacie.

– Nie, zupełnie nie o to chodzi – odpowiada mi George.

– Przecież ty sam nie masz pojęcia, o co chodzi – odpieram. – Nawet Nicholas przyznał, że nie wie, dlaczego wyciągnął mnie z więzienia.

– To akurat nie do końca prawda.

– Jak to? – Mrużę oczy.

– Ty chyba bardzo lubisz utrudniać ludziom życie, prawda? – Wzdycha.

– George...

Kolejne westchnienie.

– Nicholas cię sprowadził, ponieważ bardzo zależy mu na odszukaniu pewnej rzeczy. Nie wiem jakiej, ale to bardzo ważne. A według Vedy tylko ty jesteś w stanie to znaleźć.

– Co? – Bzdury wygaduje. – Mam coś dla niego znaleźć? Niby co? Przecież Nicholas jest czarownikiem, a ja łowczynią czarownic. No i... – Urywam, gdyż coś świta mi w głowie. – Ach, to musi mieć jakiś związek z ciężącą na nim klątwą, tak?

– Skąd o niej wiesz? – George marszczy czoło.

– John mi powiedział. – George unosi brwi, ale mówię dalej: – Czyli mam rację, prawda? Inny mag rzucił na Nicholasa urok, a ja powinnam go teraz odszukać i zlikwidować?

Wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem. Chociaż teraz, kiedy już wiem, kim jesteś, to faktycznie najbardziej prawdopodobne. Dziś wieczorem wszystko się

wyjaśni.

– Przykro mi. – Kręcę głową. – Przepraszam, ale nie mogę tego zrobić. Nie zapoluję dla was na nikogo. Może jeszcze nie zauważyłeś, ale mam ostatnio na głowie trochę własnych problemów. Właściwie całe mnóstwo poważnych problemów. Muszę się ulotnić.

– Tak? A jak właściwie chcesz to zrobić? – pyta George. – Jesteś najbardziej poszukiwaną osobą w kraju. Będą cię szukać.

– Wiem przecież! – krzyczę. – Jak myślisz, po co chciałam ukraść te wszystkie rzeczy?

– Żeby otworzyć antykwariat?

Obrzucam go wściekłym spojrzeniem.

– Nie, nie mam na to czasu. – Ruszam do drzwi. – Idę stąd!

A czarownika niech znajdzie ktoś inny.

George zrywa się z krzesła i zastępuje mi drogę.

– Wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić.

– George... – Wzdycham. – Naprawdę nie chciałabym zrobić ci krzywdy. Jeśli mnie nie puścisz, będę jednak musiała. Proszę, nie sprawiaj kłopotów.

Podnosi otwarte dłonie, lecz nie odchodzi spod drzwi.

– Chcesz odejść. Rozumiem. Na twoim miejscu też bym chciał.

Ale nie masz ubrań ani broni. Nie masz też na to wszystko pieniędzy.

– Przez ciebie – mruczę pod nosem.

– Nawet z kieszenią pełną złota nie mogłabyś bezpiecznie podróżować. Za twoją głowę wyznaczono wysoką cenę. Gdziekolwiek się pojawisz, ktoś będzie cię szukać. Piraci, łowcy nagród, najemnicy...

– Poradzę sobie. – Zbywam przestrożę wzruszeniem ramion.

– Tak, ale jak długo? Przez całą drogę nad morze? Aż do Galii? Bo tam właśnie chcesz uciec, prawda?

Nie odpowiadam.

– Możemy ci pomóc – podejmuje George. – Jeżeli zrobisz to dla nas, jeśli znajdziesz dla nas czarownika, który rzucił klątwę na Nicholasa, i go powstrzymasz, dostaniesz w zamian wszystko, o co tylko poprosisz.

Kusząca oferta. Wciąż się jednak waham. Odszukanie maga nie stanowi problemu. Coś takiego zrobiłabym bez trudu. I nie chodzi o to,

że ściga mnie Blackwell. I tak by mnie ścigał. Niepokoi mnie coś innego.

– Dlaczego akurat ja? – pytam. – Jest wielu innych łowców, którzy mogliby wam pomóc. Ich nie musielibyście wykradać z lochów ani ukrywać przed prawem. Na pewno w końcu któryś by się zgodził. – Naturalnie, nie mam na myśli Caleba. Potrafię jednak wymienić co najmniej kilka osób, które byłyby zainteresowane. Za odpowiednią cenę.

– Tego też nie wiem – przyznaje George. – Słyszałaś, co mówił Gareth. Sami myśleliśmy, że to pomyłka. Gdybyśmy znaleźli cię wcześniej, tak jak miało być, nic z tego by się nie wydarzyło. Nam też nie było łatwo.

– Dlaczego Nicholas nie powiedział mi o tym osobiście?

George patrzy na mnie ciekawie.

– Przecież nie wiedział, że jesteś łowczynią czarownic. Wciąż sądzi, że ma do czynienia z niewinną dziewczynką. – Kręci głową. – Udało ci się omamić nas wszystkich. Ja myślałem, że jesteś szpiegiem. Fifer i Nicholas podejrzewają, że jesteś czarownicą. A John... – zawiesza głos.

– Co John?

– Nadal uważa, że to pomyłka. I tyle.

– Ach... – Czuję lekkie ukłucie rozczarowania, ale prędko je wypieram. – A Gareth?

– Podobnie, chociaż z innych powodów. Skoro już musisz wiedzieć, on po prostu nie do końca wierzy w talent Vedy. I nie wierzy, że będziesz nam w stanie pomóc. Zdecydowanie wolałby cię wydać i zainkasować od Malcolma tysiąc suwerenów. Pewnie zmieniłby zdanie, gdyby się dowiedział, kim jesteś naprawdę, ale prędzej mnie piekło pochłonie, nim mu to zdradzę. Tak czy inaczej, jak powiedziałem, Nicholas nie jest jeszcze pewien, na czym dokładnie ma polegać twoje zadanie. A tobie o niczym nie wspomniał, bo sądzi, że jesteś krucha i delikatna.

– Krucha i delikatna? – parskam. – Mogłabym cię zabić tu i teraz. Samym kciukiem. A ty, że delikatna...

Ku mojemu zaskoczeniu, George wybucha śmiechem.

– Jasne. A widziałaś się może ostatnio w lustrze?

Ignoruję zaczepkę.

– Czyli chodzi tylko o to? Muszę mu pomóc odszukać tamtego czarownika?

Potwierdza skinieniem głowy.

Zastanawiam się. Niechętnie się do tego przyznaję nawet sama przed sobą, ale pomoc bardzo by mi się przydała. To się nie zmieniło. Nadal muszę znaleźć sposób na ucieczkę z kraju, a wcześniej zdobyć trochę pieniędzy. I kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że tylko trochę mi nie wystarczy. Zwłaszcza że nie chodzi jedynie o mnie, ale także o Caleba. Będę potrzebować sporej sumy, by nakłonić go do zamiany kariery wysokiego inkwizytora na los uciekiniera i wygnańca.

– Zgoda. Zrobię to. Wytropię dla was tego maga.

George oddycha z wyraźną ulgą.

– Nie ciesz się jeszcze – dodaję. – Zrobię to pod kilkoma warunkami.

– Tak?

– Po pierwsze, potrzebuję gwarancji, że nie wydacie mnie dla pieniędzy władzom.

– Nicholas nigdy by tego nie zrobił.

Moim zdaniem, Nicholas zrobiłby to bez większego wahania, ale nie chcę się wdawać w dyskusje.

– Potem, kiedy wykonam zadanie, bez sprzeciwu odeskortujecie mnie tam, dokąd zażądam.

George kiwa głową.

– Skoro tego chcesz, tak właśnie się stanie.

– To dobrze – rzucam. – Po trzecie, nie chcę, by ktokolwiek inny dowiedział się, kim jestem.

Czoło George'a przecina się zmarszczek.

– Nicholas dowie się na pewno. Jeżeli nie domyśli się sam, powie mu o tobie wieszczka.

– Wiem, ale martwię się nie tylko Nicholasem. – Przebiegam w myślach portrety całego towarzystwa. Peter jest piratem, na pewno świetnie radzi sobie z mieczem. Fifer jest ulubienicą Nicholasa, jego uczennicą. Z pewnością mogłaby mi zaszkodzić niejedną zmyślną klątwą. Najbardziej jednak obawiam się Garetha. Nie wiem, czym

zajmował się w służbie króla Edwarda, ale szczerze wątpię, by siedział z nosem w rachunkach.

George zapada w krótką zadumę.

– Tak, chyba masz rację. Fifer nie dałaby Nicholasowi spokoju, gdyby się dowiedziała. A i tak ma z nią ciągle kłopoty. No, a John...

– Co John? – znów zadaję podobne pytanie. Czemu George tak bardzo przejmuje się Johnem?

– Nie, nic.

Wzruszam ramionami.

– Czyli umowa stoi?

Potwierdza ruchem głowy, po czym wraca na krzesło i przywołuje mnie gestem.

– Mógłbym zobaczyć? Twoje znamię? Jeszcze nigdy takiego nie widziałem.

– Nie ma czego oglądać. – Przykładam dłoń do brzucha. – Ujawnia się tylko wtedy, kiedy jestem ranna, i znika zaraz, gdy wracam do zdrowia.

– Zawsze mogę cię dziabnąć... – George z uśmiechem wskazuje na nóż.

W odpowiedzi znacząco unoszę kciuk.

Zanosi się śmiechem.

– Żartowałem. Ale powiem ci, że sprytne to całe znikanie. Dzięki temu możesz pozostać w ukryciu. Już rozumiem, dlaczego Fifer niczego nie zauważyła, kiedy cię myła.

Potakuję, czując nagłą ulgę. Wreszcie mam pewność, że zajmowała się mną dziewczyna, a nie uzdrowiciel.

– A jak wygląda? – George draży temat. – Pewnie jest okropne?

– Nie tak, jak się pewnie spodziewasz.

Kiedy się dowiedziałam, że zostaniemy naznaczeni znamionami, wpadłam w panikę. Wyobrażałam sobie najgorsze: blizny, czarne ślady po oparzeniach, wybrzuszoną zaczerwienioną skórę. Same paskudztwa. Znamię okazało się jednak niewielkie, subtelne, a w pewien sposób nawet eleganckie. Wygląda trochę jak symbol wyrysowany przez nadwornego kaligrafa.

– Bolało?

Nie odpowiadam od razu. Ceremonia odbyła się, gdy przeszłam ostatni sprawdzian rekruta. Do samego testu wracam myślami niechętnie. Z jeszcze mniejszą ochotą o nim rozmawiam. W zasadzie nie pamiętam, czy bolało. Z szoku wyszłam dopiero długi czas potem.

– Trochę. – Wzruszam ramionami.

– Jak właściwie się w to wplątałaś? Polowanie na magów to poważna sprawa, a ty przecież jesteś bardzo młodą dziewczyną. – George ściąga brwi. – Jak do tego doszło?

Przypominam sobie dzień, gdy Caleb wspomniał, że moglibyśmy zostać łowcami. Rozmowa zaczęła się swobodnie, ale zanim zaszło słońce, stałam już na początku tej ścieżki bez powrotu. I poszłam przed siebie, przerażona tym, że Caleb mógłby wkroczyć na nią beze mnie.

– Może chciałabyś się stąd wyrwać? – spytał wtedy. Siedziałam w przykuchennym ogrodzie, zgarbiona nad brudnym miedzianym garnkiem.

– Co? – Próbowałam sobie akurat przypomnieć, co Madge mówiła o czyszczeniu miedzi. Na pewno wspominała o ziemi... O ziemi?

– Przecież chyba nie chcesz tutaj tkwić do końca życia – rzucił.

Spojrzałam na niego i zmarszczyłam nos. Cuchnął. Caleb pracował wtedy u rzeźnika i bez przerwy było od niego czuć krew i flaki.

– Zamiast gadać po próżnicy, idź się umyj – poleciłam. – Śmierdzisz.

– Daj mi spokój ze smrodem. – Pochylił się i przytrzymał moją rękę. – Chcesz się stąd wydostać?

– Chyba tak. – Zadawał mi to pytanie raz po raz. Był przekonany, że istnieje co najmniej milion zajęć lepszych od pracy w pałacowej kuchni. Wtedy sobie przypominałam. – Podaj mi ten kubełek z piaskiem – rzuciłam. Miedź szoruje się piaskiem. Dzięki temu prostemu zabiegowi naczynia lśnią jakby były z diamentu.

Zniecierpliwionym gestem wcisnął mi wiaderko w dłoń.

– A gdybym ci powiedział, że dostałem propozycję nowej pracy? – Wstał z błyskiem w oku.

– Co?! – Poderwałam się na równe nogi, kubełek niebezpiecznie się zakółsał. – Chcesz mnie zostawić?

– Nie, oczywiście, że nie. – Zerknął w dół i przytrzymał wiaderko



butem. – Nigdzie się nie wybieram.

Odetchnęłam z głęboką ulgą.

– Co to za zajęcie? – zapytałam, pochylając się z powrotem nad garnkiem. Caleb był podekscytowany. Być może zaproponowano mu awans na pazia lub osobistego lokaja władcy, na przykład opiekuna królewskich nocników. Zapach nie byłby lepszy niż u rzeźnika, ale co miałam do gadania? Rolę tę z jakiegoś powodu uważano za zaszczytną.

– Łowca czarownic. W służbie Blackwella. – Dumnie wyprężył pierś. – Wczoraj wezwał mnie do swoich komnat. Powiedział, że sprawiam wrażenie silnego młodzieńca. Że jestem godny zaufania. I mądry. – Popatrzył na mnie z wyczekiwaniem.

– To prawda, taki właśnie jesteś – stwierdziłam. – No, ale... polowania na magów? To chyba niebezpieczne zajęcie, prawda? – Wsypałam do garnka garść piachu i zaczęłam czyścić.

– Oczywiście – przyznał. – Dlatego to tym większe wyróżnienie. W każdym razie Blackwell szuka chętnych. Szczególnie dziewcząt. Obiecałem, że z tobą pomówię.

– Dlaczego tak mu zależy na dziewczynach?

– A jaki czarownik czy wiedźma będą podejrzewać dziewczynę? Zwłaszcza o twoim wyglądzie? – Caleb wyszczerzył się w uśmiechu. – Genialne w swej prostocie.

– Oj, Caleb – odparłam. – Sama nie wiem. Dobrze mi tutaj. – Nie skłamałam. Praca może nie należała do wyrafinowanych, lecz miałam zapewniony dach nad głową, ciepłe łóżko, dobrą strawę i traktowano mnie uczciwie. Mnie to wystarczało. Nie byłam tak ambitna, jak Caleb.

– Jak wolisz. – Wzruszył ramionami. W jego oczach pojawiło się jednak rozczarowanie. Postukał nogą w ściankę garnka. – Tu ci została plama – rzucił. I odszedł.

George milczy jeszcze przez moment.

– I w jaki sposób cię namówił?

– Przecież to mój najlepszy przyjaciel. Moja najbliższa rodzina. Przygląda mi się sceptycznie.

– Pięknie traktuje rodzinę – mówi. – Zmuszając bliskich do robienia czegoś, na co nie mają ochoty.

Kręcę głową.

– To nie tak. Nie zmusił mnie.  
– Czyli jednak chciałaś zostać łowczynią?  
– Chciałam zostać z Calebem.  
– A nie mógł znaleźć dla was innego wspólnego zajęcia? Na przykład bardziej bezpiecznego?  
– Tego po prostu chciał. – Wzruszam ramionami. – A ja ufam, że zawsze robi to, co najlepsze.  
George krzywi się nieładnie.  
– Najlepsze dla ciebie czy dla niego?  
– A co to ma znaczyć?  
– Nie wiem – odpowiada. – Na moje oko bardziej był przejęty własną karierą niż twoim bezpieczeństwem.  
– Mówisz o sprawach, o których nie masz bladego pojęcia! Caleb zawsze o mnie dbał. Troszczył się i robił wszystko, by nic mi nie groziło.  
– Wszystko? – burzy się George. – Dziewczyny, którym nic nie grozi, nie trafiają do lochu z zarzutem uprawiania magii, nikt też nie skazuje ich na stos.  
Kręcę głową, ale George nie milknie.  
– Zostawił cię, porzucił na pewną śmierć...  
– Caleb mnie nie porzucił – sprzeciwiam się. – Miał po mnie wrócić.  
– Jasne. Chyba po to, żeby cię odeskortować na miejsce straceń.  
– Przestań – rzucam. I wtedy przypomina mi się coś, co Caleb powiedział gwardzistom, gdy aresztowaliśmy nekromantów. „Z Fleet się nie wychodzi. Chyba że na stos”. Przebiega mnie zimny dreszcz.  
– Wiesz, że mam rację. Przecież musisz to rozumieć.  
– Przestań – powtarzam. – George, mówię poważnie. Jeśli usłyszę od ciebie choć jedno więcej słowo na temat Caleba, odejdę. Nieważne, co mi proponujecie, ani jaki los spotka Nicholasa. Będziecie musieli sobie radzić beze mnie.  
– Elizabeth...  
– Ani słowa! – krzyczę i gwałtownie wstaję. – Przysięgam, że...  
Mój wybuch przerywa czyjeś znaczące chrząknięcie. Odwracam się energicznie i widzę stojącego w progu Johna. Przygląda się nam. Nawet nie słyszałam, kiedy wszedł do pokoju. Ma na sobie gruby czarny

płaszcz podróżny, na ramię zarzucił duży płócienny worek, z twarzy i włosów spływają mu struzki wody. Musiał dopiero co wrócić z zakupów.

– Nie słyszałem cię. – George wstaje z podłogi.

– Przepraszam, nie chciałem wam przeszkodzić. Pukałem kilka razy. – Zerka na mnie, po czym zwraca się do kolegi: – Nicholas chce się z tobą widzieć. Czeka na dole.

George podchodzi do wyjścia, obrzuca mnie przy tym pełnym rezerwy spojrzeniem.

– Chyba powinnam się umyć.

Kiwa głową.

– Poproszę Hastingsa, by przygotował kąpiel.

– A nie mógłby się tym zająć ktoś inny? – bąkam nieśmiało.

Hastings musi być na mnie wściekły za kataklizm, jaki sprowadziłam na jego kuchnię. O próbie kradzieży sreber Nicholasa nie wspomnę.

Ciekawe, jak zechce się na mnie odegrać? Zaprawi wodę cykuta, by moje płuca przestały pracować? Zatrzyma mi serce, dodając do mydła trochę suszonego lulka? Ja bym tak zrobiła.

George nawet nie mrugnął.

– Elizabeth przyznała, że boi się Hastingsa – tłumaczy uzdrowicielowi. – Oczywiście zapewniłem ją, że nie ma powodu.

Hastings nigdy nie sprzeciwia się woli Nicholasa. – Spogląda na mnie znacząco. – A goście Nicholasa są w tym domu bezpieczni. Bez względu na wszystko.

Wychodzi. John waha się, zostaje i obrzuca mnie bardzo dziwnym spojrzeniem. Jego oczy wędrują od moich włosów – wiem, że wciąż mam w nich pełno mąki – przez brudną, umazaną żółtkiem sukienkę aż po dłoń. Nie zdążyłam założyć opatrunku, a na skórze nie znać nawet śladu skaleczenia.

– Wychodzimy o siedemnastej – rzuca. – Pamiętaj, żeby ciepło się ubrać.

## ROZDZIAŁ 12

Wyruszamy zgodnie z planem, punkt piąta. Nicholas, John, George, Fifer i ja. Peter i Gareth zostali. Podobno Veda boi się starszych mężczyzn, z jedynym wyjątkiem – Nicholasa.

Noc jest chłodna i rześka, cieszę się, że Nicholas znalazł dla mnie nowy strój. Dostałam obcisłe zielone spodnie i miękką białą koszulę. Całości dopełnia długi płaszcz z czarnego aksamitu i sięgające kolan skórzane buty. Ciuchy Fifer. Domyśliłam, się, widząc jej wściekłe spojrzenie. Nie chciała się z nimi rozstawać. Nie podoba mi się, że wyglądam jak ona, ale muszę przyznać, że są ciepłe. Nie zapomniałam o radzie Johna.

Nicholas powiedział, że czeka nas godzinny spacer i że nie będziemy iść drogą. Doskonale zna szlak. Prowadzi nas między drzewami, ponad powalonymi pniakami, aż wreszcie zagłębiamy się w las na dobre. Księżyc nie widać wcale, mroku w zaroślach nie oświetla nawet wąski sierp. Otacza nas ciemność. Nawykłam do nocnych wędrówek, ale idącemu obok mnie George'owi łatwo nie jest. Potyka się co kilka kroków, raz za razem wpada na suche gałęzie i nierówności terenu.

– Szkoda, że Veda nie może wieszczyć za dnia. – Znów się chwieje, więc przytrzymuję go za rękę. – Czy te bajki o wpływie księżyca naprawdę mają jakieś znaczenie?

– Bajki o wpływie księżyca? – Fifer cmoka z niezadowoleniem. – Nów jest najbardziej istotnym czynnikiem sprzyjającym jasnowidzeniu.

Wieszczące osoby gromadzą w tym czasie najwięcej mocy. A ty nazywasz to bajką.

– Cóż, nie każdy jest magiem – odpowiada George.

W tej chwili wyczuwam na sobie spojrzenie Fifer.

– Sama mówiłaś, że ta faza trwa trzy doby, prawda? – podejmuje George. – Czy Veda nie może niczego zobaczyć w dowolnym momencie nowiu? Dajmy na to za dnia? – Znów zaczepił o coś nogą.

– Ściśle rzecz ujmując, masz rację – wtrąca Nicholas – ale najwięcej energii można zaczerpnąć w kilku pierwszych godzinach. Chcemy z tego skorzystać. W tym okresie pracować będą wszyscy jasnowidze. Dobrze więc zacząć, zanim energia zacznie się rozpraszać.

Co nieco na ten temat wiedziałam już wcześniej. Łowcy czarownic także pracują wtedy, kiedy księżyc jest w nowiu. I nie chodzi tylko o poszukiwanie jasnowidzów; to znakomita pora, by zapolować na wiedźmy i magów, którzy w tych dniach również chętnie praktykują. Ich moc także zależy od księżyca, w nowiu są najbardziej potężni. I to mnie właśnie martwi.

– Będą nas szukać, prawda? – rzucam.

– Bez wątpienia – odpowiada Nicholas. – Starannie nas zabezpieczyłem. Dom Vedy chroni to samo zaklęcie, które stosuję u siebie. Nikt go nie zobaczy. My również znikniemy, gdy znajdziemy się w środku. A dzięki pomocy Fifer wzmocniłem czar w ten sposób, że przez las przejdziemy praktycznie niewykrywalni.

– A po co w ogóle ryzykować? – dziwię się. – Naprawdę nie można dotrzeć do tej całej Vedy w inny sposób? Niekoniecznie na piechotę? – Słyszałam kiedyś, że czarownicy potrafią przemieszczać się z miejsca na miejsce za pomocą magii. Dla fachowca tej klasy co Nicholas z pewnością nie byłby to problem.

– Owszem, istnieją określone metody – tłumaczy. – Stosuje się w tym celu głównie magnetyty, ale jest ich bardzo niewiele i niełatwo się o taki kamień wystarać. Ludzie ginęli za mniejsze przewiny.

– Na przykład niektórych gubiła przesadna ciekawość – mruczy pod nosem Fifer.

– Przestań, Fifer – karci ją John. – Na początku też nie miałaś o tym wszystkim pojęcia. – Zwraca się do mnie: – Magnetyty powstają,

gdy błyskawice uderzają w określone minerały. Najczęściej przy tym wybuchają. Stąd kłopoty, o jakich wspominał Nicholas. Niekiedy magowie sami przyzywają pioruny i próbują ocalić kamienie i cóż... Nietrudno się domyślić, jak takie eksperymenty mogą się skończyć. – Z uśmiechem pokazuje na migi potężną eksplozję.

Przesłaniam dłonią usta, duszę w sobie śmiech.

– To wcale nie jest zabawne – warczy idąca z tyłu Fifer.

– Nie jest – potakuje John. – Ale czego się spodziewają, skoro igrają z błyskawicami?

Nicholas dobrotliwie chichocze.

– Trafna uwaga. Są też inne ograniczenia. Każdy magnetyt może zostać wykorzystany tylko raz i to przez jedną osobę. Do naszej wyprawy potrzebowalibyśmy aż dziesięciu sztuk. A nie wydaje mi się, bym słyszał o istnieniu aż tylu. – Uśmiecha się do mnie. – Nie martw się, Elizabeth. Z nami jesteś bezpieczna.

Milkniemy i idziemy naprzód. Słysząc jedynie szmer liści i trzask pękających nam pod podeszwami gałązek. I bardzo dobrze. Wcale nie mam ochoty na pogawędkę. Denerwuję się na myśl o spotkaniu z wieszczką. Boję się tego, co ta kobieta może zobaczyć. I tego, o czym może powiedzieć. O moich najbardziej mrocznych tajemnicach, największych lękach. Co będzie, jeśli wyjawi je wszem wobec?

Dowie się, iż jestem łowczynią czarownic – nie mam co do tego cienia wątpliwości. A kiedy prawda o mnie wyjdzie na jaw w pokoju pełnym reformistów... Jak zareagują? Przychodzi mi w tej kwestii do głowy kilka możliwości i żadna mi się nie podoba. Nie mam czym się bronić. Nie mam noża, toporka, nawet widelca ani garoty z knota. Wszystko odebrał mi George.

Z drugiej strony, nie z takich tarapatów wychodziłam cała i zdrowa. Nie należy myśleć, że dzisiaj będzie inaczej. Powinnam się uspokoić. Zadzieram głowę i spoglądam w niebo. Noc jest gwiazdzista, widzę tysiące srebrnych światełek. Idę z podniesionym czołem i wypatruję znajomych gwiazdozbiorów. Zajmuje mi to chwilę, ale w końcu kilka zauważam.

Jako pierwszego dostrzegam Łabędzia. Ładna nazwa, choć konstelacja wygląda raczej jak olbrzymi krzyż. Łatwo ją poznać. Nieco

ponad nią widnieje Pegaz, skrzydlaty koń. Ten z kolei przypomina gigantycznego kraba. Poniżej znajduję Andromedę. Dziewczynę, którą przykuto do skały w ramach ofiary za pychę i arogancję jej matki. Pod Andromedą jaśnieje Kasjoepa – właśnie jej matka. Ten gwiazdozbiór składa się z pięciu gwiazd układających się w wielkie „W”.

Caleb powiedział mi kiedyś, że ma to symbolizować wymierzoną jej karę. Za to, co uczyniła Andromedzie, bogowie przywiązali Kasjoepę do krzesła i wygnali do nieba. Tkwi tam teraz w łańcuchach i będzie uwięziona po kres czasu.

Nadal mnie to zastanawia. Owszem, rozumiem: na taki los sobie zasłużyła, ale w głębi ducha uważam, że powinna otrzymać drugą szansę, chociaż popełniła straszliwy błąd. To nie była do końca jej wina. Zrobiła tylko to, co jej kazano.

Nagle ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu i odciąga w bok – lekko, lecz stanowczo.

– Uważaj – mówi John. – Prawie wpadłaś na drzewo.

– Tak? – Robi mi się głupio. – Dziękuję.

– Podziwiasz teraz gwiazdy? – Uzdrowiciel zrównuje krok z moim.

– Może troszeczkę.

Kiwa głową.

– Na dworze pewnie nie miałaś na to zbyt wielu okazji?

– Nie bardzo – przyznaję. To nieprawda, ale wiem, o co mu chodziło.

Na dworze Malcolma nie jest mądrze ujawniać zafascynowanie gwiazdami. To mogłoby wskazywać na zainteresowanie astronomią. Astronomowie zajmują się sporządzaniem map nieba, wiedzą wiele na temat położenia planet i znaczenia znaków zodiaku... To wszystko nazbyt blisko wiąże się z wróżbiarstwem, które jest surowo zakazane.

Co najdziwniejsze, popychał nas w tym kierunku sam Blackwell. Edukacja stanowi ważny element treningu łowcy czarownic. Oczywiście na większości zajęć uczono nas umiejętności skradania się, posługiwania się różnymi rodzajami broni czy delikatnej sztuki mieszania trucizn, ale niektóre wykłady dotyczą bardziej subtelnych dziedzin wiedzy. Blackwell pochodzi z arystokratycznego rodu i odebrał staranne wykształcenie. Edukował się u najlepszych nauczycieli królestwa,

których potem zatrudnił z myślą o nas.

Kiedy u niego zamieszkałam, mocno mnie to zaskoczyło. Uznałam bowiem, że jego pragnienie zapewnienia nam edukacji wynika z osobistego zainteresowania naszą przyszłością, z troski. Ostatecznie jednak pojęłam, że wcale nie o to chodziło. Co prawda, odziewał nas i karmił, dał dach nad głową i kształcił, ale nie byliśmy przecież jego dziećmi. Byliśmy jego żołnierzami: niezastąpionymi, lecz zastępowalnymi. Gdy w trakcie szkolenia ktoś z nas tracił życie, Blackwell nie komentował tego nawet jednym słowem. Po prostu przy stole pojawiało się wolne miejsce i nikt nie śmiał choćby wspomnieć nieżyjącego rekruta. Gdyby nie Blackwell, nigdy bym się niczego nie nauczyła. On studiował wszystko, co tylko możliwe, i surowo nalegał, bym nie ustawała w wysiłkach. Początkowo robiłam to niechętnie, lecz teraz bardzo się cieszę. Wykształceniem dorównuję mężczyznom i jestem z tego niezwykle dumna.

John nadal idzie obok i uświadamiam sobie, że milczę już dobrą chwilę.

– Przepraszam – odzywam się. – Zamilkłam. Chyba się po prostu denerwuję.

– Nie ma za co przeproszać, ale nie masz też się czym przejmować – uspokaja. – Veda jest naprawdę przeurocza.

Przeurocza? To miał być żart? Pewnie próbuje mnie pokrzepić albo coś w tym rodzaju. Miałam w życiu sporo do czynienia z wieszczkami. To zwykle zręczliwe, zgorzkniałe baby. Przeurocza? Takiej nie spotkałam nigdy.

Już mam odpowiedzieć, gdy ucisza mnie szept Nicholasa.

– Jesteśmy na miejscu.

Stajemy na skraju lasu. W oddali majaczą zabudowania niewielkiej wioski.

– Tam mieszka Veda? – pytam półgłosem i wskazuję wieś palcem.

– Niezupełnie. – John kieruje moją rękę w stronę starej kamiennej studni stojącej sześć metrów od nas. Jedna z jej ścian jest wysoka na około dziewięćdziesiąt centymetrów, ale po drugiej stronie konstrukcja rozsypała się ze starości i zmieniła w beładną stertę gładów.

– Mamy tam wejść? Pod ziemię? – Na myśl o przeciskaniu się



przez ciasną cembrowinę czuję w piersi nieprzyjemny ucisk.

– Niezupełnie – powtarza Nicholas, który nagle pojawił się tuż obok.

Sięga do kieszeni płaszcza i wyjmuję niewielkie zawiniątko. Odwija kilka warstw tkaniny, aż wreszcie widzę, co zostało ukryte w środku. Kamień. Sądząc po wyglądzie, stanowił kiedyś część tej studni. Czarownik przymyka oczy i kładzie ręce na kamieniu.

– Ukaż.

Zrujnowana studnia znika w mgnieniu oka i na jej miejscu pojawia się mały domek. Wykonany z takich samych nierównych kamieni, jak studnia i skałka, którą przyniósł ze sobą Nicholas. Jest naprawdę maleńki oraz mocno zaniedbany. Za nim widnieje nieduży ogród, kojec dla kur i samotnej wychudzonej świni. Wokół panuje cisza tak głęboka, że wyraźnie słyszę chrumkanie ryjącej w błocie świnki.

– Fantastyczne – szepce George. – Mówię ci, tym widokiem nigdy nie można się znudzić.

Jestem szczerze zaskoczona. Zaklęcie maskujące należy do najtrudniejszych. Wymaga obłożenia czarem nie jednego przedmiotu, lecz aż dwóch jednocześnie: obiektu, który chcemy ukryć, i obiektu, który łączy ten pierwszy z maskującą go iluzją. Większość czarnoksiężników nie jest w stanie tej sztuki opanować. Jeżeli Nicholas obłożony jest klątwą – zabójczym urokiem – a pomimo to zachował jeszcze dość siły na taki wyczyn, cóż...

Nagle znów bardzo tęsknię za bronią.

– Dam jej znać, że już jesteśmy – mówi Nicholas. – Zostańcie, dopóki nie zawołam.

Podchodzi do wąskich drewnianych drzwi i łagodnie puka. Po chwili stają otworem i mag znika w środku. Czekamy i czekamy. Kiedy zacznę niespokojnie przestępować z nogi na nogę, Nicholas wychodzi przed dom i przywołuje nas kiwnięciem palca.

## ROZDZIAŁ 13



Izba tonie w mroku. Moje oczy dopiero po chwili przywykają do nowych warunków. Niewielkie pomieszczenie, oszczędnie umeblowane. W jednym kącie stoi stół i dwa stołki, jest też ława i drewniany kufer. Po drugiej stronie zauważam kominek. Na palenisku leży przygotowane drewno, ale ogień nie płonie. Panuje tu okrutny ziąb, jest zimniej niż na zewnątrz. Ciasno obejmuję się ramionami.

– Rytuał wymaga, by we wnętrzu było jak najciemniej i najchłodniej. – Nicholas wskazuje kominek. – Potem rozpalimy. Chodź. Poznasz Vedę. Wy troje zaczekajcie.

Gestem zaprasza mnie do innych drzwi. Są lekko uchylone i widzę za nimi kolejne ciemne pomieszczenie. Fifer podskakuje i sadowi się na stole, George z Johnem wybierają ławkę. George wyciąga talię kart i zaczyna rozdawać.

Wchodzimy z Nicholasem do drugiego pomieszczenia i tam zbliża się do nas kobieta.

– Avis, poznaj Elizabeth. Elizabeth, to jest Avis. Matka Vedy.

Jej matka??? Raz jeszcze omiatam ją wzrokiem. Nie jest stara, na pewno nie. Wśród związanych w kok kasztanowych włosów nie widać ani jednego siwego pasemka. Kiedy rzuca mi bezbarwny uśmiech, wokół oczu nie pojawia się nawet jedna zmarszczka. Na moje oko może mieć jakieś dwadzieścia lat. Najwyżej.

– A to właśnie jest Veda – kontynuuje prezentację Nicholas. Rozglądam się, ale nikogo nie widzę. – Trochę niżej – dodaje czarownik,

więc patrzę w dół.

Przede mną stoi niska, drobniutka dziewczynka. Może czteroletnia. Zdumiona, otwieram szeroko oczy i kucam, żeby lepiej się przyjrzeć. Mała ma długie ciemne włosy i wielkie piwne oczy. Uśmiecha się do mnie i obnaża brak dwóch dolnych zębów.

– Cześć! – Dziewczynka wita się ciekawym głosem. – Ja cię znam! Widziałam cię w swojej głowie. To miło, że wreszcie cię znaleźli. Najpierw poszli do jakiejś starej i brzydkiej pani. A ty przecież wcale nie jesteś brzydka!

– Och... dziękuję – rzucam i słyszę chichot Nicholasa.

– Vedo, skoro udało się nam wreszcie sprowadzić Elizabeth, musimy się jeszcze od ciebie dowiedzieć, co ona ma właściwie zrobić. – Zauważam, jak Nicholas ostrożnie dobiera słowa. Nie powiedział zupełnie nic o tym, że miałabym czegoś lub kogoś szukać. – Mogłabyś tę zagadkę rozwiązać?

Dziewczynka potakująco kiwa głową.

Na środku izby czeka niewielki stół nakryty białym obrusem. Na stoliku stoi na nóżce okrągłe zwierciadełko, a wokół niego migocą świece. Nicholas wyjmując spod płaszcza pięć płaskich, okrągłych kamyczków i rozkłada je na stole. Cztery trafiają w rogi, ostatni przed lustro. Na każdym kamieniu widnieje inny symbol, domyślam się, że to runy. Na koniec czarownik ustawia na blacie niedużą szklaną klepsydrę.

– Gotowa? – upewnia się Nicholas.

Veda aż dygoce z wyczekiwania.

– Tak! – rzuca radośnie i wskakuje na krzesło.

Mag pstryka palcami i świece natychmiast rozpalają się jaśniejszym płomieniem. Avis podsuwa mu drugie krzesło i Nicholas siada za plecami małej Vedy, nieco z lewej strony.

– Nie widzisz mnie, prawda? – pyta dziewczynkę, która kręci głową. – Znakomicie. Elizabeth – zwraca się do mnie. – Stań, proszę, za stołem. Veda nie powinna widzieć w zwierciadełku nawet twojego cienia.

Staję więc pod przeciwległą ścianą, obok lusterka. Nicholas wyjmując z kieszeni płaszcza kartę pergaminu i pióro. Układa je na stole.

– Musimy pracować w absolutnej ciszy – mówi, patrząc mi w oczy.  
– Bez względu na to, co usłyszysz, nie wolno ci wydać ani jednego dźwięku. Czy to jasne?

Żołądek zaciska mi się lekko z niepokoju. Czuję się bardzo nieswojo.

– Tak.

Dolatuje mnie ciche stuknięcie. To Avis zamknęła drzwi. Nicholas odchrząkuje i zaczyna mówić. Deklamuje jakiś wiersz.

Powtarza ten sam tekst raz po raz, cichym, monotonnym głosem. Mimo panującego w domku zimna, robi mi się coraz cieplej, rozluźniam się. Formuła Nicholasa wywiera identyczny skutek na Vedę. Główka małej opada naprzód, prawie dotyka blatu. Trwa w tej pozycji dobrą chwilę i zaczynam się zastanawiać, czy nie zasnęła. Nagle dziewczynka gwałtownie się prostuje. Szeroko otwartymi oczyma wpatruje się w lusterko.

– Jak masz na imię? – pyta ją Nicholas.

– Veda – odpowiada wieszczka z niecodziennym zaśpiewem.

– Ile masz lat?

– Pięć.

– Co mi powiedziałaś, kiedy odwiedziłem cię ostatnim razem?

– Szukaj poza tym, co dostrzegasz, spójrz ku zaślepionej. Bowiem tylko ona może odnaleźć zgubę. Zdradzona, odesłana do miejsca bez powrotu, Elizabeth Grey, skazana na płomienie.

Kiedy słyszę te słowa, wydaję z siebie stłumiony okrzyk. Nicholas mierzy mnie karcącym spojrzeniem i kładzie palec na ustach. Zaraz potem odwraca klepsydrę. Maleńkie ziarenka piasku zaczynają się sypać.

– Co takiego ma odszukać Elizabeth?

Cisza.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie to teraz jest?

Cisza.

– Ile czasu mamy na poszukiwania? – naciska Nicholas.

Trzymająca pióro dłoń czarownika wciąż wisi nad pergaminem, lecz nie zanotował jeszcze ani jednego słowa. Do dolnej połowy klepsydry trafiła już czwarta część piasku. Kiedy zaczynam podejrzewać, że to wszystko jest tylko jakimś urojeniem i mrzonką,

Veda wreszcie się odzywa.

– Na tym kamieniu wyryto znaki śmierci. Z ciebie wyciągnie on ostatnie tchnienie. Gdy trzecia zimowa noc nastanie, zejdziesz pod ziemię w zieleni. Co trzyma go w śmierci, zawieźcie cię do trzynastki.

Nic z tego nie ma sensu. Nicholas jednak pochylił się nad stołem, kiwa głową i zawzięcie zapisuje. W pokoju panuje cisza tak głęboka, że wyraźnie słyszę skrobanie stalówki.

– Ufaj tym, którzy widzą tyle, co słyszą, bo rzeczy nigdy nie są tym, czym się zdają. Zdradzona przez trzech, dłużniczka czworga, kto stracił dwoje, nie zechce utracić trzeciego.

W tym momencie Nicholas marszczy czoło, lecz nie przestaje notować. Veda recytuje dalej:

– Ciemność nadchodzi, krąg się domyka. Więzy pękają i łączą się z powrotem. Elixir życia przejdzie pomiędzy, gdyż ona nosi znak trzynastki.

Nicholas obrzuca mnie ostrym spojrzeniem, mruży oczy i pochmurnieje. Znak trzynastki. Veda zdradziła mu właśnie, że jestem łowczynią czarownic. Dokładnie tego się spodziewałam. Czuję odruchową pokusę, by chwycić za krzesło, pobić czarownika do nieprzytomności, wyskoczyć przez okno i czmychnąć gdzie pieprz rośnie. Z wysiłkiem jednak pozostaję w miejscu. Nie będę przed nim uciekać.

W klepsydrze przesypują się ostatnie ziarenka piasku i Veda osuwa się bezwładnie na stół. Nicholas łagodnie podnosi ją za ramiona i opiera wygodnie na krześle. Po chwili dziewczynka otwiera oczy i jej spojrzenie na powrót nabiera ostrości. Spogląda na czarownika.

– Jak się spisałam?

– Znakomicie. – Nicholas gasi palcami świeczki. – Wiesz co? Jeśli pobiegiesz szybciotko do Fifer, przekonasz się, co dla ciebie przyniosła.

Veda rozpromienia się w uśmiechu, zeskakuje z krzesła i na złamanie karku pędzi do sąsiedniego pokoju. Mag zwraca się do Avis.

– Czy mogłabyś na kilka minut zostawić mnie samego z Elizabeth?

Kobieta kiwa głową i wychodzi. Oboje traktują mnie, jakbym nie istniała.

Kiedy zamykają się za nią drzwi, Nicholas siada wygodniej. Składa

dłonie w piramidkę, koniuszki palców przykładają do ust i wpatruje się we mnie badawczo. Jego oczy znów stają się chłodne, niedawna bez troska zniknęła bez śladu.

– Jesteś łowczynią czarownic – stwierdza po chwili.

Nie odpowiadam. Rozkołatanie serce podchodzi mi do gardła, dłonie pokrywa warstewka potu. Pocieram nimi o spodnie, mam nadzieję, że mag nie zauważy wilgoci.

– Nie wyglądasz na łowczynię. Domyślam się, że o to właśnie chodziło. – Moment zastanowienia. – W Fleet chciałaś mnie zabić, prawda?

Nadal nie odzywam się słowem. Rozglądam się po izbie. Przebiegam w myślach listę przedmiotów, którymi mogłabym się bronić. Świeczniki, leżące na blacie kamienie. Zwierciadełko też się przyda, odłamki szkła mogą skutecznie zastąpić noże.

– Wydaje mi się, że mamy kilka spraw do omówienia. – Czarownik wstaje i podsuwa mi krzesło. – Siadaj.

Nie ruszam się.

– Siadaj – powtarza Nicholas. – Nie zrobię ci krzywdy.

Waham się przez chwilę, po czym podchodzę. Nie spuszczam go z oka, czekam, aż coś zrobi. Mag jednak wraca na swoje miejsce i znów wbija we mnie wzrok.

– Wydawało mi się, że jesteś czarownicą – podejmuje. – Niewykształconą wiedźmą. Podejrzywałem, że to dzięki magii udało ci się przetrwać pobyt w lochu. John twierdzi, że powinnaś była umrzeć.

– Słyszałam – mówię zwięźle.

– Ochroniło cię znamię?

– Nie. Znamię chroni tylko przed ranami i urazami. Nie broni przed chorobą. Jestem dzięki niemu silniejsza, moje ciało potrafi znieść więcej niż ciała zwykłych ludzi. Gdybyście mnie nie znaleźli i nie trafiłabym pod opiekę Johna, to już bym nie żyła.

Nicholas nie komentuje. Być może w tej chwili żałuje, że nie umarłam. Cóż, może sobie żałować, ile dusza zapragnie, ale tego, na czym mu zależy, beze mnie nie dostanie. Jestem mu potrzebna. A ja potrzebuję jego.

– John twierdzi, że zostałeś obłożony klątwą, że umierasz. – Nawet

nie próbuję dobierać bardziej delikatnych sformułowań. – Veda powiedziała, że tylko ja mogę odnaleźć to, czego potrzebujesz. Chodzi o człowieka, prawda? O czarownika. Tego, który cię przeklął. Mam go znaleźć i zabić.

Nicholas przez chwilę rozważa coś w duchu. Wreszcie kręci powoli głową.

– Nie, nie szukam czarownika. Interesuje mnie tabliczka uroku.

Tym mnie zaskoczył.

– Tabliczka uroku?

– Tak. Wiesz, co to takiego?

Potwierdzam ruchem głowy. Rzeczywiście zdarzało mi się w życiu widywać tego rodzaju tabliczki. Zasada ich działania jest bardzo prosta: tekst klątwy zapisuje się na płaskim kamieniu lub ołowianej czy brązowej płytce, którą następnie umieszcza się w jak najbardziej niedostępnym miejscu. Sporą popularnością cieszą się głębokie studnie oraz rzeki i jeziora. Prosta jest jednak tylko zasada – z realizacją jest trudniej. Sporządzając tabliczkę, trzeba się posłużyć odpowiednim materiałem, napis wyryć właściwym narzędziem, a klątwa musi zostać zapisana prawidłowymi runami. Wystarczy jedna drobna pomyłka i urok nie zadziała.

I większość nie działa. Tabliczki, z jakimi się stykałam, były wszystkie nieukończone, porzucone na którymś z etapów tworzenia. Gdyby jednak ktoś się postarał i nie popełnił przy tym błędu, tabliczka uroku pozwoliłaby mu skutecznie zabić człowieka. Właściwie trudno o lepszą metodę zadania śmierci. A to dlatego, że ofiarę uratować może wyłącznie odszukanie i zniszczenie tabliczki. Co graniczy z niemożliwością.

– Cokolwiek byś mówił, na jedno wychodzi – zauważam. – I tak będę musiała znaleźć tego czarnoksiężnika. On sporządził tabliczkę i on ją ukrył. Domyślam się, że nie darzy cię wielką sympatią. – Nicholas unosi brew, lecz ja nie milknę. – Znajdę go i przekonam, by mi wyjawiał, gdzie ukrył tabliczkę. – Postanawiam nie wtajemniczać Nicholasa w swoje metody przekonywania. – A potem ją zniszczę. W zasadzie nic trudnego.

– Jesteś bardzo pewna siebie – zauważa mag.

– Po prostu jestem dobra w poszukiwaniach.

– Może nie byłabyś taka pewna, gdybyś wiedziała, że w tym przypadku tabliczką uroku jest Trzynasta Tablica.

– Co takiego?! – Gapię się na Nicholasa. – Niemożliwe. Trzynasta Tablica zaginęła dawno temu. Nie mogłeś zostać przeklęty za jej pomocą. Gdyby to o nią chodziło, byłbyś już martwy.

– Trzynasta Tablica zniknęła dwa lata temu – prostuje Nicholas. – Właśnie wtedy pojawiły się u mnie pierwsze objawy i od tamtej pory stopniowo czuję się coraz gorzej. Niemniej początkowo byłem przekonany, że zapadłem na jakąś pospolitą chorobę. Możliwość, że ktoś rzucił na mnie urok, nawet nie powstała mi w głowie. Dopiero kilka miesięcy temu dowiedziałem się prawdy od Vedy.

– Ale dlaczego ktoś posłużył się właśnie Trzynastą Tablicą? – dziwię się. – Zadał sobie niewąski trud. Ukradł ją z bramy Ravenscourt, zdołał przenieść w inne miejsce. Pozostaje też kwestia znalezienia stosownej kryjówki.

– Racja. Znacznie prościej byłoby zastosować tradycyjną tabliczkę. Z drugiej strony, klątwa tak silna jak moja wymaga sporo miejsca.

Słusznie. Jeśli ktoś planuje uśmiercić sąsiadowi psa albo sprawić, by nielubianemu szwagrowi wypadły włosy, może zapisać treść klątwy na stosunkowo niewielkiej tabliczce. Im jednak urok poważniejszy, tym większej i bardziej skomplikowanej tabliczki potrzebuje.

– W dodatku podejrzewam, że miał to być gest symboliczny – ciągnie Nicholas. – Przekląć czarnoksiężnika za pomocą tablicy, na której spisano prawa zakazujące uprawiania magii? Mój wróg musi być koneserem ironii.

– Naprawdę nie masz pojęcia, kto za tym stoi? – pytam. – Na pewno jakieś osoby przychodzą ci na myśl. W końcu ludzi zdolnych do rzucenia tak potężnej klątwy jest w kraju tylko garstka.

Nicholas patrzy mi głęboko w oczy. W jego spojrzeniu znów pobłyskuje stal.

– Wedle moich informacji, jedyny człowiek, który mógłby obłożyć mnie klątwą tej mocy, już nie żyje.

Nagle zalewa mnie fala dziwnej emocji. Lęk? Wstyd? Wyrzuty sumienia? Sama nie wiem. Niemniej czuję, jak coś chwyta mnie za



serce, a na policzki wypływa gorący rumieniec. Zdawałam sobie sprawę, że wkrótce usłyszę podobne napomnienie, ale nie przewidziałam, że dotknie mnie to tak boleśnie.

– Wykonywałam tylko swoją pracę. – Wpatruję się hardo w Nicholasa. – Wypełniałam obowiązki zlecone przez króla, realizowałam panujące w tym kraju prawo. Reguły, które nie zostały ustanowione bez powodu. – Znacząco celuję w Nicholasa palcem. – O czym zresztą dobitnie przekonałeś się na własnej skórze.

– Interesujące, że bronisz tych praw – odpowiada Nicholas. – Interesujące, gdyż i ciebie skrzywdziły. – Powtarza mój gest sprzed chwili. – Można powiedzieć, że o ich niesprawiedliwości przekonałeś się dobitnie na własnej skórze.

Przeszywa mnie ukłucie gniewu, ostre i intensywne.

– Gdyby nie ty, wcale by mnie tu nie było! – odszczekuję.

– To, w rzeczy samej, prawda.

– To przez ciebie nie doszło do mojego procesu – mówię dalej. – Przez ciebie nie zostałam ułaskawiona. A przede wszystkim, gdyby nie ty, w ogóle nie trafiłabym do więzienia!

– Niektórzy nazwaliby to ironią losu.

– Wiesz, przynajmniej wszystko, co robiłam, robiłam dla kraju. Ty wszystko robiłeś dla siebie.

– Nie jesteś patriotką, Elizabeth. Upierając się przy tym, obrażasz nas oboje.

– Nie jestem patriotką? A co? Może ty jesteś patriotą?

– Ja jestem reformistą.

– To co innego.

– Domagam się zmiany sytuacji w Anglii. Uczciwości. Tolerancji. Dla wszystkich, bez względu na zapatrywania i sympatie.

– Niemożliwe. – Kręcę głową.

Nicholas pstryka palcami i świece ponownie ozywają.

– Nieprawdopodobne – dodaje.

Kolejny gest i płomyki gasną.

– Lecz nie niemożliwe.

Mierzymy się spojrzeniami ponad blatem.

– Spróbujmy wszystko podsumować, bo nie jestem pewna, czy

dobrze rozumiałam – mówię. – Obłożony klątwą mag potrzebuje łowczyni czarownic, aby odnalazła tablicę stworzoną przez innego czarownika, by wyżej wspomniany obłożony klątwą mag mógł dłużej walczyć o zniesienie praw, które powinny były zapobiec rzuceniu uroku. – Uśmiecham się złośliwie. Nie potrafię się powstrzymać. – Tak, to rzeczywiście ironia losu.

Zauważam, że Nicholasowi drgnął kącik ust.

– Oczywiście postawię warunki – dodaję.

– Warunki?

– Tak, od których zależy, czy odnajdę tablicę.

– Ach... – Nicholas unosi palec. – Wcale cię o to nie poprosiłem.

W duchu wznoszę oczy do góry. Ci starzy czarownicy są strasznie przywiązani do oficjalnych ceregieli. Nicholas zapewne zechce, bym podpisała gęsim piórem jakiś długi pergamin, najlepiej w obecności dziesięciu świadków w powłóczystych szatach.

– Nie musimy ściśle przestrzegać formalności. Po prostu mnie poproś – zachęcam.

– Obawiam się, że to nie jest takie proste.

Tym razem wywracam oczyma.

– Prosząc cię o pomoc, sprowadzę do własnego domu łowczynię czarownic. Narażę bliskich na poważne niebezpieczeństwo. Zresztą już się tego dopuściłem. Nie mogę pozwolić, by taki stan rzeczy się przeciągnął.

Tego się nie spodziewałam.

– Znacznie lepiej będzie, jeśli umrę, niż pozwolę, by towarzysze ryzykowali dla mnie własne życie. – Nicholas wstaje z miejsca, odsuwa krzesło do tyłu. – Wygląda na to, że nasze drogi muszą się rozejść.

– Nie mówisz chyba poważnie – oponuję. – Nie chcesz, bym odnalazła tę tablicę, dlatego, że jestem łowczynią czarownic? Przecież właśnie dzięki temu się do tego nadaję. – Kręcę głową. – Nie wierzę, że chciałeś zlecić to zadanie jakiejś niewykształconej wiedźmie.

Nicholas unosi brwi.

– Dlaczego tak bardzo chcesz mi pomóc?

– Cel uświęca środki. – Wzruszam ramionami.

– Domyślam się, że masz na myśli pieniądze?

– Na początek. Potrzebuję sumy, która pozwoli mi wyjechać z kraju. Mnie i ... – już mam powiedzieć Calebowi, ale gryzę się w język – ... mojemu przyjacielowi. Będzie mi też potrzebna pomoc w trakcie podróży.

Chwila milczenia.

– I?

– Co i? – odpowiadam. – To już wszystko. Twoje życie w zamian za moje. Uważam, że to uczciwy interes.

Nicholas nie odpowiada. Stoi wpatrzony w leżący na stole pergamin. Na karcie widnieje przepowiednia Vedy spisana jego starannym charakterem pisma. Nie zrozumiałam całej jej treści – prawdę mówiąc, w ogóle jej nie zrozumiałam – ale zapamiętałam słowo „śmierć”. Powtarza się dwukrotnie. Uderzają mnie też inne fragmenty: „ciemność, koniec, zdradzona”. „Ostatnie tchnienie”. Oblatuje mnie strach. Czy wszystkie te rzeczy przeznaczone są dla niego czy dla mnie?

– Nie skrzywdzę żadnego z twoich ludzi – obiecuję. – Zresztą oni zupełnie mnie nie obchodzą.

Ostatnie stwierdzenie nie jest do końca prawdziwe. George’a zdążyłam szczerze polubić, a John uratował mi życie. Także Peter traktuje mnie niezwykle uprzejmie. Owszem, za Fifer i Garethem nie przepadam, ale przecież nie zamierzam zadawać sobie trudu i ich likwidować.

– Czy Veda coś takiego przewidziała? – dopytuję. – Że zrobię komuś coś złego?

– Nie – odpowiada Nicholas. – Nie zobaczyła nic takiego. Co więcej, sugerowała coś przeciwnego. Twierdzi, że możesz wręcz.... – Urywa w pół zdania i w głębokiej zadumie sunie palcem po pergaminie, odczytując słowa dziewczynki. – Nawet jednak, gdybym wziął jej zdanie pod uwagę, nie ma żadnej gwarancji, a ryzyko...

– Ryzyko stanie się pewnością – przerywam czarownikowi. – Jeżeli odrzucisz moją propozycję, umrzesz. A bez ochrony, jaką zapewniasz swoim bliskim, znajdzie ich Blackwell. Wtedy oni zginą.

Nicholas przygląda mi się niechętnie. Mam rację i oboje to rozumiemy.

– Blackwell często powtarza, że w życiu zawsze trzeba mieć na

uwadze szeroką perspektywę. Większe dobro – mówię. – To nie jest zła rada. Myślę, że powinienes z niej skorzystać.

Mag nie spuszcza mnie z oka. Kręci głową. Albo nie do końca dotarły do niego moje słowa, albo po prostu wciąż nie wie, co ze mną zrobić.

– Jak właściwie się w to wszystko wplątałaś?

Identyczne pytanie zadał mi George. Nicholasowi udzielam więc identycznej odpowiedzi: mówię prawdę. Nie widzę najmniejszego powodu, by cokolwiek przed nim ukrywać.

– Szkoliliśmy się przez dwa lata – opowiadam. – W trakcie treningu przechodziliśmy egzaminy. Trzeba je było zdać pomyślnie, żeby uczyć się dalej.

– Z czego was egzaminowano?

– Główny nacisk kładziono na sprawności bojowe. Walka na miecze i noże, łucznictwo, techniki walki wręcz. Początkowo pojedynkowaliśmy się między sobą, potem Blackwell zaczął sprowadzać innych przeciwników. Na początku były to zwierzęta... Dość typowe. Węże, skorpiony, bociany...

– Biłaś się z bocianem?

– Tak. Miał ponad dwa metry wzrostu, jaskrawe czerwone ślepia i stalowy dziób. Skorpion mierzył sobie jakieś trzy i pół metra, a z kolca wyciekał mu jad, który zabijał nawet przez skórę. Wystarczyła jedna kropla. Wąż z kolei... Kiedy odcięło mu się łeb, odrastały mu dwa kolejne.

– Zaraz, czy nie powiedziałaś przez chwilą, że to były dość typowe zwierzęta?

– Miałam na myśli, że były w pewien sposób rozpoznawalne. Potem musieliśmy się zмагаć z istotami, których nie umiem nawet nazwać. Niektóre przypominały olbrzymie gryzonia, ale poruszały się na sześciu odnóżach i miały krokodyle głowy. Były też latające gady ze skrzydłami o stalowych piórach, którymi potrafiły strzelać do swoich ofiar. Pamiętam też stwora, który, gdy tylko groziła mu śmierć, zmieniał postać i odradzał się w takim kształcie, że nie umierał. Na przykład, kiedy próbowałam wbić mu ostrze w oko, przeobrażał się w istotę bez oczu. Rozumiesz?

– Powoli zaczynam – mruknął Nicholas.

– Mieliliśmy też testy na wytrzymałość i siłę charakteru. Kazano nam, na przykład, spędzić całą noc w nawiedzonym domu.

Ten sprawdzian był dla mnie wyjątkowo ciężki. Przetrwałam noc skulona w ciasny kłębek, omiatana powiewami lodowatego i koszmarńcuchącego powietrza, słuchając pełnych nienawiści głosów potępionych i patrząc, jak duchy wypisują na ścianach przerażające wiadomości. Krwią. Po tym teście byłam już pewna, że nic gorszego spotkać mnie nie może. Niebawem, oczywiście, okazało się, że byłam w błędzie.

– Musieliśmy też uciekać z parkowego labiryntu, którego ściany nieustannie się przesuwały. Ściagały nas dziwne istoty. Nie mieliśmy ze sobą prowiantu ani wody. W ogóle niczego. Ja wyszłam dość szybko. Już po trzech dobach.

Wspominając tamtą próbę, czuję dumę. Niechętnie i niewielką. Lepszy wynik ode mnie uzyskał tylko Caleb. Jemu pokonanie labiryntu zajęło dwie i pół doby.

– Co się działo z osobami, które nie zdołały wyjść o własnych siłach? – pyta Nicholas.

Nie odpowiadam. Dziwię się, że zapytał. Jakiej odpowiedzi się niby spodziewa? W trakcie tego testu straciliśmy trójkę znakomicie zapowiadających się łowców. Nie zobaczyłam ich już nigdy.

Mag siedzi przez chwilę bez słowa. Spogląda to na mnie, to na leżący na stole pergamin.

– Więc? – naciskam. Demonstracyjna zaduma Nicholasa zaczyna mnie powoli drażnić. Niecierpliwie się. – Umowa stoi czy nie?

Czarownik otwiera usta, lecz w tej samej chwili ktoś puka do drzwi. To George.

– Mamy problem – mówi.

Nicholas wymija go i wpada do sąsiedniego pokoju. Ja i George depczemy mu praktycznie po piętach. Błyskawicznie dostrzegam, na czym problem polega. Veda stoi na środku izby, ramiona ma wyciągnięte sztywno na boki. Jej drobniutkie ciało wygląda jak wykute z kamienia, lecz głowa zwisa bezwładnie na bok, a oczy uciekły w głąb czaszki. Przy dziewczynce klęczą Avis i Fifer.

– Co się stało? – pyta ostro Nicholas.

– Nie wiem – odpowiada Fifer, na jej twarzy maluje się lęk. – Siedziałam z nią na podłodze. Bawiłyśmy się lalką, którą jej podarowałam. W pewnym momencie po prostu wstała i od tamtej pory stoi w tej pozycji.

Czarownik klęka przed małą wieszczką. Jest tak wysoki, że aby zajrzeć jej w oczy musi praktycznie stanąć na czworakach.

– Vedo? Słyszysz mnie? Vedo? – Kładzie dłoń na policzku małej i szepce coś pod nosem. Nie dzieje się nic.

Podchodzę o krok, chcę obejrzeć Vedę bardziej dokładnie, lecz Nicholas obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem.

– Nie zbliżaj się, Elizabeth...

Wtem na dźwięk mojego imienia główka Vedy wędruje ku górze i w oczach znów widać źrenice. Dziewczynka wbija niewidzące spojrzenie prosto przed siebie i zaczyna przemawiać złowróbnym tonem.

– Idą. Idą po nią. Idą.

Nagle patrzy mi prosto w oczy.

– Już tu są.

## ROZDZIAŁ 14



Następuje natychmiastowa reakcja. Fifer i George podbiegają do okna i rozsuwają firanki. Veda wybucha płaczem. John podrywa ją z podłogi, chwyta Avis za rękę i wciąga je obie do drugiego pokoju. Nicholas podchodzi do Fifer i George'a i razem z nimi wpatruje się w ciemność.

Z zewnątrz dolatują mnie męskie głosy: krzyki, śmiechy, gwizdy. Z początku nikłe i odległe, lecz z każdą chwilą bardziej donośne. Pomiędzy drzewami kołyszą się maleńkie światełka. Pochodnie.

Przysuwam nos do szyby i szybko je przeliczam. Dwa, sześć, osiem, tuzin podskakujących płomyków. Dwunastu. Oddycham z niejaką ulgą. Zwykły oddział królewskiej gwardii. Ich patrole zawsze składają się z dwunastki żołnierzy. Tylko co robią akurat tutaj? Jesteśmy bardzo daleko od Upminster, to nie jest okolica, w której bywają codziennie. Niemożliwe też, by trafili tu moim śladem. Na to są stanowczo zbyt głupi.

Zaraz potem dostrzegam coś jeszcze: na skraju zarośli ożywa trzynasta pochodnia i trzymający ją człowiek wychodzi spod drzew. Unosi rękę wysoko i blask płomieni oświetla jego oblicze. Jasnobłękitne oczy. Surowo ściągnięte brwi. Ciemnoblonde włosy i ta opadająca na czoło przydługa grzywka.

– Caleb... – szepczę.

– Przeszukać dokładnie całą wioskę – rzuca szcześliwie. Zza jego pleców wynurzają się spomiędzy pni kolejni łowcy. – W razie

konieczności roznieść każdą chatę. Musimy ją znaleźć.

Przywieram do okna, zaciskam palce na parapecie. Przyglądam się Calebowi, który kopnięciami otwiera drzwi kolejnych domków i wpada do środka. Słucham jego grózb, żądań. W całej osadzie rozlegają się krzyki przerażonych wieśniaków. Gdy raz po raz nawołuje mnie po imieniu, w jego głosie pojawia się czysta wściekłość. Ale ja wiem, że to gra, przedstawienie odgrywane na użytek pozostałych łowców. Caleb chce mnie po prostu ochronić. Nie mam najmniejszego powodu do obaw.

Tyle że moje rozkołatanе serce upiera się, że jest zupełnie inaczej.

– Mówiłeś, że nas nie znajdą – zwracam się do Nicholasasa.

Patrzy mi w oczy. Nie odpowiada.

– No? – ponaglam.

– Zamknij gębę – syczy Fifer. – Jak śmiesz wątpić w Nicholasasa?

– Nie będziesz mi mówić, co mam myśleć. – Z moich oczu strzelają błyskawice. – Będę wątpić, w kogo zechcę.

– Milczeć! – rozkazuje surowo Nicholas. – Obie.

Znów spoglądam za okno. Łowcy są coraz bliżej. Prowadzi ich Caleb. Marcus, Linus i reszta idą tuż za nim. Pokazują sobie otaczające domek drzewa, czasami mierzą palcami prosto w nas.

– Już wiedzą... – szepcze George.

Ma rację. Wiedzą, gdzie jesteśmy. Być może zdradził nas któryś z sąsiadów, być może po prostu zgadli. W każdym razie, jeśli zaraz nie skręcą, wpadną prosto na domek. Dopóki pozostanie niewidzialny, nikt nas nie zobaczy. Jeżeli jednak odnajdą go i wedrą się do środka, stracimy wszelką ochronę.

W pokoju wybucha nieme ożywienie. Nicholas odwraca się gwałtownie od okna i wskazuje stojący w kącie stół. Fifer i George podbiegają, podnoszą go i przenoszą pod ścianę. Odslaniają ukrytą w podłodze klapę. George pochyla się i otwiera ją. Skrzypią deski, w powietrze wzbija się kłęb kurzu. Wąskie schodki prowadzą w głąb ciemnego tunelu. John wychodzi z drugiego pokoju, nadal tuli do siebie małą Vedę. Zaraz potem pojawia się Avis. Zaczynają schodzić, jedno po drugim.

Znów zerkam za szybę. Caleb jest już blisko. Tak blisko, że



wyraźnie widzę jego twarz: lekko przymrużone oczy, zacięte wargi, nieznacznie zmarszczone czoło.

Nie mam pojęcia, o czym w tej chwili myśli. Czy się o mnie martwi? Czy boi się tego, co go czeka, jeśli mnie znajdzie? A może jednak boi się, że mnie nie znajdzie?

– Elizabeth – ktoś szeptem mi do ucha i aż podskakuję. John. Stoi tuż obok. – Musimy zniknąć.

Poza nami w domku został już tylko Nicholas. Czarownik stoi przy oknie i bezgłośnie mamroce. Uzdrowiciel prowadzi mnie do tajnego przejścia i dalej w dół, po drewnianych schodkach. Nie stawiam oporu, lecz na samym dole przeszywa mnie dreszcz. Znalazłam się w tunelu. Na dodatek w bardzo ciasnym. Dziewięćdziesiąt centymetrów szerokości, metr osiemdziesiąt wysokości. Wykopano go w miękkiej ziemi. Zupełnie, jakbym trafiła do grobu.

Zdecydowanym szarpnięciem uwalniam ramię i biegnę z powrotem ku stopniom. Ledwie do nich docieram, pojawia się Nicholas, który zatrząskuje nad głową klapę i zasuwa rygiel. Tonę w absolutnej ciemności, woń mokrej ziemi i rozkładu napiera ze wszystkich stron.

W jednej chwili cofam się myślą do ostatniego dnia szkolenia. Dnia, kiedy powinnam była umrzeć. Dnia, którego końca – cudownym zrządzeniem losu – zdołałam doczekać.

Nie! Nie chcę! – wołam w myśli. Nie chcę tam wracać. Osuwam się na ziemię, przyciskam czoło do kolan i próbuję powstrzymać napływające wspomnienia.

Ostatni test, końcowy egzamin rekruta, wyzwanie ostateczne. Wówczas została nas już tylko piętnastka. Ci, którym by się powiodło, mieli otrzymać znamię i stać się częścią najbardziej elitarniej jednostki gwardii Malcolma. Mieliśmy zostać łowcami czarownic.

Ludzie Blackwella przyszli po nas o świcie. Zabierali jednego rekruta po drugim. Wygarniali nas z koszar i prowadzili w nieznane. Wiedziałam, że żadnego z towarzyszy nie zobaczę aż do północy. To znaczy, o ile dotrważą. Bo właśnie na północ wyznaczono ceremonię. Uroczystość naznaczenia znamieniem. Dopiero w jej trakcie miałam się dowiedzieć, kto przeżył, a kto zginął.

Nikt nie wiedział, co nas czeka. Nie mieliśmy pojęcia, z kim bądź

czym będziemy musieli walczyć. Frances Culpepper stawiała na wiedźmy, Marcus Denny liczył na demony. Linus Trew podejrzewał, że zostaniemy zmuszeni do walki przeciwko sobie. Jedynie Calebowi przyszło do głowy coś znacznie gorszego. Tak, zauważyłam wyraz jego twarzy, gdy wygłaszając pożegnalną mowę, Blackwell uchylił rąbka tajemnicy.

– Staniecie naprzeciw swoich najgłębszych lęków – powiedział. – To konieczne. Aby zostać łowcami czarownic, musicie się zmierzyć z tym, czego obawiacie się najbardziej. Nauczyć się panować nad lękiem. Wtedy i tylko wtedy zrozumiecie, że waszym przeciwnikiem nie jest w istocie wróg, lecz strach przed nim.

Caleb zachował kamienną twarz – jak prawie wszyscy. Ja jednak znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, iż zaciśnięte usta i lekko wysunięta szczęka oznaczają coś bardzo konkretnego. Bał się. A skoro bał się Caleb, powinnam i ja. I to bardzo.

Na miejsce sprawdzianu zaprowadził mnie Guildford, jeden z gwardzistów Blackwella. Nie byłam w stanie odezwać się słowem. Ledwie mogłam oddychać. Ogarnęło mnie paraliżujące przerażenie. Czego obawiam się najbardziej? No właśnie: czego?

– To tutaj. – Żołnierz przerwał milczenie.

Rozejrzałam się. Staliśmy tuż pod lasem. Dokoła widziałam usychające drzewa. Stopami kruszyłam suche liście. Gdzieś w oddali szemrała woda. Nie znałam tej okolicy. Co gorsza, nieziemiska atmosfera miejsca sprawiła, że włos zjeżył mi się na karku.

Guildford pochylił się i wygrzebał z poszycia sporych rozmiarów mosiężną obręcz. Okazało się, że jest przymocowana do drewnianej klapy, wprawionej wprost w podłoże. Pociągnął raz, drugi, za trzecim razem udało mu się otworzyć. Zobaczyłam wąskie, prowadzące w mrok drewniane schodki.

– Będzie tego trzynaście stopni, panienko. Próba się rozpocznie, gdy zejdziesz na dół.

Potaknęłam głową. Suchość w ustach nie pozwalała mi mówić. Wreszcie nieśmiało ruszyłam w dół. Pierwszy stopień. Z tunelu biła ostra i kwaśna woń zgnilizny. Zasłoniłam nos rękawem i wykonałam kolejny krok. Zaczęłam liczyć. Dwa schodki. Trzy. Cztery. Głos gwardzisty

dogonił mnie na siódmym.

– Panienko?

Odwrociłam się.

– Tam, na dole, powinna panienka pamiętać, z czym walczy. –  
Zatrzasnął klapę i przekręcił klucz. Szczęk zamka rozległ się  
w ciemności głośno jak wybuch.

Ciemno. Zupełnie ciemno. Nie widziałam nawet samej siebie. Po omacku zeszałam po sześciu ostatnich stopniach. Ostrożny krok naprzód. I jeszcze jeden. Wyciągnęłam ręce przed siebie. Wymacałam coś miękkiego, ustępującego. Ziemia. Zbadałam dotykiem najbliższe otoczenie. Nade mną, po bokach, pod stopami. Wszędzie ziemia. Gdzie jestem? Piwniczka? Może tunel? Kiedy zaczęłam się cofać ku schodom, świat nagle stanął na głowie.

Runęłam naprzód i wyrznęłam piersią w coś twardego. Mocno. Kiedy przeturlałam się na plecy i otrzepałam z ust kilka grudek ziemi, zobaczyłam. Zarys drzwi. Wysoko nade mną, podkreślony promieniami słońca, które dopiero co weszło ponad horyzont.

Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Jak to? Dlaczego te drzwi znalazły się w tej chwili dokładnie nade mną? I jak to się stało, że są tak daleko? Przynajmniej trzy metry. Nie wydawało mi się, by tunel był aż tak długi. W końcu, zanim świat dostał kręcka, przeszłam ledwie kilka kroków. Czas płynął. Dopiero po długiej chwili dotarło do mnie, że nie patrzę na klapę. Te drzwi wykuto z kamienia, nie były drewniane. Majaczyła nade mną ciężka, rzeźbiona marmurowa płyta. Takie, jakie widywałam na cmentarzach. Nagrobek.

Znalazłam się w grobie.

Zerwałam się na równe nogi i poczułam, jak ziemia sypie mi się we włosy. Wrzasnęłam. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Naturalnie, rozumiałam, że to czary. Blackwell już nieraz posługiwał się magią w trakcie egzaminów. No, ale teraz coś musiało pójść nie tak. Ktoś się pomylił, musiał się pomylić. Przecież Blackwell nie chciał mnie pochować. Nie chciałby pogrzebać mnie żywcem. Zaczęłam szlochać, rozpaczliwie próbowałam się wydostać, ale przy każdym ruchu miękka gleba ustępowała pod moimi przerażonymi palcami. Sypały się coraz większe pajdy ziemi, spadały coraz szybciej, lecz byłam przekonana, że

zdołam się wyrwać. Na pewno. Tego nas właśnie uczyli. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Tyle że ja tego wyjścia nie widziałam.

I wtedy wróciły do mnie słowa Guildforda. „Powinna panienka pamiętać, z czym walczy”.

Z czym walczyłam? Z wszechobecną ziemią, która zagrzebała mnie już prawie po pas? A może z zaklęciem, które obróciło zwyczajną piwniczkę w grobowiec? Nie wiedziałam. Rozumiałam jednak, że jeśli nie domyślę się już zaraz, to zginę. Zamarłam. Zastanowiłam się nad zbliżającą się śmiercią. Umrę tutaj. W tej mogile. Samotnie. Odejdę na wieczność. Groza zmieniała moje członki w kamień.

Wtedy zrozumiałam. Nie, nie walczyłam z ziemią, z grobem, nie zmagalam się z magią ani nawet ze śmiercią. Moim przeciwnikiem był strach. „Waszym przeciwnikiem nie jest w istocie wróg, lecz strach przed nim”. Musiałam przestać się bać, żeby przeżyć. Tylko jak?

I nagle pomyślałam o matce. Wspomniałam kołysankę, którą śpiewała mi za młodu. W chwilach, gdy – jak każdą małą dziewczynkę – straszyły mnie odgłosy burzy i zrodzone w wyobraźni potwory spod łóżka. Teraz miałam prawdziwe powody do strachu. Czy prosta kołysanka mogła na nie poradzić? Nic więcej nie miałam. Niczego nie potrafiłam wymyślić. Zamknęłam więc oczy i zaczęłam nucić.

*Sen i spokój towarzyszą mi  
Przez całą noc.*

*Strzegą mnie anioły*

*Przez całą noc.*

*Senna pora już nadchodzi.*

*Śpią głęboko lasy, góry,*

*Strzegąc mnie z miłością  
Przez całą noc.*

Ziemia wciąż się osypywała. Podkradła się już już powyżej podbródka.

Wspięłam się na palce, starałam z warg kilka wilgotnych grudek  
i śpiewałam dalej:

*Czuwa też półksiężyc srebrny*

*Przez całą noc.*

*Nad zmęczonym, śpiącym światem*

*Przez całą noc.*

*Duch łagodnie gdzieś odfruva,*

*Tonie w pięknych wizjach.*

*Tak są czyste i spokojne*

*Przez całą noc.*

Wreszcie ziemi zaczęło ubywać. Nie odważyłam się jednak  
zamilknąć. Śpiewałam.

*Ku tobie zwracam myśli swe*

*Przez całą noc.*

*Do ciebie rwie się moje serce*

*Przez całą noc.*

*Choć los okrutny może skrócić nasze życie,*

*Rozłąka nie potrwa wiecznie.*

*Ta nadzieja we mnie gra*

*Przez całą noc.*

Poczułam, że otaczająca mnie ziemia opada, sypała się z moich  
ramion, odsłoniła już mój pas i nogi. Opuszczałam się wraz z nią, niżej  
i niżej, aż wreszcie ległam skulona na twardym podłożu.

Świat obrócił się ponownie, naprostował, lecz ja ledwie to  
zauważyłam. Kiedy w końcu przyszedł po mnie Guildford, musiał

sprowadzić drugiego gwardzistę i razem wytaszczyli mnie z tunelu. Gdy niósł mnie na rękach z powrotem, wciąż wyglądałam jak mała kuleczka. Dłońmi zasłoniłam uszy, mocno zacisnęłam powieki. I bez przerwy nuciłam. Przez całą noc. Powtarzałam tę kołysankę raz po raz. Nie potrafiłam, nie mogłam zamilknąć. To, co czułam, nie było już zwykłym strachem, a czymś o wiele bardziej okropnym. Nie chciałam wracać.

Czyjeś dłonie chwytają mnie w przegubach. Łagodnie próbują oderwać moje ręce od głowy, ale szarpie się w tył. Słyszę jakieś głosy. Niewyraźne, jakby dobiegały z bardzo daleka. Coraz mocniej przyciskam dłonie do uszu. Nie chcę słyszeć niczego poza swoją piosenką.

Cudze ręce otaczają moje plecy, łapią pod kolanami. Podrywają mnie, niosą. Na pewno nie jest łatwo mnie utrzymać, kiedy jestem zwinięta w tak ciasny kłęb. Przecież swoje ważę i jestem zupełnie bezwładna. Ale gwardzista jest silny. Tulę głowę do jego munduru, cieszę się, że mogę wreszcie powąchać coś, co nie cuchnie ziemią i rozkładem. Ładnie pachnie. Czystością i lawendą. Ciepłem i korzennymi przyprawami. Wsuwam twarz pod jego ramię i głęboko oddycham.

Nadal śpiewam, lecz teraz już tylko szeptem. Jestem tak bardzo zmęczona. Ocieram się policzkiem o miękką lnianą koszulę gwardzisty, wyobrażam sobie, że to poduszka. Obejmuje mnie mocniej, przyciska do piersi.

I wreszcie czuję się bezpieczna.

## ROZDZIAŁ 15



Pnącza. To pierwsze, co widzę po przebudzeniu. Zielone łodygi wiją się po suficie i ścianach. Wokół panuje półmrok i rośliny wydają się w nim rozpląwać. Marszczę czoło. W moim pokoju u Blackwella nie ma żadnych winorośli. Mrugam raz i drugi. Nagle wracają do mnie wyraziste wspomnienia, wszystko sobie przypominam. Domek Vedy. Jej przepowiednię. Tunel. Test, który przeżyłam po raz drugi. Zasypującą mnie ziemię, ciemność. Grozę świadomości, że moje życie lada moment dobiegnie końca.

Biorę głębszy oddech i odsuwam te obrazy od siebie, odpycham je tak daleko, jak tylko potrafię. Niestety, wciąż są zbyt żywe. Zawsze obecne, czają się w zakamarkach mojego umysłu niczym kot w ciemności, czujnie wypatrujący okazji do skoku na mysz.

Caleb na pewno kazałby mi skupić się na czymś przyjemnym, przywołać dobry dzień. Wszystkie moje wspomnienia dotyczą właśnie jego. A w tej chwili myśli o Calebie wcale nie przynoszą mi szczęścia. Kiedy o nim rozmyślałam, zaraz pojawia się Blackwell. Tak bardzo zdeterminowany, by mnie odszukać, że posłużył się nawet Calebem. Nie jestem pewna, co będzie, jeżeli mu się uda. Muszę zrobić wszystko, by nie wpaść w jego ręce.

Dociera też do mnie, że nie zdążyłam dobić targu z Nicholasem. George przerwał nam, zanim zdołałam przekonać czarownika, by pozwolił mi poszukać tablicy. Może teraz, po tym, co stało się zeszłej nocy, pójdzie mi łatwiej. Nicholas był równie mocno zaskoczony

pojawieniem się gwardzistów jak ja. Wciąż nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. Niemniej to tylko kolejny dowód, że mag potrzebuje mojej pomocy.

W pokoju rozlega się cichy szelest i domyślam się, że pilnuje mnie George. Znowu. Tym razem jednak zupełnie mi to nie przeszkadza. Niewykluczone, że pomoże sprawić, by Nicholas przejrzał na oczy.

Zrzucam z siebie kołdrę i siadam wyprostowana na łóżku, szykując w myślach serię przekonujących argumentów. Jednak to wcale nie jest George.

W nogach mojego łóżka stoi krzesło, a na nim siedzi John. Mocno śpi. Jest głęboko pochylony, jego głowa i pierś spoczywają na materacu. Jedną rękę założył na głowę, drugą wyciągnął na bok i na przemian zaciska i prostuje palce na prześcieradle, jakby przez sen próbował coś złapać. To właśnie ten szmer usłyszałam przed chwilą. Obok Johna leży otwarta książka, okładką ku górze.

Co on tutaj robi?

No tak, oczywiście.

Nie przyniósł mnie tu przecież żaden gwardzista, tylko właśnie John. Kiedy myślę o tym, jak kuliłam się w jego ramionach, czuję lekki skurcz żołądka. Z rumieńcem zażenowania przypominam też sobie, że wahałam jego koszulę. Tak mocno wtuliłam się w jego ramię. Szybko biorę się w garść. Nie mam czasu na wstyd.

Przyniósł mnie tu i z jakiegoś powodu uznał, że powinien zostać. Chociaż to zupełnie bez sensu. Po całej tej gadaninie o tym, że stanowią zagrożenie, Nicholas pozwolił swojemu uzdrowicielowi – a Peter własnemu synowi – nocować ze mną w jednym pokoju? Samotnie? Dlaczego? Naprawdę nie widzę w tym sensu.

Wstaję z łóżka – John nawet nie drgnął – i podchodzę do okna. Odciągam zasłony. Już prawie ranek, promienie słońca malują horyzont kremowymi barwami pierwiosnków. Przychodzi mi do głowy, że postanowili rozprawić się ze mną dopiero dzisiaj, lecz i to wcale nie wyjaśnia obecności Johna. Nie tłumaczy też, dlaczego pozwolili mi spędzić noc w ciepłym pokoju, w wygodnym łóżku, zamiast mnie związać i wsadzić do spiżarni, gdzie Hastings mógłby mnie torturować aż po świt.



Ja właśnie tak bym postąpiła.

Ostatnia możliwość – jedyna rozsądna teoria – to że Nicholas mimo wszystko nie zdradził im, kim jestem; gdy zobaczył Caleba i oddział łowców, wrócił mu rozum. Uświadomił sobie, że jeśli umrze, Blackwell wyciągnie łapy po jego przyjaciół. A jedynym sposobem, by do tego nie doszło, jest pozwolić mi odnaleźć tę tablicę.

Mądry wybór.

Odwracam się od okna i ruszam do drzwi. Spieszno mi znaleźć Nicholasa, chciałabym od razu zacząć planować. Nagle staję jak wryta. W mojej głowie rozlega się napominający głos Blackwella: „Oceń sytuację. Zastanów się nad słabościami przeciwnika. Rozważ swoje dobre strony. Najpierw myśl, potem działaj”.

Jestem najbardziej poszukiwaną osobą w Anglii. I jeszcze przez jakiś czas, najpewniej przez kilka najbliższych lat, będę musiała się ukrywać. Możliwe nawet, że do końca życia. A wymknięcie się pościgowi Blackwella nie będzie zadaniem tak łatwym, jak sądziłam dotąd. Potrzebuję odpowiednich narzędzi i wszelkiej możliwej pomocy. Muszę móc swobodnie się poruszać, tak by bez przerwy wyprzedzać pościg o krok. Nie mogę się zatrzymać, nie wolno mi odpocząć. Nie, o ile chcę żyć.

Nicholas nie dba o własne życie, zależy mu jednak na przyjaciołach. Są mu drodzy do tego stopnia, że zamierzał dla nich umrzeć. To przejaw głupoty. I słabości. Zarazem to sprzyjająca mi okoliczność. Muszę ją wykorzystać.

Jeżeli do niego pójdę, złożę decyzję w jego ręce. Będzie mógł wyrazić zgodę, ustalić, w jaki sposób mnie wynagrodzi. Sam postanowi o moim losie. To za mało. Zaczekam więc, aż to on przyjdzie do mnie. Przyjdzie i poprosi o pomoc. Odmówię. Wtedy zacznę błagać, a ja podbiję cenę tak wysoko, że wystarczy mi pieniędzy na zakup statku, i resztę życia spędzę, żeglując po szerokim świecie. Caleb marzył o tym od bardzo dawna.

Oglądam się przez ramię. John wciąż śpi jak zabity, pólżąc na łóżku. Uzdrawianie musi go zapewne kosztować wiele sił, nie mam pojęcia ile. Wydaje mi się też za młody, by być prawdziwym uzdrowicielem. Domyślam się, że jest mniej więcej rówieśnikiem

Caleba, chociaż wcale na to nie wygląda. Ma chłopięce rysy. I zawsze jest taki... wymięty. Teraz też.

Jego biała koszula jest mocno pognieciona i rozchełstana. Rękawy zakasał za łokcie. I znów powinien się ogolić. A włosy? W kompletnym nieładzie, miękkie ciemne loki sterczą na wszystkie strony, opadają mu na czoło, wchodzą do oczu. Powinien je skrócić. Jakies pół roku temu. Ciekawe, czy w ogóle się strzyże? Calebowi też nieustannie musiałam o tym przypominać. Nie mam pojęcia dlaczego, ale z chłopakami jest tak, że jeśli nie ma przy nich dziewczyny, która mogłaby pewnych spraw dopilnować, zapominają o najprostszych rzeczach. Na przykład o ścinaniu włosów lub o goleniu. A nawet, cholera, o zmianie ubrania. Podejrzewam, że Johnowi nie ma kto o tym wszystkim przypomnieć.

Przesuwa lekko ramię po materacu i na wewnętrznej stronie jego przedramienia zauważam tatuaż. Czarne kółko, mniej więcej pięciocentymetrowej średnicy, w które wpisany jest krzyż. Wcześniej jakoś mi to umknęło. Ciekawe, co oznacza?

Przeciągam palcem po prześcieradle, odtwarzając wzór z tatuażu. Przyglądam się wgłębieniom w tkaninie. Szybko znikają. Rysuję raz jeszcze. I znów, i znów. Następnie kreślę kształty namalowanych na suficie i ścianach winorośli. Serca liści, długie zapętlone łodygi. Tak mnie to pochłania, że kiedy palec Johna dotyka mojego, wydaję z siebie cichy okrzyk. Nie wiedziałam, że już nie śpi.

– Cześć. – Spogląda na mnie jednym, wciąż nie do końca otwartym okiem.

– Cześć.

– Dobrze się czujesz? – pyta cichym, głębokim głosem.

– W porządku. – Wzruszam ramionami.

Mruga, lecz nie odrywa ode mnie wzroku. Na pewno poszukuje wytłumaczenia tego, co zaszło wczorajszej nocy w tunelu. Chciałby wiedzieć, co mi się właściwie stało, dlaczego musiał mnie nieść. Kiedy o tym myślę, policzki ponownie pali mi pąsowy rumieniec.

– Nie przepadam za ciasnymi pomieszczeniami – odzywam się po chwili. – Taki uraz z dzieciństwa. – W sumie nie bardzo skłamałam.

John podpira się na łokciu.

– Nie musisz się tłumaczyć. Po prostu sprawdzałem, jak się

czujesz.

– Jasne – rzucam. – Dziękuję, że mnie przyniosłeś. No i... chyba... przepraszam. – Zwieszam głowę, by ukryć coraz bardziej szkarłatną twarz.

– Nie masz za co przepraszać. Niecodziennie mam okazję nieść dziewczynę przez osiemdziesiąt kilometrów podziemnego tunelu. – John mówi poważnym tonem, lecz kiedy podnoszę wzrok, zauważam, że się uśmiecha.

– Nie było aż tak daleko – mówię.

– Było. Poza tym strasznie jesteś ciężka – dodaje. – Normalnie jak worek pierza.

Kręcę głową, lecz czuję, że i moje wargi układają się w uśmiech. John prostuje się na krześle, przeczesuje palcami kędzierzawą czuprynę.

– A w ogóle to ja powinienem cię przeprosić. Nie chciałem nocować w twoim pokoju. Czekałem na powrót George'a, zacząłem czytać – wskazuję gestem książkę – i zasnąłem...

Rzucam okiem na okładkę. *Praxis Philosophica: Alchemiczne formuły przekształceń.*

– Zasnąłeś? Zupełnie nie rozumiem dlaczego – rzucam.

Wybucham śmiechem.

– Nie wiem, czemu George się tu nie pojawił. Pójdę sprawdzić.

Wstaje i w tym samym momencie ktoś puka do drzwi. Uzdrowiciel je otwiera. George. Wchodzi do pokoju, jego zwykły beztroski wyraz twarzy gdzieś się ulotnił, zastąpiła go bardzo poważna mina.

– Właśnie chciałem zacząć cię szukać – tłumaczy John. – Co się dzieje?

– Nicholas chce się z nią widzieć. – George wskazuje mnie ruchem głowy.

Próbuję powstrzymać uśmiech.

– W dodatku... – dodaje George – o ciebie też prosił. Nie czuje się najlepiej. Wczorajsza noc kosztowała go wiele zdrowia.

John miota pod nosem stłumione przekleństwo.

– Pójdę od razu. Przeprowadzisz ją?

George potwierdza skinieniem i obaj wychodzą na korytarz.

– Pójdziemy, jak tylko będziesz gotowa – słyszę zza drzwi.  
Szykuję się bez pośpiechu. Nadal mam na sobie strój z wczorajszego wieczora. Ciemnozielone spodnie i białą koszulę. Aksamitny płaszcz wisi na oparciu krzesła, buty stoją pod nim. Zakładam je, poprawiam splątane włosy, kilkoma uszczypnięciami dodaję sobie kolorów na policzkach. Mimo że wczoraj przedstawiłam swój plan bardzo pewnie, teraz czuję lekki niepokój. Wkrótce będę musiała wcielić go w życie. A nie chcę, by ktokolwiek zauważył moje obawy.

George czeka cierpliwie za drzwiami. Na mój widok kiwa głową i bez słowa rusza przed siebie. Nie kieruje się jednak ku schodom.

– O co chodzi? – pytam, idąc obok niego.

Milczy.

– Dowiedział się, kim jestem – przyznaję. – Veda mu powiedziała. Słyszałeś może?

George nadal się nie odzywa. Mijamy jedne drzwi po drugich, obraz za obrazem, lichtarz za lichtarzem. Jak długi może być ten korytarz?

– George? Co się stało?

Wreszcie stajemy przed ciężkimi podwójnymi drzwiami.

– Nie ode mnie powinnaś to usłyszeć. – Puka kilka razy żywo do drzwi.

Serce bije mi nieco za szybko, dłonie mam trochę zbyt wilgotne. Ocieram je o spodnie.

– Jak on się czuje?

– Jak przekłęty – odpowiada lakonicznie George i otwiera drzwi.

Moim oczom ukazuje się wielka komnata sypialna. Jest ciemno i moje oczy przyzwyczajają się do tego dopiero po chwili. Wtedy dostrzegam Nicholasa. Siedzi przy kominku, w olbrzymim pluszowym fotelu. Nad czarownikiem pochyla się John i szepce mu coś półgłosem. Nicholas wygląda tak krucho, tak delikatnie... Nawet stąd widzę, że wstrząsają nim dreszcze. Niepokój znów skręca mi kiszki.

– Wejdz, proszę – zaprasza mag słabym, ochrypłym głosem.

George przepuszcza mnie w drzwiach. John prostuje się i podchodzi do wyjścia. Przystaje przede mną na moment.

– Chciał z tobą pomówić w cztery oczy – stwierdza, zniżając głos.  
– Wiem, że to na pewno ważne sprawy, ale postaraj się go nie przemęczać, dobrze?

Potakuję skinieniem.

Uzdrowiciel i George znikają, drzwi zamykają się za moimi plecami z cichym trzaśnięciem.

Czarownik przywołuje mnie gestem. Wskazuje drugi fotel.

– Zbliź się, siadaj, proszę.

Wchodzę głębiej do tego wielkiego pokoju. Wnętrze urządzone zostało w odcieniach czerwieni: czerwony dywan, czerwone ściany, czerwone narzuty na łożu. Nawet świece są tutaj czerwone. Blask płomieni tańczy rytmicznie na ścianach, odnoszę wrażenie, że znalazłam się w środku bijącego miarowo serca. Powinnam się poczuć makabrycznie, a jednak ze zdziwieniem stwierdzam, że doznanie jest bardzo kojące.

Zajmuję miejsce. Z bliska Nicholas wygląda jeszcze gorzej. Ma popielatą cerę, włosy bardziej siwe niż wczoraj, nawet błękitne oczy wydają się szare. Przez chwilę wpatruje się we mnie w milczeniu.

– Chcę z tobą porozmawiać o tym, co wydarzyło się w nocy – odzywa się wreszcie.

– O czym dokładnie?

– O pojawieniu się Caleba i jego ludzi.

– Chodzi o to, w jaki sposób nas znaleźli?

Mag kiwa głową.

– Zbyt łatwo nas odkryli. I za szybko. Zakłęcie, jakim osłoniłem dom Vedy, nie powinno do tego dopuścić. Powinno utrzymać ich z dala, a nam zapewnić całkowitą niewidzialność. Tymczasem, jak sama widziałaś, stało się inaczej.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobili – przyznaję – ale wcale nie czuję się zaskoczona. Blackwell zawsze potrafił się dowiedzieć o wszystkim. Co do metod, mógł posłużyć się szpiegiem lub bardziej skomplikowanymi narzędziami, na przykład magią.

– Na przykład magią... – powtarza Nicholas. – Nie przyszło ci nigdy do głowy, jakie to dziwne, że lord Blackwell, wysoki inkwizytor czy raczej były wysoki inkwizytor, człowiek, który poświęcił życie

wykorzenieniu czarnoksięstwa i karaniu osób posługujących się czarami, sam ucieka się do stosowania magii?

– Blackwell nie zajmuje się tym osobiście – odpowiadam. – On tylko... wykorzystuje magię. Jedynie wówczas, gdy może mu to pomóc.

– Wybacz, ale nie dostrzegam różnicy.

– Różnica jest ogromna – mówię. – Blackwell musiał posługiwać się magią, żeby nas wyszkolić. W trakcie treningów. Musieliśmy ją poznać, by nauczyć się ją zwalczać. Bez tego szkolenie byłoby co najmniej niepełne. Nikt nie chciałby ćwiczyć żołnierzy, którzy nie mogliby dotknąć broni.

Czarownik unosi brwi.

– Ale wszystko, o czym opowiadałaś... Twoje wspomnienia nie dotyczyły prostych zaklęć czy podstawowych magicznych formuł – zauważa. – Takie zjawiska wymagały magii znacznie wyższego poziomu, bardzo trudnej i złożonej. Osiągalnej dopiero dzięki długiej praktyce, wielu próbom i błędom. Nie każdego stać na podobne wyniki. Moc potrzebna do rzucania czarów, o jakich od ciebie słyszałem, musiałaby równać się mojej. Aczkolwiek niedostatek świadomej... Te istoty... – Kręci głową, jakby chciał wyrzucić z myśli samo wspomnienie o nich. – W jaki sposób posiadał tak potężne zdolności?

Cóż, rzeczywiście nigdy nie zadałam sobie tego pytania, nie zastanawiałam się, jak Blackwell tego wszystkiego dokonuje. Naturalnie, gdybym zapytała go wprost, z pewnością nie odpowiedziałby nawet słowem. Zawsze robił wszystko w sekrecie, za zamkniętymi drzwiami, a my zwykle mieliśmy przepaski na oczach. Nie widziałam, na przykład, kto naznaczył mnie znamieniem. Wtedy zupełnie mnie to nie obchodziło.

– Domyślam się, że korzystał z pomocy pojmanych przez nas czarowników – podsuwam. – Pamiętam wielu więźniów, którzy nie trafili potem na stos.

Nicholas zastyga w fotelu.

– Dlaczego on cię ściga? – pyta po chwili.

– Jak to? – dziwię się. – Przecież wiesz dlaczego.

Zbыва moją uwagę machnięciem dłoni.

– Chodzi mi o tę jego determinację i zaciętość w poszukiwaniach.

Skoro wie, że tutaj jesteś, mógłby po prostu zaproponować wyższą sumę za moją głowę. Dla łowcy nagród jestem znacznie bardziej atrakcyjną zdobyczą niż szesnastoletnia panienka. Czemu zadał sobie trud podwyższania nagrody za ciebie? Myślisz, że on naprawdę sądzi, że jesteś czarownicą? Albo szpiegiem?

– Calebowi powiedział, że stanowią obciążenie.

– W tym akurat kłamać nie musiał. Mógł powiedzieć prawdę, tak jak on ją rozumie. Czy raczej taką, jaka została przepowiedziana.

– To znaczy?

– Mam na myśli tablicę.

Ściągam brwi w namyśle.

– Chcesz powiedzieć, że Blackwell kazał mnie aresztować, ponieważ w jakiś sposób dowiedział się, że to ja jestem w stanie odszukać tę tablicę?

– Tak, właśnie to chcę powiedzieć.

– Nie wiem. To chyba wykluczone. – Kręcę głową.

– Elizabeth, obserwuję Blackwella od dawna. Śledziłem jego karierę, odkąd był zwykłym księciem, królewskim bratem, aż po objęcie stanowiska lorda protektora. Stał się wówczas osobą równie potężną jak monarcha. Pamiętaj, że gdyby zaraza zabiła też Malcolma, to właśnie Blackwell wstąpiłby na tron. Jestem głęboko przekonany, że nie ma dnia, w którym by tego nie żałował.

Co do tego muszę się z Nicholasem zgodzić. Malcolm wie, że Blackwell go nienawidzi; tylko nie wiedział dlaczego. A ja nigdy nie miałam serca powiedzieć mu, że własny stryj chętnie zobaczyłby go na cmentarzu.

– Kiedy w grę wchodzi Blackwell, każda zmiana zwiastuje zmianę jeszcze większą. Umiera król, książę zostaje lordem protektorem. Książę zostaje królem, lord protektor obejmuje stanowisko wysokiego inkwizytora. A teraz przekazał ten tytuł twojemu przyjacielowi, Calebowi. Myślisz, że Blackwell zadowolony się pozycją księcia?

Zachłystuję się nagłym ostrym oddechem.

– Uważasz, że Blackwell chce zostać królem?

– Uważam, że stawia przed sobą bardzo ambitne cele – odpowiada Nicholas. – Nie wiem tylko, czy pragnie zostać królem, czy może kimś

jeszcze gorszym.

„Kimś jeszcze gorszym”. Słyszając to zdanie, czuję przebiegające mi po plecach ciarki.

– A przede wszystkim, by cokolwiek osiągnąć, musi usunąć ze swojej drogi mnie – stwierdza Nicholas. – Wiedział, że możesz mi pomóc, więc postanowił przejść do działania. Dlatego sędzę, że wszystkim nam grozi wielkie niebezpieczeństwo. Ty i ja to dopiero początek. Z pewnością nie cel ostateczny.

Nicholas ma rację. Wiem o tym i powinnam była domyślić się już wcześniej. W chwili, gdy dowiedziałam się, że Caleb został wysokim inkwizytorem. Blackwell nigdy nie ustąpiłby z takiego stanowiska, gdyby nie widział przed sobą wyższego szczebla, na który mógłby się wspiąć. On wciąż pragnie więcej i więcej, nigdy nie pogodziłby się z degradacją.

I nagle cały mój plan odnalezienia tablicy dla Nicholasa, odebrania nagrody i – zupełnie dosłownego – odpłynięcia w kierunku zachodzącego słońca, wydaje mi się okropnie dziecinny, wręcz śmiechu warty. Bo teraz stawką nie jest już tylko moje życie, nawet nie życie Nicholasa. Chodzi o znacznie więcej. I – chociaż to dla mnie swego rodzaju nowość – zaczynam się czuć mała. Zbyt mała wobec czekającego mnie wyzwania. Nie mogę jednak Nicholasowi odmówić, podobnie jak on nie jest w stanie zabronić mi sobie pomagać... I oboje doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

– Podejrzewam, że w tej sytuacji chcesz jednak, bym odszukała tę tablicę? – upewniam się.

– Podejrzewam, że nie mam wyboru.

– Chcesz przekazać mi jakieś sugestie? Rady?

Nicholas kiwa głową.

– Przede wszystkim, i jest to rzecz niezwyklej wagi, nie możesz dopuścić, by ktokolwiek dowiedział się, że jesteś łowczynią czarownic. Rozumiem, że George już wie. Niech na nim się skończy.

– Przecież reszta na pewno też się dowie – marszczę czoło – kiedy zostanę ranna i szybko wrócę do zdrowia... Jeżeli przyjdzie mi walczyć... Niełatwo będzie utrzymać mój zawód w tajemnicy.

– Musisz się bardzo postarać. Powiedziałem im, że jesteś wiedźmą.



– Co?! – pytam, poruszona do żywego. – Dlaczego?

– Dlatego, że powinni zrozumieć, z jakiego powodu akurat ty masz szukać tablicy, w jaki sposób przetrwałaś więzienie. A nie mogłem im przecież wyjawić, że jesteś łowczynią.

– No tak.

– Po drugie, odeślę cię stąd. Jeszcze dzisiaj. Wybierzesz się z pozostałymi do Stepney Green i złożysz wizytę Humbertowi Pembroke'owi. Domyślam się, że go poznałaś?

Potakuję skinieniem. Humbert Pembroke jest najzamożniejszym człowiekiem w Anglii, z wyjątkiem samego króla. To wielki przyjaciel Blackwella i gorący zwolennik działań Korony. Od wielu lat był na dworze stałym bywalcem, aczkolwiek nie widziałam go już od pewnego czasu. Tylko dlaczego mielibyśmy się z nim spotykać?

– Humbert jest jednym z nas – wyjaśnia Nicholas, zanim udaje mi się wypowiedzieć pytanie na głos.

Jestem tak wstrząśnięta, że reaguję ze sporym opóźnieniem.

– A... dlaczego do Stepney Gren? – udaje mi się wydukać. – Podejrzewasz, że tam właśnie została ukryta tablica?

– Nie. – Nicholas kręci głową. – I nie będziesz tam szukać tablicy. Pamiętasz jeszcze słowa Vedy? „Gdy trzecia zimowa noc nastanie, zejź pod ziemię w zieleni. Co trzyma go przy śmierci, zawiedzie cię do trzynastki”. W zieleni, czyli w Stepney Green. Tam znajduje się coś, co doprowadzi cię do tablicy, nie ona sama.

Otwieram szerzej oczy.

– Innych wskazówek nie otrzymam?

– Nie, ale ta jedna ci wystarczy, przynajmniej na razie.

– Ciekawe... – pryham. – Przecież te kilka zdań niczego mi nie mówią. Veda powiedziała znacznie więcej. Co to wszystko znaczyło?

Nicholas wyraźnie się waha.

– Nie jestem w stanie powiedzieć ci niczego, czego nie dowiesz się sama – oświadcza wreszcie. – Gdybym spróbował ci wytłumaczyć, mogłabyś swoimi działaniami wypaczyć przepowiednię.

– Czyli ty jednak wiesz. Dokładnie wiesz, co się wydarzy... – Nagłe olśnienie uderza mnie z siłą pięści. – Wiesz, że umrę.

– Wszyscy umieramy – odpowiada czarownik. – To żadna

przepowiednia, to pewnik. Jednak nie wiadomo, jak i kiedy do tego dojdzie.

– Po prostu bawisz się słówkami – rzucam ostro.

– Elizabeth, chcę, byś znalazła dla mnie tablicę. Skorzystamy na tym wszyscy. Ale przepowiednia dotyczy konkretnie ciebie. Sposób, w jaki jej słowa ostatecznie nabiorą kształtu, spoczywa w twoich rękach. Nie mogę ci powiedzieć, co musisz zrobić ani czego szukać, ponieważ ja tego nie wiem. Mogę jedynie w odpowiednim czasie skierować cię we właściwe miejsce i wierzyć, że dalej powiesz cię instynkt.

Wzbiera we mnie silna fala gniewu. Przypominam sobie rozmowę z George'em. Powiedział, że Gareth powątpiewa w proroctwa i wizje Vedy. Chyba zaczynam go rozumieć.

– Zdaję sobie sprawę, że to może ci się wydawać odrobinę naciągane – podejmuje Nicholas.

– Mnie do głowy przychodzi zupełnie inne określenie – mamrocę pod nosem.

Mag ciężko wzdycha.

– Elizabeth, odczytywaniem sensu przepowiedni zajmuję się od wielu lat. Przepowiednie Vedy badam, odkąd nauczyła się mówić, a wcześniej studiowałem słowa niezliczonych innych proroków i wieszczek. Niektóre są proste, inne z kolei cechuje niesłychana wręcz złożoność. Część z nich to raczej zagadki niż ujęte w słowa wizje. Do zrozumienia wszystkich proroctw jednak potrzebna jest pewna doza spekulacji.

– Znaczy, że trzeba zgadywać zgadywania, tak?

Nicholas kręci głową.

– Przepowiednie to nie mapy. Nie znajdziesz w nich dokładnych współrzędnych, które doprowadzą cię do ostatecznego celu. Przyszłość pozostaje w ciągłym ruchu, bezustannie się zmienia. Każdy z twoich dzisiejszych czynków wpływa na to, co wydarzy się nazajutrz. A to, co zrobisz jutro, nie odwróci twoich czynów z dzisiaj. Nikt nie jest w stanie ustalić jednego, na trwałe określonego punktu w przyszłości. Nadchodzące wydarzenia nie są wyrytymi w kamieniu słowami. No, chyba że chodzi o klątwy – kończy z nikłym uśmiechem.

Ktoś taktownie puka do drzwi i po chwili do środka zagląda John.

Ma na sobie ciężki czarny płaszcz, przez ramię przerzucił płócienny worek.

– Przepraszam, że niepokoję, ale jesteśmy już gotowi do drogi.

A przed podróżą chciałem cię jeszcze raz obejrzeć.

– Już kończymy – uspokaja Nicholas.

Uzdrowiciel kiwa głową, obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem i znika na korytarzu.

Rozkładałam bezradnie ręce.

– Pojadę więc do Stepney Green. Tam rozejrzę się za czymś, co ma mnie doprowadzić do tablicy. A co potem?

Czarownik uśmiecha się szerzej.

– Tego również nie mogę ci wyjawić. Odpowiedź przyjdzie do ciebie sama, we właściwym czasie.

Poirytowana, zaciskam zęby.

– Czyli nie możesz mi pomóc choćby jedną wskazówką?

– Używaj własnego rozumu i rozeznania. To niesłuchanie istotne.

Postępuj zgodnie ze swymi odczuciami, bez względu na okoliczności, w jakich się znajdziesz. Nawet gdy będzie ci się wydawać, że właściwa droga jest najbardziej niebezpieczna czy absurdalna. Być może właśnie w ten sposób trafisz do celu. I nie przestawaj wierzyć. Wszystko inne przyjdzie samo.

## ROZDZIAŁ 16



Godzinę później Peter odprowadza naszą grupkę do holu. Od Stepney Green dzieli nas sześciogodzinna wędrówka. Pójdziemy pieszo. Jechać konno nie możemy – zwracalibyśmy na siebie zbyt wiele uwagi, a w razie kłopotów trudniej byłoby się ukryć. Zresztą niepotrzebnie tłumaczę. Nicholas i tak ma tylko jednego wierzchowca.

– W miarę możliwości trzymajcie się z dala od głównych traktów. Idźcie lasem, blisko siebie, ale nie w zwartej grupie. John, ty poprowadzisz. George niech zabezpiecza tyły. Zacierajcie za sobą ślady. Jeżeli zauważycie cokolwiek niepokojącego albo uznacie, że ktoś was śledzi... – Peter przeciera dłońmi policzki i wzdycha.

– Ojczy – John kładzie piratowi rękę na ramieniu – naprawdę nic się nam nie stanie.

Peter kiwa głową i gwizdże. Z salonu przylatuje wielki sokół. Ten sam ptak, którego George miał ze sobą w noc mojego aresztowania. Przysiada lekko na wyciągniętym przedramieniu uzdrowiciela.

– Odeślijcie go, jak tylko dotrzecie do Humberta – dodaje pirat. – Jeżeli nie wróci, uznam, że coś się jednak stało. Ale jeśli nie odprawisz go z powrotem, bo po prostu zapomnisz... – Wtedy spogląda surowo na Johna – przysięgam, Johnie Paracelsusie Raleighu, kiedy z tobą skończę, będziesz żałował, że nikt cię nie napadł po drodze.

– Paracelsus? Masz na drugie Paracelsus? – Rozbawiony George otwiera szeroko usta.

– Ani słowa więcej! – syczy lekko zarumieniony John, po czym

zwraca się do ojca: – Nie martw się, Horacy na pewno wróci. Wszystko będzie dobrze. Możesz być spokojny.

– Hmm... – Peter burczy pod nosem, zamyka syna w potężnym uścisku, łagodnie poklepuje po plecach. Gdy go uwalnia, spogląda na resztę grupy. – Słuchajcie uważnie. My przez ten czas odwieziemy Nicholasa do Harrow, tam trafi pod opiekę profesjonalnych uzdrowicieli. Kiedy już się zadowoli, odstawimy Avis i Vedę do bezpiecznej kryjówki, a potem wraz z Garethem dołączymy do was u Humberta. Postaramy się nie zwlekać.

Odsuwa rygiel i pchnięciem otwiera drzwi. Do holu wpadają kłęby drobnych białych płatków. Pierwszy śnieg w tym roku. Ciasno opatulam się płaszczem i wychodzę na zewnątrz.

– Bezpiecznej podróży! – rzuca na odchodnym pirat. Na jego twarzy rysują się głębokie zmarszczki, wyraz niepokoju.

We czwórkę przechodzimy przez szeroki żwirowy podjazd i trawnik. Kierujemy się prosto między drzewa. Fifer z Johnem idą na czele. Pochylają się ku sobie i wymieniają szeptem uwagi. Nadstawiam ucha, ale są zbyt daleko i nie słyszę ani słowa.

– Ten wasz Peter... Trochę zbyt uczuciowy jak na pirata, co? – odzywam się po chwili.

– Cóż – George obrzuca mnie uważnym spojrzeniem – skoro przy tym jesteśmy, muszę ci o czymś powiedzieć. – Mruży oczy i patrzy przed siebie, na Johna i Fifer, którzy w tej chwili wyglądają, jakby się spierali.

Dziewczyna zamasyście gestykułuje, a uzdrowiciel kręci odmownie głową. George, zadowolony, że nie zwracają na nas uwagi, podejmuje:

– Domyślam się, że Nicholas przestrzegł cię już, że nikt nie powinien poznać prawdy na twój temat?

– Tak.

– Ani Fifer, ani Gareth, ani Peter czy Humbert.

– Tak, zrozumiałam.

– A przede wszystkim John.

– Dobrze, dobrze. – Przyglądam się idącemu z przodu uzdrowicielowi. – Dlaczego właściwie przede wszystkim on?

John jest tak wysoki, że trudno mu unikać gałęzi. Raz po raz smagają go po twarzy, liście i suche patyczki płaczą się w ciemnych włosach. Kiedy przystaje, by się otrzepać, łowi mój wzrok. Macha do mnie ręką, odrzuca na ziemię kilka zeschniętych listków i uśmiecha się szeroko. Nagle znów czuję się tak, jakby ktoś związał mi żołądek w ciasny supeł. Niewiele myśląc, też się do niego uśmiecham.

– Przestań! – George trąca mnie łokciem.

– Co mam przestać?

– Uśmiechać się. Nie możesz się tak do wszystkich szczyrzyć.

To... – Urywa, następane słowa dobiera starannie: – Wytrąca z równowagi.

– Nie bądź śmieszny.

– Ja wcale nie żartuję. Posłuchaj, naprawdę powinnaś o czymś wiedzieć. – Zerka na Johna, ponownie sprawdza, czy uzdrowiciel nie słucha. Nie słucha, znów pochłonęła go toczona półgłosem rozmowa z Fifer. – Jego matkę i siostrę schwytyli łowcy czarownic. Obie spłonęły na stosie.

– Co takiego? – Ucisk w żołądku dodatkowo się wzmacnia. – Kiedy? George wydaje z siebie ciche westchnienie.

– W zeszłym roku. Peter był na morzu. Anne i Jane, tak się nazywały, zostały z Johnem w domu. Pewnego dnia wyszedł do pacjenta. Kiedy wrócił wieczorem, już ich nie zastał, a dom wyglądał, jakby szalał w nim huragan. Sama wiesz, co to oznacza.

Kręcę głową. Ale – oczywiście – wiem.

– On domyślił się od razu. Pojechał do Upminster i do Fleet. Starał się. Zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy. Daremnie, obie trafiły na stos. Doszło do tego, że chciał do nich dołączyć, próbował skoczyć w płomień... – George'owi łamie się głos. – Nie wiem, co w niego wstąpiło. Ma szczęście, że uniknął aresztowania. Szczerze mówiąc, do dziś nie rozumiem, dlaczego nie pojмали i jego. W każdym razie, kiedy ruszył w kierunku stosu, gwardziści po prostu go powalili i pobili niemal do nieprzytomności. Leżał w błocie posiniaczony i zakrwawiony i patrzył na śmierć matki i siostry.

Zatrzymuję się. Przypominam sobie, co John powiedział mi u Nicholas'a na temat stosów i palenia. Skąd miałam wiedzieć, że myślał

o kaźni własnej rodziny? Nie przyszło mi do głowy, że musiał oglądać tak straszliwe sceny. Oblewa mnie zimny pot, zaczynam dygotać. Zbiera mi się na wymioty.

– Nie zrobiłam tego – mówię. – Znaczący, nie ja je aresztowałam. Pamiętam każdego zatrzymanego. To naprawdę nie byłam ja.

– Wszystko jedno. John nie może się dowiedzieć. Nie zabiłby cię, ale nie to mnie martwi. Rozumiesz, co mówię?

– Tak – odpowiadam półgłosem.

– W takim razie chodźmy.

Idziemy. Ze spuszczoną głową wpatruję się w przyprószony śniegiem leśny poszycie. Liście i gałązki trzaskają pod moimi butami niczym stare kości. Co chwila czuję na sobie spojrzenia George'a. Nie zwracam na niego uwagi.

Nie potrafię jednak zignorować doznania, które rozgościło się w mojej piersi. Tego uwierającego piekącego poczucia winy, które niczym bluszcz oplata mnie całą, jakby szukało dogodnego miejsca, by zapaść korzenie. Nie podoba mi się to uczucie. Nigdy go nie lubiłam. Robię więc coś, czym ratuję się zawsze, gdy się pojawia. Przypominam sobie motto, któremu przez całe życie hołdował Blackwell: „Co się stało, to się nie odstanie”. Powtarzam je sobie kilka razy w duchu i w końcu wyrzuty sumienia znikają. Nie jestem w stanie odmienić wydarzeń z przeszłości, nie można do nich wrócić ani ich odwołać. Co się stało, to się nie odstanie.

Po kilku godzinach las zaczyna powoli rzednąć, aż wreszcie ustępuje miejsca łąkom i pastwiskom, zielonym wzgórzom i szerokim połaciom zbrązowiałej trawy. Okolicę przecinają niskie kamienne murki, między którymi przechadzają się owce, porośnięte już gęstym runem, właściwym dla chłodnej pory roku. Siąpi deszcz, któremu od czasu do czasu towarzyszą burzowe pomruki. Ledwie opuszczamy przytulny, względnie bezpieczny las, ogarnia mnie poczucie bezbronności. Na otwartym terenie czuję się nadmiernie odsłonięta.

– Chyba powinniśmy się rozdzielić – stwierdza John. – Ja pójdę przodem. George, zamykaj tyły. Jeżeli na drodze pojawi się cokolwiek nieprzewidzianego, Horacy da nam znać. Kiedy go zobaczycie, uciekajcie i szukajcie kryjówek. Wrócę i znajdę was, gdy uznam, że

zagrożenie minęło. Jasne?

Niemal przez całą drogę sokół krążył nad naszymi głowami. W tej chwili przysiadł na przedramieniu uzdrowiciela i odpoczywa.

Przystajemy na plan Johna, który wypuszcza Horacego. Sokół leniwie nabiera prędkości nad szlakiem, po czym wzbija się nad pierwszym wzgórzem i maleje, aż wreszcie znika nam z oczu.

George zostaje w tyle, pozwala się wyprzedzić Fifer i mnie. Dziewczyna ostentacyjnie mnie ignoruje, przez kilka kolejnych kilometrów idziemy w milczeniu, skupione na drodze. Nieustępliwy deszcz przeobraził bity trakt w rzekę błota. Brniemy więc powoli, co chwila zapadając się w gęstej mazi po kostki.

Zziębnięta, okryta przemoczonym płaszczem, Fifer dygoce, usta ma niemal zupełnie sine. W pewnym momencie potyka się i traci równowagę, łapię ją więc za ramię i podtrzymuję. Odpowiada mi spojrzeniem, w którym – o dziwo! – majaczy cień wdzięczności, lecz zaraz potem gwałtownie wyrywa rękę i odchodzi naburmuszona, mrużąc coś pod nosem.

– Nie ma za co! – rzucam za nią.

Fifer odwraca się i patrzy na mnie z niesmakiem.

– Co ty tu właściwie robisz, co? – pyta.

Uśmiecham się złośliwie. Nic na to nie poradzę.

– Teologowie od dawna utrzymują, że sensem naszego pobytu na tym padole jest...

– Nie o to pytam, kretynko! – wścieka się Fifer, a ja uśmiecham się jeszcze szerzej. – To nie jest zabawne – cedzi i jej zielone oczy zamieniają się w wąskie szparki. – Nie ma w tym nic zabawnego.

Rozumiem, że kogoś takiego jak ty widok umierającego czarownika faktycznie może rozśmieszyć. – Patrzy na mnie z beżmierną pogardą.

– Niekoniecznie – odpowiadam. – Koniec końców, stoimy po tej samej stronie.

Fifer otwiera szeroko oczy.

– Czyli przyznajesz, tak? Jesteś wiedźmą?

– W każdym razie tak uważa Nicholas. – Wzruszam ramionami.

Fifre robi dziwną minę.

– Potrafisz cokolwiek?



– Jak to?

– Mam na myśli magię. Znasz jakieś czary?

– Nie.

– Nigdy nie rzucałaś zaklęć? Uroków?

Kręcę głową.

– Nie zdarzyło ci się choćby przypadkiem? Może, na przykład, życzyłaś komuś źle i spotkał go jakiś wypadek?

– Nie – powtarzam.

– Często uśmiecha się do ciebie szczęście? Niewykształconym czarownicom zdarza się to prawie zawsze. Nieświadomie posługują się magią i efekty jej działania przypisują losowi.

– Czyżbym wyglądała na szczęściarę? – Znacząco unoszę brwi.

– Chyba faktycznie nie – przyznaje Fifer. – Z drugiej strony, przeżyłaś więzienną gorączkę. Teraz już chyba rozumiesz dlaczego. – Zaciska wargi, mocno się nad czymś zastanawia. – Musisz jednak coś umieć, cokolwiek. W przeciwnym razie...

Urywa dlatego, że nagle pojawia się przed nami Horacy. Frunie bardzo szybkim lotem. Szeroko rozpostarte skrzydła muskają niemal nasze głowy.

– W nogi!

Zbiegamy ze spływającej błotem drogi, przeskakujemy murek i wpadamy na pole. Rozglądamy się za kryjówką. Trawa jest zbyt niska, nie osłoni nas. Jedyne w okolicy drzewa rosną dość daleko, ale jeśli się pospieszymy, powinniśmy zdążyć.

Łapię Fifer za rękaw i pędzimy w ich stronę. Wtedy właśnie dolatuje mnie ten odgłos. W pierwszej chwili cichy, lecz z każdą chwilą narastający. O pomyłce nie może być mowy. Donośny tętent końskich kopyt, dźwięk podków bijących w rozmiękłą ziemię. Jeźdźcy są już blisko. Nie ma szans, byśmy dopadły do drzew na czas. Zobaczą nas.

Fifer nagłym szarpnięciem pociąga mnie za ramię w dół. Padamy obie na ziemię.

– Co robisz? – rzucam. – Wypatrzą nas...

– Nikogo nie wypatrzą... – Sięga do kieszeni płaszcza i dobywa z niej długi jedwabny sznurek z trzema supłami.

Natychmiast uświadamiam sobie, na co patrzę: wiedźmowa

drabinka. Dzięki temu rekwizytowi czarownicy są w stanie szybko rzucać nawet trudne i czasochłonne zaklęcia. W tym niepozornym kawałku sznurka przechowują zmagazynowaną energię magiczną, którą można uwolnić, rozplatając kolejne węzłki.

Fifer zrywa garść trawy i zaczyna manipulować przy jednym z supełków. Im głośniejszy jest stukot kopyt, tym wyraźniej trzęsą się jej palce.

– Powiększ! – Wyrzuca trawę w powietrze.

Żdźbła rozrastają się i wydłużają, tworząc gęsty żywopłot. Ma przynajmniej metr dwadzieścia wysokości i trzy metry długości. Trawa jest tak duża, że ugina się pod własnym ciężarem, spokojnie możemy się w niej schronić.

Wczołgujemy się pod osłonę roślin i wciskamy pod trawę torby i poły płaszczy, aby nikt nie zobaczył ich z traktu. Wreszcie zauważam ich w dali: czterech jeźdźców pod królewskim sztandarem. Fifer ma szeroko otwarte oczy, obserwuje nieznajomych uważnie. Znieruchomiałe, czekamy, aż nas wyminą.

Tyle że oni wcale nas nie wymijają. Konie zwalniają do galopu, przechodzą w kłus, aż ostatecznie zatrzymują się kilka metrów od naszej kryjówki.

– Ale mi się chce lać! Już od kilku kilometrów trzymam! – narzeka jeden ze zbrojnych. Zeskakuje z siodła, słyszę plusk jego butów w błocie.

– No to żywo, tutaj możesz spokojnie.

– Ja też pójdę – odzywa się inny i ześlizguje się z końskiego grzbietu.

Obaj mężczyźni ruszają przez pole prosto w naszą stronę. Podchodzą do żywopłotu, przystają i zaczynają rozwiązywać tasiemki spodni. Oczy Fifer rozrastają się do rozmiarów sporych talerzy, wygląda na przerażoną. Uśmiecham się lekko pod nosem. Nie mogę się opanować. Nie boję się widoku sikających mężczyzn, miałam w tej materii sporo doświadczenia. Byłam przecież jedyną dziewczyną w trzynastoosobowym oddziale łowców. W zasadzie widziałam już wszystko.

– I co o tym myślisz? – odzywa się jeden z gwardzistów.

– Nie wiem – odpowiada mu kolega. – Przed nami jeszcze pewnie jakieś piętnaście kilometrów. – Kręci głową. – Przekłęte Stepney Green, zabita dechami wiocha...

– Nie o to mi chodziło. O niej mówiłem.

O niej. Czyli o mnie. Fifer zerka ukradkiem w moją stronę. Też zrozumiała. Przyglądam się żołnierzom między źdźbłami nienaturalnie wysokiej trawy i próbuję zmusić ich siłą woli, by nie powiedzieli już ani słowa.

– Ach, o niej. Wiesz, ja bym się za bardzo nie przejmował – mówi gwardzista. – Naprawdę myślisz, że gdyby rzeczywiście mogła tam być, Pace wysłałby akurat nas?

Na twarzy Fifer pojawia się wyraźna konsternacja.

Zamknijcie się, błagam ich w myślach, zamknijcie się, zamknijcie...

– No, skoro tak mówisz. – Drugi z żołnierzy zerka na kolegę bez przekonania.

– Ano. Widzisz, ona nie może być w trzech miejscach naraz. A gdyby mnie kto pytał, Stepney Green jest akurat najmniej prawdopodobne.

Trzy miejsca? Gdzie indziej spodziewa się nas Blackwell?

– Ale kurczę, nie myślisz, że powinni wysłać z nami choć jednego łowcę czarownic?

– A po co? Myślisz, że nie damy rady małej dziewczynie?

– To nie jest zwykła mała dziewczyna.

Fifer świdruje mnie spojrzeniem spod przymrużonych powiek. Wzruszam ramionami, jakby wysłuchiwanie podobnych uwag na własny temat było dla mnie chlebem powszednim. Serce jednak łomocze mi tak głośno, że sama nie wiem, dlaczego jeszcze nie usłyszeli go gwardziści.

– Jest naprawdę niebezpieczna – ciągnie żołnierz. – A kto wie, do czego jest zdolna teraz, kiedy skumała się z Nicholasem Pervilem? Moim zdaniem, powinniśmy tę dziurę po prostu przeszukać, a potem jak najszybciej się wynosić. Jeżeli ją znajdziemy, resztą niech się zajmuje Pace.

– Mnie tam namawiać nie musisz. – Obaj zapinają spodnie i odwracają się w stronę koni.

Oddycham z ulgą. Naprawdę niewiele brakowało. Zbyt niewiele...

– Aż trudno uwierzyć, nie? Że mała wiedźma została łowczynią czarownic. – Cmoka pod nosem. – Blackwell powinien starannie dobierać rekrutów.

O, nie!

Patrzę na Fifer. Wpatruje się we mnie z tępym wyrazem twarzy. Wygląda trochę jak ryba. Otwieram usta, by powiedzieć... Nie, nie wiem, co chcę powiedzieć... ale ona i tak już się ode mnie odwraca. Ze strachu lub z odrazy. Prawdopodobnie z obu tych powodów jednocześnie. Siada, wciąż jakby niewidząca, nieruchomieje. Gwardziści dołączyli już do czekających na szlaku kolegów. Wskakują na siodła i odjeżdżają. Spod końskich kopyt strzelają fontanny błota.

Przekłęci idioci! Mielą ozorami jak krowy na pastwisku! Powinnam ich była wykończyć, zanim się odezwali. Ale cóż, teraz już za późno. Nicholas nie będzie zachwycony. George też nie. Właśnie, gdzie on się podziewa? Będzie mi potrzebny, żebym mogła poradzić sobie z Fifer, o ile wyjdzie kiedyś z osłupienia. Wciąż patrzy niemo w żywopłot. Odkąd żołnierze odjechali, nie poruszyła nawet palcem. Odwracam głowę, by rozejrzeć się za George'em. W tej chwili Fifer wreszcie eksploduje.

– Jesteś łowczynią czarownic! – Popycha mnie na ziemię i wskakuje mi na pierś. – Cholerną łowczynią czarownic!

– Fifer! Przestań!

Zaczyna mnie okładać pięściami. Uderzenia trafiają w ręce, brzuch i twarz. Nie mogę jej oddać. Zrobiłabym jej krzywdę. Co gorsza, mogłabym przypadkiem zabić. Łapię ją za nadgarstki i próbuję powstrzymać, lecz uwalnia się i wymierza mi siarczysty policzek. Paznokcie boleśnie drapią mi twarz.

– Powinnam cię zabić! Zabiję cię! Ty....

Z ust Fifer płynie strumień wulgaryzmów tak paskudnych, tak obrzydliwych, że wybucham śmiechem. Milknę, kiedy łapie mnie za włosy i szarpie. Mocno.

Wyrywa mi się cichy okrzyk i na moment zapominam, że obiecałam sobie jej nie oddawać. Łapię Fifer za ramiona i zrzucam z siebie. Pada w trawę, ale w mgnieniu oka znów wstaje i wali mnie po

głowie z taką siłą, że aż dzwoni mi w uszach. Rzucam się na nią i zaczynamy się tarzać po ziemi. Okładamy się po twarzach, wyrywamy sobie nawzajem włosy, dziko wrzeszczymy.

Dostrzegam jakiś ruch i nagle tuż nad nami pojawia się George. Patrzy z przerażeniem w oczach.

– Ej! – Skacze dokoła, próbując uniknąć naszych wymachujących na wszystkie strony kończyn. – Co wy, do diabła, wyprawiacie?

Walczymy w najlepsze.

– Możecie przestać? Dajcie już spokój! – George chwyta mnie w talii i odrywa od Fifer.

Ona podrywa się i skacze w moją stronę, wyciągając palce niczym szpony. Łapię ją w przegubach i teraz zataczamy się całą trójką, niczym pijacy w karczemnej bójce. Wreszcie wpadamy prosto w żywopłot.

– Spokój, na litość boską! – krzyczy George, rozdzielając nas po raz kolejny.

– Ona jest łowczynią czarownic! – Fifer podnosi się gwałtownie i znów mnie atakuje. Tym razem pięściami.

George łapie ją, zanim zdołała mi przywalić.

– Co robisz? – piszczy Fifer. – Sprowadź Johna! Musimy ją zabić. Natychmiast! On albo ty. Albo nie, lepiej sama się tym zajmę! – Wyciąga z kieszeni wiedźmową drabinkę.

– Nie możesz jej zabić – mówi George.

– Oczywiście, że mogę! – Fifer mociuje się z węzełkiem. – Obrzucę ją taką klątwą, że rozleci się na tysiąc kawałków i...

George wyrywa jej sznurek z dłoni.

– Naprawdę chcesz, żeby Nicholas umarł?

– Co? – Fifer jest mocno przerażona. – Nie!

– Jeżeli ją zabijesz, tak właśnie się stanie. Elizabeth jest jedyną osobą na świecie, która może odnaleźć tablicę. Dobrze o tym wiesz. Dlatego nie powinnaś się przejmować tym, kim jest. Łowczyni czarownic, demon... Co za różnica? Niechby sobie i była samym szatanem.

– Bo jest. To diaboliczna. – Fifer dyszy z wściekłości. – A ty... – odwraca się do George'a i mierzy w niego palcem – zbyt spokojnie tę wiadomość przyjąłeś. Może mi wyjaśnisz... Bo jeżeli wiedziałeś, że ona

jest łowczynią, a nam nie powiedziałaś...

Wymieniamy się z George'em znaczącymi spojrzeniami.

– Wiedziałaś! – domyśla się Fifer. – Wiedziałaś i nie powiedziałaś. Dlaczego? Jak mogłaś mi coś takiego zrobić? Mnie i Johnowi. Zaraz, a Nicholas...? – Milknie z rozszerzonymi źrenicami.

George podnosi rękę.

– Nicholas wie. Oczywiście, że wie. Tobie nie powiedziałem na jego wyraźne polecenie. Uznał, że nie ma potrzeby wtajemniczać wszystkich.

– Nie ma potrzeby?! – wydziera się Fifer. – Nie ma potrzeby mówić nam, że to nikczemna, zakłamana, mordercza dzi...

– Fifer! – George unosi brwi.

– Chyba nie sądzisz, że ona nam pomoże, co? Dlaczego miałyby to zrobić? Będzie nas wodzić za nos, póki Nicholas nie umrze, a potem wyda nas swoim przyjaciołom!

– Nie zrobię tego – wtrącam.

Fifer wydaje z siebie wzgardliwe fuknięcie.

– Ona tego nie zrobi – wtóruje mi George.

– Nie wierzę wam! – rzuca Fifer. – Jej nie wierzę. Nie wierzę w ani jedno słowo. – Przechadza się w tę i z powrotem, raz po raz kręcąc głową. – Powiem Johnowi. – Obraca się na pięcie i rusza w stronę drogi.

– Nie! – George łapie ją za rękę. – To musi zostać między nami.

– Powiem! – rzuca Fifer. – On musi się dowiedzieć. Masz pojęcie, co robi, jak się domyśli?

– Tak. Zdaję sobie sprawę. Właśnie dlatego nie możesz mu tego wyjawić. – Fifer już otwiera usta, by zaprotestować, ale uprzedza ją George: – Teraz najważniejsze jest odnalezienie tablicy. Wiesz o tym. Obecnie po prostu nie możemy się przejmować czymkolwiek innym. A jeżeli powiemy Johnowi, zmartwień będziemy mieć aż nadto.

Fifer nie odpowiada.

– Posłuchaj mnie, kiedy dotrzemy już do Humberta, będziesz mogła napisać do Nicholasa. Sama go zapytasz. I zapewniam, że usłyszysz od niego to samo, co usłyszałaś teraz ode mnie.

– Ale dlaczego? Dlaczego chciał to przed nami ukryć?

– Ma swoje powody. – George unosi wiedźmową drabinkę. –

Zgoda?

Ręka Fifer wystrzela w powietrze, lecz on zdążył cofnąć sznurek.

– No, dobrze. – Płomienie w jej oczach nie gasną. – Zgoda.

– Świetnie. A teraz, z łaski swojej, przestań patrzeć tak zabójczo.

On już tu jest.

Rozglądam się i rzeczywiście. Ponad żywopłotem dostrzegam biegnącego do nas truchtem Johna. Kiedy się zbliża, zauważam, że cały jest utyłany w błocie.

– Fiu, fiu! Stary, co ci się stało? – George obrzuca kolegę zaciekawionym spojrzeniem.

– Wskoczyłem do rowu. – Uzdrowiciel ociera rękawem twarz. – Piękny żywopłot! – chwali Fifer, która bez słowa wzrusza ramionami. – Ci gwardziści udają się tam, gdzie my. Podejrzewam, że nas szukają. A wy? – Wiedzie spojrzeniem po naszych twarzach. – Słyszeliście coś może?

Nikt mu nie odpowiada.

– Hm, byłbym gotów przysiąc, że zapytałem na głos – rzuca cierpko John. – Fifer?

– Oj, mnie nie pytaj! Ja tam nic nie wiem!

– Co w ciebie wstąpiło? – Zdziwiony uzdrowiciel unosi brwi.

– Nic! Wszystko! Nie wiem! – Fifer odbiera od George'a wiedźmową drabinkę. – Rzecz w tym, że... Zdenerwowałam się, bo musiałam zużyć jeden ze swoich węzłów. A miałam tylko trzy. Nie chciałam go tracić na takie głupoty. – Wskazuje żywopłot.

– To nie głupota, ta trawa was ocaliła – zauważa John.

– Raczej skazała na śmierć!

– Przestałabyś dramatyzować – mruczę poirytowana, masując się po głowie. Skóra wciąż mnie piecze. Fifer szarpała naprawdę mocno. – Węzełek zużyłaś. Też mi tragedia. U Humberta przygotujesz sobie nowy.

Fifer rzuca mi nienawistne spojrzenie i rusza bez słowa przez pole. George idzie za nią żywym krokiem.

Patrzę na Johna.

– Powiedziałam coś nie tak?

– To nie Fifer zaplatała węzły, tylko Nicholas – tłumaczy mi. –

Ona jeszcze tego nie potrafi. Zamierzał przygotować ich więcej, ale... sama rozumiesz.

– Ach, no to szkoda – mówię. – Mogłyby się przydać.

Mimo wszystko dobrze wiedzieć, że Fifer nie jest tak potężna, za jaką chciałaby uchodzić.



## ROZDZIAŁ 17

Mija kolejna godzina, niebo powoli ciemnieje. Deszcz, który nękał nas przez cały dzień, zmienił się w śnieg. Tumany białego puchu biją z każdej strony, płatki wirują wszędzie dokoła. Wreszcie stajemy na rozstajach, droga rozwidła się w dwie inne. Jedna jest szeroka i brukowana, prowadzi do miasteczka. Drugą właściwie ciężko nazwać drogą. Niemal cała porosła trawą. Nie wiem, czy w ostatnim miesiącu przeszły tędy choć dwie osoby. John rzuca okiem na mapę i – w sumie nie wiem, czemu się dziwię – wybiera drogę rzadko uczęszczaną.

Śnieżycą przybiera na sile, wzmagają się wiatry. Zapada mrok. Nędzna ścieżyna znika wkrótce pod białą kołdrą. Od czasu do czasu dostrzegam na niebie czerwone rozbłyski, mrugają niczym szkarłatne gwiazdy. To na pewno błędne ogniki. Gdzieś w pobliżu muszą być bagna. Mam tylko nadzieję, że nie będziemy zmuszeni się przez nie przedzierać. Tego rodzaju światełka nie są co prawda niebezpieczne, ale zwodzą ludzi na tysiące sposobów i niekiedy trzeba się niełicho natrudzić, zanim dotrze się na drugi brzeg. A w tej chwili jestem zbyt zmęczona, by się z nimi użerać.

Wreszcie pojawiają się wzgórza, co jedno to wyższe. Kilka razy pośliznęłam się na zmarzniętej ziemi. Na szczęście John idzie tuż obok i za każdym razem udaje mu się mnie podtrzymać.

– Daleko jeszcze? – jęczy Fifer. – Zimno mi. I jestem głodna. W dodatku bolą mnie nogi...

– Teraz już chyba blisko – odpowiada uzdrowiciel.

Wspinamy się na kolejne wzgórze, najbardziej jak dotąd strome. Kiedy przystajemy na szczycie, John wskazuje palcem rozciągającą się przed nami dolinę.

– Tam – mówi. – To właśnie dom Humberta.

Dom? Przecież to bardziej zamek niż zwykły dom. Budynek wzniesiono z szarych gładów i zabezpieczono kwadratową fosą, którą można pokonać jedynie przez wąski łukowaty mostek. Gdyby nie otaczająca rezydencję zieleń, pomyślałabym, że oglądam graniczną fortecę. Kamienne mury porośnięte są czerwonym i zielonym bluszczem, za fosą widać starannie utrzymane ogrody, wśród których pobłyskują tafle sadzawek. Wszystko przysypane jest miękkim śniegiem. Widok jak ze snu.

Zbiegamy żywo ze wzgórza i przez mostek przechodzimy prosto na wewnętrzny dziedziniec. Z tej perspektywy budynek wygląda mniej imponująco i bardziej przytulnie: okazuje się, że część ścian jest jednak drewniana, w oknach błyszczą drobne szybki w kształcie diamencików. Widzę też sporych rozmiarów fontannę. Ustawiony na jej szczycie kamienny aniołek wypływa z ust strugi wody prosto do misy, słysząc nikły szmer. Kiedy stajemy przed frontowymi drzwiami, otwierają się niemal natychmiast. Odźwierny zaprasza nas do urządnego z przepychem holu. Kandelabry migoczą kryształem i mosiądzem. Czarno-biała szachownica posadzki. Boazeria z drogiego drewna. Ściany obwieszane malowidłami. Głównie są to ze smakiem wymalowane akty, nawet śladu przemocy. Szczególnie urokliwy obraz przedstawia Wenus i Kupidyn. Zajmuje niemal całą ścianę.

– Witajcie!!! – rozlega się bardzo głośno.

Odwracam głowę i widzę maszerującego ku nam swobodnym krokiem Humberta Pembroke'a. W dłoni trzyma pękaty kieliszek brandy. Niski i krępy, ma na sobie krzykliwie kolorowy jedwabny kaftan i uszyte z aksamitu spodnie. – Kochani, czy coś się stało po drodze?

Przygląda się kolejno każdemu z nas. John wciąż umorusany jest błotem, do twarzy Fifer kleją się grudki ziemi, we włosach ma trawę. Ja z pewnością nie wyglądam lepiej. Pozory przyzwoitości zachowuje jedynie George. Jak on to robi?

John – nedorzecznie głośno – przedstawia gospodarzowi

szczegóły naszego spotkania z żołnierzami. Humbert kiwa głową, co jakiś czas wydając z siebie uprzejme chrząknięcia i pomruki. Widzę jednak wyraźnie, że tak naprawdę myśli zajęte ma czymś innym. Nie słucha uważnie. Co więcej, raz po raz spogląda na mnie. Kiedy uzdrowiciel milknie, pyta bezpośrednio:

– Czyli to ty, hm? – Wciąż mówi stanowczo zbyt głośno.

– Znaczy, kto? – odpowiadam.

– Co??? – Teraz już się po prostu wydziera.

– Co, co? – powtarzam niepewnie.

John zerka na mnie z ukosa, widzę, że walczy z cisnącym mu się na usta uśmiechem.

– Humbert jest nieco przygłuchy, powinnaś mówić trochę głośniej – radzi mi szeptem. – Poza tym chce się chyba dowiedzieć, czy jesteś dziewczyną, o której opowiadał mu Nicholas.

– Ach. – Podchodzę do Humberta i zatrzymuję się tuż przed nim. Nie mam ochoty się drzeć. – Tak, to ja – przyznaję.

Humbert uśmiecha się szeroko i pstryka palcami. W jednej chwili w holu pojawia się pokojówka. Obrzuca nas spojrzeniem, zauważa brudne twarze i ubłocone stroje, po czym odprowadza wszystkich na górę. Każe nam się wykąpać i przygotować. Kolacja za godzinę.

Kilka minut później stoję już w pokoju i czekam, by służąca nalała wody do wanny. Rozglądam się, lekko przytłoczona. Wystrój wnętrza jest naprawdę luksusowy. Drogie kotary. Dywany tak miękkie, że zapadam się w nich niemal po kostki. Łoże z baldachimem, materace wypchane mięciutkim gęsim pierzem. Lniana pościel i obrębione delikatnym futrem pledy. Sypialnia jest urządzona tak wystawnie, jak w pałacach króla Malcolma, dekoracje są z pewnością bardziej kosztowne niż w domu Blackwella. Gdyby dowiedział się, że Humbert jest reformistą, nasz gospodarz straciłby tę rezydencję wraz z głową.

Kiedy się rozbieram i zanurzam w ciepłej kąpieli, w drzwiach staje pokojowa Humberta – starsza kobieta imieniem Bridget. W dłoniach trzyma złożone ubrania.

– Pomyślałam, że do kolacji wołałaby panienska zasiąść w sukience – mówi i pokazuje mi, co przyniosła.

Nie wołałabym, ale zdaje się, że nie powinnam narzekać. Kiecka

jest naprawdę ładna. Ciemnoniebieski aksamit, dół ozdobiony złotymi ornamentami. Na piersi wyhaftowano srebrną nicią jakiegoś ptaka. Bridget rozkłada suknię na łóżku, obok spoczywają trzewiki i kolczyki – złoto i szafiry – wyraźnie dopasowane do całości. Pojawia się nawet stosowny pierścionek. Przyglądam się temu wszystkiemu szeroko otwartymi oczyma. Jeszcze nigdy w życiu nie miałam na sobie tak wspaniałego stroju.

Po kąpeli służąca pomaga mi się przygotować. Na widok mojej fryzury cmoka z niezadowoleniem i stwierdza, że koniecznie musimy coś zrobić z włosami: suszy je ręcznikiem, rozplątuje kołtuny, po czym cierpliwie czesze nieposłuszne pasma, aż przeobrażają się w łagodnie opadające loki, które upina dwiema ozdobionymi błękitnymi klejnocikami spinkami.

– Proszę bardzo, maleńka. – Wręcza mi lusterko. – Prawda, że ślicznie wyglądasz?

Przyglądam się własnemu odbiciu i nie posiadam się ze zdumienia. Naprawdę nigdy tak nie wyglądałam. Prawie jak dama. Ciekawe, co pomyślałby Caleb, gdyby mógł mnie w tej chwili zobaczyć.

Bridget sprowadza mnie na dół i wskazuje drogę do jadalni. Pojawiam się jako ostatnia. Wszyscy pozostali siedzą przy stole, na którym czekają karafki z winem i kielichy. Humbert zrywa się z krzesła i energicznie podchodzi do mnie.

– Elizabeth!!! – ryczy. – Dobrze, że jesteś!!! Siadaj, proszę!!!

Przeciąga mnie przez pokój i sadza na krześle obok swojego. Stół jest ogromny, swobodnie zmieściłoby się przy nim dwadzieścia osób. Co najmniej. Ale, oczywiście, musiał mi wskazać miejsce tuż przy sobie.

Coś mi mówi, że zanim wieczór dobiegnie końca, będę równie głucha jak on.

Zerkam na Fifer. Ona również dostała sukienkę. Miedzianej barwy, ze stanem wyszywanym zielonymi wzorami. Gdyby jednak sądzić po jej minie, strój mógłby być wykonany ze stali i wyłożony ostrymi gwoździami. Niemniej, tak. Przyznaję bez bicia. Ładnie wygląda.

Naprzeciwko zasiedli George i John, obaj wyszorowani i odziani stosownie do okazji. George jak zwykle wygląda jak papuga. Żółta koszula, fioletowa kamizelka i – jakże stosowny dla błazna –

pomarańczowy kaftan. John z kolei sprawia wrażenie żalobnika na stypie. Biała koszula, ciemnozielony kaftan. Naturalnie, gdzieś po drodze zdążył wszystko wygnieść. A jego włosy... Jeszcze nie zdążyły wyschnąć po kąpeli, a już wymykają się spod kontroli. Ogarnia mnie przemożna ochota, by je przeczesać. Ktoś powinien zaprowadzić tam jakiś ład, a przynajmniej zgarnąć mu grzywkę z oczu. Ciekawe, jakby się prezentował, gdyby je przyciął? Chociaż nie, tej długości są całkiem, całkiem. Poza tym krótsze mogłyby się bardziej plątać i...

John uśmiecha się i dociera do mnie, że zbyt długo się na niego gapię. Oblewam się rumieńcem, po czym spoglądam na Humberta.

– Przepraszam, że kazałam na siebie czekać.

– Jak widzę, było warto! – grzmi. – Miło mi, że suknia ode mnie przypadła ci do gustu.

Cóż, wyboru nie miałam.

– Jest bardzo piękna – mówię.

– Prawda? W zasadzie należy do mojej serdecznej przyjaciółki, księżnej Rotherhithe. Odwiedziła mnie pewnego lata i przywiozła ze sobą dziesięć kufrów ze strojami. Wyjeżdżając, kilku sztuk zapomniała. Ale podejrzewam, że nie zauważyła braku.

Wiercę się niespokojnie. Znam tę księżną. Ona i jej córka są bliskimi przyjaciółkami królowej Margaret. Kiedyś usługiwałam im przy kolacji. Okropne babska. Nie czuję się dobrze w jej stroju i nie obchodzi mnie, że jest uroczy.

– Zwróciłaś uwagę na tego haftowanego ptaka? – podejmuje Humbert. – To rodowy herb Rotherhithe'ów. Nić została spleciona z pasemek szczerzego srebra. Nie chcę nawet myśleć, ile musiała kosztować. Ale cóż, księżna nie liczy się z wydatkami...

Wzmianka o ptaku sprawia, że coś sobie przypominam.

– Przepraszam, że przerywam, proszę pana. – Nagle dociera do mnie, że nie wiem, jak powinnam się do niego zwracać.

– Humbert wystarczy.

– Oczywiście, Humbert. Coś właśnie przyszło mi do głowy.

John... – odwracam się, by na mnie spojrzeć, lecz okazuje się, że patrzył na mnie przez cały czas – odesłałeś ojcu Horacego? Trzeba mu dać znać, że jesteśmy cali i zdrowi. Nie chciałabym, żeby Peter się martwił.

George i Fifer wymieniają się spojrzeniami.

– Tak, odesłałem – odpowiada uzdrowiciel – ale dziękuję, że pamiętałaś. – Przeczesuje włosy palcami.

Dzisiejszego wieczora jego oczy są wyjątkowo zielone. Najczęściej wydają się raczej brązowe, z szarą obwódką i złotymi iskierkami pośrodku, ale...

– Elizabeth!!! – trąbi mi do ucha Humbert. Prawie podskoczyłam.  
– Na ten wieczór przygotowałem coś wyłącznie dla ciebie.

– Dla mnie?

– Tak. W charakterze ukłonu wobec twojej chlubnej przeszłości.

Mojej przeszłości? Nie mam pojęcia, co ten człowiek może mieć na myśli. Do jadalni wkracza dwóch lokajów. Niosą olbrzymią tacę, na której siedzi ptak. Długa szyja i śnieżnobiałe pióra. Ale tylko z przodu, z tyłu są turkusowe, opalizujące. Ustawiają go tuż przede mną.

– Mój Boże! – Fifer odsuwa się od stołu. – Co to ma być?

– Pół łabędź, pół paw, jak myślę – odzywa się George i pytająco spogląda na gospodarza, który potakuje z uśmiechem. Jest z siebie wyraźnie dumny.

– To akurat widzę – prycha Fifer. – Ale co on tu robi?

– To krzyżówka – tłumaczę. Fifer i John domagają się wzrokiem wyjaśnień. – Kiedyś sama je robiłam.

– No tak. Ale po co?

Staram się, jak mogę.

– Cóż, bierzesz dwa zwierzęta różnych gatunków i składasz je w całość, żeby otrzymać coś nowego. Weźmy takiego bazyliuszka, głowa koguta i ciało gada. Albo mantykorę...

– Korpus lwa z ogonem skorpiona – wtrąca George. – Tak?

Kiwam głową. Tego rodzaju stworzenia teoretycznie istnieją tylko w ludowych podaniach. Ja jednak miałam okazję zetknąć się z tyloma mieszkańcami, że wiem, iż teoria bywa niekiedy praktyką. Na królewskim dworze serwowanie podobnych krzyżówek jest bardzo modne. Malcolm je wprost uwielbia. Królewscy kucharze prześcigali się, tworząc coraz bardziej śmiałe kombinacje: kurczak z ogonem bobra, głowa jelenia na ciele dzika. Najgorsze, co przyrządzili, składało się z przedniej części świni i koziego zadka.

– W pysku miał jabłko, a pomiędzy jego tylnymi nogami leżało ssące koźle – mówię. – W życiu nie widziałam czegoś równie obrzydliwego. Potem przez tydzień nie wzięłam nic do ust. Miałam wrażenie, że wciąż czuję przypaloną kozią sierść.

John i George wybuchają śmiechem. Fifer marszczy nos.

– I ty pomagałaś stworzyć to cudo osobiście?! – huczy Humbert. Potakuję skinieniem.

– Doskonale ten posiłek pamiętam! Pyszności! Palce lizać! – Wydaje z siebie serię zadowolonych chrząknięć, brzmi to nieco obscenicznie.

George wpatruje się z przerażeniem w gospodarza. John obrzuca mnie krótkim spojrzeniem i odwraca się z uśmiechem. Pochylam głowę i sama się uśmiecham.

– Cóż, a co myślisz o tym cacku? – dodaje Humbert.

Pochylam się i uważnie oglądam danie.

– Świetna robota – chwalę. Wcale nie kłamię.

Białe łabędzie pierze łączą się z pawią częścią niepostrzeżenie. Zupełnie nie widać znajdującego się pod spodem szwu. To najtrudniejszy element w przygotowaniu krzyżówki. Z piórami i sierścią zawsze jest najwięcej kłopotu. A właśnie to decyduje, czy biesiadnicy będą mieli ochotę ją zjeść, czy przed nią uciekać.

John i Fifer patrzą bez przekonania. Krojący ptaka służący przyglądają się mu z mieszanką odrazy i fascynacji. Doskonale ich rozumiem. Ostatecznie, co można pomyśleć o złożonym z dwóch różnych zwierząt stworze, który nie jest do końca żadnym z nich?

Kiedy lokaje zbierają naczynia, oczy same mi się zamykają.

Wyczerpał mnie długi marsz, brzuch mam wypełniony winem i dziwacznej pieczeni. W dodatku bezustanne krzyki Humberta przyprawiły mnie o ból głowy. Ciekawe, czy John zna jakąś miksturę na migrenę? Przecież ma ze sobą pełną składników torbę. Może zabrał jakieś zioła pomagające zwalczyć dzwonięcie w uszach? Kiedy chcę wstać, przeprosić i wyjść, w Humberta wstępują świeże siły.

– Trzynasta Tablica!!! – drze się po raz setny. – Cóż to za klątwa! Cóż za wyzwanie dla poszukiwacza! – Kręci głową i po raz pięćdziesiąty dolewa sobie brandy. Słowo daję, ten człowiek pije więcej niż George,

a to już coś znaczy. – Naprawdę nie masz pojęcia, gdzie mogła zostać ukryta?

– Nie – odpowiadam po raz setny. – Naprawdę nie mam.

Przygląda mi się z wyczekiwaniem.

– W takim razie pytanie brzmi, co zamierzasz w tej sprawie zrobić?

W jadalni zapada cisza. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Słyszę tylko wstrzymywane oddechy, jakby spodziewali się, że nagle wygłoszę porywające kazanie niczym jakiś prorok na górze.

– Nie wiem – mówię.

Powietrze aż gęstnieje od rozczarowania.

– Jutro planuję się rozejrzeć – próbuję ratować sytuację. – Przejdę się po okolicy. Nie znam tych stron, chyba więc przyda mi się mapa. A może nie? Może nie ma znaczenia, dokąd trafię. W końcu i tak nie wiem, czego powinnam szukać...

– Nie! – woła Humbert. – To stanowczo za mało! Elizabeth, w grę wchodzi przepowiednia. Nie wolno ci polegać na zwykłych domysłach. Domysły nie wystarczą. Żadnego chyba ani może... – Grzmoci pięścią w stół. – Musisz się wykazać zdecydowaniem! Bez względu na wszystko, musisz być pewna każdego kroku, moja droga. Musisz czuć przekonanie. O, tutaj!!! – wrzeszczy, bijąc się w pierś.

Mam ochotę go spoliczkować. Powstrzymuję się z najwyższym trudem.

– Oczywiście – rzucam. – Jutro zaopatrzę się w mapę i rażnym krokiem zbadam okolicę. Teraz lepiej?

Humbert cały się rozpromienia.

– Znacznie lepiej. – Wstaje i zaciera dłonie. – Tymczasem chciałbym wam pokazać katedrę.

W tym momencie Fifer wstaje z miejsca i zaczyna się przeciągać. Rozumiem ją w pełnej rozciągłości. Ja także wolałabym wrócić na górę i położyć się spać, niż wybierać się na jakieś przekłete nocne pielgrzymki. Tyle że nie mogę dyskutować z Humbertem.

– Zapowiada się świetnie – stwierdzam. – Jestem pewna, że wszyscy obejrzą ją z przyjemnością.

Fifer rzuca mi złowrogie spojrzenie. Odpowiadam słodkim, podlanym jadem uśmiechem.



- Nie wiedziałem, że macie tutaj katedrę – odzywa się George.
- Cóż, to nie do końca katedra – przyznaje gospodarz. –

W zasadzie to tylko nazwa.

– Zatem co to takiego? – pyta George. Dobre wychowanie każe mu zdławić ziewnięcie. – Może wygodka? Albo piwniczka na wino?

Z jednego i drugiego chętnie bym skorzystał.

– Ależ nie, drogi chłopcze. Katedra to miejsce, w którym przechowuję swoje artefakty.

– Artefakty? – George jednak daje za wygraną i ziewa przeciągle.

– Naturalnie. Posiadam wspaniałą kolekcję! Oczywiście trzymam ją w tajemnicy. Mam tam magiczne księgi, grymuary, alchemiczne przybory i inne podobne drobiazgi. W moje ręce trafił nawet alembik, który należał kiedyś do samego Artefiusa! Sztylet athame wykonany z wielorybiej kości i kilka innych niecodziennych sztuk broni. Właściwie można mnie nazwać ekspertem. Bez wątpienia. Zobaczycie też włócznie, miecze i noże...

– Miecze? – Fifer się nagle interesuje. – Noże?

Humbert wydaje się zaskoczony.

– Nie miałem pojęcia, że ciekawi cię broń.

– Oczywiście. – Fifer kiwa głową.

– Od kiedy? – John unosi brwi.

– Od dzisiaj. – Fifer wzrusza ramionami. – Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi przyjdzie się bronić. – Zerka na mnie złośliwie. – Nicholas powtarza: „Wróg czyha za każdym rogiem”.

## ROZDZIAŁ 18



Humbert wyprowadza nas z jadani i wracamy do wyłożonego czarno-białą terakotą holu. Gospodarz staje przez największym z obrazów, tym przedstawiającym Wenus i Kupidyna, który podziwiałam zaraz po wejściu. Na samym dole malowidła artysta umieścił parę masek. Puste oczodoły wpatrują się w nas pustymi spojrzeniami. Humbert unosi dłoń i wsuwa palec prosto w jeden z tych otworów. Aż się zachłysnęłam. Czy naprawdę płótno jest w tym miejscu dziurawe? Przecież taki obraz musi być bezcenny! Wtem rozlega się cichy szczełk i po drugiej stronie holu leciutko uchylają się drzwi. Wywiera to na mnie spore wrażenie. Drzwi są wąskie, bardzo ciasne, a ich krawędzie tak doskonale wpasowane w pokryte rzeźbieniami ściany, że dotąd nie dało się ich zauważyć. Chyba że na starość zacznę tracić wzrok.

Humbert przechodzi przez hol i szerzej otwiera tajne przejście. Starannie naoliwione zawiasy nie wydają z siebie nawet jednego skrzypnięcia.

– Zapraszam, moi drodzy. – Przywołuje nas skinieniem.

Jako pierwsza znika za drzwiami Fifer, George rusza tuż za nią. Kolej na mnie. Tuż za progiem stoję jak wryta. Prowadzące w dół wąskie schody. Prosto w nieprzeniknioną ciemność. Za moimi plecami pojawia się John. Zerka na stopnie i znowu na mnie.

– Humbert? Może zaczekam z Elizabeth na górze? – pyta.

Ogarniają mnie wątpliwości. Kolekcja bardzo mnie intryguje.

Jeszcze bardziej ciekawa jestem tego, co kombinuje Fifer. Domyślam się, że spróbuje ukraść ze zbiorów Humberta choć sztukę broni. Oczywiście nie byłaby w stanie wyrzucić mi krzywdy, ale i tak wolałabym, żeby w jej ręce nie wpadł nawet jeden ostry przedmiot. Nie chciałabym, żeby zraniła przypadkiem Johna, George'a czy nawet siebie. Z drugiej strony, mroczny korytarz nie wygląda zachęcająco. Nie chcę urządzić sceny, w rodzaju tej u Vedy.

– Jesteś pewny? – pytam. – Nie chcesz obejrzeć?

– Jestem pewny. – Uśmiecha się uzdrowiciel. – Kolekcja nie ucieknie. Poza tym musisz być zmęczona. Ja, na przykład, padam z nóg. Jeżeli chcesz, podam ci coś na sen.

– Herbatka nasenna, tak?!! – Humbert huczy jak słoń z legendy. – Czego ci potrzeba? Mam wszystko. Walerianę, chmiel, pieprz metystynowy... Chyba że wolisz trochę suszonej passiflory, co? Nazywają ją ponoć kwiatem namiętności. – Teatralnie puszcza do nas oko.

John się krzywi, ja cała czerwienieję.

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiada John. – Wszystkie potrzebne składniki przyniosłem ze sobą.

– Jak wolisz!!! – dudni Humbert. – Gdybyście jednak czegoś potrzebowali, wystarczy, że poprosicie Bridget. – Zamyka drzwi i przekręca zamek. Skobel zaskakuje z cichym brzękiem.

Tuż obok nas, jak spod ziemi, wyrasta Bridget. W ręku trzyma płócienną torbę Johna.

– Zaprowadzę was do biblioteki – mówi. – Nie będziecie mieli poczucia, że cokolwiek was ominęło.

Nie mam pojęcia, o co jej chodzi. Sądząc po wyrazie twarzy Johna, on też nie. Potakujemy jednak i idziemy za Bridget. Mijamy salon i jadalnię i na moment przystajemy przed masywnymi podwójnymi drzwiami, ozdobionymi witrażowymi szklanymi panelami.

Bridget po chwili je otwiera i moim oczom ukazuje się przestronna, olbrzymia sala. Kamienne ściany płynnie przechodzą w wysoko zawieszony sufit. Wszędzie stoją dębowe regały, uginające się pod ciężarem mnóstwa książek. Półki zajmują niemal całe ściany – od podłogi aż po powałę. Zauważam przy nich kilka przesuwanych drabinek na

szynach. Posadzka wyłożona jest jasnozielonymi i niebieskimi kafelkami, barwy tworzą skomplikowane, geometryczne wzory. Sufit z kolei zwieńczony jest przeszkloną kopułą, ponad którą ciemnieje rozgwieżdżone niebo.

Najbardziej jednak uwagę przykuwa rosnące w kącie biblioteki potężne drzewo. Strzela prosto z podłoża. Jest naprawdę wielkie – pień musi mieć co najmniej trzy metry średnicy. Nagie, pozbawione liści konary wyciągają się ku niebu niczym ludzkie ramiona. Za drzewem dostrzegam maleńki salonik, umeblowany miękkimi czerwonymi fotelami i niskimi stolikami. Tam, oczywiście, również roi się od książek.

John gwizdże cicho pod nosem.

– To mój ulubiony pokój w całym domu – wyjawia Bridget. Krąży po bibliotece, zapalając świece wiszące na ścianach w odlanych z brązu lichtarzach. – Tyle że sprzątanie tu to istny koszmar. – W tym momencie uśmiecham się do niej szeroko. Pokojówka odpowiada tym samym. – A zatem, co mogę wam przynieść?

John wymienia szybko kilka składników. Bridget potwierdza skinieniem głowy i podchodzi do wyjścia.

– Proponuję, byście się rozgościli w czytelnii. – Wskazuje tonący w półmroku zakątek za drzewem. – Tam będzie najwygodniej – dodaje i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

– Idziemy? – John rzuca na mnie okiem.

Kiwam głową i wchodzimy do przytulnego ciemnego zakątka. Po drodze przystaję jeszcze przy drzewie i gładzę pień koniuszkami palców. Ma niecodzienną szarą barwę i nie jest porośnięty korą. Sprawia wrażenie wyrzeźbionego z kości.

– Zostało zakonserwowane – tłumaczy uzdrowiciel. Spoglądam na niego zdziwiona. – Mam na myśli drzewo. Dlatego tak wygląda.

W czytelnii moszczę się w jednym z foteli. W zasadzie to prawie sofa, miejsca swobodnie wystarczy dla dwóch osób. John rzuca z ramion płaszcz i wskazuje poduchę obok mojej.

– Mogę?

Potakuję i on siada. Przygląda mi się, ja patrzę mu w oczy i nagle dociera do mnie z całą mocą, że zostaliśmy zupełnie sami. W cichym

cienistym pokoiku. Czuję skurcz żołądka, serce rozpędza się do żywego biegu.

– Skąd wiesz, że to drzewo jest zakonserwowane?

Uśmiecha się.

– O tym wszystkim opowiadał mi ojciec. O tej rezydencji, bibliotece i drzewie. Wtedy mu nie wierzyłem.

– Dlaczego nie?

– Bo to jakieś wariactwo, prawda? Kto normalny posadziłby w bibliotece drzewo? – Kręci głową. – Upierał się też, że Humbert ma w swojej katedrze smoka. Martwego. Podobno przechowuje go w szklanym zbiorniku, wypełnionym specjalną miksturą.

– Smoka?! – Parskam śmiechem. – Przecież smoki nie istnieją.

– Ojciec zaklinał się na wszystkie świętości. Twierdził, że nieraz je oglądał. Na własne oczy.

– Ale chyba nie na serio?

– Nie, nie na serio. Po prostu próbuje mnie zanęcić, żebym zdecydował się podjąć życie morskiego awanturnika.

– Czyli żebyś został piratem? – Unoszę brwi. Nie, zdecydowanie nie mogę sobie wyobrazić Johna w roli rozbójnika siedmiu mórz.

Kiwa głową.

– Zaczął, kiedy skończyłem dziesięć lat.

– A ty odmawiasz?

Jeszcze jedno skinienie głową.

– Odkąd skończyłem dziesięć lat.

– To złe zajęcie?

– Nie, wcale nie najgorsze. Po prostu wolę leczyć ludzi.

– To lepsze niż podrywać dziewczuchy po tawernach? – rzucam.

– Pfft – prycha pod nosem. – Tak, bo jak widzisz, nie myślę o niczym innym.

Znowu wybucham śmiechem.

Rozlega się ciche stąpanie i w bibliotece pojawia się Bridget. Przyniosła tacę z zamówionymi przez Johna przyborami. Garnek z gorącą wodą, moździerz, dwa kubki, kilka łyżeczek. Układa wszystko na stole i wychodzi równie mało natrętnie, jak przyszła.

John sięga do torby i zaczyna wyjmować z niej maleńkie płócienne

saszetki, tycie słoiczki z kolorowymi proszkami, sitka, niewielki, lecz ostry nóż. Następnie wysypuje na tacę: porcję bursztynowego proszku, maciupkie białe i żółte kwiatki, suszone zielone łodyżki. Do kompletu dołącza jeszcze ciemnobrązowy korzeń.

– Co to wszystko jest? – pytam.

– To... – uzdrowiciel wskazuje korzeń, kwiatki i łodyżki – składniki, które zasugerował Humbert. Korzeń waleriany, rumianek i pieprz metystynowy. Niestety, nie mam kwiatu namiętności. – John wywraca oczyma. Chichoczę nerwowo. – Pomogą ci się odprężyć i spokojnie zasnąć. To ziele z kolei – kieruje spojrzenie na słoik z czerwonym proszkiem – nazywa się tarczycza i pomaga zwalczyć ból głowy.

Zaskoczona patrzę mu w oczy.

– Skąd wiedziałeś, że boli mnie głowa?

– Po prostu. Domyśliłem się – odpowiada z uśmiechem. – Mnie samego rwie, a nie siedziałem tak blisko tej armaty jak ty. Trafiłaś prosto pod ostrzał.

Śmieję się z porównania Humberta do armaty.

– Ale nie dałam niczego po sobie poznać, prawda?

– Ani trochę. – Kolejny uśmiech. – Świetnie ci poszło.

Wyraźnie czuję, jak gorący rumieniec oblewa moje policzki. John chyba tego nie zauważa. Siedzi pochylony nad stołem i przygotowuje napój. Cienki plasterek korzenia, szczypta suchych łodyżek, łyżeczka kwiatków. Wszystko razem ubija w móżdżerzu, a powstałą mieszankę przesypuje ostrożnie do sitek.

Jego dłonie pracują bardzo uważnie, delikatnie. Ani jednego przypadkowego ruchu. John się nie spieszy, wyraźnie stawia na precyzję. Jest w tym coś kojącego. Wyczuwam także coś innego – w mocno zarysowanej linii jego barków, cichym dźwięcznym głosem, rzucanych mi spojrzeniach, miłych, ale ze znacznie większym od codziennego zainteresowaniem – i to już wcale kojące nie jest.

– Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś? – pytam.

John ustawia sitka na kubkach.

– Matka była uzdrowicielką – odpowiada. – W pobliżu naszego domu w Harrow prowadziła sklep zielarski. Pomagałem jej, kiedy tylko

mogłem, czyli zawsze, o ile ojciec nie wyciągał mnie na morze. Czasami pracowała też z nami moja siostra, choć jej życiową pasją było włóczenie się po świecie z Fifer i wpadanie w tarapaty, więc akurat z niej większego pożytku nie mieliśmy – wspomina z uśmiechem John. – W każdym razie to matka nauczyła mnie przyrządzać lecznicze mikstury, a po pewnym czasie zaczęła posyłać do pacjentów. Przeważnie wówczas, gdy sama miała zbyt wiele na głowie. Najczęściej pomagałem opatrywać skaleczenia, wydawałem lekarstwa na kaszel czy balsamy na wysypki, tego typu błahostki. Pewnego razu jednak trafiłem do kobiety, która narzekała na silny ból brzucha. Okazało się, że zaczęła rodzić.

Otwieram szeroko oczy. John wybucha śmiechem.

– Właśnie. Miałem dwanaście lat i byłem śmiertelnie przerażony. Kobiecina darła się wniebogłosy, a krwi lało się tyle, że nie miałem pojęcia, co zrobić. No, ale nie mogłem jej przecież w tym stanie zostawić. Musiałem sobie przypomnieć, co matka opowiadała o przyjmowaniu porodów. Zrobiłem, co mogłem.

– No i?

Uśmiecha się.

– Wszystko skończyło się dobrze. Gdy tylko dziecko przyszło na świat, przybiegła moja mama. Długo nie wracałem i zaczęła się niepokoić. To właśnie wtedy postanowiłem, że zostanę uzdrowicielem jak ona. Wcale nie dlatego, że zachwyciło mnie odbieranie porodów, chociaż w razie potrzeby zrobiłbym to znowu. Spodobało mi się natomiast, że mogę pomagać ludziom. Poza tym ktoś musiał przejąć działalność, kiedy... – John odwraca spojrzenie, wyciąga sitka z kubków i odkłada je na tacę.

Siedzę bez słowa. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć.

– George o wszystkim mi opowiedział – zdobywam się wreszcie na odwagę. – Bardzo mi przykro. Wiem, jak się czujesz.

Naprawdę wiem. I ogromnie w tej chwili żałuję, że nie znam słów, które mogłyby przynieść mu ulgę. Ale takie słowa chyba po prostu nie istnieją. Naturalnie, mogłabym stwierdzić, że co się stało, to się nie odstanie, ale rozumiem, że takiemu człowiekowi jak on wcale by to nie pomogło. Ostatecznie John jest uzdrowicielem. Doskonale pojmuje różnicę między bandażem a lekarstwem.

Kiwa powoli głową, jakby słyszał moje myśli. Przez moment patrzymy sobie w milczeniu w oczy. Siedzi tak blisko, że wyraźnie dolatuje mnie jego zapach: woń czystości i ciepła, lawenda i korzenne przyprawy. Jego spojrzenie odrywa się od moich oczu i wędruje niżej, ku moim wargom, po czym rusza z powrotem. Czuję te spojrzenia głęboko w sobie, sięgają ku najbardziej ukrytym zakamarkom duszy. Na chwilę zapominam, o czym rozmawialiśmy. Zapominam nawet, co ja tu właściwie robię.

Otwierają się podwójne drzwi biblioteki. Przestronne pomieszczenie wypełnia gromki głos Humberta. Po chwili rozlegają się pełne podziwu okrzyki George'a i Fifer.

– Twoja herbatka. – John wręcza mi kubek. Mówi cicho, ale i tak nie słyszę nic poza jego słowami. – Posłodziłem najbardziej, jak się dało. Pomyślałem, że z cukrem bardziej ci posmakuje.

– Dziękuję. – Odbieram kubek i kiedy stykamy się dłońmi, jego palce muskają moje. W tej samej chwili dociera do mnie, że wcale nie jestem już zmęczona.

\* \* \*

Następnego ranka po przebudzeniu pierwszą rzeczą, na jaką pada moje spojrzenie, jest sufit. Tutaj nie ma żadnych pnączy. Ot, prosty biały tynk, ozdobiony wypukłym geometrycznym wzorkiem. Kółko wpisane w kwadrat, wpisany w trójkąt, który z kolei otoczony jest jeszcze jednym okręgiem. Identyczny symbol pamiętam z okien w domu Nicholasa. Cóż, wygląda na to, że reformiści uwielbiają geometryczne desenie.

Zrywam się z łóżka. Zależy mi na tym, by jak najszybciej rozpocząć poszukiwania. Zeszłej nocy kilka długich godzin nie mogłam zasnąć, zastanawiałam się, czego właściwie szukać i w jaki sposób miałabym to znaleźć. Oczywiście w tej chwili wiem tyle co wieczorem. Ostatecznie zdecydowałam, że muszę posłuchać rady Nicholasa i odwołać się do instynktu. Kiedy znajdę co trzeba, zrozumie.

Bładym świtem musiała mnie odwiedzić Bridget. Obok łóżka czeka taca ze śniadaniem i sterta złożonych ubrań. Jem i oglądam stroje. Same sukienki, wszystkie bardzo piękne i drogie. Tyle że tego rodzaju ubranie niekoniecznie pasuje do mojej dzisiejszej misji. Naciągam więc



niebieskie spodnie i bluzę, które miałam na sobie w podróży. Wiele można o nich powiedzieć, ale drogie nie są na pewno. Co najwyżej czyste.

Po zejściu zastaję wszystkich w salonie. Fifer siedzi w fotelu pod oknem i czyta. George wyciągnął się na szerokim parapecie i zasłania oczy dłonią przed światłem. John stoi przy kominku i rozstawia stolik z szachownicą. Przywołuje mnie gestem dłoni.

– Co się dzieje? – pytam.

– Czekamy na wieści od mojego ojca. Lada minuta powinien wrócić Horacy. – Uśmiecha się do mnie. – Jak ci się spało?

– Znakomicie – przyznaję. – Dziękuję.

Przyglądam się mu i nagle przypominam sobie wczorajszy wieczór, moment, kiedy siedziałam tak blisko niego, na wygodnej sofie, w ciemności. Nie odwraca wzroku, jakby i on o tym myślał.

– Domyślam się, że chcesz zacząć jak najwcześniej? – rzuca.

Potakuję skinieniem.

– Masz jakieś pomysły? Wymyśliłaś, co zrobisz w pierwszej kolejności?

– A żebyś wiedział, że tak. – Zauważam, że Fifer odwraca ku mnie głowę, nawet George podniósł jedną powiekę. – Chcę się rozejrzeć po okolicy. Ale najpierw musimy się zastanowić nad problemem gwardzistów. Nie mogę się tu kręcić, kiedy oni węższą dokoła.

I to jest, niestety, prawda. Gdybym się na nich napatoczyła, musiałabym ich załatwić. Na śmierć. Wówczas John dowiedziałby się, kim byłam, a Blackwell zyskałby pewność, że ukrywam się właśnie w Stepney Green. Jeśli żołnierze nie wrócą na czas, błyskawicznie doda dwa do dwóch i zrozumie, jaki spotkał ich los.

– Właśnie dlatego proponuję, żeby Fifer z Johnem wybrali się do miasta – podejmuję. – Trzeba sprawdzić, czy przypadkiem już nie wyjechali.

– Dlaczego akurat my? – Fifer rzuca mi chłodne spojrzenie.

– George'a już znają – tłumaczę. – Na jego widok nabiorą dodatkowych podejrzeń. Wy z kolei jesteście dla nich zupełnie obcy.

– No a ty? – syczy Fifer. – Co będziesz w tym czasie robić?

– No wiesz... – rzucam swobodnie – najpierw chyba napiję się

herbaty, a potem pogram w ogrodzie w kręgle. Niewykluczone, że wezmę też gorącą kąpiel i utnę sobie drzemkę. Relaks jest naprawdę bardzo istotny.

Fifer mruży oczy ze złości. John wbija spojrzenie w podłogę, na jego wargach błąka się uśmiech.

Unoszę wzrok.

– Dobra, dobra. Żartowałam. Razem z George'em przeszukamy posiadłość Humberta. Sama widziałaś, jaki to wielki teren. Przynajmniej sto akrów.

– Albo i lepiej – wtrąca uzdrowiciel. – Ale tak, plan jest dobry.

– O tak! Wprost znakomity. Wszyscy przez cały dzień będziemy sobie spacerować – prycha ze złością Fifer. – Naprawdę plan godny geniusza. Może od razu zgłoszę ją do tajnej rady króla?

– Skoro tak, co ty byś zaproponowała? – John unosi brew.

Fifer sunie wściekłym wzrokiem po naszych twarzach. Po chwili, mamrocząc niedosłyszalnie pod nosem, zanurza się głębiej w fotelu i bierze do rąk porzuconą książkę.

– George? – pytam i na niego spoglądam.

– Wchodzę w to – mruczy niewyraźnie i na powrót przymyka oczy.

– Widzę, że kac odebrał mi partnera do szachów. – John kręci głową i pokazuje mi stolik. – A ty, Elizabeth? Grasz?

Zerkam na szachownicę. Figury i pionki stoją w schludnych szeregach. Uśmiecham się.

– Nie, nie gram. A w dodatku wydaje mi się, że ty też nie.

– Słucham?

– Wiesz, mam pewną teorię na temat szachów.

– Chętnie ją usłyszę.

Obniżam głos do melodramatycznego szeptu.

– Otóż według mnie mamy do czynienia z jednym wielkim oszustwem. Myślę, że to nie jest prawdziwa gra i nikt nie zna jej zasad. Podejrzewam, że ten, kto wymyślił szachy, zrobił to wyłącznie po to, by inni uznali go za szalenie mądrego, i taki stan rzeczy trwa od tak dawna, że nikt nie chce jako pierwszy ogłosić odważnie: „Słuchajcie, panie i panowie, ta gra nie ma krzty sensu, a zatem nie jest prawdziwa”.

Uzdrowiciel przygląda mi się dłuższą chwilę, aż wreszcie odrzuca

głowę do tyłu i zanosi się głośnym śmiechem.

– No dobra – mówi. – Nauczę cię. Zobaczymy, może zechcesz tę swoją teorię przemyśleć.

– Zgoda. – Siadam do szachownicy. – Ale muszę cię ostrzec, nie poddam się bez ostrej walki.

John wyjaśnia mi zasady, podaje kilka podstawowych wskazówek strategicznych i rozgrywa kilka pokazowych partyjek sam ze sobą. Wciąż jednak niewiele z tego rozumiem. Pozycja początkowa, ruchy pionów, wartość poszczególnych figur. To naprawdę bez sensu.

– Czyli teraz... Skoczek na e1.

– Nie możesz raz po raz powtarzać „skoczek na e1”. – John cierpliwie zwraca mi uwagę. – Nie masz już ani jednego skoczka. Zbiłem wszystkie. A w ręku trzymasz wieżę.

– Aha. Więc wieża na e1.

– Przecież wieże nie ruszają się po skosie, zapomniałaś już?

– John, dałbyś wreszcie spokój – dolatuje nas senny głos George’a. Nadal leży rozwalony na parapecie, ma zamknięte oczy i jak może najgłębiej, kryje się pod kocem. – Nie uda ci się. Myślę, że w tej chwili nawet meble pojęły zasady. Pewnie twoje krzesło by ją pokonało. Elizabeth po prostu nie ma do tego głowy.

Zgarniam ze stolika kilka figur i szykuję się, by w niego rzucić. Powstrzymuje mnie John.

– A gdybyśmy inaczej nazwali figury? – proponuje. – Załóżmy, że król to Malcolm. Królowa to Margaret, goniec odpowiadałby Blackwellowi i tak dalej. Łowcami czarownic zostaną pionki. Może dzięki temu będzie ci łatwiej wszystko zrozumieć.

„Łowcami czarownic zostaną pionki”. Tak, w ten sposób rzeczywiście będzie mi łatwiej zrozumieć.

W tej samej chwili w salonie pojawia się Humbert. W dłoni trzyma niewielki zwitek papieru. Czyli wrócił Horacy.

– Jakie wieści? – George siada i przeciąga się leniwie.

Gospodarz rozwija karteczkę i szybko przebiega po niej wzrokiem.

– Obawiam się, że czeka nas pewne opóźnienie. – Fifer zrywa się na równe nogi, książka spada na podłogę. – Nie, nie! Wszystko w porządku! – uspokaja ją Humbert. – Nicholas czuje się dobrze. Ale

Peter i Gareth jeszcze nie wyruszyli. I być może zostaną z nim przez kilka dni.

– Dlaczego? Co się dzieje? – dopytuje John, zaciskając w dłoni gońca-Blackwella.

Ma rację. Teraz już pamiętam, która figura jest która.

– Veda ostrzegła ich, by nie opuszczali Harrow. Twierdzi, że coś im grozi. Naturalnie, nie są zachwyceni, ale uznali, że rozsądnie będzie jej posłuchać. – Humbert podchodzi do kominka i ciska liścik w płomień. Brzegi pergaminu czernieją i zwijają się. Po chwili notka staje w ogniu.

– Jak jej się udało? – dziwię się. – Wydawało mi się, że jest w stanie oglądać przyszłość tylko raz w miesiącu. Źle zapamiętałam czy co? – Szukam odpowiedzi na twarzach towarzyszy.

– I tak, i nie – odpowiada mi John. – Niekiedy po sesji jasnowidztwa zdarza się, że wieszczka doznaje pewnych dodatkowych... przeblysków. Czasami są to obrazy, kiedy indziej po prostu intensywne przecucia. Fachowa nazwa brzmi: powidoki śladowe. Należy je traktować z równą powagą jak widzenie podstawowe.

– Ale chyba nie powinniśmy się tym opóźnieniem przejmować? – zauważam. – Oni dotrą tu nieco później, ale my możemy zaczynać. – Pospiesznie wprowadzam Humberta w swój plan. Widzę, że nie jest zachwycony perspektywą wypuszczenia Fifer i Johna do miasta bez opieki, ale jasne jest również, że nie waży się mi sprzeciwić.

Piętnaście minut później wszyscy czworo jesteśmy gotowi. Mamy na sobie grube wełniane płaszcze i wysokie buty. Humbert wręcza Fifer i Johnowi broń – dwa sztylety, które wyciągnął z szafki – po czym otwiera drzwi, wpuszczając lodowaty wicher, w którym szaleńczo wirują płatki śniegu. Szczelnie otulam się płaszczem, a uzdrowiciel stawia kołnierz na sztorc. Jego płaszcz wyłożony jest ciemnoczerwoną podszewką. Szkarłatną jak krew, jak przestroga.

Wychodzimy na pusty dziedziniec. John kilka razy gwizdże i zupełnie znikąd pojawia się Horacy. Przysiada mu na ramieniu.

– Jeśli wynikną jakiegokolwiek problemy... – zaczyna Humbert.

– Tak, tak, natychmiast go odeślę. – John wskazuje ruchem głowy sokoła. – Żadnych problemów nie będzie. Poradzimy sobie.

Przechodzimy przez most i wkraczamy na wysypany żwirem podjazd, którym docieramy aż do stóp wzgórza. To z niego zeszliśmy wczorajszej nocy. Tutaj właśnie przebiega granica posiadłości Humberta.

– Teraz się rozdzielimy – decyduję. – Obejście terenu zajmie nam pewnie pół dnia.

John kiwa głową.

– Do miasta idzie się około godziny. Potem kilka kolejnych godzin potrzeba na rozejrzenie się po gospodach i zajazdach. W kilku będziemy musieli coś przekąsić, by nie wzbudzić podejrzeń. – Spogląda na Fifer. – Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Dziewczyna wzrusza ramionami i odwraca wzrok.

– Jeżeli pojawią się jakiegokolwiek problemy... – zaczynam.

– Natychmiast go odeślę. – Horacy, jakby na potwierdzenie, łopocze skrzydłami. – Żadnych problemów nie będzie – dodaje John z szerokim uśmiechem. – To co, powodzenia?

– Bądźcie ostrożni – mówię, zamiast bawić się z nim w powtarzanie.

Fifer z Johnem wspinają się na wzgórze. Ja i George odprowadzamy ich spojrzeniami. Kiedy szkarłatna plama kołnierza uzdrowiciela rozplywa się w mroku między drzewami, odwracamy się i ruszamy przez rozległą posiadłość Humberta.

Przeszukujemy lasy. Przetrzęsamy ogrody. Rozglądamy się w każdej fosie, na ścieżce, na łukowato sklepionych mostkach, za każdym drzewem i płotem, jakich pełno w parku Humberta. I nic. Nie zauważyłam niczego, co wyglądałoby znajomo czy choćby sprawiało wrażenie istotnego. Gdy zmitrężyliśmy w ten sposób większą część dnia, uznaję, że choć nadal nie wiem, co powinnam znaleźć, tutaj nie ma czego szukać.

– Nie przejmuj się – pociesza mnie George, kiedy wracamy do rezydencji. – Od początku było wiadomo, że szanse są niewielkie. W tego typu sprawach rzadko bywa aż tak łatwo.

Wzruszam ramionami. Oczywiście ma rację.

– John i Fifer na pewno już wrócili. Może oni przynieśli jakieś dobre wiadomości.

Kiedy docieramy do domu, okazuje się, że jesteśmy pierwsi. Humbert nerwowo przechadza się po bibliotece.

– Sześć godzin! Już dawno powinni tutaj być – mówi. – Do miasta nie jest szczególnie daleko, a gospód wcale nie mają tam tak wiele...

– A przyleciał może Horacy? – pytam.

Gospodarz kręci głową.

– W takim razie są cali i zdrowi – zauważa rozsądnie George. – Gdyby spotkało ich coś złego, John na pewno by go przysłał.

Przechodzimy do salonu i czekamy. Jemy. Czytamy. Gramy w szachy. To znaczy w szachy grają Humbert i George, ja się tylko przyglądam. Upływa kolejna godzina i zaczynam się zastanawiać, czy podjęłam słuszną decyzję. Może nie powinnam była wysłać ich do miasta samopas? Cały ten pomysł ze słuchaniem własnego instynktu i ufaniem własnemu rozumowi... Od początku wydawał mi się, powiedzmy, nedorzeczny. W końcu widać chyba, co udało mi się zrobić z własnym życiem? Osoby takie jak ja nie powinny decydować o innych.

Mija kolejna godzina i zaczynam wyliczać w myślach wszystko, co mogło ich spotkać. Co jeśli nakryli ich gwardziści? Jeżeli ich aresztowali? A jeśli mimo wszystko dopadł ich Caleb ze swoimi łowcami? Ta ostatnia możliwość mocno mnie niepokoi. Denerwuję się. Obiecałam Nicholasowi, że nie stanie im się żadna krzywda. A teraz – gdyby doszło do nieszczęścia – wina spadnie na mnie.

Kiedy zegar wybija dziesiątą, boję się już nie na żarty. Chociaż mam wrażenie, że jestem w tych uczuciach osamotniona. Humbert przysnął w fotelu i chrapie, aż uszy bolą. George stawia jakiegoś osobliwego pasjansa. Wyciąga z talii kolejne karty ze sprośnymi ilustracjami i zaśmiewa się nad nimi do rozpuku.

Przyglądając się temu, zaczynam zazdrościć im beztroski. Od razu widać, że nigdy wcześniej nie przyszło im czekać na kogoś przez całą noc. Nigdy nie myśleli, że „powodzenia” może się okazać ostatnim słowem, jakie przekażą bliskiej osobie. A tak właśnie pożegnałam się z drobniutką Frances Culpepper w noc przed naszym ostatnim sprawdzianem. Wtedy też czekałam na nią aż do rana. Nie wróciła.

Wreszcie napięcie staje się nieznośne. Podrywam się z miejsca i biegnę do drzwi. Otwieram je i wyskakuję na dziedziniec. Wędrujący

po niebie wąski sierp księżycy prawie nie daje światła. Przechodzę przez most na oszroniony trawnik. Słyszę, jak zmrożone źdźbła kruszą mi się pod podeszwami. Dźwięk przypomina trzask polan w ognisku.

– John? – wyszeptuję w noc. – Fifer?

Wstrzymuję oddech i czekam. Odpowiada mi jedynie cisza.

Podchodzi do mnie George. Zapina płaszcz na szyi.

– Co się stało?

Zaczynam się wspinać na wzgórze i przywołuję go gestem dłoni.

Porywisty lodowaty wichur ostro smaga mi twarz, lecz prawie go nie czuję. Skupiam się wyłącznie na ciszy. Jest aż ogłuszająca. To tego rodzaju cisza, która pozwala usłyszeć przyspieszony łomot własnego serca i szum pędzącej w żyłach krwi. Cisza, która może oznaczać jedno i tylko jedno: że wydarzy się coś złego. Wydarzy lub wydarzyło.

Spomiędzy drzew dolatuje mnie lekki szelest. Zanim mogę pomyśleć, zanim zdążam się ruszyć, skrzydła świszczą w powietrzu i Horacy spływa spod chmur. Sokół leci prosto ku mnie, z wyciągniętymi przed siebie szponami.

Przygotowuję się na atak. Na uderzenie ostrych pazurów, które rozorają mi policzki, a skórę potną na wąskie wstążki. Na cios dzioba, który przebije mi oczy. Ptak jednak po prostu ląduje mi na ramieniu. Chwyta mnie mocno, lecz nie boleśnie.

– Horacy – zachłystuję się. – Gdzie oni są? Wszystko w porządku?

W odpowiedzi sokół napina ostre szpony. Naturalnie, nie wiem, co to ma znaczyć. Zaraz potem ptak znów wzbija się w powietrze.

## ROZDZIAŁ 19



Tu jesteśmy. – W ciemności rozlega się głos Johna.

Wychodzi spomiędzy drzew. Za jego plecami pojawia się Fifer. Na ich widok nerwowe napięcie, które dręczyło mnie właściwie od rana, znika natychmiast, zastąpione falą ulgi tak intensywnej, że świat zaczyna wirować mi w oczach.

– Co wy tutaj robicie? – Uzdrowiciel podchodzi bliżej. – Długo tu stoicie? Piekielnie dziś zimno. A ty nic na sobie nie masz... – Zdejmuje płaszcz i okrywa nim moje ramiona. Materiał jest ciepły i pachnie korzennymi przyprawami. Znow kręci mi się w głowie.

– Cze... Czekałam na was – odpowiadam, dzwoniąc zębami.

– Przecież mogłaś czekać w domu – mruczy przechodząca obok Fifer.

– Spóźnialiście się – tłumaczę. – Zaczęliśmy się martwić.

– Martwić? – wtrąca zdziwiony George.

Nie zwracam na niego uwagi.

– Co was zatrzymało?

Fifer okręca się na pięcie.

– Najpierw dla kaprysu wysyłasz nas bez sensu do miasta, a potem narzekasz, że zbyt długo...?

– Fifer... – rzuca John.

– Nie! – ucina dziewczyna. – To jeden wielki absurd i dobrze o tym wiesz. Wiesz też, co powinniśmy zrobić.

– Nie, tego akurat robić nie powinniśmy – rzuca ostro uzdrowiciel.



– Tłumaczyłem ci już.  
– O co chodzi? – pytam.  
– O ciebie chodzi. I o to wszystko... – Fifer kreśli ręką szeroki łuk.  
– Kręcimy się bez celu, mimo że wiemy, dokąd powinniśmy pójść.  
Gdybyś tylko pozwoliła mi wytłumaczyć...  
– Dosyć! – rzuca John. – To nie tak. Nie myślisz racjonalnie...  
– Ja nie myślę racjonalnie?! – wrzeszczy Fifer. – To ty łazisz z głową w chmurach. Przez cały czas, odkąd...  
George podchodzi i chwyta Fifer za ramię.  
– O wszystkim opowiesz nam w domu. W ciepłe. Nikt przecież nie chce, żeby ci buźka zamarzła, co? – Sprowadza dziewczynę w dół zbocza, ignorując jej głośne protesty.  
Spoglądam na Johna.  
– O co jej poszło?  
– Ech, szkoda nawet język strzępić – zapewnia, wywracając oczyma. – Możesz mi wierzyć na słowo.  
– Co się stało? – nie poddaję się. – Naprawdę długo was nie było. Byłam przekonana, że pojмали was gwardziści.  
– Wiem. – Kiwa głową. – Uparłem się sprawdzić dokładnie i trochę się przeciągnęło. Na wszelki wypadek nie chciałem odsyłać Horacego. W każdym razie gwardzistów w miasteczku nie widzieliśmy.  
– Nie?  
– Nie. Nie widział ich też nikt, kogo pytaliśmy. Moim zdaniem, już dawno wrócili. O ile w ogóle się tam zatrzymali. – Z uśmiechem pochyła głowę na bok. – Ale dobrze, czy teraz pozwolisz zaprowadzić się do domu? Zanim zamarzniesz na śmierć?  
Potakuję skinieniem. John bierze mnie pod ramię i schodzimy po stoku. Kiedy docieramy do rezydencji Humberta, otwiera drzwi i kierujemy się od razu do salonu. Nadęta Fifer stoi przy oknie, George próbuje rozbudzić wciąż drzemiącego gospodarza.  
Uzdrowiciel sadza mnie w fotelu przed kominkiem i przynosi z parapetu ciepły pled.  
– Spacerować bez płaszcza? W taki mróz? Pewna droga do choroby. – Zarzuca mi gruby pled na ramiona.  
Bridget wchodzi z tacą. Herbata. Ustawia filiżanki na stole przed

Humbertem, który zaczyna dochodzić do siebie.

– O! Wróciliście!!! – grzmi. – Czego się dowiedzieliście?

Fifer głośnym, nadal poirytowanym głosem powtarza relację z wypadu do miasta.

– Doskonale!!! – woła Humbert. – Skoro gwardziści już nam nie wadzą, jutro będziecie mogli przystąpić do poważnych poszukiwań.

– Właśnie! Zmarnujmy jeszcze więcej czasu! – prycha Fifer. – Dlaczego nie? Przecież nie chodzi nam o to, żeby cokolwiek osiągnąć. – Mierzy Johna nieprzyjemnym spojrzeniem. – Niektórym znacznie bardziej zależy na...

– Fifer!!! – pieje Humbert. – Bądź tak dobra i przynieś mi okulary. Zostawiłem je w bibliotece, a czytanie z ruchu warg idzie mi znacznie lepiej, kiedy was widzę.

Dziewczyna ciężkim krokiem wychodzi z salonu.

– A co ty sądzisz? – zwraca się do mnie George. – Rzeczywiście zrobimy jutro powtórkę z dzisiaj? Tylko przeczeszemy większy teren?

– W razie potrzeby służę swoimi końmi – wtrąca uprzejmie Humbert.

Dziękuję mu skinieniem głowy, choć tak naprawdę myśli zajęte mam czym innym. Nie daje mi spokoju coś, co Fifer powiedziała jeszcze na wzgórzu: „Jeden wielki absurd... wiesz, co powinniśmy zrobić”.

Tymczasem ona wraca do salonu. W ręku niesie okulary Humberta.

– Proszę bardzo – rzuca słodziutko... słodziutko?... i podaje szkła gospodarzowi. – Ach, herbatka! Umieram z pragnienia!

Podchodzi do stołu. Zamiera nad tacą. Wyciąga dłoń po filiżankę, ale wcale jej nie podnosi. Cofa rękę i znów ją wyciąga. Co ona wyczynia? Zachowuje się cudacznie, nawet jak na swoje standardy. Zerkam w bok, ciekawa, czy John też to dostrzegł, ale jest zbyt zaprzątnięty zwracaniem uwagi na mnie.

Kiedy odwracam się z powrotem do Fifer, ona wycofuje się już w kierunku drzwi.

– Rozmyśliłam się. Właściwie to nawet odechciało mi się pić. – Patrzy na mnie znacząco. – Myślę, że Elizabeth też powinna się od tej herbaty trzymać z daleka. Za dużo herbaty powoduje bezsenność.

A chciałabyś przecież być jutro wypoczęta, prawda? – mówi, po czym

odwraca się i wbiega szybko po schodach. Rude włosy falują w powietrzu.

– Cóż za urocza panienska!!! – wydziera się Humbert.

Nie, wcale nie jest urocza. A ja nabieram podejrzeń. Podobne zachowanie widywałam już u dworskich służek. Najczęściej wtedy, gdy ukrywały w swoim pokoju chłopca i bały się, że ktoś go odkryje. Oczywiście w tym przypadku musi chodzić o coś innego. Obawiam się, że skoro Fifer coś knuje, problem może być poważniejszy niż pryszczaty młodzik chowający się pod łóżkiem. Postanawiam osobiście sprawdzić, co się dzieje.

Wstaję z fotela.

– Też już się położę.

– Mogę cię odprowadzić? – John podnosi się tuż po mnie.

Moje serce w jednej chwili zrywa się do lotu, ale szybko sprowadzam je na ziemię.

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiadam. – Sama trafię. Zresztą ty powinienesz jeszcze tu posiedzieć. Napij się herbaty. Bo inaczej wszystko wypije George. – Widzę, jak nalewa sobie już trzecią filiżankę i osusza ją jednym haustem. Kręcę głową. – Ciekawe, czy istnieje jakiś napój, którego nie lubi?

John uśmiecha się szeroko.

– W takim razie do zobaczenia rano.

Przed wyjściem przystaję jeszcze na moment, by powiedzieć dobranoc Humbertowi i George'owi. Gospodarz z nieco nieobecną miną macha mi dłonią. George, jak sądzę, w ogóle mnie nie słyszy. Wypił już całe jezioro herbaty, a mimo to zaczyna morzyć go sen.

Na górce kieruję się prosto do pokoju Fifer. Gdy podnoszę rękę, żeby zapukać, drzwi nagle stają otworem i dziewczyna wciąga mnie do środka.

– Nie spieszyłaś się – burczy, zamykając pokój na cztery spusty.

– Co ci jest? – pytam. – O co chodziło tam na dole?

Fifer staje przy łóżku, wyciąga z torby jakiś pergamin i wciska mi go w dłoń. Natychmiast poznaję, co to takiego. Tekst proroctwa Vedy.

– Przeczytaj drugi wers.

– „Gdy trzecia zimowa noc nastanie, zejdź pod ziemię w zieleni.

Co trzyma go w śmierci, zawiedzie cię do trzynastki”. – Oddaję jej kartkę. – I co w związku z tym?

Fifer przez dłuższą chwilę spogląda mi prosto w oczy.

– Chcę ci o czymś powiedzieć – zaczyna – ale tylko pod warunkiem, że dasz mi spokojnie dokończyć. Możesz mi to obiecać?

Coś mi podpowiada, że nie spodoba mi się to, co od niej usłyszę. Niemniej kiwam twierdząco głową.

– Zimowa noc. Wszyscy pozostali upatrują w tym datę.

A konkretnie trzeciej nocy po zimowym przesileniu. I owszem, wcale niewykluczone, że mają rację. To już za tydzień i może właśnie dlatego Veda chciała, żeby Peter i Gareth wstrzymali się z przyjazdem do nas. Moim zdaniem jednak, chodzi tu o coś zupełnie innego – na moment zawiesza głos. – Zimowa noc oznacza nie tylko datę. To również nazwa święta.

– Święta?

Fifer kiwa głową.

– To huczny festiwal, urządzany raz do roku. W różnych miejscach i o rozmaitych porach. Tegoroczne obchody odbędą się właśnie tutaj, w Stepney Green, w miejscu, do którego przysłał nas Nicholas. Widzisz te światła za oknem?

Wyglądam na zewnątrz. W oddali migoczą zielone iskierki.

– Błędne ogniki. Co w nich dziwnego?

Fifer kręci głową.

– To nie są błędne ogniki. To światełka nimf. Wypuszcza się je w powietrze przez wszystkie wieczory obchodów Zimowej Nocy. Pierwszego dnia są fioletowe, drugiego czerwone, trzeciego zielone. „Gdy trzecia zimowa noc nastanie, zejź pod ziemię w zieleni”. Łapiesz?

– No, chyba tak – mówię z wahaniem. – Tyle że Veda nie wspominała o żadnych świętach czy festiwalach.

– Od kiedy to jesteś specjalistką od interpretacji mistycznych wizji?

Ignoruję zaczepkę.

– Czyli o to posprzeczałaś się z Johnem, tak? Chciałaś go namówić, żebyśmy tam poszli, a on odmówił?

Kiwa głową.

– Dlaczego?

– To dość niebezpieczne. W każdym razie niezbyt bezpieczne.

A znasz go... Boże broń narażać cię na cokolwiek. – Robi skwaszoną minę. – Gdyby tylko wiedział...

Na tę zaczepkę również nie zwracam uwagi.

– Jak wygląda ten festiwal?

Fifer wzrusza ramionami.

– Niewielkie spotkanie towarzyskie. No, może odrobinę większe niż niewielkie. Trochę jedzenia, co nieco do picia, mnóstwo chaosu. Właściwie dość zabawne. Wszyscy tam bywają.

– Wszyscy? – To słowo stanowczo mi się nie podoba. – Kogo masz na myśli?

– Pomyślmy... Oczywiście czarownicy i wiedźmy. Zjawy, demony... Najczęściej te niegroźne, choć w ich przypadku trudno o pewność. Ach, bywają też duchy. Co prawda, próbujemy je powstrzymać, ale to niełatwa sztuka, rozumiesz. Czasami o ich obecności dowiadujemy się, kiedy już jest za późno. Kto jeszcze? A, tak. W zeszłym roku pojawiły się też nimfy i była z tym kupa śmiechu, bo John...

Fifer opowiada, ale ja przestaję jej słuchać. Festiwal czarnoksiężników, czarownic i magii. A ja przecież szukam nici, która mogłaby mnie doprowadzić do zaklętej tablicy. Do Trzynastej Tablicy. Przedmiotu, który mógł stworzyć jedynie bardzo potężny mag. Nagle wszystkie elementy układanki wskakują na właściwe miejsca.

– Idziemy! – rzucam.

– ...obie chciały się z nim całować, a on... Zaraz, co? Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że idziemy. Jeśli nie pomoże, na pewno nie zaszkodzi. Poza tym twój pomysł wydaje mi się naprawdę rozsądny. Nie gorszy od innych.

Fifer przez moment stoi jak osłupiała. Wreszcie kiwa głową.

– Tak, to było dobre – ocenia. – Coraz więcej w tobie zdecydowania. Widać, że to poczułaś. O tutaj!!! – grzmi i uderza się w pierś, naśladując Humberta.

– Żadnego chyba i może!!! – wołam równie głośno i na wargach

Fifer pojawia się coś bliskiego uśmiechu.

– Będziemy musiały wyjść ukradkiem – zauważam. – Najlepiej wymknijmy się przez okno. Trzeba też wymyślić, co powiedzieć pozostałym. Skoro John nie chciał, żebyś się tam wybierała, to jeśli teraz się dowie... No co? – zauważam, że Fifer spuszcza oczy, jakby coś zmalowała. – Coś ty zrobiła?

Chwila ciszy.

– Nic. Uśpiłam ich.

– Co?!

– Zwędziłam z torby Johna pewien specyfik i dodałam im do herbaty. Właśnie dlatego nie chciałam, żebyś ją piła.

– Podawałaś im narkotyk? – Kręcę głową. – Przecież to niebezpieczne! Nie wolno podawać nieświadomym ludziom dziwacznych ziół. Nie w ten sposób! Dawki trzeba odmierzać z wielką precyzją! Przecież ilość narkotyku potrzebna do uśpienia mężczyzny ważącego tyle co Humbert, tych biedaków George'a i Johna może wpędzić do grobu... No, co znowu?

– Na zielarstwie też się znasz? – pyta Fifer. – Wydawało mi się, że mówiłaś, iż nigdy nie miałaś z tym do czynienia.

Czuję palący żar policzków.

– Bo nie miałam. Naprawdę. To znaczy... Pracy z ziołami uczono nas w trakcie szkolenia. Nic więcej.

Fifer patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Nic im nie będzie. Co najwyżej wstaną z lekkim bólem głowy. Wiem, co robię.

– Na pewno?

– Na pewno – rzuca ostro. – A w ogóle, dlaczego tak bardzo się nimi przejmujesz? Może zależy ci na kimś konkretnym, co?

Twarz pali mnie coraz bardziej.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Jasne, jasne. – Fifer rzuca mi kpiący uśmieszek.

Odwracam się do niej plecami.

– Powinnyśmy ruszać. Nie możemy przegadać całej nocy. – Podchodzę do okna i otwieram je na oścież. – Spójrz, tu jest taka kratka na pnącza. Możemy po niej zejść i...

– Chwileczkę – powstrzymuje mnie Fifer. – Nie możemy tam pójść w takich strojach.

Spoglądam po sobie. Spodnie i bluza.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że mamy wziąć udział w obchodach poważnego święta, a nie w chłopskiej rewolcie – odpowiada. – Tak ubrana zwrócisz na siebie uwagę. I wierz mi, nie taką, jakiej mogłabyś sobie życzyć.

– Rozumiem – ustępuję. – Tylko co ja mam na siebie włożyć?

Fifer podchodzi do łóżka i zaczyna przeglądać ułożone na nim ubrania.

– Na ten pomysł wpadłam jeszcze u Nicholasa, więc zabrałam kilka stosownych ciuchów. Trochę za dużo, bo nie mogłam się zdecydować. Masz. – Podaje mi sukienkę uszytą z białego jedwabiu i pokrytą deseniem czarnych, niebieskich i pomarańczowych kwiatków. – Włóż ją.

Zaczynam się rozbierać, zsuwam grubą halkę i zostaję w gorsecie i cienkiej lnianej bieliźnie. Wyciągam rękę po kieckę.

Fifer kręci głową.

– Gorset też zdejmij. Ta sukienka ma własny. Bieliznę możesz zostawić.

Waham się przez moment, po czym rozpinam haftki. Po chwili jestem już naga do pasa. W obecności Fifer czuję się mocno niezręcznie.

– Byłam przekonana, że jesteś naznaczona – przyznaje. – Wiesz, mam na myśli znamię. Nie zrobili ci?

Pokazuję jej miejsce tuż nad swoim pępkiem.

– Tutaj jest.

– Niczego nie widzę. – Zdziwiona Fifer przygląda się dokładniej.

– Znamię ukazuje się tylko wtedy, kiedy jestem ranna. Pozostaje widoczne, dopóki nie zagoją się obrażenia, a te zwykle goją się błyskawicznie. Sama widziałam je tylko parę razy. Wiesz, z kolegami kaleczyliśmy się wzajemnie nożami jedynie po to, żeby obejrzeć znamiona.

– Przeurocza zabawa.

Wkładam sukienkę. Jest długa i mocno przylega do ciała, krótsza z przodu, dłuższa z tyłu. Szerokie rękawy i kołnierzyk obszyto czarnym

futerkiem. Nigdy jeszcze takiej nie widziałam.

– Śliczna jest – chwalę.

– Dla ciebie nawet zbyt śliczna. – Fifer marszczy nos. – No dobrze. Pomyślmy o biżuterii. Gdzie te błyskotki, które miałaś na sobie wczoraj przy kolacji?

– U mnie w pokoju.

Fifer wypada na korytarz i po chwili wraca z szafirowymi kolczykami i pierścionkiem.

– Założ. – Cofa się o krok i obrzuca mnie oceniającym spojrzeniem. – Uwielbiam tę sukienkę. – Wzdycha z rozmarzoną miną. Zaraz potem jednak znów się krzywi. – Jeżeli ją czymś zapaskudzisz, uduszę cię gołymi rękoma i żadne znamię mnie nie powstrzyma.

Rozumiemy się?

– Nie ubrudzę.

Fifer kiwa głową i sama zaczyna się szykować. Naciąga na siebie bluzeczkę – obcisłą, czarną, bez ramiączek. Właściwie to raczej gorset, nie bluzka. Do kompletu dodaje długą czarną spódnicę i parę wysokich czarnych butów.

– No i jak? – Wiruje w miejscu z rozpostartymi ramionami.

Korci mnie, żeby jej dopiec. Jednak odpowiadam zgodnie z prawdą:

– Bardzo ci ładnie.

– Też tak myślę.

Nagle podchodzi do otwartego okna i wychyla się. Patrzy w dół.

– Dlaczego, do diaska, to tak długo trwało?

– Co znowu? – rzucam z niepokojem. – Co trwało za długo?

– Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana! – dolatuje mnie z zewnątrz czyjś głos. Chłopięcy. Co się dzieje? Słyszę szelest liści i za drugim razem głos rozlega się już bardziej wyraźnie. – Myślisz, że za każdym razem, kiedy przyjdzie ci do głowy mnie przyzwać, od razu rzucę wszystko w diabły i przybiegnę?

– Właśnie tak – odpowiada Fifer i odsuwa się od okna.

Nieznajomy zwinnym ruchem błyskawicznie przeskakuje parapet i z wdziękiem ląduje na podłodze.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. – Z zawadiackim uśmieszkiem



całuje ją w policzek.

No tak, Fifer rzeczywiście nie ukrywała żadnego chłopaka pod łóżkiem. Schowała go za to na dworze, w krzakach. W sumie żadna różnica. I nagle, sama nie rozumiem dlaczego, ogarnia mnie silny lęk.

– Schuyler, pozwól, że ci kogoś przedstawię. – Fifer bierze gościa za ramię i odwraca go przodem do mnie.

Wciągam głęboko powietrze. Powinnam się była domyślić, widząc, jaki jest sprawny, jak wskoczył przez okno na pierwszym piętrze. Na widok jego oczu nabieram niezbitą pewności. Ledwie nasze spojrzenia się spotykają, zauważam jego wzrok: dziki, hardy i mądry, nadmiernie mądry. Już wiem, kim jest ten chłopak. Czy raczej czym...

To zjawia.

A ja wpadłam właśnie w nieliczne tarapaty.

## ROZDZIAŁ 20



Przyglądam się mu, próbując się domyślić, jakiego rodzaju jest zjawą. Może względnie nieszkodliwym siódmym synem siódmego syna? A może zza grobu sprowadziła go magia i jest niebezpieczny tylko dla tych, których wskaże mu nekromanta? Niewykluczone również, że to potępiona dusza, nieumarły, człowiek pochowany w niepoświęconej ziemi, groźny dla wszystkich dokoła. Nie wiem, samo spojrzenie mi nie wystarczy.

Na oko mogę ocenić jedynie, że to prawdopodobnie najbardziej przystojny chłopak – i mam tu na myśli żywych i nieżyjących – jakiego w życiu widziałam. Błękitne oczy, szelmowski uśmiech, burza sięgających podbródka jasnych włosów. Wygląda na jakieś osiemnaście lat, lecz w tych sprawach pozory również bywają zwodnicze. Zjawy najczęściej wybierają stroje, które nosiły za życia, lecz jego ubranie jest zbyt przeciętne, bym mogła cokolwiek wywnioskować: czarne spodnie, czarna koszula, długi czarny płaszcz i mocno sfatygowane czarne buty.

– Poznajcie się, to jest Elizabeth – prezentuje mnie Fifer.

– Witaj, skarbenku. – Schuyler podaje mi rękę.

Nie przyjmuję jej. Zjawy są w stanie bardzo wiele wyczytać przez dotyk. Prawie jak jasnowidze. A ja dokładnie wiem, jaką tajemnicę pozna, gdy tylko zetkną się nasze palce. Fifer również musi zdawać sobie z tego sprawę.

– No dalej, Elizabeth. Przywitaj się. – Oczy błyszczą jej z wyczekiwania.

Przeklęta dziewczucha.

Podaję mu dłoń.

– Bardzo mi miło – mówi Schuyler i kiedy leciutko mnie ściska, wyczuwam w nim olbrzymią siłę. – Wszyscy przyjaciele Fifer są... – Urywa i mruży oczy. Jego spojrzenie wędruje niżej, prosto na mój brzuch.

Już wie.

Odruchowo cofam się o krok. Co teraz zrobi? Zaatakuje? Nie mam czym się obronić. Nie mam noża, miecza, nawet soli, chociaż żadną z tych broni i tak nie wyrzuciłabym mu najmniejszej krzywdy. Solą można zabić tylko nieumarłych sprowadzonych stosunkowo niedawno. Im dłużej pozostają wśród żywych, tym bardziej potężni się stają. A sądząc po bijącej od Schuylera mocy, ta zjawa kręci się już po świecie od dawna. Zanim zdążyłabym krzyknąć, rozpruły mi gardło lub rozszarpał całą na strzępy.

Zamiast jednak wyrywać mi ramię ze stawu, Schuyler pochyla się ku mnie i zagląda mi głęboko w oczy. Przez jego twarz przemyka cała paleta min. Marszczy czoło, unosi brwi, ściąga usta, kręci głową. Czasami wyglądają tak ludzie czytający książki. Tuż przedtem, zanim podrą ją na kawałki.

Wreszcie uwalnia moją dłoń i patrzy na Fifer.

– Chcesz, żebym ją zabił?

– Niestety, nie. Jest mi potrzebna.

– Doprawdy? – Wpatruje się w nią z zachwytem. – Mów!

Fifer opowiada o wszystkim: o ciąży na Nicholasie kłątwie, prorocztwie, o tablicy. O Calebie ścigającym nas u Vedy, gwardzistach, którzy szukali nas w okolicy. O tym, co mamy nadzieję znaleźć na festiwalu.

Kiedy kończy, Schuyler jeszcze przez chwilę milczy.

– Skoro nie chcesz jej śmierci, dlaczego właściwie mnie przyzywałaś? – pyta wreszcie.

Fifer robi urażoną minę.

– Jak to? Przecież na ten festiwal zawsze chodzimy razem.

– O ile mnie pamięć nie zwodzi, w zeszłym roku oświadczyłaś, że prędzej zlizesz truciznę z wychodka, niż znowu pokażesz się ze mną

publicznie.

– O ile mnie pamięć nie myli, twierdziłeś potem, że już się zmieniłeś – odpira Fifer. – Czy może i to było kłamstwem?

Schuyler wzrusza ramionami.

– Już ci mówiłem. Tamto już ostatecznie skończone.

Fifer marszczy nos.

– Świetnie. W takim razie pomożesz nam w poszukiwaniach.

W końcu w znajdowaniu różnych rzeczy jesteś naprawdę dobry, prawda?

– Słowo „znajdowanie” powiedziała z wyraźnym naciskiem.

– Nie ma co się wkurzać – mamrocze Schuyler. – Naprawdę wystarczy poprosić.

Fifer kiwa z zadowoleniem głową.

– Jeszcze tylko jedno. John nie chciał, żebyśmy tam szły, więc musimy wrócić przed świtem. I to sporo przed....

– W takim razie trzeba się pospieszyć – zauważa Schuyler. – Czeka nas dość długi spacer. To co? Widzimy się na dole?

Fifer potakuje i Schuyler wskakuje na parapet. Porusza się lekko i szybko, niczym nietoperz. Mgnienie później rozplywa się w mroku.

Gwałtownie odwracam się do Fifer.

– Zjawa? – syczę. – Po co wezwałaś tu zjawę?

– Dla ochrony przed tobą, naturalnie.

– Poprosiłaś zjawę, by cię chroniła?

Uśmiecha się szelmowsko.

– Uznałam, że trochę emocji nikomu nie zaszkodzi.

– Trochę emocji! – parskam ze złością. – To jakby prosić wilka o ochronę przed myszką!

– Czy ty właśnie porównałaś się do myszy?

– Nieważne! Rzecz w tym, że on jest niebezpieczny. Przecież może mi urwać rękę choćby za to, że włożę ją do kieszeni.

– W takim razie trzymaj rączki na widoku.

Wzdycham z frustracji.

– Nie zostanę tu na zawsze! – woła z dołu Schuyler.

W jego tonie słyhać wesołość. Prawdopodobnie usłyszał całą naszą rozmowę. Przekłęte zjawy. I przekłeta Fifer. Po co go przyzwała?

Tymczasem ona podnosi z podłogi torbę i zarzuca ją sobie na

ramię.

– Opowiem ci teraz, jak będzie na miejscu. Trzymaj się blisko mnie. Traktuj wszystkich uprzejmie, ale zbyt często się nie odzywaj. Nie rozmawiaj o magii, klątwach ani łowcach czarownic. Nie wspominaj o Nicholasie, a zwłaszcza o jego chorobie. Nie wygadaj, gdzie się zatrzymałyśmy, i nawet nie waż się wymienić nazwiska Humberta. Ani Johna, ani George’a... ani...

– Może po prostu w ogóle nie będę się odzywać? – mruczę.

– Właśnie, może się po prostu nie odzywaj – zgadza się ochoczo Fifer. – I pod żadnym pozorem nie zbliżaj się do innych zjaw. Przed Schuylerem ochronię cię ja, ale sama widziałas, jak błyskawicznie zdołał cię rozgryźć. Gdyby twoją tożsamość odkrył inny nieumarły... Cóż, nie wiem, czym mogłoby się to skończyć.

Ale ja wiem. Kiedyś dokładnie to przytrafiło się jednemu z królewskich łowców czarownic. W pojedynkę stanął do walki przeciwko trzem zjawom jednocześnie i znaleziono go wypatroszonego jak śledzia, rozszarpanego na drobne kawałki. Nie było nawet czego włożyć do trumny.

– Co? Strach cię obleciał? – pyta z kąśliwie Fifer.

– Chciałabyś! – rzucam, patrząc jej prosto w oczy. – A teraz z drogi! – dodaję i przeciskam się obok niej do okna. Wdrapuję się na parapet, co w tej sukience stanowi niemały wyczyn. Spoglądam w dół. Schuyler stoi z zadartą głową i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Odwagi, mała myszko. Wilk ci krzywdy nie zrobi.

Piorunuję go wzrokiem, na co reaguje wybuchem śmiechu. Skaczę.

Ląduję bezpiecznie w ramionach Schuylera. Słyszę tylko stłumiony szelest. Zjawy wpatruje się w mnie przez chwilę, po czym odstawia na zmarznięty trawnik.

– A wydawałaś się lżejsza – zauważa.

Nie do końca rozumiem, co chciał przez to powiedzieć, ale nie mam czasu na zgadywanki. Zaraz potem Schuyler chwyta Fifer, która wyskoczyła z okna bez wahania. Po chwili zmierzamy już przez rozległą posiadłość Humberta w kierunku nimfowych lampionów.

Idziemy dobrych kilka kilometrów, Fifer mam po jednej stronie, Schuylera po drugiej. Czuję się zupełnie jak więzień pod eskortą.

W dodatku więzień poddany torturom, ponieważ muszę wysłuchiwać ich nedorzecznego flirtu. Po chłopaku o sporym doświadczeniu, a Schuyler na takiego właśnie wygląda, spodziewałam się ciekawszych metod zaczepienia dziewczyny.

- Gdzie się ukrywałaś, kochana?
- Wcale się nie ukrywałam.
- To dlaczego cię nie widywałem?
- Ty już dobrze wiesz dlaczego.
- Nie, nie wiem.
- Owszem, wiesz.
- Nie, nie wiem.

I tak dalej i dalej. W pewnej chwili pogrążam się w marzeniach i zaczynam rozważać wszelkie sposoby, których mogłabym użyć, aby go zgładzić. Kiedy jestem na etapie planowania egzekucji przy użyciu grubej gałęzi, noża, kawałka sznura i wypełnionej żwirem skarpety, słowa zjawy wyrrywają mnie z zadumy:

– Elizabeth – w jego ustach moje imię brzmi jak „Elizabef” – jak na łowczynię czarownic straszna z ciebie strojnisia, co?

Znów nie wiem, o co mu chodzi, ale Fifer wyciąga za moimi plecami rękę i karcąco klepie go w ramię.

– Czy ja dobrze słyszałam? Powiedziałeś jej właśnie, że jest ładna?  
– No wiesz, może trochę zbyt słodziutka. – Schuyler wzrusza ramionami. – Nie wygląda na osobę zdolną komukolwiek zrobić coś złego.

- To brutalna, niepoczytalna i szalona morderczyni!  
Zjawa parska śmiechem.
- Zupełnie jak ja. A przecież nadal ci się podobam.
- Nie, ani trochę.
- Ależ tak. Podobam ci się.
- Wcale nie!

Wracam do knucia spisków przeciwko życiu Schuylera.

Po jakimś czasie nimfowe lampiony mającą już bliżej i świecą znacznie jaśniej. Kiedy cały ich rój rozjaśnia niebo tuż nad naszymi głowami, Schuyler wydaje z siebie radosny okrzyk i puszcza się biegiem.

– Dalej! – woła Fifer i pociąga mnie za sobą.

Doganiamy go, kiedy stanął i oparł się wygodnie o pień drzewa. Na jego ustach maluje się promienny uśmiech.

– Elizabeth, mam nadzieję, że jesteś gotowa. Bo zaraz przeżyjesz coś naprawdę niesamowitego.

Kładzie mi dłonie na ramionach i popycha lekko naprzód. Aż się zachłysnęłam. Mimowolnie. W życiu widziałam już niejedno, lecz z pewnością nic podobnego.

Pomiędzy drzewami rozłożyła się okrągła dolinka, wygląda trochę jak odcisnięta w środku lasu misa. Jest wypełniona oszałamiającą różnorodnością ludzi, magicznych istot i rozmaitych czarów. Jakimś cudem noc nie ma tutaj wstępu, w niecce jest jasno jak w letni dzień. Po błękitnym niebie suną puchate białe obłoki. Wokół fruwią jaskrawo upierzone ptaki.

Nie wiem, na co patrzeć. Może na relaksującą się w jeziorze piękną nagą kobietę? Czy raczej powinnam się zachwycić bujną zieloną trawą, usianą plamkami przepysznie kolorowych kwiatów, które – jestem tego pewna – zakwitają jedynie wiosną? Albo jednak skupić się na zupełnie obcych w naszym kraju egzotycznych drzewach, uginających się pod ciężarem cytryn, limonek i fig?

W powietrzu snują się dźwięki muzyki. Najpiękniejsze melodie, jakie kiedykolwiek słyszałam. A tam, czy to naprawdę motyle? Przyglądam się jednemu z nich. Ma nienaturalnie intensywnie niebieskie skrzydełka, widać to nawet na tle równie nienaturalnie niebieskiego nieba. Fifer wieździe dokoła spojrzeniem i z aprobatą kiwa głową.

– Jak to wszystko możliwe? – pytam.

– Nimfy. – Uśmiech Schuylera nie gaśnie ani na moment. – Uwielbiam, kiedy odpowiadają za dekoracje.

Schodzimy we troje po zboczu. W dolinie poniżej roi się naprawdę gęsty tłum. Wszędzie widzę magów i czarownice. Skąd oni się tu wzięli? Przecież chyba powinni siedzieć w ukryciu? Dlaczego się nie boją? A ponad wszystko, skoro w jednym miejscu skupia się tyle magicznej mocy, dlaczego nigdy o tym festiwalu nie słyszałam?

– Dlaczego nikt tu się niczego nie boi? Mogą ich złapać, prawda? – zastanawiam się na głos.

Schuyler wzrusza ramionami.

– Myślisz, że ktokolwiek przy zdrowych zmysłach odważyłby się zaatakować tak wesołą gromadkę?

Przyznaję mu rację. Mam przed oczyma istoty, których nie potrafiłabym nawet nazwać, a co dopiero pokonać w walce.

Fifer sprawia wrażenie odprężonej. Rozgląda się, co chwila stając na palcach. W pewnym momencie dostrzega grupkę znajomych i wesoło macha do nich ręką. Uśmiechają się i odpowiadają tym samym.

– Chodź! – Pociąga mnie lekko w ich stronę.

Gdy podchodzimy bliżej jakiś chłopak rzuca:

– Fifer, gdzieś się chowała? – Ma ciemne włosy i nos, który sprawia wrażenie złamanego co najmniej kilka razy. – Zaczynaliśmy się o ciebie martwić.

– Wszystko w porządku, naprawdę – odpowiada ze śmiechem Fifer. – Po prostu staram się nie wychylać.

– Domyślam się, że pochłaniają cię studia – podejmuje stojąca obok niska blondynka. – Wciąż nie wierzę, że udało ci się wstąpić do terminu u samego Nicholasa Perevila. Szczęściara z ciebie.

– Właśnie, jak ci idzie? Jest tak ciężko, jak się domyślam? – dopytuje pulchna dziewczyna o kasztanowych lokach. Wpatruje się w Fifer z niekłamany podziwem.

– I jak się miewa Nicholas? – wtrąca jeszcze inny chłopak. – Krążą słuchy, że podobno niedomaga...

Fifer chwytą mnie za rękę i przyciąga bliżej siebie.

– Nie przedstawiłam wam swojej... przyjaciółki. – Ostatnie słowo z trudem przechodzi jej przez usta. – Poznajcie Elizabeth – mówi.

Następnie opowiada im zmyśloną historyjkę, z której wynika, że jestem przygłupem, dziewczyną durną na tyle, że dopiero niedawno zorientowałam się, iż jestem czarownicą; zidiociałą do tego stopnia, że nawet swoich mocy nie ukrywałam. Jedynym ziarnem prawdy w całym tym bajdurzeniu jest fakt, że pochodzę z Upminster, gdzie wedle Fifer włóczyłam się po ulicach niczym magiczna bezdomna, dopóki nie uratował mnie przypadkiem napotkany Nicholas.

Wszyscy patrzą na mnie ze współczuciem.

– Bardzo dobrze, że cię znalazł – odzywa się blondynka. Na imię



ma Lark. – Wolę nawet nie wyobrażać sobie, co by się stało, gdyby cię złapali gwardziści. Podobno stopy płoną coraz częściej...

– A te wszystkie rebelie i protesty – dodaje Bram, chłopak o krzywym nosie. – Tylko dolewają oliwy do ognia... by tak rzec.

Pulchna Reverie ujmuje mnie za rękę.

– To naprawdę okropne – mówi. – Nie do wiary, że na własne oczy widziałas palonych ludzi. Nie mam pojęcia, jakie to musi być uczucie. – Lekko ściska moje palce.

Niezręcznie przestępuję z nogi na nogę. Traktują mnie tak ciepło i uprzejmie. A ja nie radzę sobie w kontaktach z osobami, które są dla mnie dobre. Na szczęście nie muszę tego znosić zbyt długo.

– Gdzie jest John? – pyta ostro jakaś dziewczyna, która przez całą rozmowę wpatrywała się w Fifer ze złośliwymi iskierkami w oczach.

– Ciebie też miło widzieć, Chime – odpowiada spokojnie Fifer. – W tym roku nie dał rady. Ma mnóstwo pracy przy pacjentach.

Przez twarz nieznanym przemyka cień, lecz już po chwili się uśmiecha.

– Cały John, prawda? Odpowiedzialność ponad wszystko! Szkoda, chętnie bym się z nim spotkała. Rok temu tak świetnie się bawiliśmy – dodaje z fałszywą skromnością.

Przyglądam się jej. Ma wielkie ciemne oczy i długie czarne włosy. Jest ładna i wysoka. Na tyle, że gdyby chciała go pocałować, nie musiałaby stawać na palcach. Czym prędzej odsuwam ten obraz od siebie.

– Napisałam do niego list – dodaje Chime. – Chciałam go wręczyć osobiście, ale może ty zechcesz mu przekazać? – Wyciąga z kieszeni idealnie złożoną kartkę papieru, zamkniętą pieczęcią z czerwonego wosku. Pieczęcią w kształcie serca. Faj!

– List? – Fifer bierze pergamin delikatnie, w dwa palce. Zapewne tak samo trzymałaby zdechłego szczura.

– Owszem. Pisujemy do siebie już cały rok! Nie wspominał ci? Fifer unosi brew.

– Nie? No tak, John nigdy nie rozpowiada o takich sprawach. To naprawdę bardzo porządny chłopak! – Chime chichoce. – Ale tak, przekaż mu, proszę, ten liścik. Tylko proszę, pod żadnym pozorem go

nie czytaj. To bardzo osobista korespondencja.

Mam szczerą ochotę złapać ją za czarne kudły, zaciągnąć gdzieś do lasu i wcisnąć jej ten liścik do gardła.

– Hm, Chime – odzywa się Fifer – nie wiem, jak to powiedzieć, ale... Och, to takie krępujące. – Zerka na mnie ze szczerym rozgoryczeniem.

– Co się stało? – pyta Chime swoim wysokim, dźwięcznym głosem.

– Aż nie do wiary, że John ci jeszcze nie powiedział. Ale rozumiem, tyle się ostatnio dzieje. Wpadliśmy w prawdziwy wir poszukiwań... Chociaż między innymi właśnie dlatego ta historia jest tak romantyczna!

– O czym ty mówisz? – Oczy Chime zmieniają się w czarne szparki.

– Dalej, Elizabeth, powiedz jej!

Tłumię w sobie zniecierpliwione westchnienie. Przecież nie mamy czasu na pogaduszki. Powinnyśmy zacząć czegoś szukać, zamiast prowadzić niemądre konwersacje z równie niemądrymi panienkami.

– Oj, Elizabeth – dodaje Fifer. – Wiesz przecież, że mówię o waszych zaręczynach!

Otwieram szeroko usta. Dosłownie. Mam wrażenie, że tysiąc fruujących dokoła motylek wleciało mi przez buzię do brzucha i rozpaczliwie trzepocą tam skrzydełkami. Lark i Reverie wydają z siebie radosne piski i rzucają mi się na szyję.

Chime wbija we mnie ociekające nieskrywaną nienawiścią zimne spojrzenie.

– Nie wierzę!

– Nie? Elizabeth, pokaż jej pierścionek! – Fifer łapie mnie za rękę i podsuwa dziewczynie pod nos.

Chime zerka na obłądny, pożyczony od Humberta pierścionek z szafirem i spuszcza nos na kwintę. Lark i Reverie ponownie popiskują, chwytają moją dłoń i oglądają kamień pod wszelkimi możliwymi kątami. Ciemnoniebieski klejnocik mieni się w słońcu iskierkami.

– Musicie jej wybaczyć. Elizabeth jest bardzo nieśmiała i wiele przeszła. Nicholas znalazł ją, kiedy została pobita przez bandę

Prześladowców. Porzucili ją na ulicy na pewną śmierć!

Bram, Lark i Reverie zachłystują się z przestraczem. Nachmurzona Chime spleta ręce na piersi.

– John pomógł jej dojść do zdrowia, a reszta, jak to mówią, jest już historią. Zadurzył się od pierwszego wejrzenia. – Fifer obrzuca mnie sympatycznym spojrzeniem. – Muszę przyznać, że niezwykle się ich szczęściem cieszę.

Chime wyciąga rękę, wyrywa liścik z dłoni Fifer i odchodzi wyraźnie wzburzona. Lark i Reverie zasypują nas gradem pytań.

– Kiedy ślub?

– Chyba nas zaprosicie, prawda?

– Gdzie planujecie wesele?

– Aż tylu tajemnic naraz wyjawić nie mogę! – tłumaczy Fifer ze śmiechem. – Ale obiecuję wam, że już niebawem wszystkiego się dowiecie. A teraz, dziewczęta, musimy was przeprosić. Chciałam przedstawić Elizabeth jeszcze kilku osobom.

Oplata mnie ramieniem i odprowadza.

– Przepraszam – rzuca, gdy oddaliśmy się na bezpieczną odległość. – Ja po prostu... Normalnie tej panny nie trawię! Widziałam, że w zeszłym roku bawiła się z Johnem, ale nie miałam pojęcia, że do siebie pisują... W dodatku od dwunastu miesięcy! – Wzdryga się i wybucha śmiechem. – Widziałaś jej minę? Nie wierzę, że jej wmówiłam, iż się pobieracie. Ten pierścionek podsunął mi pomysł. John mnie zabije, kiedy się dowie. Ale dobrze mu tak. Mógł mi o niej opowiedzieć.

– Tylko co im powiesz, kiedy się zorientują, że ślubu nie będzie?

Śmiech Fifer nagle się urywa.

– Według mnie, jeżeli nie znajdziemy tej tablicy, będziemy mieć znacznie poważniejsze problemy niż fikcyjne zaręczyny. – Kręci głową.

– Gdzie się podział Schuyler?

Znajdujemy go nad jeziorkiem w towarzystwie stadka nimf ubranych jedynie w strategicznie zaplecione na biodrach szarfy. Chichoczą, trzepoczą rzęsami i kusząco zarzucają włosami.

– Na minutę nie można go spuścić z oka! – Fifer żwawo podchodzi do Schuylera. W porę ją dostrzega i zostawia nimfy same.

– A, tu jesteś! – Uśmiecha się. – Uznałem, że pozwolę ci nacieszyć się adoratorami.

– Po co z nimi rozmawiasz? – cedzi Fifer.

– A nie wolno?

– Dlaczego tak się składa, że jeśli z kimś już rozmawiasz, są to zwykle półnagie dziewczyny?

– Na pewno nie zawsze. Ty, na przykład, jesteś w pełni ubrana.

– Akurat dzisiaj!

– Fifer, ja po prostu podziwiałem te ich...

– Nie, nie chcę o tym słuchać!

– Dekoracje... Miałem na myśli dekoracje.

Sprzeczka rozwija się w najlepsze. Stoję, wiercę się i czekam, aż ucichną. W pewnej chwili podchodzą do mnie Bram z jakimś innym chłopakiem. Trzymają w dłoniach filiżanki, nad którymi unoszą się kłęby fioletowej pary.

– Znowu zaczęli, tak? – zauważa ze śmiechem Bram. – Wygląda na to, że musisz się uzbroić w cierpliwość. Pomyślałem, że przyda ci się coś do picia. – Podaje mi filiżankę.

– Dziękuję. – Ostrożnie upijam skromy łyk.

– I czym smakuje? – pyta zaciekawiony kolega Brama.

Natychmiast odsuwam filiżankę od warg.

– Jak to? A co to właściwie jest?

Chłopak parska śmiechem.

– Spokojnie. Chodzi o to, że każdy czuje inny smak. Podobno te smaki symbolizują osoby lub rzeczy, których pragnie się najbardziej. Ja, na przykład, wyraźnie wyczuwam lawendę.

Zauważam, że wypowiadając ostatnie zdanie, zerknął ukradkiem na Fifer.

– Czyli co? To jakiś eliksir miłosny? – Zaglądam do naczynka.

– Raczej serum prawdy. Cała zabawa polega na tym, że trzeba się domyślić, jakiej prawdy. – Obaj piją głębokimi haustami. – Warto jednak uważać. To mocny napój i wcale nie trzeba go wiele.

Wzruszam ramionami. Wiem co nieco o wysokowych trunkach. Warzone przez Joego piwa pijam od jedenastego roku życia. Ale serum prawdy? Równie dobrze mogłabym sączyć truciznę. Mimo wszystko

wypijam jeszcze jeden łyk, z wrodzonej uprzejmości.

– Gratuluję zaręczyn – dodaje Bram i obaj z kolegą odchodzą.

– Dziękuję – odpowiadam i pociągam z filiżanki. Gdy tylko znikają mi z oczu, resztę napoju wylewam na ziemię. Muszę przyznać, że był smaczny. Cytrynowy. Co takiego, na czym mi zależy, mogłoby smakować cytryną? Jakaś... kuchenna ta cała magia. Na szczęście chyba nieszkodliwa.

Rozsiadam się na miękkiej trawie i czekam. Oglądam pierścionek. Kiedy unoszę go do światła, słońce wnika głęboko w niebieski klejnot. Zsuwam błyskotkę z palca i zaglądam pod spód. Na odwrocie zauważam jakiś znak. Maciupkie serce. Uśmiecham się i wsuwam go na powrót na palec. Szkoda, że Fifer nie wiedziała o tym serduszku. Chime dostałaby szału.

Kiedy ponownie zagłębiam się w rozważaniach dotyczących dyskretnego powabu cytryn, podchodzi do mnie nadąsana Fifer.

– Co się stało? – Wstaję i otrzepuję sukienkę.

– Niemożliwy jest! – fuka. – Naprawdę niemożliwy. Bez przerwy powtarza, że się zmieni, i nigdy tego nie robi. – Zauważa moją filiżankę – Co pijesz?

– Napój od Brama. Podobno to jakieś serum prawdy.

– Ach. I jak smakuje?

– Cytrynowo.

Fifer obrzuca mnie wnikliwym spojrzeniem.

– O co chodzi? – pytam. – Próbowałaś już kiedyś?

– Tak. – Krzywi się.

– I?

– I nic. Za każdym razem czuję tylko jakieś paskudztwo.

– Skoro mowa o paskudztwach – unoszę brew – gdzie zgubiłaś Schuylera? Byłam przekonana, że pomoże nam w poszukiwaniach.

– Kto go tam wie! – prychna poirytowana Fifer. – Nigdy nie wiem, gdzie jest i co robi. Powiedział mi, że zachowuję się nierozsądnie.

– Ty? Nierozsądnie? – Walczę z cisnącym mi się na usta uśmiechkiem. – Skąd mu to przyszło do głowy?

– To samo mu powiedziałam! – rzuca Fifer. – I dodałam, że jeśli uważa, iż zabieranie dziewczyny na imprezę tylko po to, by zadawać się

z innymi, jest rozsądne, to jeszcze popamięta. On mi na to, że przecież w zeszłym roku wróciłam do domu z innym chłopakiem. Więc tłumaczę mu, że John nie jest żadnym innym chłopakiem. Od zawsze traktuję go jak brata, o czym Schuyler doskonale wie. Wtedy on...

Przestaję jej słuchać i rozglądam się w tłumie w poszukiwaniu zjawy. Większość chłopców ma na sobie normalne stroje. Tylko on wygląda, jakby się urwał z własnego pogrzebu. Znalezienie go nie powinno stanowić problemu.

Faktycznie, dość szybko wyławiam pomiędzy gośćmi kilku ubranych na czarno młodzików, ale kiedy przyglądam się im dokładniej, okazuje się, że mają krwistoczerwone oczy. Może to nie są nieumarli, ale zdecydowanie demony...

Już mam dać za wygraną, kiedy dostrzegam kolejną postać w czerni. Wspina się właśnie na wzgórze za jeziorkiem, w którym taplają się nimfy. Wiatr tarmosi połami długiego płaszcza. Schuyler.

Odwracam się do trajkocącej Fifer.

– ...więc ja wtedy mówię: Jeśli chcesz wrócić do domu z jakąś nimfą, proszę bardzo, ale potem już nigdy mnie nie odwiedzaj. I w ogóle mnie nie interesuje, co one potrafią zrobić pod wodą...

– Fifer...

– Co?

– Tam jest. – Wskazuję jej zielony stok. Przez chwilę śledzimy Schuylera spojrzzeniami. Okrąża staw, po lewej stronie ma drzewa, błękitną taflę po prawej.

– Dokąd go znowu poniosło? – mamrocze pod nosem Fifer.

– Kto wie? – Wzruszam ramionami. – Ale teraz już naprawdę musimy zabrać się do roboty. Mamy przecież tylko kilka godzin, a dolina nie należy do najmniejszych. Poza tym... Co?

Fifer kręci głową i szepcze coś bezgłośnie. Minę ma ponurą niczym burzowa chmura.

– No, co się znowu stało?

– Oj, nic. Po prostu przypomniała mi się Chime. – Otwiera torbę i zaczyna w niej grzebać. – Wiesz, w czym ona się specjalizuje? W zaklęciach miłosnych! Dasz wiarę? – Wyjmuje dwa naszyjniki. – Trwonienie magii i nic poza tym. Założę się o wszystko, że ten jej liścik

do Johna był obłożony miłosnym urokiem. Ale cóż, sama go przed nią ostrzegałam. Nie wolno ufać dziewczynom o trzech nazwiskach.

– Fifer – robię zdziwioną minę – naprawdę nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Zakłada mi jeden z naszyjników, drugi trafia na jej własną szyję. Zaraz potem wydaje z siebie głębokie westchnienie ulgi.

– Wreszcie. Teraz możemy swobodnie porozmawiać.

– Jak to? Co to ma być? – Unoszę naszyjnik w palcach. Długi, delikatny, ozdobiony kilkoma osobliwymi medalikami.

– Wiesz, jak to jest zadawać się ze zjawą? – Fifer spogląda mi prosto w oczy.

– Hm, nie.

– Te istoty słyszą wszystko, co mówisz, i znają wszystkie twoje myśli. O tym, co zrobisz za chwilę, wiedzą jeszcze przed tobą, a co gorsza, są w stanie tobą manipulować. Mogą po prostu wszystko, a ty nie możesz nic. Zgodzisz się chyba, że to nie w porządku, mam rację?

Potrąfię wymienić około miliona innych powodów, dla których zadawanie się ze zjawami jest co najmniej niemądre, i wcale nie potrzebuję dodatkowych argumentów. Uznaję jednak, że nie warto o tym wspominać.

– Masz.

– Dlatego właśnie wymyśliłam to. – Pokazuje mi swój naszyjnik. – Łańcuszek z brązu i medaliki wypełnione solą, rtęcią i popiołem. Pojedynczo nie mają praktycznie żadnej mocy. A już na pewno nie zadziałałyby na zjawę tak silną jak Schuyler. Razem jednak działają na podobieństwo tarczy. Tworzą barierę. Kiedy mam ten naszyjnik na sobie, on mnie nie słyszy, nie wyczuwa i nie jest w stanie czytać w moich myślach. Ty też jesteś w tej chwili bezpieczna.

– No... dobrze. Tylko dlaczego założyłaś go właśnie teraz? Bo wiesz, mogłabyś ten naszyjnik nosić bez przerwy...

– Nie. Widzisz, ja wcale nie chcę, by się dowiedział, że mam coś takiego w zanadrzu. A teraz założyłam, bo pójdę jego śladem.

– Po co?

Spoglądamy na wzgórze. Sylwetka Schuylera znika właśnie między drzewami.

Fifer krzywi się nieładnie.

– On coś kombinuje. A ja chcę się przekonać, co takiego.



## ROZDZIAŁ 21



Fifer rusza brzegiem jeziora. Po chwili rzucam się za nią biegiem.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Śledzić zjawę? – Potykam się o leżącą w trawie gałąź i prawie się przewracam. W obcisłej sukience ciężko mi nadążyć za moją przewodniczką.

– Oczywiście, że to nie jest dobry pomysł! – prychna.

– To dlaczego chcesz za nim iść?

Nie odpowiada. Niebawem docieramy na drugą stronę jeziora.

Wokół panuje nieziemaska cisza. Odgłosy zabawy ucichły, wytlumione przez coraz gęściej rosnące drzewa. W dodatku robi się ciemniej.

Słoneczny blask nad naszymi głowami gaśnie, w miarę jak zagłębiany się w las. Z tropieniem Schuylera nie mamy poważniejszych kłopotów. W zaroślach wije się pod górę wąska wydeptana ścieżka i jak dotąd nie zboczył z niej o krok.

– Powiedziałaś, że on coś knuje? Jak myślisz, co takiego?

Wiem, że to może być cokolwiek. Zjawy zazwyczaj nie spędzają wolnego czasu na niewinnych rozrywkach. Zanim Blackwell stworzył oddział łowców czarownic, próbował się posługiwać właśnie istotami powracającymi zza grobu. Chciał, żeby chwytaly dla niego czarowników. Skończyło się jednak malowniczą katastrofą. Zjawy były w najlepszym razie niesolidne, w najgorszym straszliwie brutalne. Pojmany magów mordowały i rozszarpywały, wracając ze skrwawionymi ochłapami, które kolekcjonowały niczym myśliwskie trofea. Pamiętam, że Blackwell porównał je w którejś z rozmów do

kotów, z dumą znoszących na próg domu truchła upolowanych myszy.

– Kradzież – odpowiada po dłuższej chwili Fifer.

– Ach – rzucam, czując nieznaczną ulgę.

– Obiecał mi, że z tym skończy. I faktycznie skończył. Na jakiś czas. Potem jednak na kilka miesięcy straciliśmy kontakt i pewnego dnia dowiedziałam się, że został aresztowany. Wtrącili go do Fleet. – Spogląda na mnie wielkimi oczami. – Wiesz, byłam pewna, że już nigdy go nie zobaczę. Szykowałam się na najgorsze... ale w końcu go zwolnili. Znaczy... on sam twierdzi, że uciekł, ale nie jestem pewna, czy mu wierzę.

Ja też nie jestem pewna. Z Fleet się nie ucieka. Udało się tylko mnie, lecz ja miałam przecież potężnego współnika. A zjawy Blackwell nie wypuściłby za żadne skarby. Chyba że...

– Słowem, podejrzewasz, że uwolnili go, by coś dla nich ukraść? Fifer potakuje skinieniem.

– I myślisz, że ma to zrobić na rozkaz Blackwella?

Znów twierdzący ruch głowy.

– Co mogli kazać mu ukraść?

– Kto wie? Z Schuylerem nigdy nie wiadomo. Kradł już pieniądze, konie, a kiedyś zwędził nawet całą skrzynkę kurczaków...

– Z tym że Blackwell nie kazałby mu kraść drobiu.

– Nie – zgadza się Fifer. – Na pewno nie. I tego się właśnie obawiam. Lękam się, że tym razem wpadł jak śliwka w kompot.

Jeżeli Schuyler rzeczywiście wszedł w konszachty z Blackwellem, to faktycznie tkwi jak śliwka w kompocie. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Interesuje mnie również, czego Blackwell od niego zażądał. Skoro posunął się do współpracy ze zjawą, musi to być coś bardzo ważnego.

Nagle doznaję olśnienia.

– Nie myślisz chyba, że Blackwell kazał mu ukraść to, czego ja szukam?

Czoło Fifer przecina zmarszczka.

– Nie mam pojęcia – odpowiada. – Chociaż... niewykluczone. Może to zwykły zbieg okoliczności, ale Nicholas zawsze powtarza, że w życiu nie ma przypadków.

Zabawne. To samo często słyszałam od Blackwella.

Przez cały czas idziemy pod górę, przeciskamy się przez gęsty las. Dróżka stopniowo się zwęża, aż wreszcie znika. Straciłyśmy z oczu także Schuylera, zewsząd otaczają nas drzewa. W pewnym momencie wszelki trop się urywa.

– Co myślisz? – odzywa się Fifer.

Rozglądam się. Owszem, nocne łowy nie są mi obce, ale zawsze towarzyszy mi w nich światło. Jeśli nie księżyc, to pochodnia lub latarnia. Dzisiaj jednak na niebie jaśnieje tylko wąski sierp, zbyt skąpy, by nam pomóc. Tak czy inaczej, ruszam przed siebie. Fifer idzie za mną w milczeniu. Nie widzę niczego odbiegającego od normy. Ot, zwykłe leśne poszycie, miękka poducha brązowego mchu, brunatna warstwa mokrych liści i połamanych gałęzi. Nic szczególnego.

Przychodzi mi do głowy, że być może naszyjniki Fifer jednak nie działają. Że Schuyler nas słyszał, przechytrzył i z rozmysłem wyprowadził w pole... W pewnej chwili trącam butem kamyk, który strzela w powietrze i uderza w pień pobliskiego drzewa. Pochylam się i podnoszę go. Jest omszały, lecz zielony. Jasnozielony. Wydaje się tu dziwnie nie na miejscu. Niedługo potem znajduję kolejny zielony kamień. I jeszcze jeden. Stopniowo coraz większe. Leżą na leśnej ściółce, która w końcu znika pod nimi zupełnie. Kroczymy po tych kamykach, aż wreszcie docieramy do wylotu niewielkiego tunelu, wykutego w zboczu wzgórza.

Fifer patrzy na mnie pytająco, niemal wyzywająco.

Wzruszam ramionami, ale wyraźnie czuję przyspieszone bicie serca. Nienawidzę tuneli, nie cierpię ciemności, lecz nie zamierzam się teraz wycofać. Biorę głęboki wdech i wchodzę do środka. Fifer rusza za mną. Przed sobą widzę nikłe światelko, miękkie i zielone. Wydaje się przy tym dziwnie falować, prawie jak tafla jeziora.

Idziemy podziemnym korytarzem, w pewnym momencie przejście odbija ostro w prawo. Ostrożnie wyglądamy zza narożnika. Mniej więcej trzy metry dalej stoi wielka kamienna płyta, uchylona jak drzwi. Dolatują zza niej dziwne odgłosy. Coś trze, jakby skała o skałę. Słysząc też szuranie. Może to odgłosy kroków?

Schuyler.

Zerkam na Fifer.

– Trzymaj się za mną. Nie wiem, co on tam robi, ale na pewno nie będzie zachwycony niespodzianką. – Uświadamiam sobie przy tym, że chociaż zjawa raczej nie skrzywdzi Fifer, to w moim przypadku większych skrupułów mieć nie będzie.

Fifer sięga do torby i wyciąga z niej nóż, który dostała od Humberta. Zdaje się, że to sprężynowy składany sztylet. Podaje go mnie.

– To mi chyba nie pomoże. – Spoglądam niepewnie.

– Może i nie, ale iść tam z gołymi rękoma byłoby zupełnie bez sensu – zauważa przytomnie.

Uzbrojona, naciskam przycisk na rękojeści. Bez jednego szmeru pojedyncze ostrze rozkłada się na trzy części. Fifer tymczasem wyjmuję z torby długi płócienny woreczek i obwiązuje się nim w pasie.

– Sól – wyjaśnia szeptem. – Na wszelki wypadek. Większej szkody mu nie wyrządzi, ale powinna go spowolnić.

– Dobra myśl – chwałę. – Gotowa?

Fifer kiwa głową i we dwie przemykamy wąskim przejściem za płytę. Stajemy w niewielkim pomieszczeniu, niepodobnym do żadnego, jakie w życiu widziałam. Podłoga i ściany pokryte są grubym kobiercem mchu. Długie zielone wstęgi porostów zwieszają się z powały.

W powietrzu unosi się woń wilgotnej ziemi, trochę jak w lesie tuż po deszczu. Na środku znajduje się omszały grobowiec. A przed nim stoi Schuyler z wielkim mieczem w dłoni. Gdy wchodzimy, odwraca się gwałtownie. Bez chwili wahania bierze zamach i tnie.

Fifer wrzeszczy. Ja rzucam się na ziemię. Czuję we włosach ostry podmuch, klinga musnęła czubek mojej głowy.

– Elizabeth! Na piekło ogniste! – Zjawa opuszcza broń. – Mogłem cię zabić. I ciebie też! – Spogląda na Fifer. – Co wy tutaj robicie?

– Co ja tu robię? Może raczysz wytłumaczyć, co ty tu robisz? – Fifer wymija mnie i z oskarżycielsko wyciągniętym palcem podchodzi do Schuylera. – No? Słucham cię!

W jego oczach pojawia się cień wyrzutów sumienia.

– To tak naprawdę głupstwo...

– Moim zdaniem, wyjaśnienie jest bardzo proste. – Fifer wskazuje na długi miecz. – Chciałeś to żelastwo ukraść, prawda?

Zakłopotana zjawia drapie się po karku.

– To nie tak jak myślisz.

– Nie? Więc jak?

Schuyler milczy.

– Powiedz mi – naciska Fifer.

– Nie mogę.

– Mów w tej chwili! – Nie rezygnuje. – Bo inaczej, przysięgam, wyjdę stąd i już nigdy mnie nie zobaczysz. – W jej słowach, choć ostrych, wcale nie słyhać gniewu. Raczej zmartwienie i niepokój.

Schuyler jeszcze przez moment patrzy w milczeniu, po czym podchodzi i ujmując ją za rękę. Fifer ani drgnie. Stoją spleceni dłońmi, spoglądając sobie w oczy w taki sposób, że przychodzi mi do głowy, iż, być może, powinnam wyjść. Ruszam już do drzwi, gdy Fifer podnosi rękę i zaczyna rozpinąć bluzkę. Zamieram w pół kroku, przyglądając się z grozą i fascynacją, jak kolejne haftki ustępują pod jej palcami. Schuyler otwiera szeroko oczy – sama na pewno nie wyglądam lepiej – patrzy na nią, jakby chciał ją pożreć. Wycofuję się z wolna. Naprawdę nie chcę widzieć tego, co musi zaraz nastąpić. Wtem, zupełnie niespodziewanie, Fifer skacze naprzód i wyrywa Schuylerowi miecz.

Oszołomiona zjawia dopiero po sekundzie dochodzi do siebie.

– Co ty wyprawiasz, do diabła?! – woła.

Fifer cofa się, mierzając ostrzem prosto w pierś Schuylera.

– Zabieram ten miecz ze sobą. Chyba że usłyszę, do czego go potrzebujesz.

Oczy Schuylera płoną gniewem i oblatuje mnie strach. Nie potrafię ocenić, czy Fifer jest niedorzecznie odważna, czy raczej absurdalnie głupia.

Zjawia okręca się na pięcie – robi to tak szybko i nieoczekiwanie, że aż podskakuję – i pędzi z powrotem do grobowca. Gmera w nim przez chwilę i wyjmując pochwę. Domyślam się, że w przeszłości była obciążona brązową skórą, teraz jednak pokryta jest – jak wszystko wokół – zielonym mchem.

– Wiesz, co to za miejsce? – Przypina sobie pochwę do pasa.

Fifer kręci głową. Stoi tuż przy mnie, na tyle blisko, że czuję jej drżenie.

– To grobowiec Zielonego Rycerza – tłumaczy Schuyler. – Słyszałaś o nim?

Dziewczyna znów kręci głową.

– A o tym? – Zjawa wskazuje miecz. – Ten oręż nazywa się Azoth. Pojawiał się w wielu ludowych podaniach. Elizabeth, ty je znasz na pewno.

Fifer zerka na mnie, po czym obie spoglądamy na miecz. Jest wielki, ostrze mierzy przynajmniej metr dwadzieścia. Rękojeść wysadzana jest szlifowanymi w kwadraty dużymi szmaragdami.

Wydymam wargi.

– Wiesz, Blackwell dość rzadko układał mnie do snu. Nieczęsto też opowiadał mi bajki na dobranoc. Nie, nie słyszałam o tym mieczu.

Schuyler unosi brew.

– Zabawne, że o nim wspominasz. To właśnie Blackwell mnie wynajął. Mam mu tę broń dostarczyć.

Wymieniamy się z Fifer znaczącymi spojrzeniami.

– No, może wynajął nie jest tu najszcześliwszym słowem – ciągnie Schuyler. – O ile dobrze pamiętam, ujął to następująco: „Przyniesiesz mi ten miecz albo każę cię zaciągnąć w łańcuchach na szubienicę, gdzie zawieszysz, dopóki nie będziesz bliski śmierci, a potem zostaniesz rozplątany od krtani po brzuch. Wyrwiemy ci też wnętrzności i podpalimy je na twoich oczach...”

– Przestań! – szepce Fifer, jej twarz przybiera barwę popiołu. – Przestań, proszę.

– Do czego Blackwell potrzebuje tego miecza? – pytam.

– Powiadają, że jego właściciel staje się niepokonany – odpowiada zjawa. – Nie ulegnie broni ani magii. Po prostu będzie niezwyknięty.

– Przecież ten tutaj, Zielony Rycerz, nie żyje – zauważam. – Moim zdaniem, trudno być bardziej pokonanym.

– Nie stracił życia dlatego, że ktoś go pokonał – mówi Schuyler. – Sam je sobie odebrał.

– Co?! – dziwimy się chóralnie z Fifer. – Dlaczego?

– Dlatego, że na tym mieczu ciąży klątwa.

Fifer opuszcza wzrok na ostrze i cicho piszczy.

Schuyler kręci głową.

– Nie bój się. Nie wystarczy wziąć go do ręki. Trzeba go użyć, żeby klątwa nabrała mocy. Im częściej człowiek się nim posługuje, tym bardziej potężny się staje, aż wreszcie osiąga poziom najwyższy. Zostaje niezwyciężonym. I dopiero wtedy spada na niego przekleństwo.

– To znaczy?

– Azoth zaczyna odbierać ofierze swą moc. Proces się odwraca i to on nabiera sił, a człowiek słabnie, aż wreszcie bez reszty uzależnia się od miecza. Kiedy Zielony Rycerz uświadomił sobie, co się dzieje, było już za późno. Dlatego, że jedynym sposobem na zdjęcie klątwy jest pozbyć się miecza. A pozbyć się można, tylko tracąc go w walce. A to nie było możliwe. Rycerz był przecież niezwyciężony.

Historia zaczyna mnie mimowolnie fascynować.

– Czyli żeby uwolnić się od klątwy, rycerz przybył tutaj i popełnił samobójstwo?

Zjawa przytakuje skinieniem.

– Tak, zrozumiał, że innej skutecznej metody na wyzwolenie się z mocy Azotha po prostu nie ma. Dlatego przykazał pewnej czarownicy, by zamknęła go w tym grobowcu i zapieczętowała wejście zaklęciami. Zapewne obawiał się, że przed śmiercią zmieni zdanie i spróbuje ucieczki.

Przechodzą mnie ciarki.

– No dobrze, a po co ten przeklęty miecz Blackwellowi? – dopytuje się Fifer.

Schuyler wzrusza ramionami.

– Chyba klątwa nie wydaje mu się straszna. A w każdym razie znacznie bardziej zależy mu na byciu niepokonanym.

Natychmiast przypominają mi się słowa Nicholasa, który powiedział o Blackwellu: „Stawia przed sobą bardzo ambitne cele. Nie wiem tylko, czy pragnie zostać królem, czy może kimś jeszcze gorszym”.

– Nie możesz mu oddać Azotha – rzucam.

– Ciekawe słowa z ust łowczyni czarownic – prycha gniewnie Schuyler.

– Ona ma rację – wtóruje mi Fifer. – Nie wolno ci tego zrobić.

– Naprawdę chcesz mojej śmierci? – Zjawa podnosi głos.

- Oczywiście, że nie!
- Słyszałaś, co mi robi, jeżeli nie dostarczę mu miecza.
- Nie rozumiem, czemu Blackwell nie przyjechał tu osobiście.

Przecież mógł ukraść ten miecz sam – zastanawia się na głos Fifer.

Schuyler cmoka.

- Masz go za człowieka, który lubi brudzić sobie ręce?
- Wszystko jedno. Nie pozwolę ci. – Fifer kręci głową.

Zjawa jęczy cicho.

- To co ja mam teraz zrobić?
- Zostaw Azotha tutaj! Zostaw go i chodźmy stąd.
- Tylko dokąd, gdzie ja się ukryję? Jeżeli Blackwell nie dostanie miecza...

– Jeżeli go nie dostanie, zostanie ci choć szansa na ocalenie – odpowiada Fifer. – Ale jeśli mu go zawieszysz, on zabije cię i tak. Nie wierzę, że wciąż tego nie rozumiesz.

– Dał mi słowo – odpiera Schuyler.

Fifer patrzy mi w oczy.

– Elizabeth, co na to powiesz? Ile według ciebie warte jest słowo Blackwella?

Waham się. Przez długi czas byłam wobec Blackwella tak lojalna – mimo że odwrócił się ode mnie, wtrącił do więzienia i skazał na śmierć – że wciąż niełatwo mi powiedzieć cokolwiek przeciw niemu. Kręcę głową.

Schuyler przeklina szpetnie pod nosem.

– Poza tym, na czym ci tak naprawdę zależy? – podejmuje Fifer. – Chcesz, żeby Blackwell stał się niepokonany?

– Czego chcę, nie ma żadnego znaczenia – rzuca zjawa. – Muszę to zrobić. I zrobię.

– Nie, nie zrobisz.

Schuyler mruży oczy i rusza prosto na nas. Zalewa mnie fala strachu. Sięgam do pasa Fifer, nabieram garść soli i sypię białym proszkiem prosto w oczy zjawy.

Wydaje z siebie zboląły wrzask – nieprzyjemnie przypominający okrzyk ghula, którego potraktowałam w podobny sposób. Pada na ziemię, przyciska dłonie do twarzy i tarza się w zwolnionym, leniwym



tempie. Sól zadziałała.

Fifer przez moment stoi oszołomiona. Szybko jednak wraca do siebie, sama obsypuje Schuylera dodatkową porcją soli, po czym klęka przy nim i wyciąga z kieszeni słodko pachnące zielone listki – czyżby mięta? Wciska je Schuylerowi za koszulę, do butów, a nawet w spodnie. Wreszcie zjawia nieruchomieje, jęki milkną. W grobowcu robi się zupełnie cicho. Fifer pochyla się do ucha zjawy.

– Robię to dla ciebie – szepcze, całuje go w policzek i zwinnie się podrywa. – Podejrzewam, że ocknie się za jakieś dwadzieścia minut. A wierz mi, kiedy dojdzie do siebie, powinniśmy już być daleko stąd. Łap za pochodnię i zbieramy się. – Wciąż ściskając w dłoni miecz, podbiega do kamiennych drzwi i wymyka się do tunelu.

Wsuwam sztylet za cholewę buta i zdejmuję pochodnię ze ściany. Po drodze do wyjścia przystaję na moment przy grobowcu. Zaglądam do środka. W chybottliwym świetle płomieni widać idealnie zachowane ciało rycerza. Nie bez kozery nazywano go Zielonym: ma zielone włosy a nawet zieloną skórę. Zielenią mieni się też jego zbroja.

Fascynujące.

Fifer zagląda z powrotem do środka.

– Elizabeth! – ponagla mnie.

– Idę, idę!

Kiedy się odwracam, blask pochodni pada na kamienną pokrywę nagrobka i zauważam coś, co dotąd mi umknęło. Płyta pokryta jest rzeźbieniami. Część znaków przypomina litery, pozostałe to dziwaczne, obce mi symbole. Sunę po nich opuszkami palców. Nie mam pojęcia, co oznaczają, lecz z jakiegoś powodu wydają mi się znajome.

Wreszcie wychodzę z grobowca i ruszamy biegiem przed siebie. Pokonujemy tunel, usiane zielonymi kamykami pole i pędzimy w dół wzgórza.

– Świetnie rozegrane – chwali mnie Fifer. – Z tą solą. Byłam pewna, że już po nas.

– Coś ty mu wcisnęła do spodni? Miętę?

Fifer kiwa głową.

– Dostaje od niej okropnej wysypki. Myślę, że zejdzie mu dopiero za kilka tygodni. W dodatku obsypie go w bardzo wrażliwym miejscu.

Wybucham głośnym śmiechem. Wiem, chyba nie powinnam, ale nic na to nie poradzę. Po chwili chichoczymy obie. Jesteśmy już w połowie wysokości zbocza. Poniżej migocze jezioro, na którego przeciwległym brzegu wciąż trwa huczna zabawa.

– Jak myślisz? – Fifer unosi miecz. – Czy to właśnie Azotha miałaś odnaleźć? Wydaje ci się choć trochę znajomy?

– Nie – odpowiadam. – Nigdy go nie widziałam. Nicholas mówił, że kiedy znajdę to, czego szukam, zrozumiem od razu. A mój instynkt nawet nie próbował się odezwać.

– Szkoda. – Fifer wydaje się szczerze rozczarowana. – Miałam nadzieję, że coś się wreszcie udało.

– Ale mamy też powód do radości – zauważam. – Na tym mieczu zależało Blackwellowi, a teraz go nie dostanie. Zwłaszcza jeśli Azoth naprawdę ma taką moc, o jakiej opowiadał Schuyler.

– Co teraz zrobimy? – pyta Fifer. – Musimy szukać dalej, ale wolałabym nie paradować po festiwalu z Azothem. Nikt tam co prawda nie wie, co to za miecz, ale mogą się nim niepotrzebnie zainteresować, choćby z powodu klejnotów. – Obraca rękojeścią i szmaragdy rozbłyskują w słabych promykach księżyca.

– Zanieśmy go do Humberta – proponuję. – Zostawimy go w katedrze i wrócimy nad jezioro. Jak długo potrwa ten festiwal?

– Jeszcze jakiś czas – odpowiada Fifer. – Obchody potrafią się przeciągać. Zwłaszcza w ostatnią noc święta. Podejrzewam, że nie skończą się przynajmniej do brzasku.

– To dobrze – mówię. – Niespecjalnie wiem za to, co zrobimy w sprawie Schuylera...

– Mam jeszcze miętę – odpowiada Fifer. – Sól też. Przywiozłam ich ze sobą tyle, że powstrzymałabym całą armię zjaw. A w dodatku jestem w tej chwili na niego zła jak osa. Jeśli została mu choć kropla oleju w głowie, będzie się trzymać od nas z daleka.

## ROZDZIAŁ 22



Po raz kolejny dzisiaj idziemy pod górę, tym razem w kierunku rezydencji Humberta. Fifer maszeruje obok mnie, wymachując na wszystkie strony długim mieczem. Schuylera się co prawda nie boję, ale i tak wiem, że przez cały czas powinnam mieć oczy dookoła głowy i wypatrywać wszystkiego, co wyda mi się choć trochę niecodzienne. Niemniej z jakiegoś powodu moje myśli raz po raz ulatują do Zielonego Rycerza spoczywającego w milczącym kamiennym grobowcu.

– Ciekawe, dlaczego ten rycerz jest cały zielony – przerywam milczenie. – Nigdy w życiu nie widziałam nikogo, kto by tak wyglądał.

– Ja też nie – przytakuje Fifer. – Ale jestem pewna, że to skutek klątwy. Albo miecza, albo uroku, jakim obłożono sarkofag. Zwróciłaś uwagę na płytę? I te rzeźbione symbole?

– Tak. – Kiwam głową, sunąc spojrzeniem po wierzchołkach kołyszących się przed nami drzew. Przed momentem pod niebo pomknęła para sów. Może to nic szczególnego, w końcu sowy są nocnymi drapieżnikami, lecz kiedy ptaki zrywają się do lotu, to często znak od natury. W pobliżu mogą się kręcić jacyś ludzie. Oczywiście, my same też nie zachowujemy się specjalnie cicho. – Znasz te znaki?

– To alfabet runiczny – odpowiada Fifer. – Bardzo starożytna forma magii. A ta pokrywa nie była po prostu zwykłym kamieniem. To tablica uroku.

Przez kręgosłup przebiega mi ostrzegawczy dreszcz.

– Tablica uroku?

– Zgadza się. W dodatku bardzo stara, trochę się na tym znam. Nie mówiąc o tym, że bardzo dziwna.

– Dziwna?

– No tak. Naprawdę nieczęsto widuje się tablice uroku w takich miejscach. Magowie zwykle ciskają je do studni, wywożą na środek jeziora lub rzeki i topią. Czasem trafiają one do morza. To znacznie łatwiejsze. Ale ukryć coś takiego w grobowcu...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Zatrzymuję się w pół kroku i łapię Fifer za rękę. – Co się stanie, jeżeli tablica trafi do grobowca? – Nagle robi mi się bardzo zimno. Zbiera mi się na mdłości.

Dziewczyna marszczy czoło.

– Po pierwsze, związana z tablicą klątwa nabiera wtedy dodatkowej mocy. Urok czerpie energię zmarłego i wzmacnia siłę czaru. Zwłaszcza jeśli pochowany tam człowiek zmarł gwałtowną, brutalną śmiercią. Tyle że to wszystko bardzo skomplikowane. Teoria swoją drogą, a praktyka swoją.

– Praktyka?

Zaczynam się zachowywać jak papuga, jeden z tych gadających ptaków, które chętnie oswajają piraci. Naturalnie, one wcale nie uczą się rozmawiać, powtarzają po prostu za ludźmi kilka najprostszych słów. Głupie, bezmyślne stworzenia.

– Aha. Zastanów się. Trzeba wszystko zawczasu zaplanować, aby czegoś takiego dokonać. Skutecznie rzucić czar uroku, potem zabić kogoś, a wreszcie pogrzebać tablicę wraz z zamordowanym. Bo jak inaczej? Niewiele osób biegałoby po cmentarzu, wypatrując świeżych mogił, z nadzieją że nieboszczyk nie odszedł z tego padołu spokojną śmiercią. Rozgrzebywanie grobów to strasznie nieprzyjemne zajęcie...

Doznaję zawrotów głowy. Wirują w niej oderwane luźne słowa. Tablica uroku. Grobowiec. Gwałtowna śmierć. Plan. Zwłoki. Mogiła. Rozgrzebywanie grobów. Nagle jednak te wyrazy zaczynają do siebie pasować niczym elementy dziecinnej układanki, z których powstaje obraz. Wolalabym nigdy go nie oglądać.

„Gdy trzecia zimowa noc nastanie, zejź pod ziemię w zieleni. Co trzyma go w śmierci, zawiedzie cię do trzynastki”.

I wtem wszystko staje się jasne. Bez cienia wątpliwości. Już wiem,

gdzie ukryto Trzynastą Tablicę.

– Fifer... – szepczę, ledwie poruszając suchymi jak pieprz wargami  
– ...muszę ci o czymś powiedzieć. Już...

Świst powietrza słyszę, jeszcze zanim czuję cios. Gwardzista mocno bije mnie pięścią prosto w twarz. Rozlega się obrzydliwe chrupnięcie kości, z mojego nosa bucha wodospad gorącej krwi. Dolatuje mnie wrzask stojącej obok Fifer.

– To naprawdę zbyt proste – mruczy żołnierz.

Odpycha mnie na bok i rzuca się na Fifer. Moja sukienka jest tak ciasna, że natychmiast tracę równowagę i padam twarzą prosto w zeschnięte liście i ziemię. Nie mam szansy się podnieść, dwójka innych gwardzistów chwyta mnie w przegubach, a trzeci zakłada na nie kajdany.

– Jednak nie jesteś tak niebezpieczna, jak gadają, co? – słyszę ochryply głos.

Zaczynam się wściekle szarpać, raz po raz próbuję wstać. Ręce jednak krępuje mi żelazo, nogi spętane mam jedwabiem sukni. Nie mogę się ruszyć. Żołdacy wciskają mnie w wilgotne liście, jeden wbija mi kolano w plecy. Z całej siły.

– Teraz już się nie wywiniesz – dodaje gwardzista. – Trafisz prosto do lochu, gdzie twoje miejsce.

Znów się szamoczę. Któryś ze zbrojnych przyciska mi twarz do ziemi tak brutalnie, że świat wiruje mi przed oczami.

– Zostaniemy z nią! – woła. – Wy dwaj złapcie tę drugą.

Słyszę głośny szelest i pełen grozy wrzask Fifer. Odkręcam głowę na bok i widzę otaczających ją wojaków. Drwią i rechocą.

– Nie zbliżajcie się! – piszczy Fifer, wyciągając przed siebie miecz. Próbuje zadawać cięcia, lecz ani razu nie trafia.

– Proszę, proszę! Mała dziewczuszka z takim dużym mieczem!

– Wiesz co, wiedźmo? Masz prawdziwe szczęście, że to myśmy cię dorwali, a nie chłopcy Blackwella. Gdybyś wpadła w ich łapy, twoja piękna buźka piekłaby się na rożnie jeszcze przed zachodem słońca.

– Chyba i tak ją to czeka, co?

Kolejna salwa rubasznego śmiechu.

Ogarnia mnie panika. Muszę nas z tego wyplątać. Jeden z gwardzistów klęczy mi na plecach, drugi stoi nieco z boku.

W cholewie wciąż mam ten składany sztylet, ale leżę na własnych rękach, więc co mi po nim? Zaczyna mnie korcić, żeby przyzwać Schuylera, lecz przypominam sobie o naszyjniku i dociera do mnie, że zjawą mnie nie usłyszy. A to znaczy, że jestem zdana wyłącznie na siebie. Muszę się pozbyć tych kajdan. Niestety, nie mam pojęcia, jak tego dokonać.

Nagle wpadam na pewien pomysł.

Cicho, powoli, wyłamuję sobie kciuki. Najpierw lewy, potem prawy. Czuję szarpiący ból, ale mocno zaciskam zęby. Wreszcie udaje mi się wysunąć dłoń z metalowych obręczy i słyszę stłumiony chrzęst, gdy kości wskakują na powrót w stawy. Zamieram. Czy gwardziści zauważyli? Nie, są zbyt zajęci oglądaniem kolegów, którzy wciąż złośliwie dręczą biedną Fifer. Banda skończonych drani. Idioci. A teraz mi za wszystko zapłacą.

Układam dłoń płasko na ziemi. I nagle, błyskawicznie, odpycham się i zrzucam żołnierza z pleców. Przyklękam i wyciągam ukryty w cholewie nóż. Najpierw ten, którego strąciłam z siebie wierzgnięciem. Chwytam go za włosy i dźgam prosto w szyję. Pada na ziemię martwy. Zanim drugi zdołał choć otworzyć usta do krzyku, wyszarpuję sztylet z krtani zabitego gwardzisty i rzucam. Ostrze przebija mu czaszkę precyzyjnie pomiędzy oczami i żołnierz osuwa się na liście – nie żyje. Wszystko zajęło ledwie kilka sekund.

Nagła cisza zwraca uwagę pozostałych żołdaków. Spoglądają na mnie i na ciała dwóch kolegów. Stoją jak osłupiali. Uwalniam nóż z głowy gwardzisty i ruszam w ich stronę.

– Fifer, stań za mną!

Stoi jak słup soli. Ona również jest oszołomiona.

– Fifer, natychmiast!

Z wolna opuszcza ostrze Azotha i okrąża gwardzistów.

– Nie! – krzyczę, lecz jest już za późno.

Jeden z żołnierzy skacze naprzód, łapie Fifer za włosy i bije ją pięścią w twarz. Zaraz potem poprawia kułakiem w brzuch i dziewczyna pada na oszronione podłoże. Wypuszcza miecz z bezwładnej dłoni.

Drugi gwardzista podrywa Azotha z ziemi i zwraca się ku mnie.

Rzucam się na niego i chwytam go za ramię. Wykręcam mu rękę

na plecy i podrywam ją ku górze. Mocno. Nagradza mnie głośny trzask pękającej kości. Nie wypuszczając przegubu żołnierza, przyciągam go bliżej do siebie i wbijam mu nóż w żołądek. Kiedy osuwa się na ziemię, doskakuje do nas drugi gwardzista i odbiera umierającemu miecz, zanim mam szansę po niego sięgnąć. Zamachuje się na mnie. Odskakuję w tył. Żołnierz uderza jeszcze dwukrotnie, oba cięcia chybiają.

Kucam zwinnie na ściółce i podcinam go wymachem wyprostowanej nogi. Gdy upada na kolana, podrywam się i kopię go z całej siły w bok kolana. Rozlega się chrzęst i donośny okrzyk bólu. Padając naprzód, zadaje ostatni cios mieczem.

Ostrze sunie po moim brzuchu. Zimna, choć w dotyku okrutnie parząca stal rozcina jedwab i ciało. Natychmiast strzela ze mnie fontanna krwi. Czekam na znajome gorąco i wrażenie łaskotania, jakie zwykle towarzyszy gojeniu. Nic się jednak nie dzieje. Wciąż leje się krew. Przyciskam dłoń do boku, między palcami czuję ciepłe strugi.

Rana nawet nie zaczęła się zablizniać.

Gwardzista leży na ziemi z dziwacznie, nienaturalnie powyginanymi kończynami. Nie odrywając ręki od rannego miejsca, podchodzę do niego, lekko się słaniając, wrywam mu miecz z dłoni i wbijam ostrze prosto w jego pierś. Powalony mężczyzna wydaje z siebie stłumione stęknienie, milknie i ostatecznie nieruchomieje.

Dolatuje mnie jęk Fifer. Podchodzę do niej, powłócząc nogami.

– Nic ci nie jest?

Oko zaczyna jej puchnąć. Nawet w blasku księżycy wyraźnie widzę ciemniejący pod skórą siniec.

Przygląda się mi uważnie. Jej źrenice zmniejszyły się do rozmiarów główki od szpilki.

– Jesteś ranna.

Potakuję skinieniem.

– Okazuje się, że ten miecz ma jednak pewną moc.

– Dasz radę wrócić o własnych siłach?

– Myślę, że tak – odpowiadam.

Gorąca krew wypływa z rozcięcia coraz bardziej intensywnym, rwącym strumieniem. Wciąż czuję ją między palcami. Raz po raz przeszywają mnie dreszcze. Fifer otacza mnie ramieniem i z wolna

ruszamy w dalszą drogę do rezydencji Humberta.

Nie odzywam się nawet jednym słowem. Nie mam pojęcia, czy to z powodu bólu, czy strachu. Wiem tylko jedno: znamię przestało działać. Co to może znaczyć? Czy tylko ta jedna rana nie zabił się magicznie? A może Azoth w jakiś niewytłumaczalny sposób zakłócił działanie znamienia już na zawsze? Jeżeli tak, to nie mam nawet cienia szansy, by odzyskać tablicę. Zwłaszcza teraz, gdy wiem, że Trzynasta Tablica znajduje się w grobowcu u Blackwella. Tym samym grobowcu, z którego musiałam się wydostać podczas ostatniego sprawdzianu.

Czy zdołam się z tą pułapką zmierzyć po raz drugi? Za pierwszym razem przeżyłam właściwie tylko cudem. A i tak niemal postradałam przy tym zmysły. Teraz muszę podjąć tę próbę po raz wtóry. Dobrowolnie. Wtedy nie mogłam nawet wstać, a co dopiero mówić o zniszczeniu kamiennej tablicy. To potężne wyzwanie. Jak mam to wszystko zrobić bez pomocy znamienia?

Równie dobrze mogę umrzeć tutaj.

Powoli wstaje nowy dzień, słabe smugi światła przedzierają się przez nakrywający niebo, utkany z gęstych chmur pled. Kiedy docieramy do granicy posiadłości Humberta, Fifer praktycznie mnie niesie. Straciłam dużo krwi i tak bardzo kręci mi się w głowie, że ledwie wlokę nogę za nogą. Ziemia faluje mi pod stopami, unosi się wysoko i szybko opada. Kontury otoczenia zaczynają się rozmazywać.

Wkrótce ukazują się nam wieżyczki domu, strzelają ponad wierzchołki kołyszących się w oddali drzew. Wyglądają jak małe kły. Zbliżamy się i dostrzegamy krzątających się po dziedzińcu służących. Są zajęci porannymi obowiązkami. Słysząc pokrzykiwania Humberta.

– Mieście oczy otwarte! Jeżeli je znajdziecie, przyprowadźcie je prościutko do mnie! Już ja im dam niszczyć moje róże! Ja je nauczę wychodzenia przez okno!

Wymieniamy się z Fifer spojrzeniami. Po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy magiczną dolinę, zaczynam się niepokoić o to, co nas spotka po powrocie. Być może nic dobrego.

Docieramy pod dom i przed drzwiami zastaje nas Bridget. Spogląda na mnie i wydaje z siebie głośny okrzyk.

– Panie Pembroke! Prędko! Proszę tu przyjść! – Podbiega do mnie.



– O mój Boże, panienko, co się stało? Tyle krwi... – gdacze, obskakując mnie niczym roztrzęsiona kwoka.

Humbert wyskakuje przed dom z energią armatniego pocisku. Policzki ma aż purpurowe ze złości. Nie zdążył się jeszcze przebrać z nocnego stroju: jaskrawy jedwabny szlafrok, którego poły – mimo że przewiązane paskiem – nie dają rady ukryć gigantycznych rozmiarów rozdętego brzucha. Rzadkie siwe włosy sterczą na wszystkie strony, odsłaniając wyłysiałe miejsca. I tak, rumieniec wściekłości widnieje również na jego czaszce. Wygląda po prostu jak obłąkany. Gdyby nie to, że zaraz chyba zemdleję, pewnie bym się roześmiała.

Humbert obrzuca nas spojrzeniem i staje jak wryty.

– Wielkie nieba! C-co się s-stało? – duka. – Wielkie nieba! – powtarza z przerażeniem.

Odnoszę wrażenie, że nawet nie zauważył trzymanego przez nią w rękę imponującego miecza.

Humbert ma zrozumiałe powody do niepokoju. Rude loki Fifer są posklejane wilgotną ziemią, pełno w nich trawy, suchych listków i gałązek. Sukienka splamiona jest błotem, dolna część zwisa w strzępach. Wszystko to jednak błahostki w porównaniu z jej twarzą. Oko – napuchnięte już do tego stopnia, iż prawie nie może go otworzyć – pyszni się fantastycznym odcieniem fioletu. Odcina się od bladej cery niczym ognisko na tle zimowej nocy.

Tak, Fifer wygląda co najmniej mało zachęcająco. Ja, naturalnie, prezentuję się sto razy gorzej. W pewnym momencie zauważyłam własne odbicie w okiennej szybie i aż drgnęłam. Twarz mam umorusaną zakrzepłą krwią i ziemią. Ramiona pokrywają plamy mchu i błota. Najmarniej jednak ma się sprawa z moim brzuchem. Piękna biała suknia Fifer jest rozcięta i spod materiału, na wysokości pępka, wyziera szeroka, wilgotna rana. Podobne ilości krwi widywałam już na ciałach innych ludzi, ale zobaczyć tyle szkarłatu na sobie to zupełnie inna historia. Mój żołądek skręca się ze strachu, a grunt niebezpiecznie usuwa się spod nóg.

– John! – Humbert podskakuje do mojego boku. – George! Szybko do nas! Potrzebujemy tu pomocy!

Razem z Fifer wprowadzają mnie powoli do środka.

Chłopcy wbiegają do holu. Podnoszę głowę i spoglądam na nich. W odróżnieniu od Humberta są w pełni ubrani. Mają na sobie długie wełniane płaszcze, ciężkie buty i rękawice. Zimno pomalowało ich twarze czerwienią, musieli być przez dłuższy czas na świeżym powietrzu.

– Jak to? – szepczę. Zaskakuje mnie, jak słabo brzmi mój głos. – Wy też spędziliście noc poza domem?

– Szukaliśmy was – odpowiada George. Nie może oderwać wzroku od mojego brzucha, od krwi skapującej kropla za kroplą na nieskazitelnie czystą, czarno-białą szachownicę posadzki holu. Po chwili spogląda na Fifer i kołyszący się w jej dłoni miecz. – Ty jej to zrobiłaś?

– Nie bądź śmieszny! – rzuca. Wykonujemy kolejny krok naprzód i potykam się o własne nogi. – John, pomóż jej!

Uzdrowiciel podchodzi i bierze mnie na rękę.

– Zanieś ją do jadalni – wydaje polecenie Humbert.

Na wpół słyszę jeszcze, jak woła Bridget. Pokojówka podbiega i John szybko przedstawia jej listę potrzebnych przyborów. Nie słucham go. Nie wiem, co chce ze mną zrobić, ale czy naprawdę nie mógłby się tym zająć na górze? Tam, gdzie mogłabym zasnąć? Jestem taka zmęczona. Opieram mu głowę na ramieniu i zamykam oczy. Bije od niego zapach chłodnego, ostrego powietrza i liści.

– ...przynieś też wszystkie igły, jakie tylko uda ci się znaleźć. No i szpulkę najmocniejszej nici... Nie, kolor nie jest ważny – dodaje po chwili i wchodzi ze mną do jadalni.

Fifer i George depczą mu po piętach.

– Chcesz naprawić moją sukienkę? – Unoszę powiekę i przyglądam mu się, mrużąc oko. – To bardzo miło z twojej strony.

– Nie, najpierw zaszycę ranę.

– Co?

Wymieniamy z Fifer przerażone spojrzenia. Przecież ostrze Azotha dosięgło mnie tuż nad znamieniem. Jeżeli John spróbuje mi pomóc, natychmiast je zobaczy. A ja wciąż czuję bijący od symbolu żar, zakłęcie usilnie stara się zabić ranę. Nadal bez skutku.

– Nie możesz.

– Muszę – odpowiada.

– Nie musisz. John, zostaw mnie. Wszystko będzie dobrze. – Szamoczę się w jego objęciach. Ból jest jednak tak dojmujący, że aż jęczę.

– Nie ruszaj się – rozkazuje mi. – Każdy ruch dodatkowo pogarsza sytuację.

Układa mnie na stole, na którym ktoś zawczasu rozpostarł czyste białe prześcieradło. Pojawia się Bridget i zaczyna obtańcowywać Johna, rozkładając dokoła tace z przyrządami. Za plecami służącej mającą mi Fifer i George, w ich oczach błyskają identyczne iskierki strachu.

– Nie! – powtarzam uparcie. – Nie możesz tego zrobić.

Obracam się na bok, próbując odsunąć ranę jak najdalej od niego. John chwyta mnie za ramiona i przyciska do blatu. Pochyla się nade mną. Nisko. Jego twarz zawisa ledwie parę centymetrów nad moją.

– Jeżeli nie pozwolisz mi się pozszywać, wykrwawisz się na śmierć – szepcze. – Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Zaglądam głęboko w jego ciemne oczy i również w nich dostrzegam przyczajony tuż pod powierzchnią lęk. I tak, wiem, że on ma rację.

Wypuszczam z siebie rozedrgane westchnienie.

– Dobrze. Ale najpierw muszę ci o czymś powiedzieć...

– Później opowiesz mi o wszystkim. – John podnosi ze stołu buteleczkę spirytusu, po czym odkleja od mojej zakrwawionej skóry wilgotne skrawki tkaniny. – Przez chwilę może trochę piec – mówi i polewa mi brzuch alkoholem.

Ból jest ostry i sięga głęboko. Przygryzam wargę, żeby nie pisnąć. Tak mocno, że czuję w ustach smak krwi. Uzdrowiciel przyciska mi do boku czystą szmatkę i zaczyna zmywać ziemię i ciemnoczerwone skrzepy. Wiem, że lada moment zobaczy znamię.

Spotykam się oczyma z Fifer. Wpatrujemy się w siebie przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przez jej twarz przebiega cień rezygnacji. Kiwa głową.

– John... – Podchodzi i muska jego rękę.

– Fifer, proszę cię. Nie teraz. – John sięga po gazę.

– Mam ci coś do powiedzenia.

– Fifer, czy naprawdę... – Patrzy na mój brzuch. Marszczy brwi.

Pochyla się niżej. Nagle zachłystuje się, bierze głęboki wdech.

Naturalnie, wiem, co zobaczył. Wyraźnie odcinający się od bladej skóry czarno-brązowy symbol. XIII.

John odsuwa się od stołu, lekko się przy tym zataczając. Otwiera szeroko oczy, jest blady jak śmierć.

– Przecież to jest... Jesteś.... – Nie jest w stanie dobyć z siebie tych dwóch najważniejszych słów.

Otwieram usta, by powiedzieć... coś, cokolwiek, lecz ja również nie potrafię. Chcę wyciągnąć ku niemu dłoń, ale i z tego rezygnuję.

– Przykro mi – mówi półgłosem Fifer. – Miałeś się o tym nigdy nie dowiedzieć.

John milczy.

– Żadne z nas miało o tym nie wiedzieć – dodaje George. – Z rozkazu Nicholasa. Ja i Fifer poznaliśmy prawdę przypadkiem.

John wciąż nie odzywa się słowem. Po prostu stoi i wpatruje się otepiałym wzrokiem w podłogę. Bezkresne sekundy upływają w niczym niezmaconej ciszy i przychodzi mi do głowy, że uzdrowiciel po prostu mnie tu zostawi. Wyjdzie z pokoju i pozwoli mi wykrwawić się na śmierć.

– Ona nie jest taka jak pozostali – podejmuje Fifer. – Dzisiejszej nocy ocaliła mi życie. Gdyby nie ona, gwardziści zabraliby mnie do lochu. Albo zabili na miejscu. Albo zrobili coś jeszcze gorszego.

Patrzą na nią w zdumieniu. Wstrząsnął mną fakt, że akurat Fifer stanęła w mojej obronie.

– W dodatku ona już wie, gdzie trzeba szukać tablicy – ciągnie.

– Naprawdę? – mówią chórem Humbert i George.

George podchodzi bliżej do stołu.

– Gdzie?

– Jest... au... – wyrywa mi się okrzyk bólu.

– Jest u Blackwella – wyręcza mnie Fifer.

– Co? – Humbert robi zdumioną minę. – Jak to możliwe?

– Potem Elizabeth wszystko wyjaśni – stwierdza Fifer. – Chociaż jeśli umrze, nie powie nam ani słowa – dodaje, spoglądając na Johna.

Uzdrowiciel wpatruje się we mnie, mocno zaciskając szczękę. Na jego blade policzki występuje rumieniec gniewu. Oczy ma w tej chwili

tak ciemne, że prawie czarne.

– Dajcie mi igłę i nici.

Słyszę, że George wydaje z siebie ciche westchnienie ulgi.

Bridget podchodzi do uzdrowiciela i rzuca mu przeprasające spojrzenie.

– Próbowałam nawlec sama, ale za bardzo trzęsły mi się ręce. Nie najlepiej znoszę widok krwi. – Wciska w dłoń Johna przybory do szycia i odchodzi od stołu, jakby w obawie, że zeskoczę i się na nią rzucę.

John bez wahania nawleka igłę. Czyni to z ogromną wprawą, jakby robił to już tysiąc razy w życiu. Końcówki związuje zgrabnym ciasnym supełkiem. Palce drżą mu niemal niedostrzegalnie. Gdybym wcześniej nie widziała, jak potrafią być spokojne, wątpię, bym zauważyła teraz cokolwiek. Bez słowa wręcza mi buteleczkę ze spirytusem. Pociągam dwa solidne łyki. Alkohol pali mi usta i gardło. Kiedy spływa do pustego, buntującego się żołądka, cała się trzęsę.

John podnosi igłę, za którą ciągnie się długi kawałek nici. Zielonej. W identycznym odcieniu jak skóra rycerza złożonego w leśnym grobowcu.

Opuszczam powieki i dokładnie w tej samej chwili ostra igła przebija moje ciało.

## ROZDZIAŁ 23

Oczywiście, że spodziewałam się bólu. Ale nie tak ostrego i intensywnego. Zanim się zorientowałam, z ust wydarł mi się zduszony okrzyk.

John przeciąga nić przez moją skórę i mocno ją napina. Pierwszy szew. Jak wiele będzie musiał założyć? Ile zniosę, zanim stracę przytomność?

On szyje, a ja liczę. Cztery. Pięć. Przy siódmym przestałam się przyglądać. Teraz leżę z zaciśniętymi powiekami, lecz one wcale nie powstrzymują łez. Słone krople leją mi się z oczu bez pozwolenia, zostawiając na twarzy wilgotne ścieżki. Łzy stanowią oznakę słabości i powinnam je czym prędzej osuszyć. Nie, nic mnie to nie obchodzi. W tej chwili mogę się skupić wyłącznie na bólu.

To pierwszy raz, kiedy czuję go naprawdę. Przedtem zawsze chroniło mnie znamię. Nie pozwalało cierpieniu rozwinąć skrzydeł. Okazało się jednak, że ukryta w mieczu magia znosi magię znamienia. Wskutek tego jestem teraz wystawiona na ból jak zwykły człowiek. Ciekawe, jak ludzie znoszą aż tak wielkie cierpienie? Jak radzą sobie ze świadomością, że żyją w świecie, gdzie taki ból jest możliwy? Przez tak długi czas chodziłam po świecie jakby w otępieniu. Nie rozumiałam tego.

Słyszę trzask nici i czuję ostatnie szarpnięcie skóry. Wszystko cichnie, nieruchomieje. Obracam głowę i otwieram oczy. John stoi pochylony nad stołem, podpira się dłońmi o blat, głowę ma zwieszoną.

Przez dobrą minutę nie zmienia pozycji, słyszę, jak oddycha. Powolne długie oddechy, jakby świadomie próbował je opanować.

– Przykro mi – odzywam się słabym, ochryplym głosem. Nie mogę jednak milczeć. Nie w tej sprawie. – Naprawdę bardzo mi przykro.

John gwałtownym ruchem podrywa głowę, chwytając leżącą na stole szpulkę i ciska nią przez całą jadalnię. Szpulka uderza w ścianę i z suchym grzechotem spada na posadzkę. Mgnienie potem uzdrowiciel obraca się na pięcie i gwałtownym krokiem wychodzi.

George rusza za przyjacielem, ale Fifer chwytając go za rękaw.

– Zostaw go – mówi. – Pozwól mu na chwilę samotności.

Oboje zwracają się ku mnie. Dołącza do nich Humbert. Podchodzą i przyglądają się bez słowa. Leżąc na stole, czuję się okropnie bezbronny. Sukienkę mam w strzępach, brzuch obnażony. Dygoczę z zimna, strachu, utraty krwi i z setek innych powodów, których nie potrafię określić. Niemniej muszę im powiedzieć, gdzie dokładnie jest ta przeklęta tablica. I muszę też wyznać, że nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłabym ją zniszczyć.

– Tablica... – mówię.

– Naprawdę jest u Blackwella? – pyta George.

Kiwam głową.

– To bardzo poważne oskarżenie. – Humbert marszczy czoło. – Znam Blackwella od bardzo dawna. Z pewnością jest to człowiek zdolny do wielu nieprzyjemnych czynków. I bez wątpienia ma powód, by doprowadzić do śmierci Nicholasa. Ale łamanie zasad własnego bratanka... Zasad, które sam ustanowił... Masz niezbitą pewność?

– Tak – przyznaję. Nabieram głęboko powietrza. Niełatwo to zrobić, nie naciągając boleśnie świeżych szwów.

Wreszcie opowiadam im o swoim ostatnim sprawdzianie u Blackwella. O tym, że zostało nas tylko piętnaścioro. O poprzedzającej test nocy, którą przeleżałam bezsennie, wpatrując się w sufit. O tym, że przyszli po nas o świcie i wyprowadzili w ciemność jedno po drugim, niepewnych, czy idziemy ku życiu, czy może na śmierć. O tym, jak Guildford powiódł mnie do lasu, do grobowca, gdzie miałam zostać pogrzebana żywcem pod ziemią. I pod własnym strachem.

– Po wszystkim, kiedy ziemia zniknęła i grobowiec wrócił do

właściwej pozycji, nastał ranek. W szparach wokół drzwi pojawiło się światło i pamiętam, że pomyślałam, iż coś się zmieniło. Kłapa nie była już tą samą drewnianą kłapą. Nie przyszło mi jednak do głowy, że to może być choć trochę istotne. Po prostu chciałam się stamtąd jak najszybciej wydostać. – Biorę kolejny haust powietrza. – Wreszcie pojawił się Guildford i próbował mnie wynieść. Miałam zamknięte oczy, wciąż śpiewałam skulona, zwinięta w ciasną kulkę. Nie byłam wtedy w pełni zmysłów.

– Zupełnie jak u Vedy... – szepcze George. Oczy ma wielkie jak spodki.

Twarz Fifer jest blada niczym karta welinowego papieru, praktycznie przestała mrugać oczami.

Potakuję skinieniem.

– Guildford musiał przyprowadzić drugiego gwardzistę i dopiero wspólnie wydostali mnie z tego grobowca. Kiedy wychodziliśmy, otworzyłam na moment oczy. Sama nie wiem dlaczego. Może chciałam ujrzeć miejsce, w którym prawie zginęłam, możliwe też, iż potrzebowałam dowodu, że naprawdę przeżyłam. Nie wiem. W każdym razie, gdy już uniosłam powieki, zobaczyłam ją – to właśnie była Trzynasta Tablica.

Fifer gwałtownie wciąga powietrze.

– Zrozumiałam to dopiero, kiedy zdobyłyśmy miecz i Fifer opowiedziała o grobowcu rycerza – mówię dalej. – Dotarło też do mnie, że aby tablicę zniszczyć, będę tam musiała wrócić.

– Jak chcesz tego dokonać? – pyta Humbert. – Rezydencja Blackwella jest strzeżona pilniej niż królewskie pałace. Ubrojeni wartownicy, bramy, most zwodzony, a to wszystko dopiero pierwsza linia. Mury i wieże przez całą dobę patrolują łucznicy. I są to chłopcy, którzy nie mają w zwyczaju strzelać na postrach.

– Wiem – przyznaję. – Nie mają.

Humbert wyciąga z kieszeni chusteczkę i ściera z czoła perlące się krople potu.

– Nie mam pojęcia, jak się tam dostanę – dodaję. – Po prostu muszę coś wymyślić.

W pokoju zapada cisza.



– Naprawdę byłem przekonany, że jesteś czarownicą – odzywa się po chwili Humbert. – Znaleźli przy tobie te zioła i uznałem... – Urywa i kręci głową.

– Przepraszam – mówię. – Nie mieliście się o mnie dowiedzieć. Nicholas... Nicholas stwierdził, że tak będzie lepiej.

Humbert kiwa głową.

– Rozumiem, że niekiedy należy się uciec do podstępów. Naturalnie, że to rozumiem. W końcu sam wiodę życie pełne tajemnic. Być może to niesmaczne, lecz bywa również nieodzowne. – Zwraca się ku Bridget, która stoi nieśmiało w drzwiach i przygląda się nam szeroko otwartymi oczyma. – Proszę cię, przygotuj dla Elizabeth kąpiel. Podaj jej też coś do jedzenia i naszykuj czyste ubrania. – Spogląda z powrotem na mnie. – Najpierw musisz stanąć na nogi. A potem pomyślimy nad sposobem przeniknięcia do twierdzy Blackwella.

George pomaga mi usiąść, a Fifer okrywa moje ramiona ciepłym kocem. Krok za krokiem wychodzimy całą trójką do holu, wspinamy się na schody i idziemy do mojego pokoju. Johna nigdzie nie ma.

Bridget przygotowuje mi wodę, po czym wraz z George'em żegna się z nami i wychodzi, a Fifer pomaga mi się rozebrać. Zanurzam się powoli w wonnej kąpeli i cicho wzdycham.

– To na pewno kora wierzby – zauważa Fifer. – Bridget dodała ją do wody. Pomaga uśmierzyć ból. Domyślam się, że to pomysł Johna.

Przymykam na moment oczy. Nie chcę teraz o nim myśleć.

Fifer przysuwa sobie krzesło do wanny i siada.

– Mogę cię o coś zapytać?

Kiwam głową.

– Zostałaś aresztowana za posiadanie trujących ziół. Wiedziałam o tym, ale przypominałam sobie to dopiero dzisiaj, kiedy powiedział o nich Humbert. Do czego chciałaś ich użyć?

Opieram się wygodniej i znów opuszczam powieki. Mogłabym się wyłgać setką kłamstw, zapewne nawet powinnam ją okłamać. Ale jestem zbyt zmęczona. Znużona kłamstwami i koniecznością wiecznego utrzymywania tysiąca tajemnic.

– Planowałaś kogoś otruć?

Potakuję.

– Dlaczego? To znaczy, skoro chciałaś kogoś uśmiercić, dlaczego zdecydowałaś się akurat na zioła? Nie można na nich polegać. Jedyńm powodem, dla którego mogłaś o nich pomyśleć, jest potrzeba utrzymania tego w sekre... – Urywa w pół słowa i spogląda na mnie w zdumieniu. Zapewne się domyśliła. – Elizabeth, kogo ty chciałaś zabić?

Jeszcze jeden głęboki wdech.

– Planowałam zamach na życie króla – mówię. – A to dlatego, że... że byłam jego kochanką.

Zaczęło się od liściku. Monarcha napisał go własnoręcznie i przekazał jednemu z osobistych gwardzistów, który podał notkę paziowi. Ten wręczył ją lokajowi, który podczas jednej z wystawnych kolacji wsunął mi kopertę na kolana. Pamiętam, że gruby pergamin rozkładałam z uśmiechem – byłam pewna, że to liścik od Caleba.

Ale nie. Nie Caleb był jego autorem.

Otrzymałam polecenie, by czekać na korytarzu przed kwaterami służących jeszcze tej samej nocy, a dokładnie o północy. Miał po mnie przyjść żołnierz królewskiej gwardii. Oczywiście wiedziałam, co się święci. Jak mogłabym nie wiedzieć? Już wcześniej zauważałam zbyt wiele ukradkowych spojrzeń, za często byłam proszona, by siadać obok niego i gawędzić o niczym. Darzył mnie zbyt dużym zainteresowaniem. Mnie, osobę, którą nie powinien się interesować wcale. Zresztą wiedziałabym nawet i bez tych zabiegów. Jak często napominał mnie Caleb: po północy żadnej damy nie może spotkać nic dobrego.

Ale odmówić władcy? Wykluczone.

Gwardzista pojawił się o wyznaczonej porze – nie Richard, ktoś inny – i poszłam za nim, powłócząc nogami. Przemierzyliśmy bezkresny labirynt wijących się pod pałacem tajnych przejść. Zbudowano je setki lat temu, by służyły za drogę ratunkową, gdyby do pałacu wdarli się najeźdźcy. Malcolm wynalazł dla tych korytarzy zupełnie inne zastosowanie.

Z kieliszkiem w dłoni czekał na mnie w swej prywatnej komnacie. Ubrany był swobodnie – ciemne spodnie, prosta ciemna koszula, w dodatku był bosy. Spojrzałam na niego zaskoczona. Oglądając go w takim stroju, łatwo było zapomnieć, że stoję w obliczu władcy. Zobaczyłam go prawie takim, jakim był naprawdę: osiemnastoletnim

chłopakiem, zmuszonym objąć tron po śmierci ojca; chłopcem sterowanym przez stryja, nakłonionym do zawarcia małżeństwa z kobietą, której nie darzył miłością. I wtedy przypomniałam sobie, po co mnie wezwał. Przypomniałam sobie, że nie otrzymałam zaproszenia, tylko polecenie. Dotarło do mnie, że nie mogę zapomnieć, iż mam do czynienia z królem.

Niebawem odprawił grupkę nadskakujących mu służących i zostaliśmy sami. Drżałam na całym ciele, trzęsłam się od stóp do głów, wcale nie z chłodu.

– Może podejdiesz bliżej kominka? – Podał mi kieliszek, właściwie wcisnął mi go do ręki. – Ogień pomoże ci się rozgrzać – dodał, nie bez uprzejmości.

Wypiłam jednym haustem. Wino. Rozpaliło mi brzuch i przytępiło nieco obawę. Napełnił kieliszek ponownie i raz jeszcze osuszyłam go od razu. Odebrał mi pusty kieliszek i odstawił na rzeźbiony kominek. Potem podszedł bliżej i uważnie mi się przyjrzał. Zobaczyłam swoje odbicie w jego bladozielonych oczach.

– Jesteś tak bardzo... – Umilkł, zabrakło mu słów.

– Młoda? – podsunęłam. Wino dodało mi śmiałości. Miałam nadzieję, że się ze mną zgodzi, że po prostu roześmieje się i odeśle mnie nietkniętą.

Król jednak tylko się uśmiechnął.

– Chciałem powiedzieć... urocza – dodał i zaczął mnie całować.

Otwieram oczy i spoglądam na Fifer. Siedzi, trzymając się kurczowo brzegów wanny, wpatruje się we mnie przenikliwie.

– Czyli gdybyś nie została aresztowana, Malcolm mógłby już nie żyć – zauważa.

– Nie wiem – odpowiadam. – Możliwe. Nosiłam te zioła przy sobie już od wielu tygodni, a jednak tego nie zrobiłam. Nie wiem, czy tak naprawdę kiedykolwiek bym się na to zdobyła.

– Dlaczego?

Kręcę głową.

– Bez względu na to, jaki jest i co zrobił, przecież nie przestał być naszym monarchą. Nie jestem pewna, czy zmusiłabym się do zabicia króla.

Fifer przez chwilę rozważa coś w milczeniu.

– Wiem, co czujesz – odzywa się. – Nie w tej sprawie, ale rozumiem, jak to jest, zaplątać się w sytuację, na którą nie ma się wpływu.

– O czym ty mówisz?

Znów na moment milknie.

– Studia magiczne u Nicholasa rozpoczęłam, gdy miałam sześć lat. Wszyscy, to znaczy wszyscy poza ludźmi w tym domu, są przekonani, że to dlatego, iż jestem wyjątkowa. Cudowne, niezwykle uzdolnione dziecko. Przecież musiałam być wspaniała, skoro przyjął mnie na naukę sam Nicholas, prawda? – Fifer spuszcza wzrok, stuka bladymi palcami o wannę. – Chcesz poznać prawdziwy powód?

– Tak. – Kiwam głową, mimo że ona tego nie widzi.

– Matka mnie oddała. Nie była czarownicą i bardzo się mnie bała. Lękała się tego, co już wtedy potrafiłam. A kiedy zmarł ojciec, matka uznała, że to ja go zabiłam. Nie wiem, czy to prawda. Po dziś dzień nie mam pojęcia. Wiem tyle, że mama w jakiś sposób odszukała Nicholasa, zostawiła mnie u niego i już nigdy potem nie wróciła.

Krzywię się. Dobrze znam takie opowieści, historie rozbitych, niepełnych rodzin.

– Przykro mi.

Fifer wzrusza ramionami.

– Co mogłam począć? Płakałam, darłam się, raz nawet uciekłam. Ale to jej nie sprowadziło. Nienawidziłam swoich zdolności. Gdybym mogła, oddałabym moc, byle tylko odzyskać mamę. Tak bardzo pragnęłam stać się zwykłą, przeciętną dziewczyną. – Wzdycha. – Czasem wciąż tego chcę. Zdarza mi się myśleć, że wtedy życie byłoby znacznie łatwiejsze.

Fifer pomaga mi wyjść z wanny i włożyć czystą koszulę nocną. Przyglądam się tej dziewczynie i czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Wygląda okropnie, wciąż ma na sobie podarty, ubrudzony strój, w którym poszła na festiwal. Włosy ma brudne, skołtunionie. Pod podbitym okiem widnieje fioletowy cień. Ze zmęczenia słania się na nogach.

– Powinnaś się położyć, wyspać – mówię.

– Racja. – Fifer ziewa i podchodzi do drzwi. – Ty zresztą też. Strasznie wyglądasz. W tym stanie tablicy nie zniszczysz na pewno. – Znika na korytarzu.

Tablica. To moja ostatnia myśl, zanim zapadam w niespokojny sen. Całą noc obracam się z boku na bok. Tablica. To także moja pierwsza myśl po przebudzeniu.

Ostrożnie wstaję. Bok boli mnie znacznie mniej niż wczoraj. Staję przy oknie i odciągam zasłony. Ziemia skryła się pod grubą warstwą mgły. Kolejny chłodny zimowy dzień w Anglii. Kiedy zamierzam się ubrać i zejść na dół, ktoś puka do drzwi.

– To ja – słyszę głos Fifer. – Wpuść mnie.

Otwieram drzwi i wydaję z siebie cichy okrzyk.

Fifer czeka na korytarzu, na twarzy ma pobłyskującą brokatem czarną maskę, przyozdobioną jaskraworóżowymi piórami.

– I jak? Podoba ci się? – Wchodzi do środka i zaczyna dokazywać. Podskakuje, przyjmuje śmieszne pozy. Barwa jej rudych włosów koszmarnie kontrastuje z odcieniem piór.

Marszczę nos i kręcę głową.

– Wiedziałam! – Zrywa maskę i odrzuca ją na łóżko. – To George wpadł na ten pomysł. Powiedział, że nie może już na mnie patrzeć. Taki z niego dzieciuch.

Doskonale rozumiem, o co mu chodziło. Mimo że opuchlizna zeszła, oko wciąż jest przekrwione i podkreślone fioletowym sińcem. Boli mnie od samego patrzenia.

– Co ty tu właściwie robisz? – pytam. – Chyba nie przyszedłeś, żeby zrobić mi pokaz mody?

– Coś ci przyniosłam. – Podaje mi kielich. – To lekarstwo. Od Johna. Masz wypić całość, bez marudzenia. Zobowiązał mnie, bym wróciła do niego z raportem.

Krzywię się. Domyślam się, że sporządził dla mnie najpaskudniejsze lekarstwo świata. Biorę ostrożny łyżeczek. Jednak zamiast kwasu czy goryczy, czuję smak truskawek. Wraca do mnie wspomnienie pierwszej kolacji u Nicholasa, kiedy nałożyłam sobie na talerz całą górę truskawek i wielką porcję ciasta. John musiał to zauważyć i zapamiętać. Nagły ból ścisnął mi pierś.

– Co się stało? Czemu się tak krzywisz? – dopytuje się Fifer. – Aż takie paskudne?

– Może być – odpowiadam, a Fifer unosi brwi. – Skąd ją właściwie masz? – Podnoszę maskę z pościeli. Jest ładna. Uszyta z czarnego jedwabiu, upstrzona maleńkimi czarnymi klejnocikami. Pióra to stanowcza przesada, ale widywałam już gorsze przybrania.

– Humbert ma cały kufer podobnych rzeczy. Wiesz, od tej jego przyjaciółki, księżnej. Zostały po jakimś balu maskowym. Nie umiem sobie takich przyjęć wyobrazić. Nie rozumiem, po co się stroić, skoro i tak nikt nie wie, kim jesteś. – Cmoka z powątpiewaniem. – A ty? Byłaś może kiedyś na balu przebierańców?

– Nawet na dwóch. – Kiwam głową. – Gdybym nie trafiła do więzienia, byłabym już na trzech. Malcolm wyprawia je co roku z okazji Bożego Narodzenia. W tym roku też na pewno będzie.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, co z tego wynika. Malcolm urządzi niebawem bal maskowy. Ten, na który Caleb zaprosił Katherine, ten, na który pod wpływem alkoholu zapraszałam George'a.

Zrywam z siebie koszulę nocną i pochylam się, by podnieść z podłogi swoje ubrania. W ranionym boku odzywa się głęboki, ostry ból. Kiedy jednak oglądam ranę, ze zdziwieniem zauważam, że nie jest tak obrzydliwa, jak się spodziewałam. Szwy zostały równo założone, zielona nić schludnie spina moją jasną skórę.

Fifer przygląda mi się badawczo.

– Co się stało?

Wciągam na siebie spodnie i bluzę. Nie zwracam nawet uwagi, czy do siebie pasują i czy są wyprane. Ani trochę mnie to nie obchodzi. Wkładam buty i lekko chwiejnym krokiem wychodzę na korytarz.

– Dokąd idziesz?

– Wytłumaczę na dole! – wołam do niej ze schodów. – Gdzie jest Humbert?

– W bibliotece.

Przechodząc przez hol, zauważam swoje odbicie w zawieszonym na ścianie lustrze. Krzywo zapięłam bluzę, nogawki mam wciśnięte w cholewy, potargane włosy. W sumie wyglądam jak wariatka.

Wreszcie docieram do biblioteki. Fifer idzie tuż za mną. Humbert

siedzi za biurkiem i pisze list.

– Elizabeth!!! – wrzeszczy. – Jak dobrze cię widzieć na...

– Humbert? Jaki dziś mamy dzień? – ucinam.

– Przepraszam, moja droga... Jak to jaki?

– Po prostu, który dzień miesiąca?

– Naturalnie mamy środę. Trzynasty dzień grudnia. – Uśmiecha się. – Ach, na pewno masz na myśli pogodę! Rzeczywiście, zima przyszła w tym roku dość wcześnie, prawda?

Nie słucham go, myślę. Dzisiaj jest trzynasty. Bal Malcolma został zaplanowany na trzecią sobotę miesiąca. Tylko jaki to dzień?

– Potrzebuję kalendarza – rzucam.

– Tak, cóż, dobrze. – Humbert otwiera szufladę i wyciąga z niej gruby zeszyt. – Proszę bardzo.

Wyrywam mu kalendarz z ręki i przerzucam kolejne kartki, aż wreszcie znajduję grudzień, roku pańskiego 1552.

– O mój Boże... – szepczę.

– Co się tu dzieje? – George wsuwa głowę do biblioteki.

– Wiem, w jaki sposób dostanę się do Blackwella. – Podnoszę kalendarz i wskazuję palcem datę. Sobota, szesnasty grudnia 1522. Za trzy dni. – Wybiorę się na bal maskowy Malcolma.

Humbert, Fifer i George wbijają we mnie spojrzenia.

– O czym ty mówisz?

Niecierpliwie potrząsam głową.

– Co roku, w okolicach Bożego Narodzenia, król urządza bal kostiumowy. Zaprasza wszystkich. Tłumy gości. Są występy, muzyka. Tańce i poczęstunki. Ludzie zjeżdżają z całego kraju. Ty się nie wybierasz? – Spoglądam na Humberta.

– Ostatnio nieczęsto bywam – przyznaje. – Wolę nie tańczyć... Rozumiesz, z tymi moimi korzonkami... i nogą... – Urywa. – Ale owszem, zaproszenie dotarło i do mnie. Już jakiś czas temu. Gdzieś je upchnąłem i właściwie to nawet zapomniałem. Ale przecież bale maskowe Malcolma odbywają się zwykle w Ravenscourt, czyż nie?

– Zazwyczaj tak – mówię. – Odkąd jednak protesty przybrały na sile, uznał, że bezpieczniej będzie zmienić lokalizację. Do ostatniego tygodnia nikt się nie dowie, gdzie odbędzie się bal. Wszyscy otrzymają

drugie zaproszenie i wtedy się okaże.

– A ty skąd wiesz o tym już teraz? – dziwi się George. – Ja nie mam pojęcia.

– No... – rumienię się jak burak – król mi powiedział.

George wymienia się z Fifer spojrzeniami. Humbert chrząka. Do tej pory tylko podejrzewałam, że Fifer mogła wypaplać, teraz mam niezbitą pewność.

– Tak czy inaczej – podejmuję. – W ciągu tych trzech dni muszę wiele przemyśleć. Najtrudniej będzie dostać się na miejsce. Za daleko, by pojechać konno, więc będę musiała popłynąć statkiem. Przemycę się na pokład. Już to robiłam, nic szczególnie trudnego. Być może będę tylko musiała kogoś przekonać, żeby dostarczył mnie na próg Blackwella, ale... No, co?

Cała trójka wpatruje się we mnie, jakbym była tak obłąkana, na jaką wyglądam.

– Nie wiem, Elizabeth – mówi Humbert. – Chcesz bez zaproszenia wejść do rezydencji Blackwella...

– Ależ mam zaproszenie – odpieram. – Zabiorę twoje.

– I naprawdę chcesz tam myszkować, wśród tylu ludzi? Nie jestem przekonany. To wydaje mi się dość niebezpieczne.

– Naturalnie, że niebezpieczne – przytakuję. – Wszystko, co robimy, jest niebezpieczne. Bal przebierańców to najlepsza okazja, jaka mogła mi się przytrafić. Pojawią się setki osób. Twarz ukryję pod maską. Blackwell będzie zajęty. Nikt nie zwróci uwagi na jednego ciekawskiego gościa.

Szukam spojrzeniem poparcia, ale George i Fifer unikają mojego wzroku.

Humbert wstaje z krzesła.

– Elizabeth, zeszłej nocy rozmawialiśmy już o tym we czwórkę. Bardzo długo. I ja, my, jesteśmy zdania, że powinnaś się wstrzymać do momentu, gdy Blackwell wróci na dwór. Powinien się tam pojawić w ciągu tygodnia, podejrzewam, że wkrótce po balu. Pod jego nieobecność będzie ci znacznie łatwiej. Pomoże ci też Peter ze swoimi ludźmi.

– A co ze strażnikami? Bramami? Nie mówiąc o bezimiennych



istotach, które wałęsają się tam po całym parku i ogrodzie... – Widzę, że Humbert robi przestraszoną minę. Tego o Blackwellu pewnie aż dotąd nie wiedział. – W dzień balu tego wszystkiego nie będzie.

– A zniszczenie tablicy? – przypomina George. – Będzie ci potrzebny ktoś do pomocy. Sama sobie nie poradzisz...

– Już raz to zrobiłam. Sama – rzucam ostro. – Poza tym naprawdę nikt nie może mi w tym pomóc. Rozumiecie? Nikt – dodaję roztrzęsionym głosem. Nie jestem pewna, czy z równowagi wytrącił mnie gniew, czy strach. – Muszę tego dokonać w pojedynkę.

– Elizabeth... – Humbert nie daje za wygraną.

– Nie – przerywam mu zdecydowanie. – Musicie robić, co zechcę, pamiętacie? Taka jest zasada. Robimy wszystko, co wymyślę.

A wymyśliłam właśnie, że chcę się wybrać na ten bal.

Za moimi plecami rozlega się znaczące chrząknięcie. Odwracam się i widzę Johna. Stoi w drzwiach i sprawia wrażenie wycieńczonego. Jest blady, ma podkrążone oczy. W dodatku jego ubranie jest tak wymięte, jakby w nim spał. Albo jakby nie spał ani minuty. Znowu czuję dziwne klucie w piersi.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Do... dobrze – odpowiadam, zaskoczona jego zainteresowaniem.

– Dziękuję.

Kiwa głową i spogląda na Humberta.

– Przychodzę z wieściami. – Podaje gospodarzowi list. – Niestety, nie są dobre.

Humbert odbiera przesyłkę i przebiega kartkę wzrokiem. Zaraz potem osuwa się z powrotem na krzesło i zwiesza głowę w smutku.

– Co się stało? – pyta Fifer. – O co chodzi?

– O Nicholasa – mówi John. – Nicholas umiera.

## ROZDZIAŁ 24



Fifer natychmiast wybucha płaczem.

– Wiadomo coś więcej? – pytam.

– Jego stan bardzo się pogorszył – tłumaczy John. – Uzdrowiciele z Harrow dają mu najdalej tydzień.

– Nie wolno nam do tego dopuścić! – zawodzi Fifer. – Musimy coś zrobić. Nicholas nie może umrzeć!

– Nie umrze – rzucam zdecydowanie. – Nie umrze, ponieważ pójdę na bal i zniszczę tę przeklętą tablicę.

Humbert otwiera usta. Widzę, że chce protestować, ale nie daję mu dojść do słowa.

– Wiem, co chcesz zrobić – mówię. – Ale nie mamy dość czasu. Jeżeli będziemy czekać, aż Blackwell wróci na dwór, Nicholas umrze. Nie możemy do tego dopuścić. Sam rozumiesz, co stanie się po jego śmierci.

Humbert milczy dłuższą chwilę. Ostatecznie potakuje skinieniem.

– Świetnie – podejmuję. – Będzie mi potrzebna sukienka, maska i twoje zaproszenie. I jeszcze wierzchowiec, żebym mogła dotrzeć do portu. – Zwracam się do Johna. – Gdzie znajdę najbliższy?

Uzdrowiciel zastanawia się przez moment.

– Przychodzą mi na myśl dwa. Najbliższy znajdziesz w Hackney. Lepszy jednak będzie Westferry. To bezpieczna przystań dla statków pirackich, które zatrzymują się w drodze na południe, by uzupełnić zapasy wody i prowiantu. Ojciec zna wszystkich kapitanów. Sam kilku

poznałem. Podejrzewam, że bez większego problemu mógłbym załatwić nam miejsce na pokładzie. Jeżeli wyruszymy dziś w nocy, rano powinniśmy złapać jakiś okręt.

– My? – dziwię się – O czym ty mówisz?

– Pojadę z tobą – odpowiada John. – Beze mnie na statek nie wsiądziesz. Wiem, że chciałaś dostać się ukradkiem, ale jeżeli cię znajdą i postanowią dla przykładu ukarać, będziesz mieć w życiu znacznie większe zmartwienia niż jakaś tam tablica uroku.

– Potrafię o siebie zadbać – rzucam.

– Świetnie! – prycha John. – A co z innymi problemami? Kto będzie doglądać twoich szwów? Kto ci przygotuje lekarstwa? Kto cię uchroni przed śmiercią? – W jego głosie pojawia się dziwna nuta, coś pomiędzy wściekłością a frustracją.

– Nikt! – podnoszę głos, także czując wzbierającą wściekłość i frustrację. Być może dlatego, iż wiem, że nikt nie jest w stanie mi pomóc.

Mierzymy się gorącymi spojrzeniami, w pokoju robi się cicho jak makiem zasiał.

– Pojadę z tobą – upiera się John.

– Ja też – wtrąca Fifer.

– Nie, nie, ty nigdzie nie jedziesz – mówię równocześnie z uzdrowicielem.

– Jadę i nawet nie próbujcie mnie powstrzymywać – wypala dziewczyna. – Mam miecz i o ile nie chcecie, żeby John znowu musiał kogoś zszywać, pozwolicie mi się przyłączyć.

– Nie myślicie chyba, że zostanę tu sam? – George podnosi głowę. Zwracam się do Humberta.

– W takim razie wszystko już ustalone. Pomożesz nam w przygotowaniach?

Zrezygnowany gospodarz kiwa głową. Daje znak ręką Johnowi i George'owi i prowadzi ich na piętro. Przyglądam się Fifer. Przestała płakać, ale wciąż ma zaczerwienione oczy i od czasu do czasu pociąga nosem.

– Nie chcę, żebyś jechała – mówię. – Naprawdę wolę być sama.

– Wiem – przyznaje – ale John ma rację. Będzie ci potrzebna

pomoc.

– Nie możecie mi pomóc – powtarzam. – A jeśli coś wam się stanie, kiedy będę zajęta tablicą, nie zdołam was ochronić.

– To już nasze zmartwienie. – Fifer wstaje z miejsca. – Chyba powinniśmy się przygotować do drogi.

– Idź pierwsza. Ja jeszcze mam coś do załatwienia.

Podchodzę do biurka Humberta, znajduję pióro i papier i zaczynam pisać. Nie potrafię co prawda powstrzymać moich towarzyszy przed wyprawą do Blackwella, ale mogę dopilnować, by udało im się stamtąd wrócić.

Kiedy kończę, składam starannie kartkę i pieczętuję ją roztopionym szkarłatnym woskiem, w którym odciskam pieczęć Humberta – symbol sokoła. Chwilę potem znajduję Bridget.

– Przekaż ten list Humbertowi zaraz po naszym wyjeździe – proszę. – Nie wcześniej i nie później. To bardzo ważne. Rozumiesz?

– Tak, panienko, rozumiem – odpowiada, zaniepokojona moim tonem.

– Świetnie. I przypilnuj, żeby Horacy nigdzie nie odleciał. Humbert będzie go potrzebował.

Godzinę później jesteśmy już wszyscy w stajni i pakujemy bagaże na grzbiety czwórki koni. Mamy na sobie liberie służących Humberta: jasnoszare, z wyhaftowanym na piersiach pomarańczowym konturem sokoła.

– Wasza nocna przejażdżka może się wydać podejrzana – zauważa Humbert. – Jeżeli ktokolwiek was zatrzyma, mówcie, że spodziewam się transportu owoców z Iberii, który ma nadejść o świcie i wysłałem was do portu po towar.

– Z Iberii? – powtarza George, wchodząc na niewysoki stołeczek. Jest tak niski, że bez pomocy nie wsiadłby na konia.

– Naturalnie! A skąd jak nie z Iberii miałbym w środku zimy sprowadzić wszystkie te pomarańcze, limonki i cytryny? – mówi Humbert i poklepuje Johna po ramieniu. – Cytrusy są szalenie zdrowe, prawda? W zeszłym tygodniu przyszły świeżutkie.

John odpowiada słabym uśmiechem i wskakuje na siodło.

– W Westferry znajdziecie gospodę o nazwie „Pod orzechem”. Moi

służący zawsze się w niej zatrzymują. Pytajcie o Iana. Załatwi wam wolne pokoje i nie będzie przy tym zadawał zbędnych pytań.

Humbert wyprowadza nas na zewnątrz. Jest czwarta, lecz niebo powoli ciemnieje. Wszedł też księżyc – zawieszony w wieczornym półmroku rogalik. Gdy szykujemy się do drogi, czuję na ramieniu dłoń Humberta. Odwracam się a on daje mi znak, bym się przysunęła.

Nachylam się.

– O co chodzi?

– Masz jeszcze ten pierścionek? – pyta szeptem.

– Tak – odpowiadam równie cicho. Robi mi się wstyd, że go spakowałam. Zapewne jest cenny i Humbert nie zamierza się z nim rozstawać. Boi się, że zginę. Sięgam więc do torby. – Jest gdzieś tutaj. Zaraz znajdę...

– Nie, nie. – Humbert przytrzymuje moją dłoń i lekko ściska. – Bardzo mi zależy, byś założyła go w dzień balu – dodaje. – Możesz to dla mnie zrobić?

– Tak, oczywiście – odpowiadam. – Ale dlaczego?

– Ten pierścionek przynosi szczęście – stwierdza. – Tak, tak.

Wiem, wiem. Przesady starego człowieka. Jednak ze świadomością, że go założysz, naprawdę poczuje się lepiej.

Owszem, to dość niemądry przesąd. Z drugiej jednak strony, tym razem szczęście będzie mi naprawdę bardzo potrzebne.

– Dobrze. Założę go – mówię. – Dziękuję ci.

Humbert raz jeszcze delikatnie ściska moją dłoń i już mam spiac konia, kiedy coś przychodzi mi do głowy.

– Chwileczkę – rzucam. – Słyszałaś, co powiedziałam? Przez cały czas szeptałam, a ty wszystko rozumiałeś. – Spoglądam mu głęboko w oczy. – Wcale nie jesteś głuchy, prawda?

Humbert puszcza do mnie oko.

– Och, nie wiem, nie wiem. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy odrobinę przygłusi. – Wybucham śmiechem na widok mojej zszokowanej miny. – To cudowna przypadłość, możesz mi wierzyć. Będąc głuchym, słyszy się tak wiele rozmaitych rzeczy. Zdziwiłabyś się, co ludzie wygadują, kiedy są przekonani, że nikt ich nie słucha. – W tej chwili śmieję się i ja. – Czy możemy się umówić, że zostanie to naszą wspólną

tajemnicą?

Kiwam głową.

– Dobre dziecko z ciebie. No, a teraz w drogę. Najwyższy czas.

Odjeżdżamy całą czwórką. Zanim przekroczyliśmy granicę posiadłości Humberta, zauważam krążącego pod niebem sokoła. Ptak przez moment kołuje nad nami, po czym odlatuje w dal. W pazurkach trzyma zwinięty pergamin.

– To chyba Horacy, co? – pyta George.

– Tak – potwierdza John. – Humbert nie zasypia gruszek w popiele. Od początku byłem pewien, że napisze do mojego ojca i da mu znać, dokąd się wybieramy. Tyle że myślałem, iż zaczeka przynajmniej, aż odjedziemy na dobre.

Uśmiecham się pod nosem. Jak dotąd wszystko idzie zgodnie z planem.

\* \* \*

Do Westferry docieramy po zmroku. Iana, znajomego Humberta, odnajdujemy bez trudu. Prowadzi nasze konie do swojej stajni, częstuje nas kolacją i wyznacza pokoje w gospodzie. Rzeczywiście odbywa się to bez kłopotliwych pytań. Fifer i ja natychmiast padamy na posłania. Jestem potwornie wyczerpana, a w boku wciąż czuję nieprzyjemne rwanie. Jeszcze przed wyjazdem John obwiązał mnie ciasno bandażem, lecz trzy godziny wierzchem i tak dały mi się mocno we znaki.

Śpię jak kamień. Kiedy podnoszę powieki, za oknem jest już jasno i ku memu zaskoczeniu, na niebie pojawia się chwilami słońce. Szybko się ubieramy i idziemy do pokoju chłopaków. John wygląda przez okno. Patrzy na cumujące w zatoce statki. On też już się ubrał i jest gotów do drogi.

– Zobaczyłeś kogoś znajomego? – pyta Fifer. Stawia torbę na podłogę.

– Jeszcze nie – odpowiada uzdrowiciel, osłaniając oczy dłonią.

– Nie możemy spróbować wsiąść na dowolny statek? – pytam. – W porcie stoi ich całkiem sporo.

John wzrusza ramionami, nie odwraca się.

– Możemy. I być może będziemy musieli. Pomyślałem jednak, że

lepiej będzie zaczekać na znajomego kapitana. Zawsze to bezpieczniej, zwłaszcza biorąc pod uwagę, dokąd chcemy popłynąć.

George przynosi nam do pokoju śniadanie. Jemy, a John cały czas obserwuje sytuację w przystani. Fifer i George grają na łóżku w karty, ja siadam w kącie na krześle. Próbuję odpocząć. Mimo że przespałam całą noc, wciąż jestem zmęczona. Podejrzewam, że to skutek niedawno otrzymanej rany. Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś aż tak bardzo mnie wykończyło.

W pewnym momencie czuję na ramieniu dłoń. Ktoś lekko mną potrząsa.

– Elizabeth, zbudź się! – Otwieram oczy i widzę stojącego obok George’a. – Czas ruszać. – Pomaga mi wstać i podaje bagaż.

John czeka przy drzwiach. Odkąd wyjechaliśmy od Humberta, nie odezwał się do mnie słowem, o ile nie wymagała tego sytuacja. Od czasu do czasu zauważam jego spojrzenia. Zerka na mnie, kiedy myśli, że tego nie widzę. Gdy jednak staram się pochwycić jego wzrok, natychmiast się odwraca.

W porcie tłoczą się ludzie, głównie dokerzy zajęci ładowaniem i wyładowywaniem skrzyń z towarami. Słońce mężnie stara się przebić przez wiszącą na horyzoncie mgiełkę. Przez chwilę stoję przy oknie, ciesząc się ciepłem sporadycznych promyków, które przyjemnie wnikają mi pod skórę. Powinnam się w tej chwili czuć bezpieczna na tyle, na ile ktoś taki jak ja może być bezpieczny. Z jakiegoś jednak powodu włoski na karku stają mi dęba. Tak jak wówczas, gdy wiem, że ktoś mnie śledzi.

– Który to? – pyta George.

Wzdłuż nabrzeża czeka kilkanaście statków. Niektóre są wielkie i masywne, zjeżone masztami, z których zwiesza się prawdziwy gąszcz lin. Wiatr rozdyma żagle, na pokładach piętrzą się pudła i kufry. Inne okręty są niskie i smukłe. Za jedyny ładunek mają działa, wyglądające z otworów w burtach niczym maleńkie ślepia.

– Tamten, na samym końcu. – John wskazuje jedną z mniejszych jednostek, stojących przy pomoście.

– „Kaprys”? – George z uśmiechem odczytuje wyrytą w drewnie nazwę.

– Raczej mało okazały – zauważa Fifer. – Myślałam, że

popłyniemy czymś takim. – Pokazuje palcem większe okręty.

John kręci głową.

– Rezydencja Blackwella stoi w pewnej odległości od głównego koryta rzeki. Duży statek nie dowiozłby nas odpowiednio blisko. Osiadłby na płyciźnie. No, chyba że wolisz wiosłować godzinę w szalupie, co?

Fifer robi dziwną minę.

– Ale masz rację, to dość niewielki statek – dodaje. – Za to szybki i groźny dla każdego przeciwnika. Ma aż czterdzieści sześć dział. To jakieś cztery razy więcej niż większe statki kupieckie, więc w razie kłopotów powinno wystarczyć z nawiązką. Kapitan jest zwykle skory do współpracy. A jego żeglarze raczej nie wyrzucą nas za burtę, jeśli z jakiegoś powodu nie przypadniemy im do gustu. – John wzrusza ramionami. – To chyba ważniejsze niż chwytliwa nazwa?

– Dobra robota. – George klepie przyjaciela po karku. – Jak zwykle.

Jeszcze jedno wzruszenie ramion.

Wychodzimy z tawerny, zanurzamy się w tłum i kierujemy w stronę statku. Gdy jesteśmy w połowie drogi, ktoś na mnie wpada i wytrąca mi torbę z ręki. Przystaję, by ją podnieść. W tej samej chwili ktoś inny zderza się ze mną ramieniem, następny przechodzień zasłania mi towarzyszy. Tracę ich z oczu.

Słońce ponownie wygląda zza chmur. Mimo że świeci bardzo jasno, nigdzie nie widzę reszty. Obracam się bezradnie, wypatrując wśród ciżby znajomych twarzy. Bez skutku. Ogarnia mnie narastająca panika. Nagle ktoś chwyta mnie za rękę. Oglądam się, przekonana, że to George, może John. Widzę jednak kogoś zupełnie innego.

Caleb.

– Cześć, Elizabeth – wita się spokojnie, zupełnie swobodnie, tak jakbyśmy spotkali się na dworskim korytarzu, przy barze w „Na krańcu świata” lub gdziekolwiek indziej, a nie w małomiasteczkowym porcie, czyli ostatnim miejscu, w jakim spodziewałabym się go ujrzeć.

– Caleb – wyrywa mi się. – Co ty tu... Jak się... I jak mnie...

– Pytasz, jak cię znalazłem?

Kiwam szybko głową, zbyt oszołomiona, by cokolwiek wykrztusić.



– Łatwo nie było, nie będę kłamać. Pewną wskazówką były ciała zabitych gwardzistów w okolicach Stepney Green. Gdy tylko ich zobaczyłem, wiedziałem, kto za tym stoi. Twoje rzemiosło poznałbym zawsze i wszędzie. – Uśmiecha się, lecz jego oczy pozostają ponure.

– Caleb, ja... – Zaczynam dygotać.

Ucisza mnie, unosząc dłoń.

– Muszę z tobą porozmawiać, a nie mamy wiele czasu. Jest tu Marcus. Linus też. Nie widzieli cię, jeszcze nie.

Rozglądam się niespokojnie, przeszukując spojrzeniem port. A jeśli znaleźli już resztę?

– Nie bój się, nie szukają twoich przyjaciół. Wydałem w tej sprawie kategoriyczny rozkaz. Mają ich zostawić w spokoju.

Zamieram.

– Nie patrz tak na mnie. Cieszę się, że znalazłaś nowych przyjaciół. I cieszę się, że ktoś o ciebie zadbał. Zwłaszcza ten jeden bardzo się o ciebie troszczy.

Wydaję z siebie stłumione, wylęknione westchnienie.

– Elizabeth, chcę, żebyś ze mną wróciła.

– Co? Nie, nie mogę iść do więzienia. Caleb, ja nie wrócę.

– Nie trafisz do więzienia – prostuje Caleb. – Zostałem przecież nowym inkwizytorem. Zrobią, co powiem. A chcę, żebyś wróciła i znów pracowała jako łowczyni czarownic.

– Co takiego? – Nie wierzę własnym uszom. – Nie, Caleb. Naprawdę nie mogę.

Marszczy czoło.

– Dlaczego? Co innego zamierzasz robić? Chyba nie chcesz powiedzieć, że planujesz zostać z tymi... – lekceważąco macha ręką – ...z nimi?

– Tak. To znaczy nie. Nie wiem. – Dociera do mnie, że nie mam pojęcia, czego chcę od życia. Naprawdę nie wiem, czym mogłabym się zająć w przyszłości.

– Co on ci powiedział? – Caleb wyciąga rękę i chwyta mnie za ramię. – Co takiego wmówił ci Nicholas Perevil, że uwierzyłaś, iż przy nim będziesz bezpieczna? Bardziej bezpieczna niż ze mną? Skąd pewność, że nie zgładzi cię, gdy tylko spełnisz wszystkie jego

zachcianki?

Wyrywam się z jego uścisku.

– Nie chodzi o Nicholasa. Chodzi o ciebie. – Pod powiekami czuję piekące łzy. – Nie wróciłeś. Nie przyszedłeś do Fleet. Zostawiłeś mnie tam na pewną śmierć. Nie miałam wyboru.

– Kto ci takich rzeczy naopowiadał? Nicholas? – odpira Caleb. – Oczywiście, że chciałem po ciebie wrócić. Prosiłem przecież, żebyś na mnie poczekała. A ty obiecałaś, że niczego nie zrobisz na własną rękę. – Znow ujmuję moją dłoń. – Po prostu, kiedy przyszedłem, ciebie już nie było.

Grozi mi prawdziwy, niemożliwy do opanowania wodospad łez. Nie wiem już, komu powinnam wierzyć. Nie wiem, w co chciałabym uwierzyć.

– Mało brakowało, a umarłabym w tym lochu. Wiedziałaś o tym? – Nie mogę polegać na swoim głosie, lecz mimo to nie milknę. – Skoro naprawdę chciałeś po mnie wrócić, dlaczego zajęło ci to aż tyle czasu?

– Wiedzieliśmy, że Nicholas spróbuje cię uwolnić – tłumaczy Caleb. – Blackwell dowiedział się tego od swojego jasnowidza. To był podstęp, pułapka. Twoje aresztowanie i wszystko, co wydarzyło się potem. Trafiałaś do więzienia w charakterze przynęty na Nicholasa. Blackwell przyznał się do tego, kiedy poszedłem się za tobą wstawić.

Caleb mnie zdradził. Ta myśl wywołuje kolejny skurcz żołądka.

– I ty się na to zgodziłeś? – pytam pełnym niedowierzania szeptem. – Wiedziałaś przecież, jak bardzo jestem chora. Musiałaś też widzieć, jak głęboko byłam przerażona. Caleb, ja tam prawie umarłam, naprawdę – powtarzam, ponieważ trzeba to powtórzyć. – A ty do tego dopuściłeś!

– Wykonywałem rozkazy Blackwella – odpowiada. – Jestem twoim najlepszym przyjacielem. Naprawdę myślisz, że pozwoliłbym ci zginąć?

Milczę.

– Czy to ma znaczyć, że mi nie ufasz?

Obrzucam go niespokojnym spojrzeniem. Wygląda tak samo jak zawsze, jest tym samym Calebem, którego znam od tak dawna.

Niezaspokojony, ambitny, wciąż pragnący czegoś nowego, czegoś więcej. Dopiero w tej chwili jednak uświadamiam sobie, że ta

rozbuchana ambicja draży go od wewnątrz niczym zaraza. I jak choroba kieruje teraz całym jego życiem – dyktuje mu, co powinien robić, co zauważać, a co ignorować. I podobnie jak każda plaga, pewnego dnia wpędzi go do grobu.

Mnie prawie wpędziła.

– Tobie ufam – odpowiadam – ale nie Blackwellowi.

– Co ty wygadujesz? Bez niego bylibyśmy nikim. Wciąż siedziałabyś w kuchni, a ja tyrałbym u rzeźnika albo Bóg wie gdzie. Kiedy nikt nas nawet nie zauważał, Blackwell dał nam prawdziwą szansę. – W głosie Caleba słyszę rosnące przekonanie. – Zawdzięczasz mu całe swoje życie. Podobnie jak ja.

Kręcę głową. Nie chcę nawet myśleć o tym, co Blackwell zrobił z moim życiem.

– Chodź ze mną – namawia mnie Caleb. Mówi niskim przekonującym tonem. – Rankiem dojedziemy już do Upminster i znów będzie jak zawsze. Tylko ty i ja.

– Nie, Caleb. Nie mogę.

– Co? – Otwiera szeroko oczy. Jest w najwyższym stopniu zdumiony. Jeszcze nigdy w życiu niczego mu nie odmówiłam, nie sprzeciwiłam się. Dotąd zawsze szłam tam, gdzie chciał iść on.

– Nie mogę tam wrócić – powtarzam. – I nie chcę, żebyś ty wracał. Boję się o ciebie, Caleb. Boję się tego, co Blackwell planuje, i nie podoba mi się to, co może zrobić tobie. – Głośno przełykam ślinę. – Podejrzewam, że jesteś w niebezpieczeństwie.

– Nie bądź śmieszna – rzuca Caleb. – Mnie nic nie grozi. Niestety, nie mogę obiecać, że jeżeli nie zdecydujesz się ze mną pojechać, nic złego nie spotka ciebie.

Wychwytyję w tych słowach nieomylną nutę – przestrozę. Niemniej cofam się przed nim o krok. I przemyka mi przez myśl, że swój prawdziwy test zdaję właśnie teraz: sprawdzian siły woli i panowania nad strachem, równie rzeczywisty i ważny, jak tamten w grobowcu. Może tego Blackwell nie zaplanował w każdym szczególe, lecz bez niego nie musiałabym go przechodzić. To Blackwell sprawił, że muszę wybierać pomiędzy najlepszym przyjacielem a wolnością – między rodziną a życiem.

– Jeżeli ze mną nie wrócisz, nie zdołam ci pomóc – podejmuje Caleb. – Nawet gdyby przytrafiło ci się coś bardzo nieprzyjemnego, nie będę mógł cię ochronić. Nie tym razem. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Kiwam głową. Doskonale rozumiem.

Podchodzi do mnie i łapie za ramię, lecz puszcza już po chwili, jakby takie zachowanie wobec mnie już mu nie przystoiło. I właśnie to, ten drobny gest, rezygnacja z trzymania nade mną pieczy, sprawia, iż uświadamiam sobie, że Caleb uwolnił mnie naprawdę. Pozwala mi odejść. Mimo że pół życia spędziliśmy razem, od teraz będziemy już zawsze osobno. Szloch wstrząsa moją pierś, nijak nie potrafię go powstrzymać.

Cofa się, skłania nieznacznie głowę. Pora pożegnania.

– Powiem reszcie, że cię zgubiłem – rzuca szorstko. W jego tonie słyszę wszystkie uczucia, którymi Caleb od dawna gardzi, wszystkie emocje, które tak usilnie stara się tłumić. – Nie będę nawet musiał kłamać.

I to już wszystko. Odchodzi i niknie wśród tłumu.

## ROZDZIAŁ 25



Ludzie tłoczą się ze wszystkich stron. Co i rusz ktoś na mnie wpada. Jestem tak oszołomiona, że nie mogę nawet drgnąć. Wpatruję się niewidzącym wzrokiem w portową ciżbę. W głowie wciąż rozbrzmiewa mi echo słów Caleba. Nagle czyjaś ręka opada mi na ramię. Podskakuję.

To George.

– Tutaj jesteś! – mówi. Stoi tuż przede mną. Moment później dołączają do nas John i Fifer. Przyglądają mi się, marszcząc czoła. – Co się stało? Ledwie się na chwilę odwróciliśmy, a ty już się gdzieś zawieruszyłaś.

– Przepraszam... Ja tylko... – Kręcę głową. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Nie mogę się przyznać do spotkania z Calebem. Na pewno chcieliby o tym podyskutować i nalegaliby na zmianę planów. – Tak nagle zrobiło się jasno – dukam wreszcie pod nosem. – Chyba po prostu zakręciło mi się w głowie.

– Uhm – mruczy George. – Ale teraz już chodźmy. Statek czeka.

Razem z Fifer ruszają w stronę pomostu. John jednak zostaje i wpatruje się we mnie ze znacząco uniesioną brwią. Milczące pytanie.

Mogłabym mu powiedzieć, że wpadłam na Caleba, opowiedzieć o wszystkim, co od niego usłyszałam. Tylko w zasadzie po co? Nic już nie zmieni faktu, że prawdopodobnie na zawsze rozstałam się ze swoim najlepszym przyjacielem. Właściwie dopiero teraz uderza mnie to z całą mocą. Powoli zaczynam naprawdę rozumieć, co takiego zrobiłam. Do moich oczu wracają łzy. Tym razem nie próbuję ich powstrzymać.

W spojrzeniu Johna zapala się płomyk zrozumienia. Domyślił się.  
– Gdzie on jest? – Rozgląda się gwałtownie wśród doków. – Był tu sam? Przyślą posiłki?

– Nie... On nie... – łamie mi się głos – wypuścił mnie.

– Chodź – rzuca John niskim, ostrym tonem.

Kładzie mi dłoń na krzyżu, nieznacznie mnie popycha i prowadzi przez tłoczny port ku trapowi, gdzie czekają już George i Fifer. Przyglądają się nam ciekawie, lecz o nic nie pytają.

– Posłuchajcie – odzywa się John. – Nie wychodźcie przede mnie i nie próbujcie mnie wyręczać w rozmowie. A wy obie załóżcie kaptury.  
– Zerka na mnie i Fifer. – Jeśli wywołacie wśród załogi zamieszanie, nigdzie nas nie zawiozą.

Ruszamy we czwórkę po wąskim drewnianym mostku na statek. Tuż przed pokładem drogę zastępuje nam potężnie zbudowany brodac z mieczem w ręku.

– Stać! Ani kroku dalej! – Ostrze wędruje ku piersi Johna.

– Chcę pomówić z kapitanem – oświadcza uzdrowiciel.

Marynarz parska śmiechem.

– Wszyscy chcą mówić z kapitanem. I wszystkich odsyłam z kwitkiem. Dlaczego niby ciebie miałbym potraktować inaczej?

– Ponieważ ten statek należy do mnie – odpowiada John.

Obrzucam George'a zaskoczonym spojrzeniem, lecz on wzrusza jedynie ramionami. – Czy to wystarczający powód?

Brodacz przygląda się Johnowi dokładniej. Nagle otwiera szeroko oczy i wydziera się wniebogłosy:

– John Raleigh! – Chwyta uzdrowiciela za rękę i praktycznie wciąga na pokład. – Chłopie, od razu powinienem był cię poznać. Wykapany tatuś, jak dwie krople wody! Co tu porabiasz? Tylko nie mów, że postanowiłeś zamienić swoje cnotliwe życie na krwawy żywot niegodziwca?

– Niezupełnie – odpowiada z uśmiechem John. – Razem z przyjaciółmi potrzebujemy się dostać do Upmister. A dokładniej do Greenwich Tower, co ty na to?

Marynarz unosi brwi.

– Mam nadzieję, że nie przychodzisz do nas z pustymi rękoma?

John wyciąga z torby pękata sakiewkę. Potrząsa nią. Brzęczenie metalu zdradza, że jest wypchana monetami.

– Nie śmiałybym.

Brodacz odwraca się i kiwa ręką na Johna.

– Chodź, przedstawiś sprawę osobiście. Twoi przyjaciele mogą zaczekać tutaj.

Obaj wchodzą na górny pokład, do kajuty kapitana. My stajemy przy burcie i staramy się nie zwracać uwagi na wścibskie spojrzenia pozostałych żeglarzy.

Mijają długie chwile. Wreszcie pojawia się John, wychodzi z kajuty. Od razu widzę, że coś go rozwścieczyło. Posepnieję. Kapitan na pewno odmówił. Tylko dlaczego? W końcu statek należy do Johna. Ruszam na górę, z niezłomnym postanowieniem, że osobiście zmuszę kapitana, by przyjął nas na pokład. Prawie natychmiast dostrzegam powód rozdrażnienia uzdrowiciela.

Opuszcza kajutę tuż za Johnem. Odziany w czerń. Ponad jasnoblękitnymi oczyma i złośliwym uśmiechem kołysze się zmierzwiona jasna czupryna.

Schuyler.

Nie zastanawiam się ani chwili. Odwracam się, wyszarpuję Azotha z ukrytej pod płaszczem Fifer pochwy i idę w stronę zjawy, unosząc ostrze do jej gardła. Fifer wydaje z siebie cichy okrzyk.

Schuyler nawet nie mrugnął.

– Ach, moja mała myszka, skarbeniek! Coś mi mówiło, że jeszcze się spotkamy. Aczkolwiek wyobrażałem sobie troszeczkę inne okoliczności. Mniej broni, mniej wrogości, mniej ubrań...

– Zamknij się! – ucinam szorstko. – Zwrot w tył i odejdz stąd grzecznie. A jeśli uda ci się to zrobić bez słowa, być może pozwolę ci zachować głowę na karku.

– Elizabeth, odłóż miecz – rzuca John.

– Nie! – podnoszę głos. – On na to właśnie czeka. Zależy mu na tej broni. Azoth nie może wpaść w jego ręce. Zanieś go prosto do Blackwella i...

– Nie dlatego się tu zjawił – tłumaczy John. – Fifer go przyzwała.

– Co? – Czubek miecza wciąż kołysze się lekko przy gardle zjawy.

Nie odrywam spojrzenia od jej twarzy. – Fifer? Dlaczego?

– Fiu, fiu, naprawdę potrafisz sprawić, że chłopak czuje się pożądanym. – Schuyler opiera dwa palce na płazie miecza. – Może opuścimy to żelastwo i...

Koniuszkiem ostrza nacinam mu skórę na gardle, pojawia się kropla niecodziennie ciemnej krwi.

– Przestań – chrypi zjawa. – Jestem tu, żeby ci pomóc.

– Co? – powtarzam. – Jak niby mógłbyś mi pomóc? Akurat ty?

– Schuyler pomoże ci zniszczyć tablicę – odzywa się Fifer. – Ja wiem, jesteś przekonana, że poradzisz sobie sama, ale mylisz się. – Wymieniają się z Johnem spojrzeniami, w oczach uzdrowiciela pojawia się cień niepokoju. – Potrzebujesz wsparcia.

– O czym ty mówisz? – pytam ostro.

– Jest coś o czym... Musimy porozmawiać – odpowiada.

– Więc rozmawiajmy.

– Czy mógłbym zasugerować, żebyśmy odbyli tę rozmowę gdzie indziej? – wtrąca George. – Na przykład gdzieś, gdzie nie usłyszy nas połowa załogi?

Rozglądam się. Rzeczywiście, wokół nas zebrało się przynajmniej dwudziestu piratów. Niemal wszyscy wyciągają z kieszeni pieniądze.

– Nie przerywajcie sobie – odzywa się jeden z nich, ukazując przy tym dwa rzędy zepsutych czarnych zębów. – Właśnie postawiłem dziesięć koron na to, że zjawa urwie ci rękę.

– Daję dwadzieścia na to, że panienska odrąbie mu łeb!

– Suweren na to, że najpierw on pozbawi ją ramienia, a ona skróci go o głowę potem.

Żeglarze zaczynają głośno rozprawiać, monety pobrzękują w ich dłoniach.

– Idziemy – odzywa się John. – Musiałem dać kapitanowi wszystko, co miałem, żeby wpuścił nas na pokład. Ale jak tak dalek pójdzie, wyrzuci nas z powrotem na brzeg. – Wiedzie spojrzeniem dokoła. – Chodźmy na rufę. Ty! – Wskazuje na Schuylera. – Jeżeli pojawią się przez ciebie jakiegokolwiek kłopoty, osobiście cię tym mieczem przebiję, jasne?

– Mój drogi John, uprzejmy jak zawsze! – mamrocze zjawa. – Nie



dziwota, że tak bardzo się jej podobasz.

John robi zaskoczoną minę. Trwa to ledwie chwileczkę, zaraz potem krzywi się paskudnie.

– Idziemy!

Odrywam ostrze od gardła Schuylera i przeciskamy się między piratami, którzy odprowadzają nas gwizdami i pomrukami. Wchodzimy po drewnianych stopniach na górny pokład, mijamy skrzynie i działa, aż docieramy na rufę. Tutaj, na górze, jest cicho. Otaczają nas tylko zwoje okrętowych lin, kolejne armaty i beczki z prochem.

– Więc co się dzieje? – pytam.

Fifer przysiada na starannie ułożonej linie i wzdycha.

– Chodzi o twój sprawdzian.

– A dokładniej?

– Kiedy nam o nim opowiedziałś i poszłaś spać, przedyskutowaliśmy sprawę we własnym gronie. W szczególności zainteresowały nas wykorzystane przy tym sprawdzianie zaklęcia.

– Aha – rzucam. – I?

– Z tego, co mówiłaś, wynika, że zastosowano specyficzną kombinację czarów. Ścisłej rzecz biorąc, zaklęcie w zaklęciu. Pierwszym, co jasne, był czar ukrycia. Wykorzystano go, by zamaskować tablicę pod postacią zwykłej drewnianej kłapy. Do tego dochodzi iluzja.

– To nie była żadna iluzja. – Patrę po twarzach towarzyszy. – Wszystko działało się naprawdę.

– Owszem, to była iluzja – stwierdza z naciskiem Fifer. – Co jednak nie znaczy, że próba nie odbyła się naprawdę. Przecież wszystko, co cię otaczało, widziałaś, czułaś, reagowałaś jak na realne wydarzenia. W tym sensie była to rzeczywistość. Twój strach sprawił, że próba była prawdziwa.

– Czyli na jedno wychodzi – zauważam.

Fifer kręci głową.

– Nie, wcale nie na jedno. Istnieje poważna różnica. Otóż człowiek znajdujący się wewnątrz iluzji, o ile jest obdarzony wielkim talentem bądź uśmiechnie się do niego szczęście, może przekonać sam siebie, zrozumieć i uwierzyć, że to, co widzi, jest nieprawdziwe. A wtedy

ustępuje podtrzymujący iluzję strach i pryska ona sama. Przecież zdaje się o to właśnie chodziło w twoim sprawdzianie, prawda? O pokonanie strachu?

– Masz rację.

Fifer kiwa głową.

– Do tego właśnie doszło, gdy zaczęłaś śpiewać. Uspokoiliś się na dość długo, by pojąć, że to nie dzieje się naprawdę. Dlatego później zobaczyłaś tablicę w miejscu klapy. Przejrzałaś iluzję. A teraz będziesz musiała ten wyczyn powtórzyć.

– No dobrze – mówię. – Zrobię to samo co wtedy. Myślę też, że będzie mi łatwiej. W końcu wiem już, w jaki sposób działa zaklęcie.

Spoglądam po ich twarzach. George siedzi z kolanami pod brodą. John wpatruje się w fale, szczęki ma zaciśnięte, ramiona splecione na piersi. A Schuyler patrzy to na mnie, to na Fifer.

– Coś mi może umknęło? – dopytuję się niespokojnie.

Fifer bierze głębszy oddech.

– Czy sprawdzian pozostałych łowców wyglądał identycznie jak twój?

– Nie – odpowiadam. – Nasze testy mocno się między sobą różniły.

Oczywiście, nigdy potem do tych chwil nie wracaliśmy. Nietrudno się jednak domyślić, z czym zetknął się każdy z nas. Z rzeczami, które sprawiają, że krzyczymy przez sen, z tym wszystkim, czego na jawie unikamy za wszelką cenę. Nawet Caleb nie opowiedział mi o swoim sprawdzianie, lecz podejrzewam, że miał związek z tonięciem. Do łaźni udało mi się go zapędzić dopiero miesiąc później. Zresztą po dziś dzień nie cierpi wody, krzywi się, gdy tylko zaczyna padać.

– Rozumiem. Z tego wynika, że zaklęcie reaguje na obawy poddanych mu osób. Trzeba ci wiedzieć, że to bardzo zaawansowany czar. Nie mam pojęcia, skąd Blackwell wytrzasnął równie doświadczonego maga. Osobiście nie znam nikogo takiego, naturalnie poza Nicholasem... – Fifer urywa i kręci głową. – Czego ty bałaś się najbardziej?

– Przecież już wam opowiedziałam. – Kręcę głową.

– Wiem, ale... Naprawdę boisz się zostać pogrzebana żywcem?

– Teraz już tak. Chociaż nie... Teraz... – Zawieszam głos. Nie

mam ochoty nikomu wyjawiać, czego boję się najbardziej w świecie. Wtedy musiałabym się przyznać do czegoś znacznie bardziej poważnego.

– No więc? – naciska Fifer.

Odwracam się od nich i spoglądam na morze. Wciąż jednak czuję wbite we mnie spojrzenia.

– Nie jestem przekonana, że to tak ważne – mruczę.

– To niezwykle ważne. – Fifer podnosi głos. – A jeśli ta próba będzie inna? Jeżeli teraz boisz się czegoś innego? Obawiam się, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć, z czym przyjdzie ci się zmierzyć. Kołysanka może nie wystarczyć.

Odwracam się do nich i otwieram szeroko oczy. O tym nie pomyślałam. Byłam przekonana, że test będzie wyglądać tak samo jak za pierwszym razem. Nie podejrzewałam nawet, że może być jeszcze trudniejszy.

– Nie wiemy też, w jakim stanie będziesz po wszystkim – mówi dalej Fifer. – Jeżeli będziesz zbyt słaba, jeśli zostaniesz ranna, wtedy tablicę będzie musiał zniszczyć Schuyler. Spośród nas tylko on jest dostatecznie potężny.

Spoglądam na zjawę.

– I ty się na to zgodziłaś? Dlaczego?

Wzdycha. Przynajmniej raz nie wydaje się rozbawiony, nie jest też obojętny. I w tej chwili wyraźnie widać po nim jego prawdziwy wiek. W spojrzeniu Schuylera przemykają wspomnienia tego, czego doświadczył w życiu – niczym ciemny cień pod warstwą błękitu.

– Dlatego, że Fifer mnie o to poprosiła – odpowiada. – Dlatego, że nie chcę, by to ona musiała tam z tobą iść. Dlatego, że nie chcę śmierci Nicholasa. Dlatego, iż moim zdaniem, Blackwell jest znacznie bardziej niebezpieczny, niż ktokolwiek podejrzewa. Ponieważ jeśli tego nie zrobię, zostanę takim samym zbiegiem jak ty. – Wzrusza ramionami. – Mam przed sobą jeszcze wiele lat życia. Nie chcę przez cały ten czas uciekać.

Kucam na pokładzie i mocno obejmuję nogi rękami. Nie odzywa się nikt, po prostu nikt nie ma nic do powiedzenia. Po chwili przysuwa się do mnie George. Otacza mnie ramieniem.

– Poradzisz sobie – mówi z głębokim przekonaniem. – Już wcześniej im to tłumaczyłem. Dziewczyna, która zdołała przeżyć starcie z Hastingsem, poradzi sobie ze wszystkim.

Śmieję się krótko, niepewnie.

– Może właśnie na tym będzie polegać moja nowa próba. Pojedynek z duchem uzbrojonym w worek mąki i stadko martwego drobiu.

Fifer i Schuyler reagują uśmiechami.

Tylko John jest wciąż śmiertelnie poważny.

\* \* \*

Słońce chyli się ku zachodowi. Morze się uspokaja. Fale z wolna cichną, coraz głośniejsze zachowują się za to kręcące się po pokładzie żeglarze. W ich dłoniach pojawiają się instrumenty – skrzypki i lutnie. Rozlegają się pierwsze pełne fałszywych nut piosenki. Kilku piratów hałaśliwie rżnie w karty, gdzie indziej toczy się burzliwa rozgrywka w kości.

George podnosi się z desek.

– Chyba zagram kilka partyjek. – Zerka na karciarzy. – Postaram się odrobić nasz przejazd. Czy ktoś ma ochotę wspomóc mnie gotówką?

John wyciąga z kieszeni dwie monety i rzuca je przyjacielowi.

– Więcej naprawdę nie mam. Postaraj się nie przepuć całości już przy pierwszym rozdaniu.

George robi zszokowaną minę.

– Przegrać? Ja? O nie, kochany! Wrócę z naszymi pieniędzmi w niecałą godzinkę. Przekonacie się. – Puszczą do mnie oczko i zbiegają galopem po schodach.

Chwilę potem wstaje Schuyler. Przeciąga się.

– Przespaceruję się po statku. Popatrzę sobie na księżyc i tak dalej. O ile nie masz nic przeciwko – dodaje, rzucając ostre spojrzenie na Johna. – Nie chciałbym, żeby naczelnik więzienia się na mnie pogniewał.

Uzdrowiciel wzrusza ramionami.

– Nie mam, o ile pójdzie z tobą Fifer. I jeśli będzie cię trzymać na czubku miecza.

Dziewczyna podrywa z desek Azotha i przytyka klingę do pleców zjawy.

– Fiu, fiu! Widzę, że lubisz na ostro? – Schuyler szczerzy się w uśmiechu. – Panienska pozwoli? – Wyciąga dłoń do Fifer.

Odprowadzam ich wzrokiem. Po stopniach i przez pokład idą blisko siebie, niemal stykają się policzkami. Rozmawiają szeptem. Zwracam się do Johna:

– Puściłeś ich samych? Dlaczego?

– I tak ciągle gdzieś razem znikają. – Wzrusza ramionami. – Jak dotąd nie udało mi się tej znajomości ukrócić i nic nie zapowiada, że powiedzie mi się w przyszłości. Ale przynajmniej Fifer nie jest bezbronna.

Uśmiecham się. Zaraz potem dociera do mnie, że my także zostaliśmy sami. On ze mną. Ja z nim. Nie mam wątpliwości, że to ostatnie miejsce na świecie, gdzie John chciałby w tej chwili być.

– Wiesz, chyba położę się spać – mówię.

John spogląda na mnie pytająco.

– Czyżbyś próbowała się mnie pozbyć?

– Nie – odpowiadam. – Raczej chciałam dać ci znać, że nie musisz tu siedzieć.

– Nic złego mi się nie dzieje – stwierdza John. – Chociaż chętnie bym coś przekąsił. A ty?

– Sama nie wiem.

– Tak czy nie? To nie jest trudne pytanie. – Rzuca mi lekki uśmiech.

– Tak.

– Dobra, zaraz wracam. – Podnosi się i odchodzi.

Nie rozumiem, dlaczego w ogóle się mną przejmuje. Czemu go interesuje, czy jestem głodna, czy nie? Ach, tak. Na pewno uznał, że aby Nicholas miał szansę przeżyć, ja też muszę pozostać przy życiu. A od czasu do czasu nawet ja wymagam dokarmienia. Niemożliwe, żeby chodziło mu o cokolwiek innego.

John wraca po kilku minutach. Przyniósł ze sobą lniiany tobołek. Rozwija go i rozkłada przede mną poczęstunek. Ser, figi, jabłka, szynka, bochenek chleba, butelka wody.

– Brakuje tylko ciasta – mówi. – Przepraszam. Ale naprawdę pytałem.

– Niepotrzebnie. I tak jestem zachwycona. – Aż mrugam z niedowierzania.

– W takim razie wcinaj.

Przez jakiś czas milczymy. Zjadamy wszystko, co do okruszka. Po kolacji John siada obok mnie na pokładzie i opiera się plecami o burtę. Pociąga z butelki łyk wody i podaje ją mnie. Bez słowa przysłuchujemy się żeglarskim szantom i chlupotowi rozcinanych przez statek fal.

– Skąd wiedział, gdzie cię szukać? – odzywa się wreszcie. – Caleb?

– Podobno Blackwell korzysta z usług jasnowidza.

Uzdrowiciel potakuje skinieniem głowy.

– Wiedzieliśmy już o tym. A w każdym razie podejrzewaliśmy.

Powiedział ci coś więcej?

– Chciał, żebym wróciła i ponownie została łowczynią czarownic.

Dodał, że jeśli wystąpię przeciwko Blackwellowi, nie będzie mnie w stanie ochronić. I jeszcze, że... – Urywam.

– Co takiego?

– Stwierdził, że jeżeli nie wrócę do Upminster, zostanę sama.

– I co ty na to?

Głośno przełykam ślinę.

– Pożegnałam się z nim. A on mnie wtedy wypuścił. Uwolnił. –

Milknę i wbijam spojrzenie w czubki butów.

John też się nie odzywa. Czuję jednak jego spojrzenie. Przygląda mi się w blasku księżyca.

– Czy ty go kochasz? – pyta znienacka.

Pytanie zaskakuje mnie tak bardzo, że wypuszczam z rąk butelkę. Woda chlapie mi na cholewy butów. John szybko podnosi butelkę i zatyka szyjkę korkiem.

– Był dla mnie jak rodzina – odpowiadam. – Oczywiście, że go kocham.

– Nie o taką miłość pytałem.

Popadam w zadumę. Caleb był moim najlepszym przyjacielem, był całym moim życiem. W pewnym okresie rzeczywiście myślałam, że kocham go nie jako bratnią duszę, lecz jako kogoś więcej. Wydawało mi

się nawet, że być może jest to uczucie odwzajemnione. Z drugiej strony, w głębi serca, przez cały czas byłam przekonana, że Caleb widzi we mnie zbyt wiele wad. Nie byłam dostatecznie ładna ani wystarczająco ambitna. Po prostu nie taka jak trzeba i kropka. I mimo iż starałam się z tym walczyć, rozumiałam, że wyrastamy na bardzo różnych ludzi. A jedynym, co trzyma nas razem, jest moja zależność od Caleba i jego poczucie obowiązku wobec mnie. Kiedy dzisiaj się z nim pożegnałam, poczułam głęboko w sobie – nabrałam pewności – że rozstał się ze mną ze szczerą ulgą.

Zerkam na Johna. Wpatruje się w wilgotne deski pokładu, lecz na pewno nasłuchuje. Widać to po nim: nawet nie drgnie, ma spięte ramiona, mocno ściska szyjkę butelki. Czeka na odpowiedź.

– Nie.

Podnosi wzrok. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

– Dlaczego zapytałeś? – przerywam milczenie.

Wciąga powietrze. Spogląda daleko w morze, pomiędzy jego brwiami ciemnieje głęboka zmarszczka. Kiedy się ku mnie na powrót odwraca, oczy ma równie czarne, nieruchome i bezdenne jak ocean.

– Chciałem wiedzieć. Nic więcej. Po prostu chciałem to wiedzieć.

– Ach... – rzucam.

Ponownie milkniemy. Mimo że siedzimy w milczeniu, odnoszę wrażenie, iż John próbuje mi coś powiedzieć. Ja także usiłuję powiedzieć coś jemu, tyle że żadne z nas nie wie dokładnie co. A jeśli nawet wiemy, za bardzo boimy się wymówić te słowa na głos.

– Powinnaś się przespać – odzywa się wreszcie John. Bardzo cicho. – Przyniosłem ci koc. – Podaje mi go. Gruby szary pled. Pachnie solą i cedrowym drewnem. Woń statku.

– Dobrze – odpowiadam równie zdławionym szeptem. – Dziękuję.

Układam się na pokładzie. Pod głowę wsuwam torbę, a koc podciągam aż pod brodę. Sen jednak nie chce przyjść. Głowę mam pełną myśli o Calebie, Johnie, Blackwellu i czekającej mnie próbie.

Zastanawiam się, co mnie spotka. Daremny wysiłek. Za każdym razem, kiedy wyobrażam sobie jeden strach, zaraz przychodzi mi do głowy inny, jeszcze bardziej przerażający. Nie, nie chcę już się nad tym zastanawiać. Otwieram oczy i patrzę na Johna. Wciąż siedzi oparty

o burtę, nogi wyciągnął przed siebie, głowę zadarł ku górze. Ogląda niebo.

– Czy to naprawdę twój statek? – pytam.

Opuszcza głowę, spogląda na mnie.

– Tak.

– Jak to? – dziwię się. – Wydawało mi się, że przecież nie chciałeś zostać piratem.

– Bo nie chciałem. Kiedy ojciec przystąpił do ruchu reformistów, pozbył się całej swojej flotyli. Zachował tylko ten jeden statek. Swój ulubiony. I podarował go mnie. Domyślałam się, że kierowała nim nadzieja, iż kiedyś zmienię zdanie. Nie zmieniłem, ale mimo wszystko nie chciałem się z tym okrętem rozstawać. Wynająłem więc kapitana, który pływa nim w moim imieniu.

– Ach, tak... – Zastanawiam się przez chwilę. – Ale skoro statek należy do ciebie, dlaczego musieliśmy za ten rejs płacić?

Przez twarz Johna przemyka uśmiezek.

– Przecież kapitan jest piratem – odpowiada. – A w dodatku pozbawionym skrupułów prostakiem, któremu obca jest wszelka dobroczynność. Niemniej ufam mu jako człowiekowi. Ufam mu, a nawet go lubię. Ostatecznie tylko to się liczy.

Coś w tych słowach mocno mnie tknęło. Nie – chyba jednak nie. Opuszczam powieki. I wreszcie – czując kołysanie pokładu, obecność Johna i słysząc urywki koszmarnie fałszowanych pieśni – zapadam w głęboki sen.



## ROZDZIAŁ 26



Budzę się gwałtownie. Nagły przechył statku wyrzucił mnie spod nakrycia. Otwieram oczy i wyglądam za burtę. Po niebie gnają siwe chmury, morze jest szare i wzburzone. Dokoła zaczynają się leniwie rozbudzać pozostali. Fifer i Schuyler leżą wtuleni w siebie i rozmawiają ściszonymi głosami. George przeciągle ziewa.

Siadam i okrywam ramiona pledem. Po pokładzie hulają przenikliwe zimne powiewy. Wiatr tarł mi włosy, które łaskoczą moje policzki.

– Gdzie jest John? – pytam.

– Poszedł po coś do jedzenia – odpowiada George. – Obiecał, że dowie się, kiedy dopłyniemy. Osobiście mam szczerą nadzieję, że niedługo. Jeżeli ta krypa nie przestanie zaraz kołysać, obawiam się, że dostanę mdłości.

Ledwie skończył mówić, pojawia się uzdrowiciel. Gdy wchodzi po schodach, statek podskakuje na fali i John przytrzymuje się poręczy. Ustawia przed nami jedzenie i podaje mi kielich.

– Nie wydaje mi się, żeby ci zasmakowało, ale nie miałem wielu odpowiednich składników – mówi. – Lepiej, żebyś wypła, póki ciepłe. Zimne będzie jeszcze gorsze.

– Dziękuję. Dowiedziałeś się czegoś? – pytam, biorąc kielich do ręki.

– Za jakieś cztery godziny będziemy w Upminster. Niestety, zanosi się na sztorm, więc rejs może się trochę przeciągnąć. Tak czy inaczej, na

miejsce dotrzemy przed zachodem słońca.

John rozdaje nam chleb i kawałki twardego sera, po czym zajmuje miejsce obok mnie.

– Poprosiłem kapitana, by nas wysadził około półtora kilometra od rezydencji Blackwella – podejmuje. – Wiem, że w okolicy będzie sporo innych statków i nikt nie zwróciłby na nas większej uwagi, ale nie ma powodu niepotrzebnie ryzykować. – Spogląda na mnie. – Żywię nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

Przecząco kręcę głową.

– Dobrze zrobiłeś. Dziękuję.

Odrywam kęs chleba, ale nie wkładam go do ust. Nerwowe myśli o zbliżającym się wieczorze pozbawiły mnie apetytu. Pozostali też skubią śniadanie bez większego entuzjazmu.

– Do środka powinniśmy się dostać bez problemu – odzywam się. – Mamy co prawda tylko jedno zaproszenie, ale na pewno uda się nam jakoś nim wymienić. Przerzucimy przez mur, czy coś. Potem wmieszamy się po prostu w tłum gości.

Tłum gości. Malcolm, Blackwell, Caleb. Wszyscy znajomi łowcy czarownic. Nie mówiąc o gwardzistach, służących i setce innych osób, które mogą mnie rozpoznać w mgnieniu oka. Staram się opanować drżenie i mówię dalej:

– Nie próbujcie się chować po kątach. Blackwell jest bardzo wyczulony na takie zachowania. Dlatego lepiej poruszać się otwarcie, ale w miarę możliwości unikajmy rozmów. Oficjalna część balu zaczyna się o dziewiątej i wtedy właśnie pójdę do grobowca.

Schuyler obejmuje Fifer ramieniem. Nie wiem, co ona sobie myśli, nie mam pojęcia, co myśli on, lecz sądząc po jej bladej twarzy i sposobie, w jaki przygryza wargę, przychodzą mi do głowy pewne podejrzenia.

– Wy wtedy zaczekacie – kontynuuję. – Nic innego wam nie pozostaje. Trzymajcie się w pobliżu, ale nie za blisko. Zachowujcie się jak zwykli goście, a nic złego was nie spotka. Nikt nie będzie się wam narzucać. Na tym balu pojawi się zbyt wiele wysoko postawionych osób, by Blackwell chciał ryzykować, że zrazi do siebie jakąś szychę. Gdyby jednak wyniknęły kłopoty, Schuyler, ty ich wyprowadzisz. Jeśli będzie

trzeba, użyj Azotha, ale wydostań wszystkich. Jasne?

– A jeżeli coś się stanie, kiedy będziesz jeszcze w grobowcu? Co wtedy? – pyta George.

– Wtedy Schuyler wróci i mnie wydostanie. – Spoglądam na zjawę.  
– Prawda?

Schuyler obrzuca mnie spojrzeniem i w jego oczach pojawia się błysk zrozumienia.

– Jak sobie życzysz, złotko.

Patrzę po pozostałych.

– To naprawdę dobry plan. Jeśli będziemy się go trzymać, wszystko powinno pójść jak z płatka.

Tyle że to kłamstwo.

Wszystko, co im powiedziałam, jest kłamstwem, i tylko Schuyler zna prawdę. Wtedy w nocy, kiedy wyskoczyłam z okna Humberta, a on złapał mnie w ramiona, zyskał dostęp do moich myśli. Słyszał też moje myśli wczorajszego wieczora, dokładnie tak, jak chciałam. Rozumie, na czym polega mój prawdziwy plan. I zdaje sobie sprawę, że aby ochronić resztę, nie mam innego wyjścia.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Statek kołysze w przód i w tył, żagle wściekle łopoczą. Na pokładzie krząta się garstka żeglarzy – przywiązują linami beczki i skrzynie, zabezpieczają działa, by nie zjechały z pokładu. Wtem John zrywa się na równe nogi i odchodzi żwawym krokiem w kierunku kapitańskiej kajuty. Znika w środku. Patrzę na George'a, lecz on tylko wzrusza ramionami.

Niebawem na horyzoncie pojawia się ciemna linia. Wybrzeże. Czyli wkrótce dopłyniemy.

– Chyba powinniśmy się przygotować – decyduję. – Fifer, musimy się przebrać, ale ja nie wiem, gdzie tu....

– Ty możesz skorzystać z kajuty kapitana.

Podnoszę wzrok i widzę Johna. Stoi nade mną z torbą w ręku. Wygląda koszmarnie. Ma nabiegłe krwią oczy i pobladłą twarz. Zbielały mu nawet wargi.

– Najpierw jednak chcę rzucić okiem na twoje szwy. Możemy zrobić to tutaj, ale tam będziesz się chyba czuła bardziej swobodnie.

– Dobrze. – Przechodzimy przez rozchwiany pokład. Kilka razy

przystaję, by złapać równowagę, John idzie pewnie. Wreszcie znikamy wewnątrz.

Luksusowe wnętrze. Wyściełana dywanem podłoga. Szerokie kwadratowe okna, obramowane aksamitnymi zasłonami. Na środku stoi wielki dębowy stół i krzesła. Półka pod oknem ugina się pod ciężarem książek. W przeciwległą ścianę wbudowane jest łóżko nakryte miękką pościelą, mieniającą się rozmaitymi odcieniami błękitu.

– Gdzie mam się położyć? – pytam.

– Stół nam wystarczy.

Wspinam się na blat i kładę. Uzdrowiciel staje nade mną. Przygląda mi się przez chwilę, po czym odchrząkuje.

– Chyba... Chyba muszę je zobaczyć.

Na mgnienie zamieram, po czym rozpinam koszulę. Unoszę ją powoli, odsłaniając nagi brzuch. W końcu już kiedyś mnie widział. Jest lekarzem, naoglądał się ludzi. Mimo wszystko czuję się nieswojo. W kajucie jest bardzo ciepło, choć może to zasługa rumieńca, który oblał moją szyję i zakradł się na policzki. Odwracam się i patrzę w okno. Nie chcę, żeby cokolwiek zauważył.

John pochyla się i zaczyna zdejmować opatrunek, jego palce trącają moją skórę niemal pieszczotliwie. Serce łomocze mi tak mocno. Aż dziw, że on tego nie słyszy. Aczkolwiek... może i słyszy.

– Dobrze to wygląda – odzywa się po chwili. – Myślałem, że będzie gorzej. Być może znamię jednak działa. Nie wiem. Jak na osobę z trzydziestoma dwoma szwami...

– Trzydziestoma dwoma? – Znów patrzę mu w oczy. – Założyłeś mi trzydzieści dwa szwy?

Przytakuje skinieniem głowy.

– Rana była... paskudna. Byłem przekonany, że już się nie wylizesz. Gdyby ostrze weszło na pięć centymetrów głębiej, nie byłoby dla ciebie ratunku. A gdybyś umarła... – Milknie i zaczyna zakładać mi świeże bandażę.

– Co gdybym umarła?

– Nie wiem. Po prostu nie chciałem. – Zagląda mi w oczy. – Wiem, kim jesteś, ale to niczego nie zmienia. Nie chcę, żebyś zginęła.

Przełykam ślinę.

Statkiem rzuca mocniej niż dotąd, wszystko kołysze się z boku na bok. Przytrzymuję się blatu, żeby nie spaść ze stołu. John pochyla głowę i zapiera się dłońmi. Dolatuje mnie jego oddech. Głęboki, powolny, miarowy – identyczny jak wtedy, kiedy skończył zakładać mi szwy.

– Co się stało? – pytam. – Coś nie tak?

Nie odpowiada. Przy kolejnym skoku pokładu opada na krzesło obok mnie.

– Mogę usiąść? – szepcze.

Sięga pod stół, wyjmując swoją torbę i zaczyna ją nerwowo przeszukiwać. W jego dłoni pojawia się nóż i – akurat tego się nie spodziewałam – cytryna. Szybko rozcina ją na dwie połowy, jedną podsuwa sobie do nosa. Zaciąga się zapachem.

Przyglądam mu się szeroko otwartymi oczyma.

– Co ty robisz?

Wciąż nie odpowiada. Po prostu siedzi i wdycha aromat owocu. Ostra kwaskowa woń wypełnia kajutę.

– Pamiętasz, kiedy zapytałaś, dlaczego nie poszedłem w ślady ojca i nie zostałem piratem?

– Tak.

– Wszystko przez chorobę morską. – Zwraca wzrok na mnie.

Twarz ma równie szarą i wyczutą z barw jak niebo i morze. – Cierpię na wyjątkowo ciężką odmianę. Gdyby nie cytryna, wymiotowałbym jak kot.

Odsuwa ją od nosa i próbuje się uśmiechnąć. Chce mi dać znać, że żartuje. Widzę jednak wyraźnie, że to wcale nie są żarty. Wygląda okropnie.

– Z pomocą ojca chwyciłem się różnych sposobów. Wywary, przyprawy, zioła. Bez skutku. Jedyne poprawę daje mi cytryna. Gdy byłem dzieckiem, spryskiwałem sobie jej sokiem ubrania. Rzeczywiście wtedy czułem się lepiej, ale zostawały plamy i mama dostawała szału.

Nagle przypominam sobie napój, którym Bram poczęstował mnie na leśnym festiwalu. Napój, który miał smakować jak coś, czego pragnę najbardziej na świecie. Napój, który miał posmak cytryny.

– Och – szepczę.

Zsuwam się ze stołu i siadam na drugim wolnym krześle. Obok

Johna. Czuję mdłości, ale te nie mają nic wspólnego z rozkołysanymi falami. Żołądek skręca mi się w ciasny supeł, w piersi rozchodzi się tępy ból. Wiem, że powinnam mu coś powiedzieć, lecz nie mam pojęcia co.

– Cokolwiek się dzisiaj stanie, chcę ci podziękować – odzywam się wreszcie. Nie jest mi łatwo mówić. – Za to, że się mną zaopiekowałeś, za wszystko. Chciałabym też... – Nie kończę zdania. Nie ma sensu opowiadać o tym, czego bym chciała. – Chime ma dużo szczęścia – dodaję.

– Co? – John podnosi gwałtownie głowę. Zbłąkany kosmyk osuwa mu się na oczy, lecz nawet nie próbuje go poprawić. – Co powiedziałaś?

– Chime – powtarzam. – Poznałam ją na festiwalu. Fifer mi ją przedstawiła. Chime mówiła, że jesteście... – Znowu milknę. Wzbiera we mnie gwałtowna fala zazdrości, tak silna, że kręci mi się w głowie.

– Nie. – John kręci głową. – Nie ma szczęścia. Nie jesteśmy... – Zawiesza głos.

– W porządku – mówię. – Rozumiem.

– Naprawdę?

Nie. Zupełnie nie rozumiem, co się dzieje. Kiedy na niego patrzę, gdy widzę tę ściągniętą bladą twarz, zasnutę cieniem chmurne oczy, czuję się równie źle, jak on wygląda. Niewiele myśląc, unoszę dłoń i odgarniam mu z twarzy niesforny loczek.

Gdy muskam jego skórę, we wzroku Johna pojawia się zdumienie. Robi mi się głupio, zamieram. Co ja wyprawiam? Powoli cofam rękę, lecz John szybko łapie ją w swoje dłonie, jego palce splatają się z moimi. Ścisza mnie mocno. Trwamy tak przez chwilę, złączeni spojrzeniami. Żadne z nas nie odzywa się słowem.

Wtem w kajucie rozlega się czyjeś chrząknięcie. Odwracam się i widzę stojącą w wejściu Fifer. Patrzy na przyjaciela, na mnie, na cytrynę, znów na mnie. Oczy ma wielkie jak młyńskie koła.

– Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać – odzywa się wreszcie – ale musimy się przygotować.

John uwalnia moją dłoń. Sięga po torbę i pośpiesznie zaczyna się pakować. Do środka trafia cytryna, nóż, bandaż. Po chwili wstaje z krzesła i bez słowa wychodzi. Znika za drzwiami, nie poświęcając ani mnie, ani Fifer jednego spojrzenia.

Fifer wchodzi głębiej. Wystroiła się już na bal. Ma na sobie sukienkę, którą dostała od Humberta – miedziany jedwabny dół, zielony stan. Włosy splotła z tyłu, tylko wokół piegowatych policzków spływają jej ciasno skręcone pukle. Siniec pod okiem wciąż jest widoczny, lecz udało się jej go przygasić grubą warstwą pudru.

– Ładnie wyglądasz – przyznaję.

– Cóż, ty nie bardzo – oświadcza, obrzucając mnie krytycznym spojrzeniem. – Jesteś blada jak ściana, a twoja fryzura to po prostu jedno wielkie nieszczęście. – Stawia na blacie moją torbę i zagląda do środka. Na blat trafiają kolejno: ciemnoniebieska sukienka z ptasim wzorem, para niebieskich trzewików, grzebienie i biżuteria. – Zobaczmy, co da się zrobić.

Po chwili, która wydała mi się wiecznością, Fifer odsuwa się ode mnie na krok. Wręcza mi lustro i muszę jej oddać, że nieźle się spisała. Jakimś cudem zdołała ujarzmić moje włosy. Są teraz gładko przyczesane, lśniące, spływają mi na ramiona miękkimi falami. Boki upięła grzebieniami, tak jak wcześniej Bridget spinkami, a bladość warg i policzków przykryła różem.

– Nie zapomnij o tym. – Fifer podaje mi naszyjnik z szafirami i pierścionek.

Obiecałam Humbertowi, że go założę. W panującym w kajucie półmroku ledwie widać serduszko wyryte na spodniej stronie pierścionka.

– Dziękuję. – Uśmiecham się. – Jak na dziewczynę, która maszeruje na własny pogrzeb, wyglądam całkiem, całkiem.

To miał być żart, lecz Fifer krzywi się z niesmakiem.

– Nie zostawimy cię tam – mówi.

– Nie wiem, czy uda mi się wydostać – przypominam.

– Tak. – Kiwa głową. – Ale nie zostawimy cię – powtarza z uśmiechem. – Chodźmy. Czekają na nas.

Wychodzimy na zewnątrz. Nadciąga zmierzch, chmury zaczynają się z wolna rozpraszać, na niebie ukazuje się jasno świecący księżyc. John, George i Schuyler czekają tuż za drzwiami.

Zjawa ma na sobie tradycyjne czarne ubranie. George ubrał się na niebiesko. Bez piór, broszek i pstrokatych barw zmienił się prawie nie do

poznania. John włożył czarne spodnie i białą koszulę, do której dodał czarny kaftan z czerwonymi lamówkami. Tylko włosy ma wciąż w nieładzie, podmuchy wiatru spychają dłuższe kosmyki na czoło i do oczu. Uświadamiam sobie, że przyglądam mu się stanowczo zbyt długo, ale on też na mnie patrzy.

Schuyler odchyła głowę do tyłu i jęczy.

– Tylko nie to! – rzuca. – Nie wiem, czy dłużej to zniosę.

– O czym ty mówisz? – pytam.

– O tobie mówię. I o nim. O tym. – Zjawa wskazuje palcem mnie i uzdrowiciela. – O tych wszystkich uczuciach. Czuję je na całym statku, szamocą się jak dzikie ptaki w klatce. Miłość! Nienawiść! Pożądanie! Strach! Fuj! Zupełnie jakbym znalazł się w środku egejskiej tragedii. – Obrzuca spojrzeniem George'a. – Mam nadzieję, że nie zaczniecie zaraz śpiewać, co?

George uśmiecha się od ucha do ucha. Odwracam spojrzenie. Policzki mi płoną.

– Zamknij się, Schuyler! – podnosi głos Fifer. – Pokażmy im i bierzmy się do roboty.

– Co nam chcecie pokazać? – pytam, wdzięczna za zmianę tematu.

Schuyler dobywa z kieszeni płaszczu jakieś szpargały. Kartkę pergaminu, wymiętoszony bilet, dwie mapy.

– Ile tego masz? – pyta Fifer.

– Cztery sztuki – odpowiada Schuyler, po czym rozdziera pergamin na pół. – Właściwie to pięć.

– Świetnie. – Fifer sięga do torby i wyciąga grubą kremową kartkę. Rozpoznaję ją natychmiast. Delikatne czarne litery i jaskrawoczerwona pieczęć w kształcie róży: zaproszenie na bal Blackwella. Fifer odbiera papiery od Schuylera i układa je na pokładzie w stosik. Zaproszenie ląduje na samej górze.

– Co robisz? – pytam.

– Przecież jakoś musimy na ten bal wejść – przypomina Fifer. – Wiem, planowałam, że będziemy sobie przekazywać jedno zaproszenie, ale wymyśliłam lepszy sposób. – Znów gmera w torbie i wyciąga wiedźmową drabinkę. – Zostały mi dwa supełki. – Rozwija czarny jedwabny sznureczek na pełną długość. – Jeden z nich bardzo się nam



w tej chwili przyda.

– Ach! – odzywa się George. – Świetny pomysł.

– Też tak sędzę. – Fifer rozplątuje węzełek i składa dłoń na stosiku papierów. – Odmień.

Na moich oczach mapy, bilet i dwa kawałki pergaminu ulegają przemianie, rozrastają się, przeobrażają, przybierają inne barwy, aż wreszcie stają się idealnymi kopiami oryginalnego zaproszenia. Fifer rozdaje je wszystkim.

– Co to za zaklęcie? – pytam. – To samo, które rzuciłaś po drodze do Humberta? Kiedy zmieniłaś kępkę trawy w żywopłot?

– Owszem, zasada jest ta sama. – Jedno z zaproszeń trafia w moje ręce. Kartki okazują się lekko ciepłe w dotyku. – Jeden przedmiot przechodzi w inny. Fachowo nazywamy to transferencją. Bardzo pożyteczny czar. Tyle że wymaga sporo energii. Bez pomocy Nicholasa nie dałabym rady. – Fifer potrząsa lekko sznureczkiem. – On potrafi zmienić niemal dowolny przedmiot w dowolny inny. Niesamowita umiejętność.

Podchodzi do nas jakiś człowiek. Klepie Johna w plecy i witają się uściskiem dłoni. To musi być kapitan.

– Za kwadrans przybijemy do brzegu – oznajmia. – Zbierzcie bagaże i zaczekajcie przy trapie. Postój nie będzie długi. Nie ma potrzeby marudzić.

John rzuca kilka słów podziękowania i kapitan odchodzi, wykrzykując polecenia załodze.

Sięgamy po torby. Fifer ukrywa Azotha pod sukienką i podchodzimy do burty. Powoli ukazuje się nam rezydencja Blackwella.

Oglądana od strony rzeki, przypomina twierdzę. Cztery potężne kamienne mury. Proste i niezwykle wysokie. Na rogach strzelają ku górze jeszcze wyższe wieże zwieńczone kopułami, na których powiewają niewielkie flagi ozdobione symbolem czerwonej róży. Sztandary Blackwella. Całość otoczona jest jeszcze jednym murem. Ciągnie się wzdłuż brzegu kilometrami.

Pośrodku muru zauważam niedużą żelazną bramę wodną, pod którą przepływa rzeka. Przez większość czasu brama jest zamknięta. Dzisiejszego wieczora stoi jednak otworem, rozwarta niczym wielka,

zjeżona żelaznymi zębiskami paszcza. Odnoszę wrażenie, że tylko czeka, by mnie pożreć.

Zwykle dom Blackwella świeci pustkami. W tej chwili jednak przystań niemal pęka w szwach od statków wszelkich kształtów i rozmiarów. Goście przyłynęli z najdalszych zakątków Anglii. Dalej, w dole rzeki, dostrzegam mniejsze barki, na których pokładach tłoczą się mieszkańcy Upminster. Gdy podpływamy bliżej, dolatuje mnie wybijany dla wioślarzy rytm bębnow. Dum. Dum. Dum. Zupełnie jak bicie serca.

Wpływamy do portu. Dwóch piratów podbiega i prędko opuszcza trap, który z głuchym stukotem opada na pomost.

– Ruszajcie, ino żywo. – Jeden z nich ponagla nas machnięciem ręki.

– A więc do dzieła – szepcze George. – Zakładamy maski.

Przesłania oczy swoją: to prosta czarna maska. Musieliśmy go do niej długo przekonywać. Początkowo upierał się, że założy maskę barwy akwamaryny, upstrzoną pawimi piórami.

– Jeżeli ją założysz, wszyscy poznają cię w pięć sekund – zwrócił mu uwagę John.

Wyjmuję swoją maskę – czarną z różowymi piórkami. Zawiązuję wstążeczkę za głową.

Schodzimy w piątkę na brzeg. Ledwie stajemy na pomoście, trap wędruje ku górze i statek odpływa zwinnie w dół rzeki. Wraca ku morzu.

## ROZDZIAŁ 27



Przeciskamy się w tłumie. Przybywający na bal goście ciasno wypełniają całą przystań. Wybiegają z łodzi i statków, roześmiani, rozplotkowani, podekscytowani. Bal jest największym wydarzeniem towarzyskim roku. Zaproszenia otrzymały wszystkie liczące się osobistości. Członkowie najmożniejszych rodów królestwa, odziani w swe najlepsze stroje. Jedwabie, aksamity, koronki i futra. Przychodzi mi do głowy, że mogę się tu natknąć na Katherine Willoughby w asyście Caleba. Ciekawe, czy mnie rozpozna? I co się stanie, jeśli tak?

Po drugiej stronie przystani wchodzimy do mniejszej łodzi, która zawiezie nas na teren posiadłości. Samotny wiosłarz przewozi nas pod bramą, po wąskiej ciemnej fosie, która wije się pomiędzy grubymi murami. Górują nad nami, wilgotne, pokryte pleśnią czarne ściany. Czuję na sobie spojrzenie Johna. Spoglądam mu głęboko w oczy. Tym razem nie odwraca wzroku.

Szalupa zatrzymuje się przy szerokich kamiennych stopniach. Umundurowani gwardziści przytrzymują burty, pomagają wysiąść i prowadzą nas po schodach na górę. Jeden z nich chciał podać mi rękę, ale John odprawił go skinieniem i sam ze mną poszedł. Przed wejściem czeka kolejna para strażników.

– Zaproszenia? – odzywa się jeden z nich i wyciąga dłoń w białej rękawiczce.

John wręcza mu nasze magicznie sporządzone dokumenty. Zaczynam się denerwować. A jeśli żołnierz się zorientuje? On jednak po

prostu kiwa głową.

– Miłego wieczora – mówi.

– Dziękuję – odpowiada John i wchodzimy na ścieżkę.

Rozglądam się, zdjęta mimowolnym podziwem. Dotąd to miejsce nie wyróżniało się niczym szczególnym. Ot, połać gołej ziemi, z rzadka usiana kamieniami. Pusty teren oddzielający wodną bramę od drugiej, prowadzącej na wewnętrzny dziedziniec.

Teraz jednak rośnie tu trawa. Kroczymy po świeżo wysypanej żwirowej alejce, obramowanej szpalerem drzew w donicach, oświetlonej blaskiem tysiąca świec. Na środku przygrywiają muzykanci: brzdąkają na lutniach, dmuchają we flety. Światło, wesołe melodie – to wszystko wydaje mi się dziwnie nie na miejscu.

Pokonujemy drugą bramę i wchodzimy do różanego ogrodu. To oczko w głowie Blackwella. Kwitnie tutaj ponad sto odmian róż uprawianych i zadbanych tak pieczołowicie, że mienią się kwieciami przez cały rok, nawet zimą. Zwykle w chłodnych miesiącach nakrywa się je kocami. Tego wieczora zostały jednak odsłonięte i pyszną się wszelkimi odcieniami czerwieni, różu, żółci i pomarańcza. Są wszędzie.

Mimo że mieszkałam u Blackwella ponad dwa lata, w tym ogrodzie jestem po raz pierwszy. Nie pozwalano nam tu przychodzić. Blackwell utrzymywał, że „destrukcyjna natura” młodzieży może jego cennej kolekcji zagrozić. Kwiaty podziwiałam więc jedynie z okna. Dziwiłam się barwom róż – śmietankowo różowym, aksamitnie szkarłatnym, żółtym jak małe słoneczka. Niektóre były tak ciężkie, że pod ciężarem płatków uginały się łodygi. Dobrze pamiętam, jak niebezpiecznie daleko wychylałam się przez parapet, byle tylko poczuć bijący od nich aromat.

Goście przechadzają się między roślinami, po usypanych z kamyków ścieżkach, z zachwytem pokazują sobie artystycznie przystrzyżone krzewy. Wielkie żywopłoty uformowano na kształt piramid, kul, sześciątów bądź ich rozmaitych kombinacji. Jeszcze inne przypominają zwierzęta: sowy, niedźwiedzie, a nawet słonie. Zielone ślepia obserwują nas, gdy przechodzimy obok. Wielkie zainteresowanie wzbudza też ogrodowy labirynt. Od czasu szkolenia jednak nie czuję do tej atrakcji żadnego sentymentu.

John też się rozgląda. Mimo że ma zasłoniętą twarz, dostrzegam jego zdumienie. On również wybrał czarną zwykłą maskę, taką samą jak George. Humbert miał tylko dwie tak skromne. Reszta ozdobiona była piórami, klejnotami bądź skrawkami futra. George zarezerwował sobie pierwszą, o drugą John zagrał z Schuylerem w kości. Schuyler przegrał, a teraz idzie za naszymi plecami. Na twarzy ma obrzydliwą wąsatą maskę kota.

– Nie tego się spodziewałem – mamrocze pod nosem.

Kiwam głową.

– Gdybym nie znała prawdy, stwierdziłabym, że to po prostu normalna rezydencja arystokraty. Podobna do domu Humberta, podobna do samego Ravenscourt. Takie właśnie wrażenie stara się wyrzucić na wszystkich Blackwell. Jeśli jednak przyjrzeć się dokładnie...

– To co?

– Można zobaczyć rzeczywistość. Prawdziwego Blackwella.

Zrozumieć, kim jest.

Niedługo potem pojawiają się lokaje i prowadzą nas do środka. Przechodzimy za nimi z ogrodu długim marmurowym chodnikiem, potem przez wysokie, łukowato sklepione wrota i trafiamy do głównego holu. Stamtąd idziemy schodami, korytarzem i przez kolejne pary podwójnych drzwi. Ostatnie otwierają się na wielką salę.

Wielka sala jest dokładnie taka, jak można się spodziewać: ogromna. Długa na dziewięćdziesiąt metrów, szeroka na trzydzieści. Na jakiej wysokości jest sufit, nie próbuję nawet odgadnąć. Ściany obwieszane są dekoracyjnymi gobelinami. Tkane barwnymi nićmi sceny przedstawiają polowania z udziałem kawalerzystów, łuczników i piechurów. Różnica polega na tym, że zamiast zwykłej zwierzyny – jeleni, dzików czy wilków – ci myśliwi polują na ludzi. A konkretnie na czarownice i magów. Na jednym z kobierców widać nawet, jak zwycięscy łowcy pieką zdobycz na rożnie.

Tak bardzo chciałabym, żeby John nie musiał tego oglądać.

Wchodzimy w głąb sali. W powietrzu słychać żywą melodię, lecz jej poszczególne dźwięki nikną niemal w odgłosach wydawanych przez setki wypełniających pomieszczenie gości. Ludzie rozmawiają, plotkują, tańczą, bądź po prostu stoją w grupkach pod oknami. Niektórzy

odpoczywają na siedzeniach urządzonych na szerokich parapetach.

Zebrani kryją się pod maskami najprzeróżniejszych barw i kształtów. Część jest prosta i skromnie przyozdobiona – te przypominają maski George’a i Johna. Inne wykonano na kształt łbów niedźwiedzi, wilków i tygrysów. Paszcze rozwierają się szeroko, niby rozciągnięte w pełnych ostrych kłó w szerokich uśmiechach. Wiele masek strojnych jest w pióra wszelkich możliwych odcieni, na kolejnych migoczą drogocenne klejnoty: rubiny, szmaragdy, szafiry, nawet brylanty. W tłumie są też osoby w maskach zakrywających całe twarze – najczęściej wykrzywione w groteskowych, niemal złowieszczych grymasach. Tym bardziej złowróżbnych, że nie wiadomo, kogo ukrywają.

Zerkam na bogato rzeźbiony zegar, zawieszony nad sceną. Kwadrans po ósmej. Za trzydzieści minut zacznę realizować swój plan. Wtedy odłączę się od przyjaciół, przeproszę ich i powiem, że muszę poszukać łazienki. Tymczasem w rzeczywistości pójdę do grobowca. Z wybiciem dziewiątej, w porze rozpoczęcia balu, Schuyler przekaże im, że ich potrzebuję. Wyprowadzi ich na zewnątrz, lecz zamiast spotkać się ze mną, zastaną tam Petera, który podprowadzi swój statek tuż pod bramę wodną. Wtedy zjawa wróci do mnie. Wspólnymi siłami zniszczymy tablicę. Jeżeli przeżyję, po wszystkim dołączymy z Schuylerem do reszty. Lecz na przeżycie nie mam większej nadziei.

Plan doskonały.

– Co teraz? – Fifer rozgląda się dokoła. – Tylu tu ludzi. Mam wrażenie, że wszyscy się nam przyglądają.

– Nikt nie zwraca na nas uwagi – tłumaczy jej John. – Wydaje ci się. Zwykle nerwy. Spróbuj się uspokoić.

– Jak mam się uspokoić? Widziałeś te gobeliny? – Fifer przygryza paznokcie. – Chyba zwymiotuję. Może jeśli zaczerpnę łyk świeżego powietrza...

– Nie możesz – odpowiada uzdrowiciel. – Musimy się trzymać planu. Co znaczy, że nie wychodzimy stąd aż do rozpoczęcia balu.

– Usiądźmy gdzieś – proponuję. – Najlepiej blisko wyjścia, byśmy mogli się ukradkiem wymknąć.

Odpowiednie miejsce wynajduję przy drzwiach, którymi

weszliśmy do sali. Niewiele stamtąd widać czy słyszeć, ale to nie ma większego znaczenia.

Po raz kolejny przedzieramy się przez ludzki gąszcz i wyraźnie czuję na sobie spojrzenia gości. Fifer ma rację – obserwują nas.

W pewnym momencie jacyś chłopcy, a może mężczyźni – ciężko stwierdzić, wszyscy są w maskach – podchodzą do mnie, kłaniają się i kolejno proszą o taniec. Odmawiam im najuprzejmiej, jak potrafię. Niemniej cała ta skupiona uwaga i mnie przyprawia o nerwy.

– O co chodzi? – pyta szeptem George.

– Nie mam pojęcia – przyznaję. – Być może biorą mnie za kogoś innego? Nie jestem pewna...

– To przez twoją sukienkę – wtrąca John. – Haftowany ptak to herb księżnej. Pamiętasz? Przyjaciółki Humberta. Wszyscy sądzą, że nią jesteś.

Naturalnie. Srebrzący się na mojej piersi ptak jest powszechnie znanym symbolem rodu Rotherhite. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Nadciąga kolejny młodzieniec. Zanim jednak zdążył wyprostować się z głębokiego ukłonu, John chwyta mnie za dłoń i wciąga między tańczące pary. Drugą dłoń składa mi na krzyżu i przyciąga bliżej do siebie. Zaczynamy krążyć w tańcu, powoli, w milczeniu, zgrani z muzyką.

Powinam pomyśleć o Malcolmie, który przecież jest gdzieś w tym gąszczu. Jak również o Blackwellu, on też się tu bawi. Powinam rozmyślać o realizacji planu, o grobowcu i czekającej mnie próbie...

A jednak mogę myśleć wyłącznie o nim. Pachnie lawendą i korzennymi przyprawami, wyczuwam też delikatną nutę cytryny. Sposób, w jaki na mnie patrzy, dotyk naszych ciał... John przywiera do mnie tak blisko, że czuję przyspieszone bicie jego serca. Uderza w zgodnym rytmie z moim sercem.

– Przepraszam – odzywam się nagle.

– Za co przepraszasz? – pyta półgłosem.

Kręcę głową. Przepraszam go za nic i za wszystko naraz. Przepraszam za to niemożliwe do spełnienia uczucie, jakim go darzę, za absurdalną nadzieję, że on może czuć to samo. Wiem jednak, że nie mogę mu o tym powiedzieć.

– Musi być ci ciężko. Pomagasz komuś, kogo nienawidzisz – odpowiadam.

Odsuwa się nieznacznie i pochyla nade mną głowę, wpatruje się w moje oczy.

– Nie nienawidzę cię – szepcze. – Być może powinienem, lecz nie potrafię. Ty sprawiasz, że to niemożliwe. Sprawiasz, że mogę jedynie...  
– Urywa i kręci głową. Stosowne słowa nie chcą do niego przyjść.

– W porządku – rzucam. – Rozumiem.

– Naprawdę?

Wciąż bacznie mi się przygląda. Gładzi mnie dłonią po policzku, unosi moją twarz ku górze, nasze usta dzieli już tylko parę centymetrów. Jeszcze mniej. John opuszcza głowę niżej, czuję na skórze jego oddech. I wtedy mnie całuje.

W tej jednej chwili zapominam o wszystkim: o strachu, o planie. Zapominam nawet o tablicy. Liczy się wyłącznie dotyk jego warg i palców, przenikające mnie, tchnące z Johna, poczucie bezpieczeństwa. Nie chcę, by ten moment kiedykolwiek dobiegł końca.

Wtem rozlegają się burzliwe oklaski i gwałtownie od siebie odskakujemy. Nie dotarło do mnie, że muzyka ucichła już jakiś czas temu. John patrzy na mnie wielkimi oczyma, stoi z rozchyłonymi ustami, jest wyraźnie wstrząśnięty. Co go aż tak mocno poruszyło? Fakt, że mnie pocałował? A może uświadomił sobie, iż coś poczuł, że zagrała w nim ta sama emocja, którą poczułam ja? Poczulałam i wciąż czuję: ekscytację, pożądanie, nadzieję, splątane w jeden oszałamiający węzełek.

Wyciąga ku mnie rękę. Podchodzę. Ktoś stuka mnie w ramię. Nie przykładam do tego uwagi, nie chcę oderwać wzroku od Johna. Dotyk się powtarza i wtedy się odwracam. Na moich wargach czai się odmowa, jestem przekonana, że to kolejny nieznajomy omyłkowo wziął mnie za księżną. To jednak nie jest obcy człowiek. Gdy tylko zauważam jego oczy czarne jak ślepią węża, błyskające zza wilczej maski, już wiem, z kim mam do czynienia. Rozpoznałabym go zawsze i wszędzie.

Blackwell.

Krew odpływa mi z twarzy, ucieka też z rąk i nóg. Zbiera się w stopach, które stają się ciężkie jak z kamienia. Mam wrażenie, że przyrastam do posadzki.



– Panna Rotherhite, jak sądzę? – mówi Blackwell. – Wiem, że nie przystoi ujawniać tożsamości przed zdjęciem masek, ale nie mogłem pozwolić, by tak znamienity gość nie usłyszał moich kondolencji.

Oczy stojącego obok Johna otwierają się jeszcze szerzej niż dotąd.

– Dziękuję. – Staram się mówić niezbyt głośno, nie chcę, by mnie rozpoznał.

– Wieść o babce panienki odebrałem z wielką przykrością – podejmuje Blackwell.

Kiwam głową. Humbert wspominał, że niedomaga.

– To ogromna strata.

Ponownie przytakuję, czekam tylko, by skończył, przeprosił i odszedł. On jednak wciąż stoi obok. John podchodzi bliżej i ujmuje moje ramię, Blackwella to jednak nie zraża.

– Czy mógłbym przekonać owego młodzieńca, by użyczył mi choć jeden taniec z panienką?

– Oczywiście – odpowiada John ściśniętym głosem.

– Niebawem zwrócę partnerkę. – Blackwell bierze mnie za rękę i wyprowadza na parkiet. Oglądam się na swoich, maski skutecznie ukrywają ich przerażenie.

– Przyjemny wieczór? – pyta Blackwell.

– Hmm – odpowiadam, zbyt wylękniona, by odezwać się wyraźniej. Przez cały czas zastanawiam się, czy on naprawdę sądzi, że tańczy z księżną Rotherhite? Czy może wie, że to ja? Udało mu się jakimś cudem domyślić? Uświadamiam sobie, że byliśmy skończonymi głupcami, sądząc, że zdołamy go przechytryć. Blackwell wie przecież o wszystkim, co się dzieje w jego domu, na jego terenie. Wie o wszystkim, co dzieje się gdziekolwiek. Zaczynam się czuć jak mucha stąpająca na skraju pajęczej sieci. Wciąż mogę uciec, cała i zdrowa. Wystarczy jednak jeden fałszywy krok, a zginę...

– Cieszę się – mówi Blackwell, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z ogarniającej mnie grozy.

Tańczymy przez całą salę, jak mogę, staram się sprawić wrażenie doświadczonej. Przede wszystkim próbuję nie potknąć się o własne nogi. Mój partner nie zwraca uwagi i na to. Rozgląda się dokoła, raz po raz wyciąga szyję, jakby kogoś szukał. Wreszcie muzyka cichnie

i Blackwell odprowadza mnie do drzwi, lecz nie tych, przy których czeka reszta. Idziemy na drugi koniec sali. Zauważam, jak przyjaciele niespokojnie się rozglądają, wypatrując mnie wśród gości.

– To była prawdziwa przyjemność. – Uwalnia mnie. – Teraz muszę przeprosić, czekają mnie pilne sprawy.

Kiwam głową i dygam. Blackwell odwraca się do wyjścia. Kiedy się cofam, nagle obraca się na pięcie.

– Ach, panno Rotherhite?

– T-tak? – dukam, ze strachu zapominając obniżyć głos.

Wpatruje się we mnie i widzę w jego oczach dziwny cień.

– Jeśli wyjdzie panienska odświeżyć się w ogrodzie, proszę zachować ostrożność. Obawiam się, że przytrafiła się nam dzisiaj wizyta nieproszonych gości. Proszę się nie lękać, moi ludzie już się tym zajmują. – To powiedziawszy, znika.

Przez chwilę mam w głowie gonitwę myśli. Blackwell wie, że tu jesteśmy. Co teraz zrobić? Muszę odprawić stąd pozostałych, i to natychmiast. Nie mogę czekać na rozpoczęcie oficjalnej części wieczoru, nie mogę też czekać na Petera. A jeśli mimo wszystko liczę na zniszczenie tablicy, muszę się tym zająć już teraz.

Wyławiam spojrzeniem przyjaciół. John patrzy na mnie ponad roztańczonym tłumem.

– Przepraszam – poruszam bezgłośnie ustami.

Odwracam się i biegnę. Pędzę w dół po schodach i wpadam do holu. W ścianach otwierają się łukowato sklepienie wnęki, głębokie mniej więcej na trzydzieści centymetrów. Służą wyłącznie ozdobie, wszystkie z wyjątkiem jednej. Podchodzę do trzeciej z kolei, przyciskam dłoń do płaskiego kamienia i napieram. Ściana ustępuje. Odsuwa się, odsłaniając szeroki tunel. Podciągam sukienkę, wchodzę do środka i zamykam za sobą sekretne drzwi.

Korytarz jest długi, biegnie wzdłuż całej wielkiej sali i jeszcze dalej, aż na drugą stronę pałacu.

– Schuyler – odzywam się lekko zdyszana. – Blackwell wie, że tu jesteśmy. Wyprowadź wszystkich, a potem weź od Fifer miecz i spotkajmy się za dziesięć minut w lesie.

Na końcu tunelu znajduję proste drewniane drzwi. Po ich drugiej

stronie kolejne schody wiodą w dół, do sypialni, w której niegdyś mieszkałam. Przystaję na górze i nasłuchuję. Tak na wszelki wypadek. Nikt już tych pokoi nie używa, ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie słyszę niczego, więc zbiegam i wpadam do swojego dawnego pokoju. Na jego widok odczuwam niejaki wstrząs. Wnętrze jest ciasne i ciemne, nie ma nawet okna. Dopiero teraz dociera do mnie, że sypialnia bardzo przypomina więzienną celę. Nie byłam tu już od dwóch lat, choć nikt by się tego nie domyślił. Na łóżku wciąż leży bezładnie porzucona pościel, mój stary mundur spoczywa zmięty na podłodze. Na skrzyni, w nogach łóżka, leży kilka sztuk broni. Zupełnie jakbym nie opuściła pokoju ani na chwilę.

Pospiesznie zrzucam z siebie sukienkę, zrywam z szyi naszyjnik, wyciągam z włosów grzebienie i sięgam po mundur. Nie mam ochoty go zakładać, ale nie mogę przecież niszczyć tablicy w sukience. A już ostatnie, czego mi trzeba, to by ktoś znowu wziął mnie za księżnę Rotherhithe. Wsuwam na siebie ciasne czarne spodnie, wygniecioną białą koszulę i sięgające kolan czarne buty. Na ramiona nakładam długi płaszcz z płowej skóry, paski zapinam na piersi.

Pas na broń przypinam do ramienia, szybko wsuwam w uchwyty wszystko, co wpada mi w ręce. Dwa długie zębate noże, kilka sztyletów. Topór i przebijak. Niewiele, ale lepsze to niż nic. Gdy ostatni sztylet trafia na miejsce, wyczuwam coś na dłoni. Spoglądam na nią i dociera do mnie, iż nadal mam na palcu szafirowy pierścionek od Humberta. Już mam się go pozbyć, kiedy przypominam sobie, co powiedział. Ta błyskotka ma mi przynieść szczęście. Nie zdejmuję jej.

Wracam na schody i przechodzę przez tunel aż do jednych z kilkorga prowadzących na zewnątrz drzwi. Dolatuje mnie głos kurantów stojącego na dziedzińcu zegara.

Dziwiątą. Ukradkiem przemykam przez tonący w cieniu teren. Mijam kort tenisowy i strzelnicę dla łuczników. Przemykam obok stajni i labiryntu, po czym docieram na skraj parku. Mroczny i rozległy – rozciąga się przede mną. Przypominam sobie wszystko, z czym musiałam się tu zmierzyć, wszystkie istoty – znane i bezimienne. Znow oblatuje mnie strach. Nie mam pojęcia, co mogę spotkać dzisiejszego wieczora.

Tuż przed lasem skręcam ostro w prawo i idę dalej wzdłuż linii drzew, w kierunku rzeki. Ostatnim razem szłam tędy w drodze na swój sprawdzian. Wciąż pamiętam skrzypienie przepływających w pobliżu statków, chłopot rozbijających się o kadłuby fal. Grobowiec jest gdzieś nad brzegiem.

Słyszę delikatny szelest listowia. Obracam się gwałtownie na pięcie. W mojej dłoni błyska sztylet.

– Spokojnie, skarbenku, to tylko ja. – Podchodzi do mnie Schuyler.

– Co się dzieje? – pytam. – Udało im się wyjść?

Odpowiada skinieniem głowy.

– W tej chwili są już na łodzi i płyną do przystani.

Oddycham z niekłamaną ulgą.

– Co im powiedziałaś?

– Prawdę. Powiedziałem, że Blackwell się was spodziewa, a ty poszłaś zniszczyć tablicę. – Wzrusza ramionami. – Co innego miałem zrobić?

Dziwna nuta w jego głosie wzbudza moją podejrzliwość. Nie jestem pewna, czy mnie nie okłamał. Zastanawiam się, co mógłby zyskać dzięki kłamstwu. Ale na roztrząsanie wątpliwości nie ma czasu. Czuję, że zbliżamy się do grobowca. Powietrze staje się coraz bardziej chłodne, oddech dobywa się z moich ust białymi chmurkami. W lesie panuje nieziemiska cisza. Nie grają świerszcze, nie pohukują sowy, w poszyciu nie buszuje nawet jedna myszka czy szczur. Nawet drzewa milczą.

I wtedy ją widzę. Z zewnątrz wygląda zupełnie niepozornie. Ot, prosta drewniana kłapa pomiędzy kępkami suchej zimowej trawy, częściowo przysypana kobiercem liści. Gdybym jej nie szukała, na pewno bym ją przeoczyła.

– Schuyler – przywołuję go. Przeszedł tuż obok.

Zawraca i patrzy tam, gdzie ja. Kiedy zauważa kłapę, klunie bezgłośnie pod nosem i głośno wypuszcza powietrze. Domyślam się, że tylko dla efektu. Zjawy nie oddychają.

– Przyniosłeś miecz? – Patrzę mu w oczy.

Kiwa głową i wyciąga broń spod płaszcza.

– Świetnie. Trzymaj go w pogotowiu. W każdej chwili mogą się tu

pojawić straże.

– Jak dotąd niczego nie słyszałem.

– To dobrze. Kiedy będę w środku, nie wchodź, dopóki nie usłyszysz, że kopię w klapę od wewnątrz. Tablica jest kamienna, więc będę potrzebować pomocy. A gdybyś usłyszał moje krzyki, nie zwracaj na nie uwagi... Tak po prostu musi być.

Pochylam się nad klapą, chwytam ciężki żelazny pierścień i pociągam. Raz, drugi. Dopiero za trzecim razem udaje mi się klapę podciągnąć. Z wewnątrz bije powiew kwaśnego, ostrego powietrza. Woń śmierci, zapach rodem z moich koszmarów. Zaciągam się nim głęboko, zwykły smród mnie nie powstrzyma, nie przestraszy.

Schodzę po drewnianych stopniach, jest ich trzynaście. Tym razem nie muszę liczyć. Odwracam się i spoglądam na Schuylera. Znowu dostrzegam w jego błękitnych oczach ten posępny cień.

– Bądź ostrożna – szepcze.

## ROZDZIAŁ 28



Schuyler opuszcza klapę i tonę w ciemności. Wkrótce świat zaczyna się obracać i padam na plecy. Podnoszę się i usiłuję stanąć wyprostowana. Wyciągam ręce wzdłuż boków i z całych sił zaciskam pięści. Czekam, by zaczęła się sypać ziemia. Jedno mgnienie oka. Dwa. Pięć. Wreszcie dziesięć. Serce wali mi jak młotem, oddycham zbyt gwałtownie, zbyt szybko. Wciąż nie dzieje się nic.

Nagle dostrzegam jakieś migotanie. Jakby światełko, lecz bardzo odległe. Jak to możliwe? Przecież jestem w grobowcu. Po chwili jednak blask staje się bardziej intensywny i dociera do mnie, że to wcale nie grobowiec. Stoję w tunelu. Bardzo powoli ruszam w stronę światełka. Gdy mam za sobą jakieś dwadzieścia kroków, słyszę dźwięk tak głośny, że czuję mrowienie na plecach. Donośny, wściekły łoskot, jakby ktoś dobijał się pięścią do drewnianych drzwi. Wysuwam zza pasa sztylet i idę dalej. Hałas nie ustaje. Łup, łup. Zaraz potem słychać trzask pękających desek, stukot ciężkich buciorów. Ktoś przekroczył próg. Po chwili krzyk. I wrzask.

Moje ciało reaguje, zanim zdążyłam cokolwiek pomyśleć. Pędzę w stronę dźwięków i światła. Potykam się w mroku, odbijam od ścian, padam na kolana, podrywam się. I znowu się przewracam. I wstaję. Kieruję się ku krzykom, aż wreszcie robi się całkiem jasno, a grunt pod moimi stopami staje się bardziej stabilny, twardszy. Patrzę w dół i pod warstwą ziemi dostrzegam przebłyśki czerni i bieli. Przede mną pojawiają się jakieś drzwi. Przechodzę przez nie i niespodziewanie staję

na środku holu rezydencji Humberta.

Czarno-biała posadzka jest brudna i spękana, dywany zostały zwinięte, obrazy zdarto ze ścian. Kandelabry oplecione są pajęczynami, kryształowe wazy leżą strzaskane w drobny mak. Nie oszczędzono nawet okiennych szyb. Stąпам niepewnie przed siebie, pod podszwami zgrzytają mi okruchy szkła.

Wiem, że to wszystko iluzja. W głowie nieprzerwanie słyszę przypominający o tym głos Fifer. Niemniej otoczenie wygląda tak bardzo realnie, tak prawdziwie. Serce bije mi coraz szybciej.

– Jest tu kto?! – wołam. – Humbert?!

Przechodzę przez salon, mijam jadalnię. Także i w tych pomieszczeniach panuje rozgardiasz. Na podłodze walają się rozrzucone książki. Pomiędzy nimi leżą poprzewracane krzesła, kotary z okien zniknęły. Wycofuję się do holu i w pewnym momencie o coś się potykam. Stara torba z brązowego płótna. Torba Johna.

– John?

Wbiegam po schodach, zaglądam do kolejnych sypialni. Mnóstwo podartych ubrań: piękne sukienki Fifer, czarny płaszcz Johna, ten z czerwoną podszewką, nawet obrzydliwy pomarańczowy kaftan George'a.

– George? Fifer? – W moim głosie słychać panikę. Schodzę na dół, do biblioteki. Drzwi już nie ma, ktoś je wyrwał z zawiasów. W środku panuje ciemność. Nie potrzebuję jednak widzieć, by wiedzieć, że i tutaj wszystko zostało zniszczone. Czuję chłodny powiew wpadający przez stłuczone okno w suficie. Wiatr targa stronicami tysięcy strąconych z regałów książek. Księżycowa poświata pozwala mi wyłowić z mroku zarys powalonego drzewa. Gałęzie walają się po całej bibliotece niczym kości na zaniedbanym starym cmentarzu.

Przystaję i przez chwilę próbuję opanować narastający w moim sercu lęk. Staram się sobie przypomnieć, co takiego Fifer powiedziała na temat iluzji. Czy to właśnie ułuda sprawia, że strach jest prawdziwy? Czy może obawy nadają realności iluzji? I co takiego właściwie oznacza ta konkretna iluzja? Podobno ma mi pokazać mój największy strach, lecz ja nie wiem, czego się boję. Jeszcze nie.

Ciszę rozdziera głośny wrzask i wracam biegiem do holu. Ale

zamiast do wyłożonego czarno-białymi kafelkami holu, trafiam zupełnie gdzie indziej. Zabłocona kamienna podłoga, dywany upchnięte pod ściany, rozbite witrażowe okna. Na jednym, tkwiącym niepewnie w ramie odłamku szkła, udaje mi się dostrzec koniuszek wężowego ogona.

– Nicholas!

Przebiegam przez cały dom, tak jak przed chwilą u Humberta. Salon. Jadalnia. Sypialnie. Ostatecznie wpadam do kuchni. Wygląda tak, jak ją zapamiętałam: garnki, patelnie, noże i mnóstwo jedzenia.

– Hastings!

Nikt mi nie odpowiada. W domu panuje cisza.

Rozglądam się powoli dokoła, krążę. Ciężko oddycham, kończyny drętwieją mi ze strachu. Co to wszystko znaczy? Nie wiem. Wiem jedynie, że chcę stąd wyjść. Wracam pospiesznie do holu, otwieram frontowe drzwi.

I staję jak wryta.

Przede mną rozciąga się zatłoczony plac. Kaci rozpalają właśnie stos. Wchodzą z dwóch stron po stopniach na drewniane rusztowanie. Pochodnie trzymają wysoko nad głowami. A na samej górze, przykuci łańcuchami do grubego pała, otoczeni wiązkami chrustu i drewna, stoją John, Fifer i George.

Słaniam się, groza doprowadza mnie na skraj omdlenia. Zaczynam krzyczeć, jeszcze zanim kaci podłożyli ogień. Przeciskam się przez gęstą ciżbę, staram się dostać pod stos. Raz po raz wołam ich po imieniu, ale oni nie mogą mnie usłyszeć.

Dopadam do rusztowania i skręcam ku schodom, lecz powstrzymują mnie gwardziści, popychają na ziemię. Drapiąc po bruku, próbuję się podnieść. Przytrzymują mnie. Rozwrzeszczana, zapłakana, nie mam sił, by się im oprzeć. Ale przecież muszę się dostać do przyjaciół, muszę ich uratować, nim będzie za późno... Nie. Już jest za późno: płomienie buchają pod niebo, kłęb czarnego dymu spowija spętaną trójkę i znikają. Znikają na zawsze.

Nie wiem, w jaki sposób, lecz staję na równe nogi i przebijam się między gapiami, wypadam na ulicę i biegnę przed siebie. Nie wiem dokąd, po prostu pędzę byle dalej stąd. Byle dalej od dymu, płomieni,



rozpaczliwych krzyków i śmierci. Wreszcie docieram do pustej alejki i padam na kolana przed jakimiś drzwiami. Cała dygoczę, płaczę. Paraliżuje mnie groza.

Zrozumiałam. To właśnie mój najgorszy strach. Nie boję się już własnej śmierci. Przeraza mnie bezradność w obliczu śmierci bliskich. Śmierci, za którą jestem odpowiedzialna. Świadomości, że jeżeli nie uda mi się zniszczyć tablicy, scena, której właśnie byłam świadkiem, rozegra się naprawdę.

Muszę to przerwać. Gdybym tylko wiedziała jak... Co takiego mówiła mi na ten temat Fifer? A, tak – powiedziała, że muszę pokonać strach. Gdy strach zniknie, rozwieje się również iluzja. Ale w jaki sposób? Mogłabym zaśpiewać swoją kołysankę, lecz nie potrafię sobie przypomnieć słów. Zastanawiam się nad inną metodą, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Wszystkie moje myśli toną we wszechogarniającym przerażeniu.

Mija mnie grupka trzymających się pod ręce mężczyzn. Śpiewają jakiś pijacki kuplet, zataczają się, odurzeni alkoholem. Kiedy przechodzą obok, uderza mnie w nos silna woń piwa. Krzywię się. Już zalani, a pewnie nie minęło jeszcze południe i...

Nagle wpadam na pomysł.

Zrywam się na równe nogi. Biegnę przez labirynt alejek, skręcam w lewo, w prawo, znów w lewo, aż wreszcie dostrzegam znajomy zielony szyld z napisem „Na krańcu świata”. Mocnym pchnięciem otwieram drzwi. Wnętrze wygląda jak zawsze, jak wtedy, gdy byłam tu ostatnim razem. Tłoczno i głośno, muzykanci przygrywają w kącie, za barem Joe napełnia kufle i szklanki. Gdy podchodzę, podsuwa mi piwo i zakłada ręce za plecy.

– No i jak? – burczy, przyglądając mi się uważnie.

Upijam niewielki, ostrożny łyk. Zamiast tradycyjnej obrzydliwości – posmaku piezzonego prosięcia, absyntu, Bóg wie czego jeszcze – piwo smakuje... niczym. Po prostu piwem. Tym razem jest faktycznie smaczne. Wybucha śmiechem.

– Co cię tak bawi? – pyta Joe.

Nie odpowiadam. Zamiast tego odwracam się i biegnę do drzwi, otwieram je na oścież. Za nimi znajduje się wnętrze grobowca, ciemne

i wilgotne. Wróciłam do punktu wyjścia.

Wchodzę krok dalej i zamieram. Przez moment boję się, że osunie się na mnie ziemia, że próba wciąż nie dobiegła końca. Kiedy jednak mija kilka kolejnych chwil i nic się nie dzieje, ruszam do schodów. Na zewnątrz księżyc świeci dostatecznie jasno, bym w poświacie kilku przeciskających się szczelinami srebrnych promyków zobaczyła, że wyjście zamyka ciężka kamienna płyta. Płyta, na której widnieje wyryta liczba XIII.

Trzynasta Tablica.

Jest naprawdę duża. Wiedziałam o tym, lecz dopiero teraz, gdy mam ją tuż przed sobą, uświadamiam sobie jej skalę. Metr osiemdziesiąt wysokości, dziewięćdziesiąt centymetrów szerokości. Lity kamień, gruby przynajmniej na trzydzieści centymetrów. Spoczywa tu już dość długo, w ciemności i wilgoci. Na krawędziach pojawiły się plamy zielonego mchu.

Przez chwilę wpatruję się w tablicę. Muskam palcami wykute na powierzchni słowa. Wyczuwam opuszkami runy i pojawiające się wśród licznych symboli imię Nicholasa. Ktokolwiek obłożył go klątwą, doskonale wiedział, co robi. Musiał być utalentowany i obdarzony niezwykłą mocą. Kto taki? Nicholas mówił, że jedyny czarownik, zdolny do rzucenia tak silnego uroku, nie żyje.

Wtedy sobie przypominam: podpis. Ostatnim krokiem przy tworzeniu tablicy uroku jest złożenie osobistego podpisu. Naturalnie, większość magów nie posługuje się przy tym prawdziwym nazwiskiem. Korzystają z symboli bądź pseudonimów – takich, w jakich lubują się nekromanci. Bywa też, że podpisem jest jakaś sentencja. W każdym razie coś osobistego, co jednak nie stanowiłoby obciążenia w oczach sądu. Nie dowiem się, kto rzucił tę klątwę, lecz Nicholas rozpozna odpowiedzialnego za nią. Zapewne chętnie dowie się, który z kolegów po fachu tak bardzo chciał go uśmiercić.

Przyklękam. Jeśli na tablicy rzeczywiście jest podpis, znajdę go gdzieś na dole. Niewiele jednak widać. Blask księżycy jest mimo wszystko zbyt słaby, a dolna krawędź przyprószona jest ziemią. Odgarniam ją i ukazuje mi się fragment jakiegoś wzoru. Co to takiego? Płatki? Jakiś kwiat. Grzebię głębiej i odsłaniam słowa. Czyli jednak

sentencja? Kopię jak opętana, aż wreszcie widzę symbol w pełnej krasie. Róża. I krótkie zdanie: „Co się stało, to się nie odstanie”.

Wyrywa mi się zdławiony krzyk. Panicznie odsuwam się od tablicy.

Blackwell.

Blackwell jest czarnoksiężnikiem.

Dławię się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. Nie mogę zaczerpnąć powietrza. Jak to możliwe? Dlaczego nie zrozumiałam tego wcześniej? Czy Nicholas wie? Może tylko podejrzuwa? I czy Blackwell wie, że szukamy tej tablicy? Co to wszystko znaczy?

Podrywam się gwałtownie.

– Schuyler!

Cofam się o krok, biorę zamach nogą i kopię. Siła uderzenia powala mnie na ziemię. Na tablicy nie pojawiła się nawet drobna rysa. Wstaję i kopię raz jeszcze. Rzucam się całym ciałem. Wciąż nadaremnie.

– Schuyler! – raz po raz wykrzykuję imię zjawy. – Słyszysz mnie? Potrzebuję pomocy. Mam tu tablicę i...

Grobowcem szarpie potężny wstrząs, sypią się na mnie okruchy ziemi. Coś dudni, kilka razy pod rząd. Wreszcie na samym środku tablicy pojawia się rysa. Kamień zaczyna pękać. Kopię bez wytchnienia. Szczelina się rozrasta i wewnątrz grobowca wypełnia zielone światło. Jest coraz jaśniejsze, po chwili staje się niemal oślepiające. Moment później uderza mnie gwałtowny powiew wiatru i w podziemiu rozlega się głośny łoskot – trzask taki, jak kiedy na zamrzniętym stawie pęka lód. Tablica się rozpada. Uskakuję, lecz nie dość szybko. Spadają na mnie kawałki kamienia, przytłaczają, powalają, grzebią pod warstwą gruzu.

Wygrzebuję się, strzepuję ziemię z brzucha i nóg.

– Schuyler. – Kaszlę, pluję kurzem i kamiennym pyłem. Nikt nie odpowiada. – Schuyler! Słyszysz mnie?

Czekam na jakąkolwiek reakcję. Nadal nic. Słyszę jedynie swój urywany oddech i miarowy szum. Brzmi jak... deszcz.

Przeszywa mnie nagły dreszcz. Kiedy schodziłam pod ziemię, nie padało. Co więcej, nie zanosilo się nawet na mżawkę. Niebo było czyste, czarne i upstrzone tysiącami gwiazd. Co to więc znaczy? Możliwe, że spędziłam w grobowcu więcej czasu, niż sądziłam. W końcu jesteśmy

w Anglii, a w tym kraju pogoda jest mocno kapryśna. Deszcz może jednak oznaczać też coś zupełnie innego.

Wstaję. Przechodzę ostrożnie między kamieniami, zbliżam się do wyjścia i ostrożnie wyglądam na zewnątrz. Ulewa. Z nieba leją się strugi lodowatej wody, wszędzie dokoła pobłyskują kałuże. Zatem pada już dobrą chwilę.

To wciąż iluzja.

Czuję zawód, zaraz potem wraca do mnie przerażenie. Skoro wciąż jestem wewnątrz grobowca, we wnętrzu iluzji, to mój największy strach wciąż się jeszcze nie ukazał. A skoro nie boję się najbardziej na świecie własnej śmierci ani oglądania kaźni przyjaciół, to czego? Co może być gorsze?

Biorę głęboki wdech, wysuwam z pasa oba zębate sztylety i wychodzę na deszcz.

Wciąż jestem u Blackwella, to akurat wiem. Widzę powiewające na wieżyczkach flagi i masywne wysokie mury. W oddali przetacza się grzmot, zygzak błyskawicy rozpala niebo. Ostrożnie, niemal nieśmiało, ruszam przed siebie. Stopy grzęzną mi w błocie. Rozglądam się po terenie, patrzę między drzewami prosto na ogrodowy zielony labirynt o ścianach z zielonych krzewów. Coś tam na mnie czeka. Jestem tego pewna. Nie mam tylko pojęcia co. Wreszcie je dostrzegam: para czerwonych, świecących jak latarnie oczu. Nagle rozlega się głośny szelest liści, trzaska pękająca gałąź. Stwór ruszył do ataku.

Wypada na polanę – nieco przypominająca szczura duża istota. Wielka jak koń, obdarzona sześcioma łapami i zwieńczonym zatrutymi kolcami długim ogonem. Widywałam już takie monstra podczas szkolenia. Są powolne i niezdarne, lecz niedostatek zwinności nadrabiają, atakując grupami. Zawsze działają stadnie, właśnie jak szczury. A to znaczy, że jest ich tu więcej.

Rzucam oboma sztyletami naraz, mierzę w ślepie. Tylko w ten sposób można zabić te stwory. Trzeba pozbawić je oczu. Trafiam jedno gorejące oko, lecz drugie ostrze chybia. Wielki szczur przewraca się na bok i wydaje z siebie rozdzierający uszy wrzask. Nawołuje pobratymców. Wyciągam z pasa kolejny nóż i podbiegam ku przeciwnikowi. Przeskakuję ponad próbującym mnie smagnąć ogonem

i zanurzam stal w ocalałym ślepiu. Stworzenie podryguje i zdycha, lecz czuję już dygotanie ziemi i dociera do mnie, że nadciągają następne. Odwracam się i widzę trzy sztuki. Gnają prosto na mnie.

Zostały mi trzy sztylety. Ciskam nimi w szczury i choć jest ciemno, a deszcz nieustannie leje, udaje mi się trafić każdego potwora w jedno ślepię. Wciąż za mało, by się ich pozbyć. Wyszarpuję zza pasa topór i ruszam na nie biegiem. Okaleczone potwory szamoczą się w trawie. Otrzymuję kilka ciosów szalejącymi ogonami i mimo że rany goją się prawie natychmiast, czuję skutki działania trucizny. Mąci mi się w oczach, zaczynam widzieć podwójnie; w mroku i w ulewie nie jestem w stanie odróżnić jednego szczura od drugiego. Kieruję się ich piskami, rąbię właściwie na oślep. Nie zwracam uwagi na bezustanne uderzenia nagich ogonów. Wreszcie bestie nieruchomieją.

Osuwam się na ziemię, czekam, aż obmyją mnie krople deszczu. Dygoczę na całym ciele, kręci mi się w głowie. W pewnym momencie przychodzi mi na myśl, że może to już koniec, może próba się skończyła. Wtedy jednak dolatuje mnie syk i szmer, jaki może towarzyszyć tylko pełzaniu. Już wiem, że zadanie wciąż trwa. Zamieram, próbując ustalić, z jakiego kierunku rozlega się nowy odgłos. Niestety, dobiega naraz zewsząd i znikąd konkretnie, otacza mnie ze wszystkich stron. Rozglądam się, lecz nie widzę niczego. Muszę się stąd wynosić. Jeżeli w lesie czai się więcej potworów, przyjdą tu zwabione wonią szczurzych trupów. Blackwell nigdy nie karmił stworzonych przez siebie monstrów, pozwalał im po prostu pożerać wszystko, co zabijaliśmy. Pewnego razu spytałam Caleba, co się dzieje ze zwłokami poległych podczas szkolenia łowców, ale odpowiedział tylko, że lepiej nie wiedzieć.

Za kurtynami deszczu widzę zarys ścian labiryntu. Nie, nie chcę tam wchodzić. Już raz w nim błdziłam i prawie przyplącałam to życiem. Z drugiej strony, zdaję sobie sprawę, że śledzący mnie potwór nie zapuściłby się w plątaninę zielonych korytarzy. Te stworzenia także panicznie boją się labiryntu.

Podpieram się na rękach i nogach i na czworaka pełnę skrajem lasu, blisko linii drzew, gdzie nie można mnie tak łatwo wypatrzeć. Po chwili docieram do miejsca, skąd jest najbliżej do żywopłotu.

Przywieram do pnia, trzęsę się przemoczona. Wciąż dręcą mnie zawroty głowy. I nadal słyszę ten szelest. Mój prześladowca jest coraz bliżej.

Muszę się ruszyć.

Ściskam w dłoniach dwa ostatnie noże, oddycham głęboko i rzucam się do biegu. Bardzo wolnego biegu. Szczurzy jad obciąża moje nogi, sprawia, że trawnik raz po raz się pode mną kołysze, faluje. Nie pomaga mi również ulewa. Prawdziwe urwanie chmury, woda leje się z nieba tak gęstymi strumieniami, jakby ktoś wylewał na mnie pomyje z kubła. Jednak nie zatrzymuję się. W połowie drogi do labiryntu słyszę dziwny łopot. Przypomina trochę dźwięk, jaki wydają szarpane wiatrem, schnące na sznurze prześcieradła. Podnoszę spojrzenie dokładnie w chwili, gdy przeciwnik na mnie spada: jakaś odmiana latającego gada. Głowa węża – stąd to wcześniejsze posykiwanie – i wielkie, czarne skórzaste skrzydła wyrastające niczym żagle z pokrytego łuską ciała. Przeciwnik mierzy we mnie ostrymi jak brzytwy pazurami.

Znalazłam się w pułapce. Na tym odsłoniętym fragmencie trawnika zupełnie nie mam gdzie się ukryć. Rzucam się więc na ziemię, upadam twarzą w błoto. Wyczuwam, że zwierzę przelatuje tuż nade mną, uderza mnie podmuch poruszonego skrzydłami powietrza, czuję na karku falę gorąca. Ogarnia mnie to koszmarnie, skręcające trzewia poczucie bycia ofiarą.

Zaciskając noże z całych sił, odwracam się na plecy i uderzam. Nie trafiam – drasnęłam tylko czubek jednego ze szponów. Stwór z łoskotem osiada na ziemi obok mnie. Wycofuje się, lecz nie na długo. Podrywam się na równe nogi i zaczynam biec. Słyszę skrzek, gad ponownie wzbija się w powietrze, zatacza koło i znów atakuje. Nie mam czasu, dopadnie mnie za kilka sekund. Nie dobiegnę do labiryntu...

Przystaję i odwracam się, patrzę na potwora. Poprawiam chwyt na rękonożkach sztyletów i biegnę prosto w jego stronę. Nurkuje spod nieba, z wyciągniętymi przed siebie szponami i rozwartą paszczą. Rozwidlony język wysuwa się spomiędzy dwóch rzędów nieprzyjemnie wyglądających krzywych kłów. Biegnę, gad jest tuż-tuż. Na mgnienie, zanim ma szansę sięgnąć mnie łapami, rzucam się na trawę i sunę pod brzuchem stworzenia, z wyciągniętymi wysoko ostrzami, które wbijam

w miękkie, nieosłonięte łuskami ciało. Sztylety rozszarpują brzuch bestii.

Stwór skrzeczy i spada. Odtaczam się na bok, a gad uderza w ziemię. Konwulsyjnie dygocze, podryguje i syczy, aż wreszcie wydaje z siebie ostatnie tchnienie. Wypatroszony nieruchomieje, ślepia stają się szkliste, czarne skrzydła zastygają pod nienaturalnym kątem. Zdechł. Ja również kładę się w błocie i zamieram. Oddycham ciężko, urwanie. Przymykam oczy i czuję na twarzy lodowate strugi deszczu. Powinnam wstać. Powinnam iść dalej, ale jestem tak bardzo zmęczona, bolą mnie tysiące miejsc na całym ciele i wciąż widzę podwójnie. Jad potwornych szczurów nadal krąży w moich żyłach.

– Elizabeth.

Gdy słyszę jego głos, jestem przekonana, że to również wpływ trucizny. Że dostała się do mojej głowy i wywołała omamy. Kiedy jednak moje imię rozlega się ponownie, siadam tak gwałtownie, że świat wiruje mi przed oczyma. Widzę go, stoi w trawie tuż przed labiryntem.

John.

Podnoszę się i lekko zataczam.

– Jesteś ranna – zauważa i czoło przecina mu zmarszczka. Jego głos brzmi tak realnie.

Ale on nie jest prawdziwy.

Powoli ruszam w jego stronę. Gdy podchodzę bliżej, krzywi się na widok moich podartych spodni i koszuli, plam błota, krwi, wnętrzości i Bóg jedyny raczy wiedzieć, czego jeszcze. Włosy mam splątane, spływają kołtunami na ramiona.

John ubrany jest tak samo jak na balu: biała koszula, czarne spodnie, czarny kaftan z czerwoną lamówką i podszewką. Zmierzwiona czupryna i orzechowe oczy, które wpatrują się we mnie przenikliwie. Wydaje się taki prawdziwy.

Ale nie jest, nie jest prawdziwy.

– To nie jesteś ty – mówię. Chciałam odezwać się głośno, a zdobyłam się tylko na szept. – Wiem o tym.

John – iluzja Johna – kręci głową. Wygląda na skonsternowanego.

– To ja – protestuje. – To naprawdę ja. Dlaczego miałbym nie być sobą?

– Pada deszcz. Przemokłam do suchej nitki, a ty jesteś zupełnie suchy.

– Wcale nie pada. Nie jesteś nawet wilgotna.

Nawet nie próbuję wdawać się w tę dyskusję.

– Odpłynąłeś. Schulyer mi powiedział. Siedzisz teraz na łodzi z Peterem i resztą. Jesteście już w drodze do domu. Odpłynąłeś. – Coś ściska mnie w gardle. Z trudem przetykam ślinę.

– Nie odpłynąłem. – John mówi równie cicho jak ja. – To ty uciekłaś, nie chciałem puścić cię samej. Dlatego właśnie postanowiłem cię poszukać. Chciałem ci powiedzieć... – Ogląda się przez ramię i kiedy wraca do mnie spojrzeniem, w jego oczach pojawia się przelotny cień.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – pytam półgłosem.

– Że nie chcę, byś była sama.

Wyciąga do mnie rękę, lecz cofam się przed nim. Muszę iść, zanim zrobię coś głupiego, zanim się rozplaczę lub zechcę na zawsze pozostać w świecie magicznej iluzji, który już w tej chwili zaczyna mi się podobać bardziej niż ten prawdziwy.

John mi jednak nie pozwala. Przyciąga mnie ku sobie, pochyla głowę i wargami muska moje usta. Są miękkie i ciepłe, takie jak zapamiętałam. Powoli przesuwają wargi po moim policzku, zamierają dopiero na płatku ucha... Czuję go, słyszę, mam w nozdrzach jego zapach... To wszystko jest takie rzeczywiste.

Przymykam powieki i na moment poddaję się chwili, ulegam dreszczom, emocjom, którymi napęłnia mnie bliskość Johna. Nagle jednak słyszę jego ochryply szept:

– Uciekaj.

Odrywam się od niego z jękiem i widzę, że obok Johna stoi Blackwell. I powoli wyciąga z jego brzucha ostrze noża.



## ROZDZIAŁ 29



Jakże wzruszająca scena – odzywa się Blackwell.

Ociera sztylet chusteczką i wsuwa go sobie za pas. Z ust Johna wyrywa się stłumione westchnienie, zatacza się w tył, dłoń przyciska do obfitej krwawiącej rany.

Zachłystuję się.

– Nie – szepczę. – To nie dzieje się naprawdę.

– Ależ owszem. Nawet bardzo naprawdę. Zapewniam cię. – Blackwell podchodzi krok bliżej.

Przyglądam mu się, w nadziei że coś zauważę, jakąkolwiek wskazówkę, iż mam do czynienia z iluzją. Wygląda jednak jak na balu. Identyczne ubranie: ciemne spodnie, haftowany złotą nicią czerwony kaftan z wytłaczanym wzorem, złota kryza na szyi. Inaczej jednak prezentują się jego włosy: są krótsze, przystrzyżone niemal przy samej skórze. Chociaż... Kiedy z nim tańczyłam, zasłaniała je maska...

– Zniszczyłaś tablicę – podejmuje. – I przyznaję, całkiem zręcznie uporałaś się z moimi pupilami. – Chichocze niczym ojciec zadowolony z postępów córki. Ale ja wiem swoje. Po plecach przebiega mi dreszcz. – Moje szkolenie przyniosło znakomite efekty. Naprawdę byłaś jednym z najlepszych łowców.

Kręcę głową i cofam się przed nim. To nieprawda, nic tu nie dzieje się naprawdę. Wciąż tkwię wewnątrz iluzji, a postać Blackwella to jedynie element próby. Niemniej, kiedy się rozglądam, dociera do mnie, że deszcz ustał, niebo wolne jest od chmur, a moje ubrania są całkowicie

suche.

To wszystko prawda.

– John! – próbuję do niego podbiec, lecz Blackwell chwyta mnie za ramię.

– Nie zdołasz mu pomóc – mówi. – Zostało mu najwyżej pół godziny. I dobrze o tym wie. Jest w końcu uzdrowicielem, prawda?

Blackwell obrzuca spojrzeniem Johna, który klęczy w trawie i trzyma się za brzuch. Rozpaczliwie chcę pomóc rannemu, szarpnięciem się w uścisku Blackwella, okazuje się jednak zbyt silny.

– Dlaczego? – piszczę. Inne pytanie po prostu nie przychodzi mi do głowy.

Blackwell wzrusza obojętnie ramionami.

– Dlaczego go dźgnąłem? Domyślam się, że pragniesz poznać inny powód niż tylko bezprawne przekroczenie granic mojej posiadłości? A może chcesz się dowiedzieć, dlaczego próbowałem zgładzić Nicholasa Perevila? Tu również zapewne wolałabyś porozmawiać o innych motywach niż świadomość, że jest reformistą, zdrajcą i stanowi zagrożenie dla mojego królestwa?

Coś w sposobie, w jaki wypowiedział ostatnie dwa słowa, głęboko mnie zastanawia. To nie była nuta dumy. Tak mówią właściciele.

– Twojego królestwa?

– Tak, mojego. Być może tytuł króla nosi mój przygłupi bratanek, ale prawdziwym władcą jestem ja. On się bawi, tymczasem ja pracuję. Organizuję armie, kiedy on rusza na łowy, wysyłam je w pole, gdy on tańczy. To ja ustalam prawa, wprowadzam je w życie i planuję bunty, podczas gdy on pije, gra w karty i marnotrawi czas w damskim towarzystwie. – W tym momencie wbija we mnie okrutne zimne spojrzenie. – Domyślam się, że co nieco o tym wiesz.

Wpatruję się w niego bez słowa, jestem zbyt wstrząśnięta, by odpowiedzieć.

Blackwell zanosi się krótkim śmiechem.

– Muszę przyznać, iż liczyłem na to, że jednak uda ci się go otruć. Bo chciałaś śmierci Malcolma, prawda? Ja również.

Głos odzyskuję dopiero po dłuższej chwili.

– Wiedziałeś – udaje mi się wydukać. – Wiedziałeś o wszystkim

i nie powstrzymałeś go.

Blackwell mocno mną potrząsa.

– Oczywiście, że wiedziałem. Sam to zaplanowałem. Chciałem się go pozbyć, a ty byłaś znakomitą okazją. Wpadłaś mu w oko, a ja tę żądzę wzmagalem. Wmówiłem mu, że nie jest ci obojętny. – Pogardliwie wzrusza ramionami. – W pełni zdawałem sobie sprawę, do czego to doprowadzi.

Kłęczący za jego plecami John wydaje dźwięk na pograniczu jęku i warknięcia. Blackwell nie zwraca na niego uwagi.

– Miałaś wykonać swoje zadanie i zabić go, zrobić dokładnie to, do czego cię szkoliłem. Chciałem śmierci Malcolma, a ty miałaś się stać moim narzędziem. Caleb praktycznie kazał ci to zrobić – ciągnie, podnosząc głos. – Ile razy musiał ci wskazywać na to, jak władza nad krajem wymyka się Malcolmowi z rąk? Ile razy mówił ci, że lepiej by nam się wiodło bez niego?

– I miałam to uznać za zachętę do królobójstwa? – pytam. – Przecież to obłąd. Zwariowałaś.

– Maniery – rzuca zwięźle w odpowiedzi.

– Nie możesz go zabić. Nie możesz – mówię.

Nie, nie lubię Malcolma. Odebrał mi coś, czego już nigdy nie odzyskam. Skradł pewną część mnie samej i nigdy mu tego nie wybaczę. Ale przecież jest królem.

Blackwell ponownie wzrusza ramionami.

– Tak czy inaczej, rzecz jest już postanowiona. Wszystko się dokona dziś o północy. Maski wreszcie opadnie i wszyscy ujrzą nowego władcę Anglii. Mnie. – Uśmiecha się.

A zatem na tym polega jego plan. W tym celu potrzebował miecza, dlatego chciał śmierci Nicholasa.

– Nie uda ci się – dyszę. – W całym kraju wrze. Wszyscy się przeciw tobie buntują...

Blackwell wybucha śmiechem, głębokim szczerym rechotem. Przyglądam mu się poruszona. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by śmiał się aż tak radośnie.

– Ludzie, owszem, wychodzą na ulice i place, ale protestują przeciwko Malcolmowi. A ja? Ja po prostu wykonywałem jego rozkazy.

Jak sama raczyłaś zauważyć, to on jest królem.

– Ale przecież to ty stworzyłeś wszystkie te prawa! – rzucam. – Ty byłeś inkwizytorem, ty decydowałeś o...

– Wcielałem w życie prawa, które polecił mi zaprowadzić Malcolm. – Blackwell bezradnie rozkłada ramiona. – Padłem ofiarą jego zdrady jak wszyscy mieszkańcy kraju. Może nawet bardziej...

Ostatecznie to ja musiałem z jego rozkazu zgładzić setki czarownic i magów... Ludzi takich jak ja. – Kręci głową z udawanym żalem. – Dzisiaj jednak ta groza dobiegnie końca. Obejmę tron i uczynię to w asyście armii tak potężnej, że nikt nie waży się mnie powstrzymać.

– Armii? – pytam szeptem. – O jakiej armii mówisz?

– O tej, którą pomogłaś mi stworzyć.

Zachłystuję się. I wreszcie wszystko układa się w logiczną całość. Już rozumiem, co zrobił, co robił już od dłuższego czasu.

– Łowcy czarownic są pionkami – mówię.

Blackwell znów się uśmiecha.

– Raczej skoczkami – tłumaczy. – Figurami, które pomogły mi zostać królem.

Kręcę głową. Już wiem, jak wygląda prawda, lecz nadal nie potrafię w nią do końca uwierzyć.

– Szkoliłem was, byście chwyтали czarowników – podejmuje Blackwell. – Kazałem wam ich wyłapywać i sprowadzać do mnie. Nigdy nie przyszło ci do głowy pytanie, dlaczego nie chciałem, byście ich zabijali?

– Ale przecież ginęli – odpowiadam. – Co tydzień płonęło kilkanaście stosów. Byłam przy tym, widziałam na własne oczy...

– Kogoś zgładzić musiałem – stwierdza Blackwell. – Gdyby nie odbywały się żadne egzekucje, Malcolm nabrałby podejrzeń. Powinnaś jednak zauważyć, że na stos trafiali wyłącznie uzdrowiciele i początkujący czarownicy. Skoro już należało kogoś poświęcić, wybierałem tych, którzy nie mogli mi się przydać. A oni byli mniej więcej tak przydatni jak on. – Pogardliwie wskazuje na Johna. – Ale nekromanci? Demonolodzy? Magowie parający się czarnoksięstwem? Im, naturalnie, przeznaczyłem zupełnie inne zadanie. O, tak. Zupełnie inne.

- Nie możesz tego zrobić – syczę.
- Mogę i zrobię. W tej chwili już nikt mnie nie zatrzyma.
- Nicholas – przypominam. – Nicholas nie umrze i on cię

powstrzyma...

- Cóż, nie wydaje mi się.

I wtedy to słyszę. Zdławiony dziewczęcy szloch, stłumiony jęk chłopca. Włos jeży mi się na karku.

Pojawia się Caleb, za nim idą Marcus z Linusem i widzę, skąd dobiegają te odgłosy. To Fifer i George, oboje związani, zakneblowani. Oboje noszący wyraźne ślady pobicia. Linus ciągnie Fifer za włosy, dziewczyna jest ledwie przytomna. George ma podbite oko, rozciętą wargę, policzek spływa mu krwią.

Robi mi się słabo.

– Naprawdę myślałaś, że ujdzie ci to na sucho? Sądziłaś, że można tak po prostu odejść? – Blackwell podchodzi do mnie żwawym krokiem i cofam się przed nim, lecz nie mam dokąd. Chwyta mnie za ramiona i przygląda mi się z góry. Świdruje mnie czarnymi oczyma. – Czy naprawdę myślałaś, że zdołasz mnie powstrzymać?

Patrzę na Caleba, który odwzajemnia mi się beznamiętnym spojrzeniem.

– Ostrzegałem cię – mówi. – Powiedziałem ci, do czego dojdzie, jeżeli ze mną nie wrócisz. Uprzedzałem, że nie będę cię mógł ochronić.

Zapada straszliwa cisza, mierzymy się wzrokiem. Czuję, że oczy wszystkich zwrócone są na nas. Szukam w twarzy Caleba choć śladu emocji – cienia współczucia, być może żalu. Czegokolwiek, co dałoby mi znać, że w głębi ducha wciąż jest moim przyjacielem. Niczego takiego jednak nie widzę. I wtedy coś do mnie dociera. Uświadamiam sobie boleśnie, że zostałam sama. Sama, ponieważ w tej ostatniej próbie, stając przed wyborem pomiędzy rodziną a ambicją, Caleb wybrał ambicję.

Zwracam się na powrót ku Blackwellowi.

- Co chcesz teraz zrobić? – pytam półgłosem.

Blackwell wypuszcza mnie z uścisku tak raptownie, że niemal się przewracam.

- Przyprowadźcie mi tę dziewczuchę – rozkazuje.

Linus podchodzi, ciągnie ze sobą Fifer i brutalnie popycha ją przed oblicze Blackwella. Słyszę słabe protesty Johna, niewyraźny okrzyk George'a, ale to wszystko niknie w tle. Nie mogę oderwać spojrzenia od Fifer. Jej sukienka jest cała porwana, tkanina raz po raz zsuwa się jej z ramion. Straciła też buty i cała dygoce z zimna, szczęka zębami.

– Coś ty jej zrobił? – patrzę na Linusa.

– Nic. – Uśmiecha się okrutnie i muska palcem kark Fifer. Nas obie przeszywa dreszcz. – Jeszcze nic.

Ogarnia mnie odraza tak wielka, że niewiele myśląc, rzucam się na niego. Linus odpycha Fifer i skacze ku mnie. Padamy w zwarciu na ziemię, okładamy się pięściami, kopujemy i obrzucamy się obrzydliwymi wyzwiskami. Linus wyciąga sztylet i próbuje mnie dźgnąć. Mierzy w moją szyję, serce, brzuch. Trafia, ale sama nie wiem w co. Ledwie ból pojawia się w jednym miejscu, zaraz niknie, zgaszony świeżym ukłuciem. Moje ciało staje się areną, na której rany na przemian powstają i się goją.

– Dostyc! – Donośny głos Blackwella rozdziera ciszę.

Linus odrywa się ode mnie niczym posłuszny, nauczony wierności szczeniak. Ja również się podnoszę, znacznie wolniej niż on. Obrażenia nie znikają tak szybko, jak powinny. Wciąż jestem osłabiona. Wyraźnie czuję wpływ trucizny i zabliznionej rany na brzuchu.

– Czego chcesz? Co mam zrobić? – pytam. – Mam zabić króla? Zrobię to. Pójdę tam i zrobię to natychmiast. Tylko nie rób im krzywdy.

– Wbijam spojrzenie w Blackwella. – Powiedz mi, czego potrzebujesz.

– Chciałem, żebyś zabiła króla, i chciałem, byś zabiła Nicholasa – odpowiada. – To były dwa zadania, jakie ci przeznaczyłem. I zawiodłaś. W obu przypadkach. – Podchodzi do mnie. – Na szczęście teraz mam ich. – Zerka na pozostałych. – Od nich się dowiem, gdzie ukrywa się Nicholas, zaprowadzą mnie do niego. Tak, zaprowadzą – powtarza, głuszając ciche słowa sprzeciwu Johna. – Zrobią to, jeśli nie chcą niepotrzebnie cierpieć, zanim z nimi skończę.

Fifer wydaje z siebie nieartykułowany jęk.

– Co do króla, ta sprawa również zostanie rozwiązana. Być może już została. – Blackwell zerka na Caleba, który bez słowa potakuje skinieniem głowy. – Jak więc widzisz, nie jesteś mi już wcale potrzebna.

– Zbliża się, przesywając mnie na wylot zimnym spojrzeniem. Czarne oczy pobłyskują szaleńczym gniewem. – Nie potrzebuję cię do niczego.

Jego wściekłość rozpętuje burzę. Blackwell unosi ramiona i nagle znów pada deszcz, dokładnie tak jak wówczas, gdy wyszłam z grobowca. Leje jak z cebra. Strumienie wody przesłaniają mi cały świat, słyszę jedynie szum uderzeń kropel o ziemię. Zostaliśmy sami – ja i Blackwell; wszystko i wszyscy inni zniknęli. Cofam się przed nim, mam ochotę uciec, lecz musiałabym się odwrócić, a nie czuję w sobie dość odwagi, by oderwać spojrzenie od jego oblicza. Zresztą i tak nie miałabym dokąd uciekać.

– Gdybym miał pewność, że się ciebie pozbędę, kazałbym ci wejść do labiryntu – odzywa się. Nie krzyczy, lecz mimo ulewnego deszczu jego słowa słychać wyraźnie. – Pamiętam jednak, że już raz stamtąd wróciłaś. Posłałbym na ciebie kolejne potwory, ale wiem, jaki spotkałby je koniec. – Milknie. W jego twarzy pojawia się coś bliskiego... ciekawości. – Jak tego dokonałaś? Nie byłaś silna jak Marcus. Nie byłaś ambitna jak Caleb. Ani bezwzględna jak Linus. – Mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów i kręci głową, jakby zastanawiała go sama moja postać. – W jaki sposób udało ci się przeżyć?

To pytanie od dawna sobie zadaję. Jak to możliwe, że zupełnie przeciętna dziewczyna, ktoś taki jak ja, przetrwał tak niewyobrażalną groźbę? Wtedy nie miałam pojęcia, również teraz nie jestem pewna. Mogę się tylko domyślać.

– Dlatego, że okropnie bałam się nie przeżyć.

Blackwell kiwa głową, zupełnie jakbym przedstawiła mu świeży punkt widzenia, jakby usłyszał coś, o czym nigdy dotąd nie pomyślał.

– A teraz? Czy teraz też się boisz?

Zastanawiam się, czy powinnam mu powiedzieć, że tak. Być może przyznanie się do słabości pozwoliłoby mi zyskać nieco czasu, może wtedy spojrzalby na mnie bardziej łaskawie, może zyskałabym szansę, żeby się stąd wyrwać. W głębi ducha wiem jednak, że nie ma już mowy o żadnych szansach. Na cokolwiek.

– Nie, nie boję się – odpowiadam, ponieważ to moja jedyna możliwość buntu, a także, gdyż – co uświadamiam sobie z zaskoczeniem – to po prostu prawda. – Nie boję się ciebie – dodaję.

Blackwell rozciąga wargi w uśmiechu.

– Świetnie. Gdybyś się bała, zacząłbym się martwić.

Podchodzi do mnie i wyciąga ręce przed siebie. Zanim mogę zareagować, splata palce na mojej krtani i zaczyna zaciskać.

Biję dłońmi jego ramiona, szarpnię za nadgarstki. Drapię go, policzkuję. On jednak nie przestaje. Dusi mnie z każdą chwilą mocniej, patrząc mi prosto w oczy, bezlitośnie, bez cienia żalu. Próbuję krzyknąć, wrzasnąć. Nie mogę. Zresztą nawet gdybym mogła, deszcz zagłuszyłby wszelkie odgłosy.

Miękną pode mną nogi, padam na kolana, osuwam się na plecy. Zalewają nas strumienie wody, szamoczę się w błocie, a Blackwell wciąż silniej zaciska palce. Oczy uciekają mi w tył głowy, momentami tracę przytomność, świat pojawia się i znika niemal w zgodnym rytmie z rozbłyskami bijących z nieba piorunów.

Kończy się mój czas. Blackwell mnie zabije. Jest inaczej niż przedtem, inaczej niż w trakcie walki z nekromantami i ghulem. Wtedy miałam ze sobą Caleba, miałam miecz.

Schuyler.

Azoth.

Pomógł mi zniszczyć tablicę, lecz zaraz potem zniknął i... i... Myślenie przychodzi mi z coraz większym trudem i wiem, że to już prawie koniec. Tak łatwo byłoby znieruchomieć, zamrzeć. Spojrzeć w chmury i patrzeć, nie zwracając uwagi na deszcz. I tak nie mam już siły mrugać.

Schuyler! – powtarzam w myślach. Z całych sił krzyczę w duchu: – Przynieś mi miecz!

Nagle słyszę jakiś hałas, wrzaski. Przedziera się przez szum deszczu i mgłę, której tumany wypełniają mi głowę. Blackwell traci koncentrację i uwalnia moje gardło. Wciągam w płuca gwałtowny, palący oddech, lecz nadal nie mogę się poruszyć. Krzyki nie milkną.

Blackwell się odchyła i wstaje, klnie pod nosem. Macha ramionami i deszcz przestaje padać. Obracam głowę, żeby rozeznaczyć się w sytuacji i widzę...

Rzeź.

Na trawniku stoi Schuyler, trzyma w dłoni Azotha. Marcus i Linus



leżą na ziemi, obaj rozplątani, rany spływają krwią. To oni tak przed chwilą wrzeszczeli. Schuyler kieruje ostrze w stronę Caleba. Caleb zasłania się ciałem Fifer, przystawia jej nóż do szyi. Po drugiej stronie George pochyla się nad Johnem, który wciąż leży bez ruchu, krwawi.

– Ty! – warczy Blackwell i rusza na zjawę.

– Każ mu ją wypuścić – odpowiada Schuyler, nie spuszcżając Caleba z oka. – Ma to zrobić natychmiast!

Blackwell jest coraz bliżej. Wyrzuca ramiona w powietrze i ulewa rozpętuje się na nowo, burzy wtórują suche trzaski błyskawic i rozdzierający uszy huk gromów. Nie widzę już nikogo, niczego też nie słyszę. Wiem jednak, że muszę się ruszyć.

Powoli odwracam się na bok. Czuję ból w tysiącu miejsc, krwawię z setek ran. Jest ich tak wiele, że znamię nie nadąża z leczeniem. Podnoszę się na czworaki, lecz po chwili ponownie padam twarzą w błoto. Znów próbuję wstać, ale jest mi tak trudno. Każdemu oddechowi towarzyszą szarpnięcia bólu. Wreszcie staję chwiejnie na nogach i idę w ich stronę. Nie mam pojęcia, co chcę zrobić, ledwie się ruszam. Nie mam broni.

Potykam się o coś i spoglądam pod nogi. To Linus, nie zauważyłam go w deszczu. Jest martwy, szeroko otwarte oczy wpatrują się w niebo, w dłoni ściska sztylet. Pochylam się, wyciągam mu nóż spomiędzy zeszywniałych palców i idę dalej. Blackwell stoi tuż przede mną, odwrócony plecami. Schuyler kieruje ostrze miecza to na niego, to na Caleba. Caleb przyciska swój sztylet do szyi Fifer tak mocno, że widzę spływającą spod stali strużkę krwi.

Nie myślę, nie zastanawiam się. Po prostu unoszę nóż, biorę zamach, celuję. I wypuszczam go z dłoni, rzucam prosto w Caleba. Trafia go z obrzydliwym młaśnięciem prosto w krtani i on odrywa się od Fifer. Na jego twarzy maluje się najwyższe zdumienie. Ta jedna chwila zwłoki wystarczyła. Schuyler skacze naprzód i przyciąga Fifer do siebie. Caleb wyciąga ostrze z szyi, rana zabliznia się w jednej chwili. Blackwell zwraca się ku mnie, jest równie zaskoczony moją obecnością, jak Caleb. Waha się przez sekundę, nie wie, co zrobić. I ta sekunda również wystarcza.

Azoth.

Ledwie to pomyślałam, miecz sunie ku mnie w powietrzu. Chwytam go w locie i uderzam. Ostrze trafia Blackwella w twarz i ramię. Blackwell słania się naprzód, klęka na jedno kolano, trzyma się za policzek i krzyczy z bólu. Tnę raz jeszcze. Nim miecz sięga celu, Caleb wskakuje między nas. Nie mam czasu poderwać ostrza i trafiam go z całej siły w pierś.

Cofam się, broń niemal wypada mi z dłoni. Caleb osuwa się na kolana, przyciska dłonie do rany, krew tryska mu spomiędzy palców.

– Caleb... – szepczę. Patrzę mu oczy, lecz jeśli nawet spodziewałam się ujrzeć w nich przykrość czy żal, spotkał mnie zawód. W jego spojrzeniu płonie tylko determinacja.

– Zawdzięczamy mu całe swoje życie – rzuca gardłowo. Spogląda na swoją pierś, na krew. Już wie, że umiera.

– Nie, nie zawdzięczamy mu niczego – odpowiadam i wybucham płaczem.

Na wpół świadomie zauważam, że przestało padać, za to niebo powoli ciemnieje. Nie, nie tylko niebo, wszystko dokoła nika w czerni, jakby to świat umierał, nie Caleb. Wkrótce znikają wszelkie światła, gasną odgłosy i słyszę już jedynie własny szloch.

– Elizabeth! – Głos Fifer przedziera się przez moje łkanie. – Elizabeth!

Otwieram oczy. Rozglądam się. Caleb zniknął, zniknął też Blackwell. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu zniknęli wraz z burzą. Noc jest znowu pogodna. Księżyc świeci na tyle jasno, że wyraźnie widzę sylwetki pozostałych. Klęczą pochyleni nad Johnem.

Podchodzę do uzdrowiciela. Żal po Calebie i rany sprawiają, że ledwo trzymam się na nogach. Kiedy patrzę na Johna, dodatkowo osłabia mnie zgroza.

– Boże! – Kolana dają za wygraną i padam obok niego. Jest śmiertelnie blady, na jego skórze pobłyskuje wilgoć. Krew i pot. – Musimy go zabrać – mówię. – Schuyler, podnieś go.

Gdy tylko zjawa próbuje spełnić moją prośbę, John jęczy z bólu, a na jego koszuli pojawia się dodatkowa szkarłatna plama.

– Nie można go ruszyć, już raz próbowaliśmy – odzywa się George. – Stracił zbyt dużo krwi, przy każdym ruchu nasila się krwotok.

Nie, myślę, to się nie może stać. Nie mogę do tego dopuścić. Nie wolno mi pozwolić mu umrzeć. Nagle przychodzi mi do głowy pomysł.

– Fifer – zerkam na nią – twoja wiedźmowa drabinka. Gdzie jest?

– Co?

– Wiedźmowa drabinka. Masz ją przy sobie?

Fifer wsuwa dłoń do cholewy i wyciąga czarną nić. Został na niej już tylko jeden węzełek.

– Wiem, że korzystając z mocy Nicholasa, jesteś w stanie zmieniać różne rzeczy – mówię pospiesznie, kolejne słowa płyną wartkim strumieniem. – Czy mogłabyś zmienić mnie i Johna tak, żeby zyskał moją zdolność samoleczenia? Trochę tak jak to zrobiłaś z trawą i zaproszeniami?

– Nie... Nie wiem – odpowiada niepewnie. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie próbowałam. A jeśli się nie uda? Zresztą twoje rany w tej chwili wcale się nie goją.

Ma rację. Otrzymałam tak wiele obrażeń, że proces gojenia zachodzi bardzo powolnym tempem. Rany klute, połamane żebra, przebite płuco. Co gorsza, w moich żyłach wciąż krąży szcurzy jad.

– Co będzie, jeżeli w ten sposób dodatkowo mu zaszkodzimy?

John zanosi się kaszlem, cały się trzęsie. Stracił zbyt wiele krwi. Jeżeli szybko czegoś nie wymyślimy, umrze. A ja naprawdę nie mogę do tego dopuścić.

Wymieniamy się spojrzeniami.

– Połóż się obok niego – szepcze Fifer. – Jak najbliżej. To zaklęcie wymaga fizycznego kontaktu.

Układam się w trawie, delikatnie wsuwam rękę pod ramię rannego, obejmuję go drugą. Wyraźnie czuję, jak jest zimny, jak kruchy. Nie wyczuwam już od niego woni cytryn, powietrze pachnie krwią.

Fifer rozplątuje supełek drżącymi palcami. Gdy układa nić na naszych splecionych ciałach, jedwab zaczyna lśnić. Bierze głęboki oddech i mówi:

– Przekaż.

Ból atakuje natychmiast. Ponownie czuję ukłucia w setce miejsc jednocześnie. I tym razem nie towarzyszy im już łaskotanie, jakie pojawiało się zawsze, gdy znamię zaczynało działać. Nie ma nic poza

narastającym bólem. Czuję dziwne ssanie, jakby coś wyrywało się ze mnie na zewnątrz. Dociera do mnie, że to zapewne moja życiowa energia. Sztywnieję i drgam spazmatycznie. Przestaję cokolwiek widzieć, niczego już nie słyszę.

„Trzymaj się” – szepcze jakiś głos.

Próbuję, naprawdę z całych sił próbuję.

Po chwili jednak cierpienie staje się nieznośne i świat znika bez reszty.

## ROZDZIAŁ 30



Chyba – nie, pewna nie jestem, ale chyba umarłam.

W sumie nie jest tak źle, jak się zawsze obawiałam. Jest ciepło i leżę na czymś miękkim. Nie dręczy mnie głód ani pragnienie. I nic mnie nie boli. Co więcej, wokół rozchodzi się przyjemny świeży zapach. Taki wiosenny.

W dodatku mam pod głową poduszkę.

Samo umieranie wyglądało zupełnie inaczej, w zasadzie wprost przeciwnie. Mnóstwo krzyków, okropna szarpanina i silny ból. Słyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu, raz po raz. Chciałam odpowiedzieć, ale tamta osoba była stanowczo zbyt daleko. Pojawiło się też kołysanie. W przód i w tył. Rzucało mną jak na pokładzie statku. A potem nastąpiła cisza.

Ciekawe, od jak dawna nie żyję? Kilka tygodni? Miesiące? W każdym razie mam wrażenie, że umarłam dawno temu. Ciekawe również, co zrobili z moim ciałem. Zapomniałam im powiedzieć, że nie chcę zostać pogrzebana ani spalona. Wychodzi jednak na to, że nie ma to większego znaczenia.

Nadal o nich myślę. O Fifer, George'u i Johnie. O tym, że wrócili po mnie, tam, u Blackwella. John jakimś cudem zdołał mi wybaczyć, choć zupełnie tego nie rozumiem. Może to wszystko było tylko snem? Niekiedy wciąż ich słyszę. Te ich stłumione głosy, szepczące gdzieś wokół mnie. Powtarzają moje imię, trzymają mnie za dłoń, próbują sprawić, bym wróciła. Wiem, że to tylko sen, lecz tak gorąco pragnę, by

okazał się prawdziwy.

Pamiętam moment, kiedy pomyślałam, że wcale nie umarłam. Coś takiego zdarzyło się tylko jeden, jedyny raz. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Johna. Siedział pochylony na krześle w nogach mojego łóżka. Opierał się łokciem o materac i czytał książkę. Przyjrzałam mu się. Był czysty i wydawał się zdrowy, bardzo się różnił od tego pobitego, na wpół martwego chłopaka, którego widziałam po raz ostatni. I chyba domyślił się, że patrzę, ponieważ podniósł wzrok i uśmiechnął się. Chciałam coś powiedzieć, lecz nie byłam w stanie dobyć głosu. Mogłam tylko patrzeć. Potem zamrugałam i John zniknął.

Zostało mi przynajmniej wspomnienie.

\* \* \*

– Elizabeth, otwórz oczy – dolatuje mnie polecenie.

Czyj to głos? Czy oni nie wiedzą, że jestem martwa? Nie mogę przecież otworzyć oczu. Nie wiem nawet, czy jeszcze mam oczy.

– Już raz to zrobiła, dwa dni temu – dodaje ktoś inny.

Mój umysł z całych sił stara się rozpoznać tego człowieka. Głos wydaje się znajomy.

John.

Chcę coś powiedzieć. Próbuję, lecz nic się nie dzieje. Słyszę tylko niewyraźny jęk. To ja? Jeśli tak, muszę przestać. Okropnie to brzmi.

– Pójdę coś dla niej przygotować – mówi John. To naprawdę on? Jest tutaj? – Za chwilę wrócę.

Czy to się dzieje naprawdę? Niemożliwe. A jeśli? Nie chcę, żeby wychodził. Boję się, że jednak nie wróci. Czuję, jak coś we mnie wzbiera, zaczyna wrzeć niczym woda zbyt długo pozostawiona w czajniku. Zaraz zacznę krzyczeć. Z moich warg dobywa się jednak tylko szept:

– Zaczekaj.

Podnoszę powieki.

Słyszę jakiś szelest i po chwili pojawia się przede mną twarz Nicholasa.

– Witaj, Elizabeth.

– Ty? – chrypię. – Ty żyjesz? Czy umarłeś jak ja?

Mag wcale nie wygląda na martwego. Co więcej, nigdy nie widziałam go w tak świetnej formie. Policzki ma rumiane, ciemne oczy jaśnieją życiem. Siedzi na krześle spokojnie, nieruchomo, po prostu mi się przygląda. Jego sylwetka emanuje aurą siły i dostojeństwa.

– Żyję. Podobnie jak ty, chociaż przez jakiś czas mieliśmy spore wątpliwości. Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiadam. Nie kłamię. Choć może faktycznie jestem nieco osłabiona, a przy każdym oddechu boli mnie w piersi. No i chce mi się pić. Dobrze, przyznaję, mogłabym też coś zjeść.

Czarownik uśmiecha się łagodnie, jakby czytał mi w myślach.

– John jest naprawdę utalentowanym uzdrowicielem – mówi spokojnym głosem.

– Czyli z nim wszystko w porządku? – Nie umiem się powstrzymać. – Kiedy widziałam go ostatnio... – Umierał, kończę w myślach. Nie chcę wypowiedzieć tego słowa na głos.

– Tak, w zupełnym porządku.

– A co z Fifer? Jak się ma George? A Peter i Schuyler... Im też nic się nie stało?

Nicholas potakuje skinieniem. Zamykam oczy. Dopiero po minucie mogę się ponownie odezwać.

– Gdzie ja jestem?

Rozglądam się. Nie poznaję tego miejsca. Pokój urządony jest na biało: białe ściany, białe łóżko, kominek z białego marmuru. Grube białe kotary, przez które nie prześwituje nawet jeden promyk. Domyślam się, że panuje noc.

– W Harrow, w domu Johna i Petera – odpowiada Nicholas. – Przywieźli cię tu prosto od Blackwella.

– Co się stało? – pytam. – Pamiętam tylko zakłęcie Fifer. Potem już nic.

Mag kiwa głową.

– Czar zadziałał. Uzdrowiająca moc twojego znamienia przeszła w całości na Johna. Wrócił do siebie niemal natychmiast. Ty otrzymałaś poważne obrażenia. I większość z nich nie zdążyła się jeszcze zagoić, kiedy zakłęcie zadziałało. Powinnaś była umrzeć. I umarłabyś, gdyby nie to. – Wskazuje na szafirowy pierścionek od Humberta, który wciąż

błyszczący mi na palcu.

– To? – powtarzam.

– Ten pierścień jest wyjątkowy – wyjaśnia Nicholas. – Szafir sam w sobie wykazuje właściwości lecznicze i ochronne, a w połączeniu z wyrytym na spodzie runicznym napisem staje się bardzo potężnym talizmanem. Prosiłem Humberta, żeby ci go przekazał. Obawiałem się, że będziesz go potrzebować, chociaż nie przewidziałem, do czego dokładnie. Jego magia działa w podobny sposób, jak działało twoje znamię.

– Działo? – Gładzę się dłonią po brzuchu. – Straciłam znamię?

– Tak.

Powinłam poczuć ulgę. Znamię sprawiało, że byłam łowczynią czarownic, to ono łączyło mnie z Blackwellem. A jednak ogarnął mnie niepokój. Teraz stałam się praktycznie bezbronna. Można mnie zranić, dowolny człowiek może zadać mi ból. I boję się tego bardziej, niż byłabym gotowa przyznać. Zwłaszcza teraz, gdy wiem, co mnie czeka.

I kto źle mi życzy.

– Blackwell – podejmuję. – Blackwell jest czarownikiem. I chce... zamierza...

– Wiem. – Nicholas ucisza mnie, podnosząc rękę.

– Wiedziałaś od początku?

– Nie. Domyśliłem się dopiero, kiedy opowiedziałaś mi o waszym szkoleniu. Właśnie wtedy zacząłem podejrzewać, że łowcy stanowią element szeroko zakrojonego planu. Ty nie zdawałaś sobie z tego sprawy, ale Caleb musiał wiedzieć.

Odwracam wzrok, w oczach stają mi łzy. Może to głupie, że po nim płaczę, zwłaszcza że zrobił tyle złego. Ale przecież kochałam Caleba, częścią siebie wciąż go kocham. Nie chciałam, by nasza znajomość skończyła się w taki sposób.

– Przepraszam – odzywam się po chwili. – Wiem, że to pewnie śmieszne.

– Lojalność nigdy nie jest śmieszna. – Nicholas kręci głową. – Taka, jaką czułaś wobec Caleba. I wobec mnie. Najlepszym sposobem, by pokazać innym, że jest się człowiekiem godnym zaufania, jest pokazać, iż potrafi się samemu ufać. Właśnie po tym poznałem, że jesteś



inna.

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Więc czemu służyły te wszystkie tajemnice? Dlaczego nie powiedziałaś reszcie, kim jestem? Gdyby wiedzieli, że jestem łowczynią, moglibyśmy... – Macham ręką. – Uniknęlibyśmy tego wszystkiego.

Nicholas raz jeszcze kręci głową.

– Gdyby wiedzieli... Myślisz, że wówczas zostaliby twoimi przyjaciółmi? Że ufaliby w to, co mówisz? Godzili się na twoje plany? Nie. Nie daliby ci szansy. A ty musiałaś otrzymać szansę. Inaczej przepowiednia Vedy nigdy by się nie spełniła.

– Ale przecież mogłam pojechać do Blackwella sama, nie ryzykując cudzego życia. Poradziłabym sobie. Nawet w pojedynkę. – Milknę. Uderza mnie, że mam rację. – Wszystko skończyłoby się lepiej, gdybym zrobiła to sama.

– Ludzie nie powinni być sami – odpowiada cicho Nicholas. Przyglądam mu się bardzo uważnie, lecz zamiast dezaprobaty czy nagany, widzę w nim zrozumienie. – Chcę ci podziękować, Elizabeth. Za wszystko, co uczyniłaś dla mnie i dla Johna. Dla nas wszystkich. Wykazałaś się niebywałą odwagą.

Tym razem to ja kręcę głową. Nie wiem, czy kierowała mną odwaga, czy może raczej strach. Szkoda, że nie potrafię tego dylematu rozstrzygnąć. Gdybym umiała, mogłabym być odważna wbrew lękowi, nie z jego powodu. A gdybym była dzielna, zamiast się bać, wszystko potoczyłoby się innym torem.

Nicholas potakuje skinieniem głowy, znów jakby był telepatą.

– Przeszłości nie da się zmienić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Z drugiej strony, nie da się również przewidzieć przyszłości. Tego nie potrafi nawet Veda. To, co zrobisz, kim zechcesz zostać, zależy wyłącznie od ciebie. I jak zawsze powtarzam, nic nie jest niezmiennie.

Podnoszę wzrok i widzę Johna. Stoi w drzwiach i uśmiecha się do mnie.

Nie wiem, co będzie. Nadal nie jestem pewna, kim jestem ani kim się stanę. Ale uśmiecham się do Johna i myślę, że na razie spróbuję być po prostu dziewczyną.

I może tyle mi wystarczy. Na razie.

<sup>1</sup> Pheasant, Goose, Cow (ang.) – bażant, gęś, krowa (przyp. tłum.).

